CARLOS CASTANEDA

PODRÓŻ DO IXTLAN

(Journey to Ixtlan / wyd. orygin. 1972)



SPIS TREŚCI:

WSTĘP

W sobotę 22 maja 1971 roku pojechałem do Sonory w Meksyku, aby zobaczyć się z don Juanem Matusem, czarownikiem, Indianinem Yaqui, z którym byłem związany od 1961 roku. Wydawało mi się, że wizyta ta wcale nie będzie się różnić od wielu innych, jakie mu złożyłem w ciągu tych dziesięciu lat, kiedy byłem jego uczniem. Jednak wydarzenia, które miały miejsce w ciągu tego dnia i kilku następnych, stały się dla mnie niezwykle ważne. Moja praktyka u don Juana dobiegła końca. Nie była to moja arbitralna decyzja, ale prawdziwe zakończenie.

Swoją naukę u don Juana opisałem już w dwóch poprzednich pracach: Nauki don Juana i Odrębna rzeczywistość.

W obydwu książkach przedstawiłem podstawowe założenie, które głosiło, że kluczowymi punktami w nauce czarownika są stany niezwykłej rzeczywistości uzyskiwane dzięki przyjmowaniu roślin psychotropowych.

Don Juan był ekspertem w stosowaniu trzech takich roślin: pejotlu, czyli Lophophora williamsii, bielunia Datura inoxia, oraz jednego z grzybów z rodzaju Psilocybe.

Dzięki ich działaniu, moje postrzeganie świata stało się niezwykłe i wstrząsające i dlatego zmuszony byłem Przyjąć, że stany takie stanowiły jedyny sposób komunikacji i nauczania, jaki stosował wobec mnie don Juan.

To założenie okazało się jednak błędne.

Aby uniknąć wszelkich nieporozumień związanych z moją pracą z don Juanem, chciałbym wyjaśnić pewne Podstawowe kwestie.

Jak dotąd nie próbowałem umieszczać don Juana w kontekście kulturowym. To, że uważał się on za Indianina Yaqui, wcale nie oznacza, iż jego wiedza czarownika jest powszechnie znana i praktykowana przez ten lud.

Wszystkie rozmowy, które podczas nauki prowadziłem z don Juanem, odbywały się po hiszpańsku i tylko dzięki biegłej znajomości tego języka byłem w stanie uzyskać wyczerpujące informacje dotyczące jego światopoglądu, o którym zwykłem mówić jako o magii, a o samym don Juanie jako o czarowniku, gdyż takich wyrażeń on sam używał.

Zgromadziłem obszerne notatki, ponieważ udało mi się spisać większość naszych rozmów z samego początku mojej nauki u don Juana i wszystko, o czym mówiliśmy w fazie późniejszej. Aby ułatwić czytanie tych notatek i równocześnie utrzymać pewną dramaturgię, musiałem odpowiednio je zredagować. Jestem przekonany, że to, co odrzuciłem, nie ma większego znaczenia dla poruszanych przeze mnie kwestii.

W pracy z don Juanem ograniczyłem się jedynie do traktowania go jako czarownika i do zdobycia członkostwa w jego wiedzy.

Postaram się teraz wyjaśnić podstawowe założenia magii don Juana, zgodnie z tym, jak on sam mi je przekazał. Don Juan twierdził, że dla czarownika świat nie jest rzeczywisty, nie jest taki, za jaki go uważamy. Nasza percepcja świata jest jedynie jego opisem.

Don Juan koncentrował wszystkie swoje wysiłki na tym, aby wyrobić we mnie przekonanie, że obraz rzeczywistości, który istnieje w moim umyśle, jest jedynie opisem świata. Opisem, który został wtłoczony we mnie w momencie narodzin.

Zwrócił moją uwagę na to, że każdy, kto nawiązuje bliższy kontakt z dzieckiem, jest jego nauczycielem, który bezustannie opisuje mu świat, aż do momentu, kiedy dziecko potrafi postrzegać świat tak, jak został mu on opisany. Według don Juana, nie zachowujemy wspomnienia tego złowieszczego momentu, ponieważ po prostu nie mamy żadnego punktu odniesienia umożliwiającego porównanie naszej wizji rzeczywistości z jakąkolwiek inną. Jednak od tej chwili dziecko jest już członkiem. Zna opis świata. Jak sądzę, jego członkostwo staje się pełnoprawne, gdy potrafi dokonywać takich interpretacji percepcji, które w konfrontacji z opisem potwierdzają go.

Tak więc, dla don Juana, rzeczywistość składa się z nieskończonego strumienia interpretacji postrzegania, które my, jednostki posiadające specyficzne członkostwo, nauczyliśmy się interpretować w ten sam sposób.

Idea mówiąca, że interpretacje percepcji tworzące świat stanowią strumień, pozostaje w zgodności z faktem, że następują one po sobie w nieprzerwany sposób i rzadko, jeśli w ogóle, bywają kwestionowane. Nasz odbiór rzeczywistości jest przez nas uznawany za tak niepodważalny, że podstawowe założenie magii, traktujące go jedynie jako jeden z wielu opisów, niełatwo przyjąć poważnie.

Na szczęście, kiedy pobierałem nauki u don Juana, nie był on wcale zainteresowany tym, czy traktuję jego twierdzenia poważnie, czy nie. Bez względu na mój sprzeciw i brak zrozumienia tego, o czym mówił, nie przestawał punkt po punkcie wyjaśniać mi swoje przekonania. Jako nauczyciel magii, już od pierwszej chwili, kiedy zaczęliśmy rozmawiać, próbował opisać mi świat. Trudności w zrozumieniu jego uwag i metod wynikały z tego, że jego aparat pojęciowy był mi zupełnie obcy.

Jego celem było nauczenie mnie "widzenia", w odróżnieniu od zwykłego "patrzenia". "Zatrzymanie świata" było pierwszym krokiem prowadzącym do "widzenia".

Przez lata traktowałem ideę zatrzymania świata jako tajemniczą metaforę, która w rzeczywistości nic nie znaczy. Dopiero podczas towarzyskiej rozmowy, do której doszło pod koniec mojej nauki u don Juana, w pełni uświadomiłem sobie jej wielką wagę, jako jednej z głównych tez wiedzy don Juana.

Don Juan i ja rozmawialiśmy wówczas swobodnie o różnych sprawach. Opowiedziałem mu na przykład o moim przyjacielu i jego dziewięcioletnim synu. Chłopiec, który przez ostatnie cztery lata przebywał z matką, teraz zamieszkał ze swoim ojcem. Problem polegał na tym, co z nim zrobić. Według przyjaciela, nie nadawał się do szkoły, nie potrafił się skoncentrować, nic go nie interesowało. Miał napady wściekłości, zachowywał się w nieodpowiedni sposób i uciekał z domu.

– Twój przyjaciel z pewnością ma kłopot – powiedział don Juan, śmiejąc się.

Chciałem opowiedzieć mu o wszystkich strasznych rzeczach, jakie wyprawiał chłopak, lecz mi przerwał.

– Nie ma potrzeby mówienia więcej o tym biednym chłopcu. Ani ty, ani ja nie mamy powodu w taki lub inny sposób oceniać jego zachowania. – Jego ton był szorstki i stanowczy, ale po chwili uśmiechnął się.

– Co ma zrobić mój przyjaciel? – zapytałem.

– Najgorsze byłoby zmuszanie chłopca do tego, by zgadzał się z ojcem – powiedział don Juan.

– Co masz na myśli?

– Dziecko nie powinno być ani bite, ani karcone przez ojca, gdy nie zachowuje się w taki sposób, w jaki on by sobie tego życzył.

– Jak więc może go czegokolwiek nauczyć, jeśli nie będzie stanowczo reagował?

– Twój przyjaciel powinien pozwolić komuś innemu dać klapsa dziecku.

– Ale nie może przecież dopuścić do tego, aby ktoś obcy bił jego syna – powiedziałem zdziwiony jego sugestią.

Don Juan wydawał się ucieszony moją reakcją i zachichotał.

– Twój przyjaciel nie jest wojownikiem – odparł. – Gdyby nim był, wiedziałby, że najgorszą rzeczą, jaką można zrobić, jest otwarta konfrontacja z ludźmi.

– Co robi wojownik, don Juanie?

– Wojownik postępuje strategicznie.

– Wciąż nie rozumiem, co masz na myśli.

– Gdyby twój przyjaciel był wojownikiem, pomógłby swojemu dziecku zatrzymać świat.

– Jak ma to zrobić?

– Potrzebowałby do tego osobistej mocy. Musiałby być czarownikiem.

– Ale nim nie jest.

– Wobec tego musi stosować zwyczajne środki, aby pomóc swojemu synowi zmienić jego wizję świata. Nie jest to zatrzymanie świata, ale działa tak samo.

Poprosiłem go, aby mi to wyjaśnił.

– Gdybym był twoim przyjacielem – powiedział don Juan – zacząłbym od wynajęcia kogoś, kto przyłożyłby temu małemu. Wśród mętów poszukałbym najgorzej wyglądającego opryszka.

– Żeby przestraszyć chłopaka?

– Nie tylko po to, żeby go przestraszyć, głupcze. Ten mały musi zostać zatrzymany, ale nie spowoduje tego lanie otrzymane od ojca. Jeśli chce się zatrzymać znajomych, trzeba zawsze pozostawać poza kręgiem, który wywiera na nich nacisk. W ten sposób naprawdę można na nich wpłynąć.

Pomysł był absurdalny, ale coś w nim do mnie przemówiło.

Don Juan oparł brodę na lewej dłoni, a łokieć na drewnianej skrzyni, służącej za niski stół. Powieki miał opuszczone, ale poruszał gałkami ocznymi. Wydawało roi się, że mnie obserwuje. Ta myśl mnie przeraziła.

– Proszę, powiedz mi coś więcej. Co mój przyjaciel ma zrobić ze swoim chłopakiem? – dopytywałem się.

– Niech pójdzie do slumsów i znajdzie okropnie wyglądającego włóczęgę – zaczął – ale niech wybierze młodego, takiego, który ma jeszcze trochę siły.

Następnie don Juan przedstawił dziwną strategię. Miałem poinstruować przyjaciela, aby wynajęty człowiek poszedł za nim albo czekał na niego w miejscu, w którym będzie razem ze swoim synem. Na umówiony znak, dany w momencie, gdy chłopak zachowa się niewłaściwie, powinien wyskoczyć z ukrycia, schwytać go i stłuc na kwaśne jabłko.

– Po tym jak włóczęga przestraszy chłopca, twój przyjaciel musi, w jaki tylko zechce sposób, spróbować odzyskać zaufanie syna. Jeśli zastosuje tę procedurę trzy czy cztery razy, zapewniam cię, że dziecko będzie zupełnie inaczej wszystko odbierać. Zmieni swoją wizję świata.

– A co, jeśli za bardzo się przestraszy?

– Strach nigdy nikomu nie zaszkodził. Najgorsze dla ducha jest to, gdy masz kogoś, kto ci siedzi na karku, kto zawsze cię bije i mówi, co masz robić. Kiedy chłopiec będzie już bardziej panował nad sobą, niech twój przyjaciel zrobi jeszcze jedną, ostatnią rzecz. Musi znaleźć jakiś sposób, aby zaprowadzić syna do martwego dziecka, może w szpitalu albo w gabinecie jakiegoś doktora. Niech chłopak lewą ręką raz dotknie zwłok w dowolnym miejscu, oprócz brzucha. Kiedy to zrobi, stanie się kimś nowym. Świat nie będzie już dla niego taki sam.

Uświadomiłem sobie, że w ciągu kilku lat naszej znajomości don Juan stosował wobec mnie tę samą taktykę, którą sugerował dla mojego przyjaciela i jego syna. Zapytałem go o to. Odpowiedział, że cały czas usiłował nauczyć mnie, jak zatrzymać świat.

– Jeszcze tego nie zrobiłeś – powiedział, uśmiechając się. – Wydaje mi się, że nic nie działa, bo jesteś bardzo uparty. Gdybyś był mniej uparty, do tej pory prawdopodobnie już zatrzymałbyś świat, używając jednej z technik, których cię nauczyłem.

– Jakich technik, don Juanie?

– Wszystko, co kazałem ci robić, było techniką zatrzymania świata.

Kilka miesięcy po tej rozmowie don Juan doprowadził do końca to, co rozpoczął, aby nauczyć mnie zatrzymania świata.

To wyjątkowe wydarzenie mojego życia zmusiło mnie do ponownego, szczegółowego przeanalizowania mojej dziesięcioletniej pracy. Stało się dla mnie jasne, że moje pierwotne przypuszczenie dotyczące roli roślin psychotropowych było błędne. Nie stanowiły one zasadniczej części obrazu świata czarownika, ale służyły jakby do scementowania elementów tego obrazu, którego w inny sposób nie byłbym w stanie dostrzec. Moje pełne uporu przywiązanie do własnej, standardowej wersji rzeczywistości uczyniło ze mnie niemalże głuchego i ślepego na nauki don Juana. Tak więc, to jedynie mój brak wrażliwości zmusił go do użycia roślin.

Przeglądając wszystkie swoje notatki, uświadomiłem sobie, że już na samym początku naszej znajomości don Juan, poprzez to, co nazywał technikami zatrzymania świata, dał mi możliwość ujrzenia nowej rzeczywistości. W swoich wcześniejszych pracach opuściłem te fragmenty notatek, ponieważ nie dotyczyły one użycia roślin psychotropowych. Teraz, w pełni uznając ich wartość, przedstawiam je w całości. Stanowią one pierwsze siedemnaście rozdziałów tej pracy. Ostatnie trzy to notatki dotyczące wydarzeń wieńczących moje usiłowania zatrzymania świata.

W czasie nauki u don Juana została mi ukazana rzeczywistość, której dotąd nie znałem, innymi słowy opis świata dany przez czarowników. Don Juan, jako czarownik i nauczyciel, uczył mnie tego opisu.

Dziesięcioletnia nauka polegała na poznawaniu tej nowej rzeczywistości poprzez rozwijanie jej opisu oraz wtaczanie do niego, w miarę upływu czasu, coraz bardziej skomplikowanych elementów. Zakończenie nauki oznaczało, że przyjąłem ten opis świata i dzięki temu stałem się zdolny do postrzegania światła w nowy sposób, odpowiadający owemu opisowi. Innymi słowy, uzyskałem członkostwo.

Don Juan uważał, że aby osiągnąć widzenie, trzeba najpierw zatrzymać świat. Zatrzymanie świata było naprawdę adekwatnym określeniem pewnych stanów świadomości, w których rzeczywistość zostaje przemieniona. Następuje to dzięki temu, że strumień interpretacji, zwykle płynący nieprzerwanie, zostaje zatrzymany przez takie okoliczności, które są obce temu strumieniowi. W moim przypadku był to opis świata czarownika. Według don Juana, warunkiem wstępnym dla zatrzymania świata jest całkowite przekonanie. Innymi słowy, trzeba bezbłędnie nauczyć się nowego opisu, aby przeciwstawić go staremu i w ten sposób złamać dogmatyczną pewność. Wszyscy ją mamy, uważając, że wiarygodność naszej percepcji rzeczywistości nie podlega zakwestionowaniu.

Po zatrzymaniu świata następnym krokiem jest widzenie. To pojęcie z systemu don Juana mógłbym zdefiniować jako reagowanie na zaproszenie świata znajdującego się poza opisem, który nauczyliśmy się nazywać rzeczywistością.

Twierdzę, że wszystkie te kroki można zrozumieć jedynie w kategoriach opisu, do którego należą. Don Juan starał mi się go przekazać od samego początku, zatem jego nauki stanowią najlepsze i jedyne wprowadzenie do niego. Niech więc słowa don Juana mówią same za siebie.

C. C.
1972

1. Potwierdzenie od otaczającego nas świata

– Wiem, że ma pan dużą wiedzę na temat roślin – powiedziałem do starego Indianina stojącego przede mną. Mój przyjaciel właśnie skontaktował nas ze sobą i wyszedł, my zaś przedstawiliśmy się sobie. Stary człowiek powiedział mi, że nazywa się Juan Matus.

– Czy dowiedziałeś się o tym od swojego przyjaciela? – zapytał obojętnie.

– Tak.

– Zbieram rośliny, a właściwie to one pozwalają mi, abym je zbierał – powiedział łagodnie.

Znajdowaliśmy się na dworcu autobusowym w Arizonie. Zapytałem go po hiszpańsku, używając bardzo formalnego zwrotu, czy zgodzi się, abym zadawał mu pytania. Powiedziałem:

– Czy pan [caballero] pozwoli mi zadać kilka pytań?

Caballero, słowo pochodzące od caballo, czyli “koń", pierwotnie oznaczało jeźdźca lub szlachcica na koniu. Indianin popatrzył na mnie z ciekawością.

– Jestem jeźdźcem bez konia – stwierdził, uśmiechając się szeroko. – Już powiedziałem ci, że nazywam się Juan Matus.

Spodobał mi się jego uśmiech. Pomyślałem sobie, że jest człowiekiem ceniącym szczerość, i zdobyłem się na odwagę, aby przedstawić mu swoją prośbę. Powiedziałem, że jestem zainteresowany zbieraniem i poznawałem leczniczych roślin, a szczególnie halucynogennym kaktusem, pejotlem, o którym uczyłem się na uniwersytecie w Los Angeles.

Uznałem, że moje słowa wypadły całkiem poważnie i że wyglądam na osobę godną zaufania.

Stary człowiek powoli pokiwał głową, a ja zachęcony jego milczeniem dodałem jeszcze, iż niewątpliwie rozmowa o pejotlu przyniesie nam obu korzyści.

W tym momencie podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Jego spojrzenie było pełne mocy, chociaż wcale nie groźne. Przeniknęło mnie na wskroś. Od razu język stanął mi kołkiem i nie mogłem już kontynuować swojej przemowy. To był koniec naszego spotkania. Nie straciłem jednak nadziei. Indianin zaproponował, żebym go kiedyś odwiedził w jego domu.

Trudno byłoby mi ocenić niezwykły wpływ, jaki wywarło na mnie spojrzenie don Juana, gdybym nie miał sporego bagażu doświadczeń. Kiedy zacząłem studiować antropologię i spotkałem don Juana, byłem już ekspertem w stawianiu na swoim. Kilka lat temu opuściłem dom, a to według mnie oznaczało, że potrafię zadbać o siebie. Zawsze kiedy odprawiano mnie z kwitkiem, zazwyczaj dopinałem swego, przypochlebiając się lub ustępując, kłócąc się albo wściekając, a jeśli już nic nie odnosiło skutku, pozostawało mi jeszcze użalanie się albo narzekanie. Innymi słowy, w konkretnej sytuacji zawsze mogłem coś zrobić i nigdy w moim życiu żadna ludzka istota tak szybko i skutecznie nie pohamowała moich zapędów, jak don Juan tamtego popołudnia. Nie była to tylko kwestia zamknięcia mi ust. Niejednokrotnie nie potrafiłem powiedzieć ani słowa swojemu oponentowi z powodu głębokiego szacunku, jaki dla niego żywiłem, ale wtedy także odczuwałem gniew i frustrację, tylko ich nie wyrażałem. Natomiast spojrzenie don Juana sparaliżowało mnie do tego stopnia, że nie byłem w stanie nawet nic pomyśleć. Tak zaintrygowało mnie to zdumiewające spojrzenie, że postanowiłem odszukać don Juana.

Przez sześć miesięcy przygotowywałem się, czytając o pejotlu, a szczególnie o jego kulcie u amerykańskich Indian z równin. Zapoznałem się ze wszystkimi dostępnymi pracami i kiedy poczułem, że jestem gotowy, znowu pojechałem do Arizony.

Sobota, 17 grudnia 1960

Po długim i wyczerpującym wypytywaniu miejscowych Indian odnalazłem jego dom. Było wczesne popołudnie; siedział na drewnianej skrzynce do przewożenia mleka. Wyglądało na to, że mnie poznał, bo pozdrowił mnie, kiedy wysiadłem z samochodu.

Po krótkiej wymianie konwencjonalnych uprzejmości w prostych słowach przyznałem się, że kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, byłem w stosunku do niego nieszczery, chwaliłem się, że dużo wiem o pejotlu, podczas gdy naprawdę nie miałem o nim zielonego pojęcia. Wtedy spojrzał na mnie, jego oczy były bardzo łagodne.

Powiedziałem, że czytałem przez sześć miesięcy, aby przygotować się na nasze spotkanie i teraz rzeczywiście wiem już dużo więcej.

Odpowiedział mi śmiechem. Widać w moim stwierdzeniu było coś, co go rozbawiło. Śmiał się ze mnie, a ja czułem się nieswojo i byłem trochę urażony. Chyba zauważył moje zmieszanie, gdyż zaczai mnie zapewniać, że chociaż miałem dobre intencje, to w rzeczywistości w żaden sposób nie byłem w stanie przygotować się na to spotkanie.

Chciałem go zapytać, czyjego słowa zawierają jakieś ukryte znaczenie, ale nie zrobiłem tego. Jednak wydawało mi się, że wyczuł mój zamiar, ponieważ zaczął wyjaśniać, co miał na myśli. Stwierdził, że moje wysiłki Przypominają mu historyjkę o pewnym królu, który kiedyś prześladował i zabijał ludzi. Prześladowani i prześladowcy nie różnili się niczym od siebie, poza tym że ci pierwsi wymagali, aby wymawiać pewne słowa w im tylko właściwy sposób. Ta cecha oczywiście mimowolnie ich zdradzała. Król zarządził wystawienie posterunków przy drogach, aby urzędnicy mogli nakazywać przechodzącym ludziom wymawianie pewnego słowa-klucza. Ci, którzy potrafili wypowiedzieć je tak samo jak król, byli wolni, natomiast pozostałych natychmiast skazywano na śmierć. Bohater tej historyjki, młody człowiek, pewnego dnia postanowił przygotować się na przejście przez posterunek i nauczył się wymawiać słowo-hasło.

Z szerokim uśmiechem don Juan powiedział, że opanowanie jego wymowy zajęło młodzieńcowi sześć miesięcy. I wreszcie nadszedł dzień wielkiej próby. Młody człowiek, pełen wiary w siebie, przyszedł pod posterunek i czekał, aż urzędnik każe mu wymówić to słowo.

W tym momencie don Juan w dramatyczny sposób przerwał swoją opowieść i spojrzał na mnie. Ta pauza była bardzo wystudiowana i wydała mi się nieco staromodna, ale nie wychodziłem z roli. Słyszałem już przedtem podobną historyjkę o Żydach w Niemczech. To, czy ktoś jest Żydem, można było rozpoznać po tym, jak wymawia pewne słowa. Znałem także puentę – młody człowiek został schwytany, ponieważ urzędnik zapomniał słowo-klucz i kazał mu powiedzieć inne, podobne, którego jednak ten nie nauczył się właściwie wymawiać.

Wydawało mi się, że don Juan czeka, aż zapytam, co się stało dalej. Tak też zrobiłem.

– Coś się z nim stało? – starałem się, by pytanie zabrzmiało naiwnie i zdradzało zainteresowanie rozwojem wydarzeń.

– Młody człowiek był naprawdę sprytny – opowiadał. – Kiedy zauważył, że urzędnik zapomniał słowo-klucz, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć, przyznał się, że przygotowywał się na tę próbę przez sześć miesięcy.

Zrobił następną pauzę i popatrzył na mnie z figlarnym błyskiem w oku. Teraz on był górą. Już nie wiedziałem, jak zakończy się ta historia.

– No i co? Co było dalej? – zapytałem autentycznie zainteresowany.

– Młody człowiek został oczywiście natychmiast zabity – odpowiedział i wybuchnął śmiechem.

Bardzo podobał mi się sposób, w jaki przyciągnął moją uwagę, a przede wszystkim to, jak powiązał swoją opowieść z moim przypadkiem. Wydawało się, że w rzeczywistości stworzył ją specjalnie dla mnie. Stroił sobie ze mnie żarty w bardzo subtelny i wyrafinowany sposób. Zacząłem się śmiać razem z nim.

Później powiedziałem mu, że może wypadłem bardzo głupio, ale naprawdę jestem zainteresowany nauczeniem się czegoś o roślinach.

– Lubię dużo chodzić – stwierdził don Juan.

Pomyślałem, że specjalnie zmienia temat rozmowy, aby uniknąć odpowiedzi. Nie chciałem jednak zbyt natarczywie nalegać.

Zapytał mnie, czy nie zechciałbym razem z nim udać się na krótki wypad na pustynię. Z zapałem powiedziałem mu, że uwielbiam chodzić po pustyni.

– To nie będzie piknik – stwierdził ostrzegawczym tonem.

Zapewniłem go, że chciałbym bardzo poważnie pracować razem z nim, ponieważ potrzebuję informacji, każdego rodzaju informacji na temat ziół leczniczych i ich stosowania. Zaproponowałem mu zapłatę za jego czas i wysiłek.

– Będziesz pracował dla mnie – powiedziałem. – A ja będę ci za to płacił.

– Ile masz zamiar mi zapłacić? – zapytał.

Odkryłem nutę chciwości w jego głosie.

– Tyle, ile uznasz za stosowne.

– Zapłać mi za mój czas... swoim czasem.

Pomyślałem, że bardzo dziwny z niego gość. Powiedziałem jednak, że nie rozumiem, co ma na myśli. W odpowiedzi usłyszałem, że nic nie ma do powiedzenia o roślinach i dlatego branie moich pieniędzy jest dla niego nie do pomyślenia.

Spojrzał na mnie przenikliwie.

– Co robisz tam, w kieszeni? – zapytał, marszcząc brwi. – Bawisz się swoim małym?

Chodziło mu o notatki, które robiłem na bloczku papieru, który miałem w wielkich kieszeniach swojej kurtki. Kiedy przyznałem mu się, co robię, zaśmiał się serdecznie. Powiedziałem, że nie chciałem mu przeszkadzać, pisząc mu przed nosem.

– Jeżeli chcesz pisać, pisz – powiedział. – Mnie to nie przeszkadza.

Szliśmy przez pustynię, dopóki nie zrobiło się prawie ciemno. Don Juan nie pokazał mi żadnych roślin, ani w ogóle nic o nich nie mówił. Zatrzymaliśmy się na chwilę przy ogromnych krzakach, aby odpocząć.

– Rośliny są bardzo szczególne – powiedział, nie patrząc na mnie. – Są żywe i odczuwają.

W chwili kiedy to powiedział, silny poryw wiatru poruszył pustynnym chaparralem koło nas. Krzewy wydały grzechoczący odgłos.

– Słyszysz? – zapytał, przykładając prawą rękę do ucha, jakby chciał lepiej słyszeć. – Liście i wiatr zgadzają się ze mną.

Uśmiechnąłem się. Mój przyjaciel, który nas ze sobą skontaktował, powiedział mi, abym miał się na baczności, ponieważ staruszek jest bardzo ekscentryczny. Pomyślałem, że to “zgadzanie się liści" stanowi jeden z przejawów tej ekscentryczności.

Przeszliśmy jeszcze kawałek, ale w dalszym ciągu nie pokazał mi ani nie zerwał żadnej rośliny. Wszedł tylko między krzewy, delikatnie ich dotykając. Później zatrzymał się i usiadł na kamieniu. Powiedział mi, abym odpoczął i rozejrzał się wkoło.

Ja natomiast nalegałem na rozmowę. Jeszcze raz dałem mu do zrozumienia, że bardzo chcę się uczyć o roślinach, a szczególnie o pejotlu. Prosiłem go, aby został moim informatorem, w zamian za pewne korzyści finansowe.

– Nie musisz mi płacić – powiedział. – Możesz mnie pytać o wszystko, o co zechcesz. Powiem ci to, co będę wiedział, a później to, co możesz z tym zrobić.

Zapytał mnie, czy zgadzam się z jego propozycją. Byłem zachwycony. Wtedy dodał:

– Być może nie ma niczego do nauczenia się o roślinach, ponieważ niczego nie da się o nich powiedzieć. Nie zrozumiałem tego, nie wiedziałem, co miał na myśli.

– Co powiedziałeś? – zapytałem.

Powtórzył to tajemnicze stwierdzenie trzy razy i wtedy nad całą okolicą rozległ się grzmot przelatującego odrzutowca Air France.

– Patrz! Świat właśnie zgodził się ze mną – powiedział, przykładając lewą rękę do ucha. Pomyślałem, że jest bardzo zabawny. Jego śmiech był zaraźliwy.

– Czy pochodzisz z Arizony, don Juanie? – zapytałem, usiłując skierować rozmowę na niego.

Spojrzał na mnie i pokiwał głową potakująco. Jego oczy wyglądały na zmęczone. Pod źrenicami widać było białka jego oczu.

– Czy urodziłeś się w tych okolicach?

Znowu skinął głową, nie mówiąc ani słowa. Wyglądało to jak potwierdzenie, ale mogło być również nerwowym odruchem kogoś, kto się zastanawia.

– A ty skąd jesteś? – zapytał mnie.

– Pochodzę z Ameryki Południowej – odpowiedziałem.

– To wielki kawał świata. Pochodzisz z niej całej?

Jego oczy znów mnie prześwidrowały. Zacząłem wyjaśniać okoliczności moich narodzin, ale mi przerwał.

– Jesteśmy podobni do siebie w tym względzie – powiedział. – Mieszkam tutaj, ale naprawdę urodziłem się jako Yaqui w Sonorze.

– Coś takiego! Ja natomiast pochodzę z... Nie pozwolił mi skończyć.

– Wiem, wiem – powiedział. – Jesteś, kim jesteś, skądkolwiek byś pochodził, tak samo jak ja jestem Yaqui z Sonary.

Jego oczy błyszczały, a śmiech stał się niepokojący. Czułem się, jakby złapał mnie na kłamstwie. Czułem się winny. Odniosłem wrażenie, że wie coś, o czym ja nie mam pojęcia albo czego nie chcę mu powiedzieć.

Moje dziwne zakłopotanie wzrastało. Musiał to zauważyć, ponieważ wstał i zapytał mnie, czy chcę pójść coś zjeść w restauracji w mieście.

W drodze powrotnej i później podczas jazdy do miasta rozluźniłem się, ale nie byłem całkiem spokojny. Czułem, że mi coś zagraża, chociaż nie mogłem znaleźć ku temu żadnych powodów.

Chciałem mu postawić piwo w restauracji. Odpowiedział, że nigdy nie pije, nawet piwa. Zaśmiałem się w duchu. Nie wierzyłem mu – mój przyjaciel, który nas ze sobą skontaktował, powiedział mi, że stary przez większość czasu jest nieźle zaprawiony. Jednak nie interesowało mnie, czy don Juan kłamie, czy nie. Lubiłem go. W jego osobowości było coś uspokajającego.

Widać wątpliwości odmalowały się na mojej twarzy, ponieważ zaczął wyjaśniać, że lubił wypić w młodości, ale pewnego dnia po prostu przestał.

– Ludziom trudno jest zrozumieć, że w każdej chwili jesteśmy w stanie ze swego życia wyrzucić wszystko, co tylko zechcemy. Właśnie tak. – Tu, dla zobrazowania swych słów, strzelił palcami.

– Uważasz, że naprawdę tak łatwo przestać palić czy pić? – zapytałem.

– Jasne – powiedział z wielkim przekonaniem. – Palenie i picie to nic. Absolutne nic, jeśli tylko chcemy je porzucić.

W tej właśnie chwili woda gotująca się w ekspresie do kawy zaczęła wydawać pełen animuszu odgłos.

– Słyszysz! – don Juan zawołał z błyskiem w oczach. – Gotująca woda zgadza się ze mną. – Po chwili dodał: – Człowiek może uzyskać potwierdzenie od wszystkiego co jest wokół niego.

W tym rozstrzygającym momencie ekspres do kawy wydał prawdziwie obsceniczny bulgot. Don Juan popatrzył na niego i łagodnie powiedział:

– Dziękuję ci. – Skinął głową i wybuchnął grzmiącym śmiechem.

Byłem zaskoczony. Jego śmiech wydawał się nieco za głośny, ale rzeczywiście rozbawiła mnie ta sytuacja.

Tak zakończyła się pierwsza prawdziwa sesja z moim “informatorem". Don Juan pożegnał się ze mną już w drzwiach restauracji. Ja zaś, że muszę odwiedzić kilku przyjaciół, potem jednak znowu chciałbym się z nim zobaczyć, pod koniec następnego tygodnia.

– Kiedy będziesz w domu? – zapytałem. Przyjrzał mi się badawczo.

– Zawsze, kiedy przyjedziesz – odpowiedział.

– Nie wiem dokładnie, kiedy będę mógł przyjechać.

– Po prostu przyjedź i o nic się nie martw.

– A co, jeśli cię wtedy nie będzie?

– Będę – odpowiedział, śmiejąc się, i odszedł.

Pobiegłem za nim i zapytałem go, czy nie miałby nic Przeciwko temu, żebym wziął ze sobą aparat fotograficzny i sfotografował jego i jego dom.

– Nie ma mowy – odparł, marszcząc brwi.

– A magnetofon? Nie będzie ci przeszkadzał?

– Obawiam się, że on również nie wchodzi w grę.

Byłem zmartwiony i rozdrażniony. Powiedziałem, że nie widzę żadnego logicznego powodu jego odmowy. Don Juan pokręcił przecząco głową.

– Zapomnij o tym – rzekł stanowczo. – A jeśli chcesz mnie jeszcze zobaczyć, nigdy więcej mi o tym nie wspominaj.

Zainscenizowałem żałosną skargę. Powiedziałem, że zdjęcia i nagrania są niezbędne dla mojej pracy. Odparł, że we wszystkim, co robimy, jest tylko jedna niezbędna rzecz. Nazwał ją duchem.

– Nie można nic zrobić bez ducha – powiedział. – A ty go nie masz. Martw się więc o niego, a nie o zdjęcia. – Co przez to...

Przerwał mi ruchem dłoni i postąpił kilka kroków w tył.

– Tylko przyjedź – powiedział łagodnie i pomachał mi na pożegnanie.

2. Wymazanie osobistej historii

Czwartek, 22 grudnia 1960

Don Juan siedział przy drzwiach swego domu, oparty plecami o ścianę. Odwrócił drewnianą skrzynkę do transportu mleka, poprosił mnie, abym na niej usiadł i poczuł się jak u siebie w domu. Poczęstowałem go papierosami. Przywiozłem ze sobą cały karton. Powiedział, że nie pali, ale przyjął prezent. Rozmawialiśmy o chłodnych nocach na pustyni i poruszaliśmy inne typowe tematy grzecznej konwersacji.

Zapytałem go, czy nie przeszkadzam mu w jego codziennych zajęciach. Spojrzał na mnie, zmarszczywszy brwi i powiedział, że nie ma codziennych zajęć i że jeśli tylko chcę, mogę z nim zostać przez całe popołudnie.

Przygotowałem kilka formularzy na temat jego pochodzenia i rodziny, które chciałem, abyśmy wypełnili. Wypisałem również z literatury etnograficznej długą listę cech kulturowych, które charakteryzują ponoć Indian mieszkających na tym obszarze. Chciałem wraz z nim przeanalizować tę listę i sprawdzić, które z obyczajów są mu znane.

Zacząłem od formularzy rodzinnych.

– Jak nazywałeś swojego ojca? – zapytałem.

– Nazywałem go Tata – powiedział z poważną miną.

Poczułem lekkie zaniepokojenie, ale kontynuowałem, Przyjmując, że mnie nie zrozumiał. Pokazałem mu formularz i powiedziałem, że jedna rubryka jest przeznaczona dla ojca, a druga dla matki. Jako przykład podałem mu różne słowa używane w angielskim i hiszpańskim na określenie każdego z rodziców.

Pomyślałem sobie, ze być może powinienem zacząć od matki.

– Jak nazywałeś swoją matkę? – zapytałem.

– Nazywałem ją Mama – odparł naiwnym tonem.

– Chodzi mi o to, jakich innych słów używałeś, nazywając swego ojca i matkę? Jak ich wołałeś? – Starałem się być cierpliwy i uprzejmy.

Don Juan podrapał się po głowie i popatrzył na mnie z głupim wyrazem twarzy.

– Ojej! – powiedział. – Dopadłeś mnie. Niech pomyślę.

Wahał się chwilę, potem wydawało mi się, że coś sobie przypomina, więc przygotowałem się, aby to zapisać.

– A więc – powiedział, jakby dokonał bardzo poważnych myślowych operacji – jak inaczej na nich wołałem? Wołałem: hej, hej, Tato! Hej, hej, Mamo!

Zaśmiałem się wbrew sobie. Wyglądał naprawdę komicznie i w tym momencie nie wiedziałem, czy jest on starym żartownisiem robiącym ze mnie błazna, czy tylko prostaczkiem. Wykorzystując całą swoją cierpliwość, wytłumaczyłem mu, że to bardzo poważne pytania i że dla mnie bardzo ważne jest wypełnienie tych formularzy. Usiłowałem wytłumaczyć mu sens odkrywania jego genealogii, jego osobistej historii.

– Jakie były imiona twojego ojca i matki? – zapytałem.

Spojrzał na mnie jasnymi, dobrymi oczyma.

– Nie trać czasu na te bzdury – powiedział łagodnie, ale z niespodziewaną mocą.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować, wyglądało to tak, jakby ktoś inny wypowiedział te słowa. Jeszcze przed chwilą był on niedołężnym, głupim Indianinem skrobiącym się po głowie, a potem w jednym momencie nasze role odwróciły się. Ja byłem tym głupim, a on wpatrywał się we mnie nie dającym się opisać wzrokiem, w którym nie było jednak ani arogancji, ani wyzwania, ani nienawiści czy pogardy. Jego oczy były dobre, jasne i przenikliwe.

– Nie mam żadnej osobistej historii – powiedział po dłuższej przerwie. – Pewnego dnia odkryłem, że osobista historia nie jest mi już dłużej potrzebna i, podobnie jak picie, porzuciłem ją.

Nie całkiem to rozumiałem. Nagle poczułem się nieswojo, odczytywałem to jako stan zagrożenia. Przypomniałem mu, że bez zastrzeżeń zgodził się, abym zadawał mu pytania.

Don Juan potwierdził, że nie ma nic przeciwko nim.

– Po prostu nie mam już osobistej historii – powiedział i popatrzył na mnie badawczo. – Porzuciłem ją pewnego dnia, kiedy poczułem, że już mi nie jest potrzebna.

Gapiłem się na niego, próbując odkryć znaczenie jego słów.

– W jaki sposób można porzucić własne dzieje? – zapytałem zaczepnie.

– Najpierw trzeba chcieć je odrzucić – powiedział. – A później należy postępować systematycznie, ciągle po trochu je gubić.

– Dlaczego ktoś ma tego pragnąć?! – wykrzyknąłem.

Byłem zdumiewająco silnie przywiązany do swych dziejów i historii mej rodziny. Uczciwie przyznawałem się, że bez tych korzeni moje życie nie miałoby żadnej ciągłości ani celu.

– Może powinieneś mi powiedzieć, co rozumiesz przez porzucenie osobistej historii – poprosiłem.

– Usunięcie jej, tak to właśnie rozumiem – odparł ostro.

Ja upierałem się jednak, że chyba nie zrozumiałem Jego stwierdzenia.

– Weźmy ciebie, na przykład – powiedziałem. – Jesteś Yaqui. Nie możesz tego zmienić.

– Na pewno jestem? – zapytał, śmiejąc się. – Skąd to wiesz?

– Rzeczywiście – powiedziałem – nie mogę tego wiedzieć z całą pewnością, ale ty to wiesz i to się liczy. Dzięki temu tworzy się osobista historia.

Czułem, że zabiłem mu klina.

– Fakt, że to ja wiem, czy jestem Yaqui, czy nie, wcale nie stwarza mej osobistej historii – odpowiedział. – Tylko wtedy, kiedy wie o tym jeszcze ktoś, może ona powstać. A zapewniam cię, że nikt nie może tego stwierdzić z całą pewnością.

Niezdarnie streściłem w notatniku to, co powiedział. Przestałem pisać i spojrzałem na niego. Nie potrafiłem go rozszyfrować. Uświadomiłem sobie, jakie wrażenie na mnie wywiera, przypomniałem sobie tajemnicze i niezwykłe spojrzenie, którym obdarzył mnie podczas naszego pierwszego spotkania, urok, z jakim twierdził, że od świata uzyskuje potwierdzenie swych słów, jego irytujący humor i czujność, udawaną naiwność, kiedy pytałem go o ojca i matkę, a później niespodziewaną moc stwierdzeń, których nie mogłem pojąć.

– Nie wiesz, kim jestem, nieprawdaż? – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – Nigdy nie będziesz wiedział, ani kim, ani czym jestem, ponieważ nie mam osobistej historii.

Zapytał mnie, czy mam ojca. Odpowiedziałem, że tak. Powiedział, że mój ojciec jest przykładem tego, o co mu chodzi. Nalegał, abym uświadomił sobie, co mój ojciec myśli o mnie i co wie.

– On wie wszystko – powiedział. – Ma cię jak na dłoni. Wie, kim jesteś i co robisz, i żadna siła na ziemi nie zmusi go do zmiany opinii o tobie.

Don Juan wytłumaczył mi, że każdy, kto mnie zna, ma jakieś wyobrażenie o mnie, a ja ożywiam to wyobrażenie wszystkim tym, co robię.

– Czy tego nie widzisz? – zapytał dramatycznie. – Musisz odnawiać swoją osobistą historię, opowiadając rodzicom, krewnym i przyjaciołom o wszystkim, co robisz. Natomiast jeśli nie ma się swej

historii, żadne wyjaśnienia nie są potrzebne. Nikt nie jest zły ani rozczarowany twoim zachowaniem, a przede wszystkim czyjeś mniemania o tobie nie mogą cię do niczego zobowiązać.

Nagle zrozumiałem, o co tu chodzi, kiedyś prawie sam do tego doszedłem. Nieposiadanie osobistej historii było koncepcją pociągającą, przynajmniej na poziomie intelektualnym. Jednak wywoływała ona we mnie awersję i poczucie zagrożenia. Chciałem to przedyskutować z don Juanem, ale pohamowałem się, ponieważ wydawało mi się to nie na miejscu. Głupio mi było próbować wciągać w filozoficzną dyskusję starego Indianina, który, rzecz jasna, nie mógł być tak “wyrobiony" jak student uniwersytetu.

W jakiś sposób don Juanowi udało się odciągnąć mnie od mojego pierwotnego zamierzenia, czyli wypytania go o genealogię.

– Nie wiem, jak doszliśmy do tej rozmowy, bo wszystko, czego chciałem od ciebie, to kilka imion do mojego formularza – powiedziałem, próbując z powrotem skierować konwersację na pożądany przeze mnie temat.

– To bardzo proste – odparł. – Doszliśmy do tego, ponieważ powiedziałem ci, że zadawanie pytań dotyczących czyjejś przeszłości jest gówno warte.

Jego ton był stanowczy. Poczułem, że nie ma sposobu, aby go przekonać, i zmieniłem taktykę.

– Czy koncepcja nieposiadania osobistej historii jest czymś, co przynależy do tradycji Yaqui? – zapytałem.

– Jest czymś, co przynależy do mnie.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Nauczyłem się podczas swojego życia.

– Czy twój ojciec nauczył cię tego?

– Nie. Powiedzmy, że nauczyłem się tego sam i teraz mam zamiar przekazać ci tę tajemnicę. – Zniżył głos do dramatycznego szeptu. – Tak więc, dzisiaj nie odejdziesz z pustymi rękami.

Śmiałem się z tej jego teatralności. Musiałem jednak przyznać, że był zdumiewająco sugestywny. Przyszła mi do głowy myśl, że obcuję z samorodnym talentem aktorskim.

– Zapisz to – powiedział opiekuńczo. – Dlaczego by nie? Lepiej się czujesz, kiedy piszesz.

Spojrzałem na niego, mój wzrok musiał zdradzać zakłopotanie. Don Juan klepnął się po udach i zaśmiał się radośnie.

– Najlepiej wymazać całą osobistą historię – powiedział powoli, jakby chciał mi dać czas na moje niezdarne pisanie – ponieważ wtedy uwalniamy się od obciążających myśli innych ludzi.

Nie mogłem uwierzyć, że mówi to naprawdę. W tej chwili zupełnie nie wiedziałem, co o tym sądzić. Z mojej twarzy musiał wyczytać ogarniający mnie niepokój i natychmiast to wykorzystał.

– Weźmy ciebie, na przykład – kontynuował. – Teraz nie wiesz, co się z tobą dzieje. A to dlatego, że wyzbyłem się swej przeszłości. Stopniowo wytworzyłem mgłę wokół siebie i swojego życia. I teraz nikt na pewno nie może wiedzieć, kim jestem i co robię.

– Ale ty sam przecież wiesz, kim jesteś, nieprawdaż? – wtrąciłem.

– No pewnie, że... nie wiem! – wykrzyknął i potoczył się po podłodze, śmiejąc się z mojego zaskoczonego spojrzenia.

Zrobił wystarczająco długą pauzę, abym mógł uwierzyć, że powie “nie", tak jak przypuszczałem. Jego podstęp był przerażający i rzeczywiście zacząłem się bać.

– Mam zamiar przekazać ci dzisiaj mały sekret powiedział cicho. – Nikt nie zna mojej osobistej historii. Nikt nie wie, kim jestem ani co robię. Nawet ja sam.

Zmrużył oczy. Nie patrzył na mnie, ale gdzieś ponad moje prawe ramię. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, miał sztywno wyprostowane plecy, a jednak wydawało się, że jest niezwykle rozluźniony. W tym momencie stanowił wzorowy okaz dzikości. W mojej wyobraźni stał się indiańskim wodzem, czerwonoskórym wojownikiem z romantycznych opowieści pogranicza z czasów mego dzieciństwa. Ogarnęło mnie najbardziej zdradzieckie uczucie ambiwalencji. Szczerze mógłbym powiedzieć, że bardzo go lubię, ale także jednym tchem dodałbym, że śmiertelnie się go boję.

Patrzył w ten dziwny sposób przez dłuższą chwilę.

– Jak mam wiedzieć, kim jestem, kiedy jestem tym wszystkim – powiedział, pokazując ruchem głowy całe otoczenie. Później spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Powoli, po trochu musisz zacząć stwarzać wokół siebie tajemnicę. Musisz wszystko wymazać, aż o niczym nie będziesz już z góry przesądzał, aż nic nie będzie już całkiem pewne. Twój kłopot polega na tym, że jesteś zbyt oczywisty. Twoje wysiłki są za bardzo oczywiste, twoje nastroje są zbyt oczywiste. Nie bądź zbyt pewny tego wszystkiego. Musisz zacząć wymazywać siebie.

– Po co? – zapytałem wojowniczo.

Stało się dla mnie jasne, że pouczał mnie, w jaki sposób mam się zachowywać. W ciągu całego mojego życia, zawsze kiedy ktoś usiłował mi mówić, co mam robić, reagowałem sprzeciwem. Na samą myśl o tym Przyjmowałem postawę obronną.

– Powiedziałeś, że chcesz się uczyć o roślinach – zauważył spokojnie. – Chcesz dostać coś za nic? Zgodziliśmy się, że będziesz mi zadawał pytania, a ja przekażę ci to, co wiem. Jeśli nie podoba ci się mój warunek, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Jego bezpośredniość rozdrażniła mnie, ale z żalem musiałem mu przyznać rację.

– Ujmijmy to więc w ten sposób – kontynuował – jeśli chcesz się uczyć o roślinach, to ponieważ nie można o nich prawie nic powiedzieć, musisz, oprócz zrobienia innych rzeczy, wymazać także swoją osobistą historię.

– Jak? – zapytałem.

– Zacznij od prostych działań, takich jak nieujawnianie tego, co robisz naprawdę. Następnie musisz rozstać się z każdym, kto cię dobrze zna. W ten sposób wytworzysz wokół siebie mgłę.

– Ależ to absurd – zaprotestowałem. – Czemu ludzie nie mieliby mnie znać? Co w tym złego?

– Złe jest w tym to, że kiedy cię znają, wszystko, co ciebie dotyczy, jest już z góry przesądzone i wtedy nie jesteś już w stanie przeciąć więzów ich myśli. Ja wolę absolutną wolność bycia nieznanym. Nikt nie może powiedzieć z niezachwianą pewnością, że mnie zna, tak jak zna ciebie.

– Ale to wtedy jest kłamstwo.

– Nie obchodzi mnie kłamstwo ani prawda – powiedział surowo. – Kłamstwa są kłamstwami tylko wtedy, kiedy masz osobistą historię.

Argumentowałem, że nie chcę rozmyślnie nikogo ogłupiać ani wprowadzać w błąd. Odpowiedział, że tak czy inaczej wszystkich wprowadzam w błąd.

Stary człowiek ugodził w mój słaby punkt. Nie zapytałem go, co przez to rozumie, czy skąd wie, że przez cały czas wszystkich ogłupiam. Na jego stwierdzenie zareagowałem, broniąc się wyjaśnieniami. Powiedziałem, że zdaję sobie sprawę z tego, że moja rodzina i przyjaciele uważają mnie niestety za kogoś, na kim nie można polegać, chociaż naprawdę w całym swoim życiu nie powiedziałem ani jednego kłamstwa.

– Zawsze wiedziałeś, jak kłamać – stwierdził. – Nie zdawałeś sobie tylko sprawy, po co to robisz. Teraz już wiesz.

Zaprotestowałem.

– Czy nie widzisz, że mam po dziurki w nosie tego, że ludzie uważają mnie za niegodnego zaufania? – powiedziałem.

– Bo taki jesteś – odparł z pełnym przekonaniem.

– Do diabła, człowieku, nie jestem! – wykrzyknąłem.

Moje zachowanie, zamiast zmusić go do powagi, wywołało jego histeryczny śmiech. Naprawdę zacząłem pogardzać tym starym człowiekiem, za tę jego zarozumiałość. Niestety, jeśli chodzi o mnie, miał rację.

– Kiedy nie ma się osobistej historii – wyjaśnił – nic, co się mówi, nie może być potraktowane jako kłamstwo. Twój problem polega na tym, że jesteś zmuszony wyjaśniać wszystko i wszystkim, a równocześnie chcesz zachować świeżość w tym, co robisz. Tak więc, ponieważ nie możesz podniecić się opowiadaniem o tym wszystkim, co zrobiłeś, zaczynasz kłamać, aby nie wypaść z kursu.

Byłem zupełnie zdezorientowany przebiegiem tej rozmowy. Spisałem, najlepiej jak tylko umiałem, wszystkie jej szczegóły, bardziej koncentrując się na tym, co mówił don Juan, niż na roztrząsaniu moich przekonań lub znaczenia tego, co powiedział.

– Od tej chwili – stwierdził – możesz pokazywać ludziom wszystko, co chcesz im pokazać, jednak nie wolno ci nic mówić o tym, jak to zrobiłeś.

– Nie potrafię utrzymywać tajemnic! – wykrzyknąłem. – To, co mówisz, jest dla mnie bezużyteczne.

– To się zmień! – powiedział ostro, z groźnym błyskiem w oku.

Wyglądał jak dziwne, dzikie zwierzę. A jednak jego myśli były wyjątkowo spójne i tak bezpośrednio potrafił je wyrażać. Mój niepokój ustąpił miejsca irytującemu zamętowi.

– Widzisz – kontynuował – mamy tylko dwie możliwości. Albo wszystko przyjmujemy za pewne i rzeczywiste albo nie. Jeśli wybieramy to pierwsze, kończymy znudzeni na śmierć sobą i światem. W drugim wypadu, gdy wymazujemy osobistą historię, stwarzamy wokół siebie mgłę. To bardzo podniecający i tajemniczy stan, w którym nikt nie wie, skąd wyskoczy królik, nawet my sami.

Upierałem się przy tym, ze odrzucenie osobistej historii może tylko zwiększyć poczucie braku bezpieczeństwa.

– Kiedy nic nie jest pewne, musimy być czujni, zawsze gotowi – powiedział. – Bardziej podnieca nas to, ze nie wiemy, za którym krzakiem ukrywa się królik, niż przekonanie, że wszystko wiemy.

Nie powiedział ani jednego słowa przez bardzo długi czas. Być może w tej kompletnej ciszy minęła nawet godzina. Nie wiedziałem, o co mam pytać. W końcu don Juan wstał i poprosił mnie, abym go zawiózł do pobliskiego miasta.

Nie wiedziałem dlaczego, ale nasza konwersacja wyczerpała mnie. Czułem się, jakbym miał zaraz zasnąć. Don Juan kazał mi zatrzymać się na poboczu i powiedział, że jeśli chcę się odprężyć, muszę się wspiąć na płaski szczyt najbliższego wzgórza i położyć się na brzuchu, z głową skierowaną na wschód.

Prawie nalegał, abym to zrobił. Nie chciałem już więcej dyskutować, może byłem zbyt zmęczony, aby mówić. Wspiąłem się na wzgórze i zrobiłem tak, jak powiedział.

Spałem tylko przez dwie czy trzy minuty, ale wystarczająco długo, aby odzyskać równowagę i siły.

Pojechaliśmy do centrum miasta, gdzie don Juan poprosił mnie, abym go zostawił.

– Przyjedź jeszcze – powiedział, wychodząc z samochodu. – Koniecznie przyjedź.

3. Odrzucenie poczucia własnej ważności

Miałem okazję przedyskutować swoje dwie wizyty u don Juana z przyjacielem, który nas ze sobą poznał. Według niego, marnowałem tylko czas. Szczegółowo opowiedziałem mu o całej naszej rozmowie. Uznał, że przesadzam i mam za bardzo romantyczny stosunek do tego “głupiego, starego piernika".

Nie miałem zbyt wiele sympatii dla tego dziwnego, starego człowieka. Byłem szczerze przekonany, że jego krytyczne uwagi pod moim adresem poważnie podkopały moją życzliwość dla niego. Jednak muszę dodać, że zawsze miał trafne spostrzeżenia i był autentyczny.

Z jednej strony nie chciałem zaakceptować tego, że don Juan potrafił zniszczyć wszystkie moje przekonania dotyczące świata, a z drugiej – odczuwałem niechęć do przyznania racji mojemu przyjacielowi, który uważał, że stary Indianin był po prostu świrem.

Czułem się zmuszony jeszcze raz go odwiedzić, zanim podejmę jakąś decyzję.

Środa, 28 grudnia 1960

Zaraz gdy tylko przyjechałem, don Juan zabrał mnie na przechadzkę po pustynnym chaparralu. Nie spojrzał nawet na torbę zakupów, które mu przywiozłem. Wydało mi się, że czekał na mnie.

Chodziliśmy całymi godzinami. Nie zerwał ani nie pokazał mi żadnej rośliny. Jednak nauczył mnie właściwego sposobu chodzenia. Powiedział, że gdy idę, muszę mieć lekko zgięte palce dłoni, co pozwoli mi utrzymać uwagę na ścieżce i jej otoczeniu. Twierdził, że mój zwykły sposób chodzenia osłabia organizm i że nigdy nie powinno się niczego nosić w rękach. Jeśli trzeba coś przenieść, należy używać plecaka lub torby na plecy. Chodzi o to, że kiedy utrzymuje się ręce w odpowiedniej pozycji, można dzięki temu zwiększyć swoją wytrzymałość i pogłębić świadomość.

Nie znalazłem żadnego powodu do dyskusji, więc zagiąłem palce tak, jak opisał i szedłem. Moja świadomość w żaden sposób się nie zmieniła, tak samo było z wytrzymałością.

Zaczęliśmy przechadzkę rankiem i zatrzymaliśmy się na odpoczynek około południa. Spociłem się i chciałem się napić ze swojej manierki, lecz don Juan powstrzymał mnie, mówiąc, że lepiej wypić tylko mały łyk. Ściął kilka liści z niepozornego, żółtawego krzaczka i zaczął je żuć. Dał mi trochę, twierdząc, że są wspaniałe i jeśli będę je żuł powoli, pragnienie zniknie. Nie zniknęło jednak, choć nie czułem też, by mi bardzo dokuczało.

Wydawało się, że czyta w moich myślach, bo zaczął tłumaczyć, że nie odczułem korzyści płynących z właściwego sposobu chodzenia ani z żucia liści, ponieważ jestem młody i silny, a moje ciało niczego nie zauważa, gdyż jest głupawe.

Zaśmiał się. Nie byłem w nastroju do śmiechu i zdaje się, że to rozbawiło go jeszcze bardziej. Uściślił poprzednie stwierdzenie, mówiąc, że moje ciało nie jest naprawdę głupie, ale trochę uśpione.

W tym momencie przeleciała nad nami, kracząc, ogromna wrona. Zaskoczyło i przestraszyło mnie to i zacząłem się śmiać. Wydawało mi się, że to dobra okazja do śmiechu, ale ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, don Juan mocno potrząsnął moim ramieniem i uciszył mnie. Miał niezwykle poważny wyraz twarzy.

– To nie był żart – powiedział surowo, jakbym wiedział, o czym mówi.

Poprosiłem go o wyjaśnienie. Powiedziałem, że to absurdalne, że rozzłościł go mój śmiech na widok wrony, chociaż sam śmiał się z ekspresu do kawy.

– To, co widziałeś, to nie była tylko wrona! – wykrzyknął.

– Ale ja przecież widziałem, i to była wrona – nalegałem.

– Nic nie widziałeś, głupcze – warknął.

Jego gburowatość była nie na miejscu. Powiedziałem, że nie lubię złościć ludzi i że lepiej będzie, jeśli sobie pójdę, bo on chyba nie ma nastroju do przebywania w czyimś towarzystwie.

Zaśmiał się hałaśliwie, jakbym był klaunem grającym dla niego przedstawienie. W odpowiedzi na to wzrósł mój niepokój i zakłopotanie.

– Za bardzo się wściekasz – skomentował niedbale. – Podchodzisz do siebie zbyt poważnie.

– A czy ty nie robisz tego samego? – wtrąciłem. – Nie traktujesz siebie poważnie, kiedy się na mnie złościsz?

Odpowiedział, że złoszczenie się na mnie byłoby ostatnią rzeczą, jaką mógłby zrobić. Popatrzył na mnie przenikliwie.

– To, co widziałeś, nie było potwierdzeniem od świata – powiedział. – Latające albo kraczące wrony nigdy nie są potwierdzeniem. To był omen!

– Omen? Jaki?

– Bardzo ważna, dotycząca ciebie wskazówka – odparł tajemniczo.

W tym momencie wiatr przywiał do naszych stóp suchą gałąź.

– A to jest potwierdzenie! – wykrzyknął.

Spojrzał na mnie jaśniejącymi oczyma i wybuchnął donośnym śmiechem. Miałem poczucie, że dalej droczy się ze mną, ustalając reguły swojej dziwnej gry i dlatego jemu było do śmiechu, a mnie nie. Znowu wzrósł mój niepokój i powiedziałem mu wszystko, co o nim myślę. Do Juan nie był wcale rozgniewany ani obrażony. Zaśmiał się i to wywołało jeszcze większe moje męczarnie i frustrację. Pomyślałem sobie, że rozmyślnie mnie poniża. Stwierdziłem wówczas, że mam już powyżej uszu tej pracy w terenie. Wstałem i powiedziałem, że chcę wrócić do jego domu, ponieważ muszę jechać do Los Angeles.

– Siadaj! – powiedział rozkazująco. – Masz humory jak stara baba. Nie możesz teraz odejść, ponieważ jeszcze nie skończyliśmy.

Odczułem wielką niechęć do niego. Pomyślałem, że jest z niego wyjątkowo nadęty typek.

Don Juan zaczął śpiewać idiotyczną meksykańską piosenkę. Wyraźnie naśladował pewnego popularnego piosenkarza. Przedłużając niektóre sylaby i skracając inne, zrobił parodię tego utworu. Była tak zabawna, że zacząłem się śmiać.

– Widzisz, śmiejesz się z głupiej piosenki – powiedział. – Ale człowiek, który śpiewa w ten sposób i ci, co go słuchają, wcale się nie śmieją. Traktują to poważnie.

– Co przez to rozumiesz? – zapytałem.

Pomyślałem, że specjalnie podał ten przykład, aby powiedzieć mi, że śmiałem się z wrony, ponieważ nie potraktowałem jej poważnie, tak samo jak piosenki. Ale on znowu wywiódł mnie w pole. Odparł, że byłem jak ten piosenkarz i ludzie lubiący jego zarozumiałe piosenki i ze śmiertelną powagą zajmujący się jakimiś bzdurami, które człowieka o zdrowych zmysłach gówno obchodzą. Później powtórzył, jakby dla odświeżenia mojej pamięci, wszystko to, co wcześniej powiedział na temat nauki o roślinach. Wyraźnie podkreślił, że jeśli naprawdę chcę się o nich uczyć, muszę w dużym stopniu zmienić swoje zachowanie.

Moje zaniepokojenie wciąż wzrastało, tak że musiałem się zdobyć na wielki wysiłek, aby dalej robić notatki.

– Traktujesz siebie zbyt poważnie – powiedział powoli – – Wydajesz się sobie tak cholernie ważny. Musisz to zmienić! Jesteś tak diabelnie ważny, że czujesz, iż możesz sobie pozwolić, denerwować się na wszystko. Jesteś tak diabelnie ważny, że stać cię na to, aby wszystko zostawić, kiedy coś nie jest po twojej myśli. Uważasz, że przez to okazujesz swój charakter. Cóż za nonsens! Jesteś słaby i zarozumiały!

Próbowałem protestować, ale on był nieustępliwy. Zwrócił mi uwagę na to, że w ciągu swojego życia nigdy niczego nie skończyłem z powodu nadmiernego poczucia ważności, jaką sobie przypisywałem.

Zadziwiła mnie pewność jego stwierdzeń. Były one oczywiście prawdziwe i to nie tylko mnie rozzłościło, ale i przeraziło.

– Przekonanie o własnej ważności jest kolejną rzeczą, którą oprócz osobistej historii, musi się porzucić powiedział dramatycznym tonem.

Zdecydowanie nie miałem ochoty na dyskusję. Było oczywiste, że znalazłem się w bardzo niekorzystnej sytuacji. Don Juan nie zamierzał wrócić do domu, dopóki nie załatwi wszystkiego, a ja, nie znając drogi, musiałem zostać z nim.

Stary Indianin wykonał dziwny i gwałtowny ruch, coś podobnego do wąchania powietrza, przy czym lekko i rytmicznie potrząsał głową. Wydawał się niezwykle czujny. Odwrócił się do mnie i spojrzał z zakłopotaniem i zaciekawieniem. Omiótł mnie wzrokiem z góry na dół, jakby szukając czegoś szczególnego. Potem nagle wstał i zaczął szybko iść. Prawie biegł. Poszedłem za nim. Utrzymywał bardzo szybkie tempo przez prawie godzinę. W końcu zatrzymał się przy skalistym wzgórzu i usiedliśmy w cieniu krzewu. Marsz wyczerpał mnie całkowicie, ale poprawił mi nastrój. W jakiś dziwny sposób zmieniłem się. Teraz poczułem się prawie szczęśliwy, a przedtem, kiedy po kłótni zaczęliśmy biec, byłem na niego wściekły.

– To bardzo dziwne – odezwałem się – ale teraz czuję się naprawdę dobrze.

W oddali słychać było krakanie wrony. Don Juan podniósł dłoń do prawego ucha i uśmiechnął się.

– To był omen – powiedział.

Kamień odpadł od skały i głośno uderzył o ziemię. Don Juan zaśmiał się i wskazał palcem w kierunku, skąd dobiegł dźwięk.

– A to było potwierdzenie – dodał.

Wtedy zapytał mnie, czy jestem gotów porozmawiać o poczuciu własnej ważności. Zaśmiałem się. Nie byłem teraz nawet w stanie pojąć, jak mogłem się na niego tak rozzłościć.

– Nie rozumiem, co się ze mną dzieje – powiedziałem. – Przedtem byłem wściekły, a teraz nie jestem, i nawet nie wiem dlaczego.

– Świat wokół nas jest bardzo dziwny – stwierdził. – Niełatwo ujawnia swoje tajemnice.

Lubiłem jego tajemnicze stwierdzenia. Były one wyzywające i nie byłem w stanie się przekonać, czy posiadają ukryte znaczenie, czy też są tylko zwykłym nonsensem.

– Jeśli kiedykolwiek przyjdziesz na tę pustynię – powiedział – omijaj z daleka skaliste wzgórze, przy którym zatrzymaliśmy się dzisiaj. Unikaj go jak zarazy.

– Dlaczego? O co tu chodzi?

– Teraz nie czas, aby to wyjaśniać – powiedział. – Teraz zajmujemy się utratą poczucia własnej ważności. Jak długo będziesz uważał, że jesteś najważniejszy na świecie, tak długo nie będziesz w stanie naprawdę docenić świata wokół siebie. Jesteś jak koń z klapkami na oczach, widzisz tylko siebie, oddzielonego od reszty. – badawczo przypatrywał mi się przez chwilę. – Mam zamiar pogadać z moim małym przyjacielem, tym tutaj – dodał, wskazując niepozorną roślinkę.

Uklęknął przed nią i zaczął ją głaskać i przemawiać do niej. Na początku nie rozumiałem, co mówi, ale później przeszedł na hiszpański. Przez chwilę mamrotał jakieś nonsensy, po czym podniósł się.

– Nieważne, co mówisz do rośliny – powiedział. – Możesz nawet sam wymyślać słowa, ważne jest jedynie uczucie sympatii i traktowanie jej jak równej sobie.

Wyjaśnił mi, że człowiek, który zbiera rośliny, za każdym razem musi przeprosić je za to, że je zrywa i przekonać o tym, że pewnego dnia jego własne ciało będzie im służyć za pożywienie.

– Tak więc, wziąwszy wszystko razem, rośliny i my jesteśmy sobie równi – stwierdził. – Ani my, ani one nie są więcej lub mniej ważne. Chodź, przemów do małej roślinki – nalegał. – Powiedz jej, że już więcej nie będziesz się czuł taki ważny.

Posunąłem się do tego, że klęknąłem przed nią, ale nie mogłem zmusić się, aby do niej przemówić. Czułem się śmieszny i zachichotałem. Nie byłem jednak zły.

Don Juan klepnął mnie po plecach i powiedział, że wszystko jest w porządku, ponieważ przynajmniej bytem w stanie zapanować nad swoim gniewem.

– Od teraz zacznij przemawiać do roślin – powiedział. – Przemawiaj dopóki nie stracisz poczucia swojej ważności. Rób to tak długo, aż będziesz w stanie dokonać ego na oczach innych. Idź teraz na tamte wzgórza i wypraktykuj to sam.

Zapytałem go, czy mogę mówić do roślin po cichu, w myśli.

Zaśmiał się i poklepał mnie po głowie.

– Nie! – odparł. – Musisz do nich przemawiać głośno i wyraźnie, jeśli chcesz, aby ci odpowiedziały. Poszedłem tam, dokąd mi kazał, śmiejąc się do siebie z jego ekscentryczności. Nawet spróbowałem przemawiać do roślin, ale uczucie niedorzeczności tego działania przytłoczyło mnie.

Kiedy odczekałem już, jak mi się wydawało, odpowiednio długo, wróciłem do don Juana. Byłem przekonany, że on wie, że nie mówiłem do roślin.

Nie spojrzał na mnie. Pokazał mi, abym usiadł obok niego.

– Obserwuj mnie dokładnie – powiedział. – Będę rozmawiał z moim małym przyjacielem.

Uklęknął przed roślinką i przez kilka minut, wyginając się i gestykulując, mówił i śmiał się. Pomyślałem sobie, że oszalał.

– Ta mała roślinka powiedziała mi, abym przekazał ci, że nadaje się do jedzenia – zwrócił się do mnie, a potem wstał z klęczek. – Powiedziała mi, że ich wiązka może utrzymać człowieka w dobrym zdrowiu, a także że w pobliżu rośnie ich więcej. – Don Juan wskazał na miejsce na zboczu oddalone od nas o około dwieście metrów. – Chodźmy sprawdzić.

Śmiałem się z jego komediantctwa. Byłem pewny, że znajdziemy rośliny, ponieważ był ekspertem w tej dziedzinie i wiedział, gdzie na tym terenie rosną jadalne i lecznicze zioła.

Kiedy szliśmy w kierunku tego miejsca, powiedział mi od niechcenia, że powinienem przyjrzeć się tej roślinie, ponieważ jest ona zarówno pożywieniem, jak i lekarstwem.

Zapytałem go półżartem, czy to też powiedziała mu roślina. Zatrzymał się i przyglądał mi się z niedowierzaniem. Pokręcił głową.

– Oj! – wykrzyknął, śmiejąc się. – Twoja bystrość czyni cię głupszym, niż myślałem! Jakże ta mała roślinka może powiedzieć mi to, co wiedziałem przez całe życie?

Następnie zaczął mi wyjaśniać, że zna różne właściwości tej specyficznej rośliny i że roślinka powiedziała mu tylko, iż rośnie ich trochę w miejscu, które wskazał, j że nie ma nic przeciwko temu, żeby mi o tym powiedział.

Kiedy dotarliśmy do wzgórza, zauważyłem duży plac porośnięty tymi roślinami. Miałem zamiar się pośmiać, ale don Juan nie dał mi na to czasu. Chciał, abym podziękował roślinom. Czułem się aż do bólu zażenowany i nie byłem w stanie zmusić się do tego.

Uśmiechnął się dobrotliwie i wypowiedział jedno ze swoich tajemniczych stwierdzeń. Powtórzył je trzy lub cztery razy, jakby chciał mi dać wystarczająco dużo czasu na jego zrozumienie.

– Świat wokół nas jest tajemnicą. A człowiek nie jest lepszy od czegokolwiek innego. Jeśli mała roślina jest dla nas hojna, powinniśmy jej podziękować, w przeciwnym wypadku może nas nie wypuścić.

Sposób, w jaki popatrzył na mnie, kiedy to mówił, przestraszył mnie. Szybko pochyliłem się nad roślinami i głośno powiedziałem:

– Dziękuję wam.

Don Juan zaczął się śmiać łagodnie.

Szliśmy jeszcze przez godzinę, a później zwróciliśmy w stronę domu.

W pewnym momencie zostałem z tyłu i don Juan musiał zaczekać na mnie. Sprawdził, czy mam zagięte palce – Nie miałem. Rozkazującym tonem powiedział mi, że kiedykolwiek będę z nim szedł, muszę obserwować, co robi i naśladować go albo mogę w ogóle nie przychodzić.

– Nie mogę czekać na ciebie jak na dziecko – powiedział karcąco.

To stwierdzenie wprawiło mnie w zakłopotanie. Jak to możliwe, aby taki stary człowiek potrafił chodzić lepiej niż ja? Jestem atletycznie zbudowany i wydawało mi się, że jestem silny, a jednak to on musiał czekać na mnie, aż go dogonię.

Zgiąłem palce i co najdziwniejsze, bez żadnego wysiłku udało mi się utrzymać jego szybkie tempo. Faktycznie, od czasu do czasu czułem, jak moje ręce ciągną mnie naprzód.

Poczułem uniesienie. Byłem szczęśliwy, idąc bez celu z dziwnym, starym Indianinem. Zacząłem mówić i bez przerwy dopytywałem się, czy pokaże mi pejotl. Spojrzał na mnie, ale nie powiedział ani słowa.

4. Śmierć jest doradcą

Środa, 25 stycznia 1961

– Czy nauczysz mnie kiedyś o pejotlu? – zapytałem.

Don Juan nie odpowiedział, tylko tak samo jak poprzednio popatrzył na mnie, jakbym był szalony.

Już kilkakrotnie w rozmowie wspominałem mu o tym i za każdym razem tylko marszczył brwi i kiwał głową. Nie był to ani potwierdzający, ani przeczący ruch, ale raczej wyraz rozpaczy i niedowierzania.

Nagle wstał. Siedzieliśmy na ziemi przed jego domem. Prawie niedostrzegalnym ruchem głowy zaprosił mnie do pójścia za sobą. Skierowaliśmy się na południe, na pustynię porośniętą chaparralem. Kiedy szliśmy, wciąż powtarzał, że powinienem być świadomy bezużyteczności poczucia własnej wartości i posiadania osobistej historii.

– Twoich przyjaciół, tych, których znasz od dłuższego czasu, musisz szybko opuścić – oznajmił, odwracając się nagle do mnie.

Pomyślałem, że jest szalony, a jego naleganie idiotyczne, ale nic nie powiedziałem. Przyjrzał mi się badawczo i zaczął się śmiać.

Po długiej przechadzce nareszcie zatrzymaliśmy się. chciałem usiąść, aby odpocząć ale don Juan kazał mi pójść jakieś dwadzieścia jardów dalej i przemówić głośno i wyraźnie do kępki roślin. Czułem się skrępowany i przestraszony. Jego niezwykłe żądania były dla mnie do zniesienia i jeszcze raz powiedziałem mu, że nie potrafię przemawiać do roślin, ponieważ uważam to za śmieszne. Jego jedyny komentarz stanowiło stwierdzenie, że moje poczucie własnej ważności jest ogromne. Wydawało mi się, że nagle podjął decyzję, bo powiedział, że nie powinienem próbować mówić do roślin, dopóki nie będzie mi to przychodzić w naturalny sposób.

– Chcesz się uczyć o nich, ale nie chcesz nic zrobić powiedział oskarżająco. – Co próbujesz osiągnąć?

Wyjaśniłem mu, że potrzebuję wiarygodnych informacji na temat własności roślin, dlatego prosiłem go, aby został moim informatorem. Zaproponowałem mu zapłatę za jego czas i fatygę.

– Powinieneś wziąć te pieniądze – powiedziałem. – Wtedy obydwaj czulibyśmy się lepiej. Mógłbym cię wtedy pytać o wszystko, o co bym tylko chciał, ponieważ pracowałbyś dla mnie i brał za to zapłatę. Co o tym myślisz?

Popatrzył na mnie pogardliwie i ustami wydał obsceniczny dźwięk. Wydmuchując z wielką siłą strumień powietrza, wprowadził w wibrację język i dolną wargę.

– To właśnie o tym myślę – odparł i ku memu najwyższemu zdumieniu zaśmiał się histerycznie. Na mojej twarzy musiało się malować zdziwienie.

Stało się dla mnie zrozumiałe, że don Juan jest człowiekiem, z którym niełatwo sobie poradzić. Pomimo swego wieku był porywczy i niewiarygodnie silny. Miałem koncepcję, że ze względu na podeszły wiek stanie się dla mnie doskonałym informatorem. Wydawało mi się, że starzy ludzie najlepiej się do tego nadają, ponieważ są za słabi, aby robić cokolwiek innego oprócz mówienia. Jednak don Juan był marnym. Nie mogłem sobie z nim poradzić i wydawał mi się niebezpieczny. Mój przyjaciel, który nas sobie przedstawił, miał rację. Don Juan był ekscentrycznym, starym Indianinem i chociaż nie chodził cały czas pijany jak powiedział mi przyjaciel, to jednak, co gorsze, był szalony. Znowu miałem wątpliwości i odczuwałem lęk, jakiego doświadczyłem przedtem. Zdawało mi się, że już go pokonałem. Jednak nie miałem żadnego problemu z przekonaniem siebie, że powinienem jeszcze raz go odwiedzić. Ale gdy uświadomiłem sobie, że lubię z nim przebywać, do mojego umysłu wkradła się wątpliwość, czy aby nie jestem trochę stuknięty. Koncepcja dotycząca poczucia swojej ważności jako przeszkody rzeczywiście zrobiła na mnie duże wrażenie. Ale wszystko to z mojej strony było tylko jakby intelektualnym ćwiczeniem. Natomiast w chwili, kiedy musiałem skonfrontować się z jego dziwnym zachowaniem, zaczynałem się bać i chciałem uciekać.

Powiedziałem, że ponieważ jesteśmy tak różni, nie sądzę, abyśmy mogli się przyjaźnić.

– Jeden z nas musi się zmienić – powiedział, wpatrując się w ziemię. – I ty wiesz kto.

Zaczął nucić ludową meksykańską piosenkę, a później nagle podniósł głowę i spojrzał na mnie. Jego oczy były dzikie i płonęły. Chciałem odwrócić wzrok lub przymknąć powieki, ale ku mojemu największemu zdumieniu, nie mogłem oderwać od niego spojrzenia.

Poprosił mnie, abym powiedział mu, co widziałem w jego oczach. Odparłem, że nic, ale on nalegał, żebym zwerbalizował to, czego stałem się świadomy pod wpływem jego wejrzenia. Usiłowałem go przekonać, że jedyną rzeczą, którą uświadomiły mi jego oczy, było moje zakłopotanie, a sposób, w jaki na mnie patrzył, był bardzo nieprzyjemny.

Don Juan jednak nie dał za wygraną. Dalej wpatrywał się we mnie. Jego spojrzenie nie wydawało się ani bardzo groźne, ani pogardliwe, było jednak tajemnicze i nieprzyjemne.

Zapytał mnie, czy nie przypomina mi ptaka.

– Ptaka?! – wykrzyknąłem.

Zachichotał jak dziecko i odwrócił wzrok.

– Tak – powiedział łagodnie – ptaka, bardzo śmiesznego ptaka.

Znowu zawiesił na mnie swoje spojrzenie i kazał mi sobie przypomnieć. Powiedział z niezwykłym przekonaniem, że wie, że już kiedyś widziałem ten wzrok.

Uświadomiłem sobie wtedy, że stary człowiek prowokuje mnie za każdym razem, gdy tylko otworzy usta. Odwzajemniłem mu się pełnym wyzwania spojrzeniem. Zamiast rozzłościć się, zaczai się śmiać. Klepnął się po udach i wrzasnął, jakby ujeżdżał dzikiego konia. Później spoważniał i powiedział, że najważniejsze jest, abym przestał z nim walczyć i przypomniał sobie tego śmiesznego ptaka, o którym mówił.

– Spójrz mi w oczy – rozkazał.

Były dzikie. Wydawało mi się, że coś mi one przypominają, ale nie byłem pewny. Wpatrywałem się w nie przez moment i nagle doznałem olśnienia. Nie kształt ich czy głowy, ale zimna dzikość spojrzenia przypominała mi oczy sokoła. W tym momencie don Juan popatrzył na mnie z ukosa, a mi się wydało, że widzę głowę sokoła zamiast jego. Wizja była zbyt ulotna, a ja zbyt wzburzony, by zwrócić na nią baczniejszą uwagę.

Bardzo podekscytowany powiedziałem mu, że mógłbym przysiąc, że na jego twarzy widziałem rysy sokoła. Wywołało to jeszcze jeden atak jego śmiechu.

Znałem spojrzenie oczu sokoła. Kiedy byłem chłopcem, polowałem na te ptaki i według opinii mojego dziadka, byłem w tym dobry. Miał on farmę leghornów i sokoły stanowiły poważne zagrożenie dla jego kurcząt. Strzelanie do nich było więc praktyczne i właściwe. Aż do tego momentu nie pamiętałem dzikości ich oczu, która dręczyła mnie latami. Było to tak dawno, że aż dziwne, że mogłem sobie to przypomnieć.

– Polowałem na sokoły – powiedziałem.

– Wiem o tym – odparł don Juan, jakby był tego pewny.

Powiedział to z takim przekonaniem, że zacząłem się śmiać. Pomyślałem sobie, że jest absurdalnym gościem. Musiał mieć tupet, aby udawać, że wie o moim polowaniu na sokoły. Uznałem, że się popisuje.

– Co cię tak rozzłościło? – zapytał z nutą prawdziwej troski w głosie.

Nie wiedziałem. Zaczął mnie sondować w niezwykły sposób. Kazał mi znowu patrzeć na siebie i opowiadać o bardzo śmiesznym ptaku, którego mi przypominał. Sprzeciwiłem mu się i z lekceważeniem powiedziałem, że nie ma o czym mówić. Później poczułem przymus zapytania go, dlaczego powiedział, że wie o moim polowaniu na sokoły. Zamiast odpowiedzieć, znów zaczął komentować moje zachowanie. Orzekł, że gwałtowny ze mnie facet, gotów się wściec z powodu byle błahostki. Zaprotestowałem, uważając ten sąd za nieprawdziwy. Zawsze wydawało mi się, że jestem raczej sympatyczny i niefrasobliwy. Powiedziałem mu, że to jego wina, ponieważ swoimi niespodziewanymi słowami i zachowaniem wytrącił mnie z równowagi.

– Skąd bierze się ten gniew? – zapytał.

Zrobiłem przegląd swoich uczuć i reakcji. Rzeczywiście, nie miałem powodu, aby się na niego złościć.

Znowu zaczął nalegać, abym spojrzał mu w oczy i opowiedział o dziwnym sokole. Przedtem mówił o bardzo śmiesznym ptaku, a teraz o dziwnym sokole. Tej zamianie słów towarzyszyła także zmiana mojego nastroju. Nagle zrobiło mi się smutno.

Zmrużył oczy, aż stały się dwiema szparkami, i nadmiernie dramatycznym głosem powiedział, że widzi bardzo dziwnego sokoła. Powtórzył to stwierdzenie trzy razy» jakby rzeczywiście widział go przed sobą.

– Nie pamiętasz go? – zapytał.

Nie przypominałem sobie niczego takiego.

– Co jest takiego dziwnego w tym sokole? – chciałem wiedzieć.

– To ty mi musisz powiedzieć – odparł.

Upierałem się, że nie mam pojęcia, o czym mówi, więc nie mogę mu nic powiedzieć.

– Przestań ze mną walczyć. Walcz ze swoim lenistwem i przypomnij sobie.

Przez chwilę faktycznie usiłowałem zrozumieć, o co mu chodzi. Jednak nic nie potrafiłem sobie przypomnieć.

– W pewnym okresie widywałeś wiele ptaków... – powiedział, aby mnie zachęcić.

– Kiedy byłem dzieckiem, mieszkałem na farmie i polowałem na nie. Ustrzeliłem ich setki. Odpowiedział, że wobec tego nie powinienem mieć żadnych trudności w przypomnieniu sobie wszystkich śmiesznych ptaków, na które polowałem. Patrzył na mnie pytająco, jak gdyby dawał mi ostatnią wskazówkę.

– Upolowałem tak wiele ptaków – powiedziałem – że nie mogę sobie niczego o nich przypomnieć.

– Ten ptak jest szczególny – odpowiedział prawie szeptem. – Ten ptak jest sokołem.

Znowu zacząłem się zastanawiać, o co mu chodzi i do czego zmierza. Czy się droczył ze mną? Czy mówił poważnie? Po długiej przerwie znowu zaczął nalegać, abym sobie przypomniał. Poczułem, że nie mam szans, aby zakończyć tę grę. Jedyną rzeczą, jaką mogłem zrobić, to przyłączyć się do niego.

– Czy mówisz o sokole, na którego polowałem? – zapytałem.

– Tak – odparł z zamkniętymi oczyma.

– A więc to się wydarzyło, kiedy byłem chłopcem?

– Tak.

– Ale powiedziałeś, że widzisz sokoła przed sobą w tej chwili.

– Bo widzę.

– Co usiłujesz ze mną zrobić?

– Próbuję nakłonić cię do tego, abyś sobie przypomniał.

– Co, na Boga?

– Sokoła szybkiego jak światło – rzekł, patrząc mi w oczy.

Czułem, jak zamiera mi serce.

– Teraz patrz na mnie – nakazał.

Ale nie mogłem. Słyszałem zanikający dźwięk jego głosu. Całkowicie ogarnęły mnie zdumiewające wspomnienia. Biały sokół!

Wszystko rozpoczęło się od wybuchu gniewu mojego dziadka podczas liczenia młodych kurcząt. Bezustannie znikały, co doprowadzało dziadka do wściekłości. Osobiście skrupulatnie zaplanował system czuwania i po kilka dniach ciągłych obserwacji w końcu zauważyliśmy Wielkiego, białego ptaka odlatującego z młodym leghornem w szponach. Był bardzo szybki i wydawało się, że zna drogę. Uderzył zza drzew, chwycił kurczaka i odleciał przez prześwit między dwoma gałęziami. To wszystko wydarzyło się tak szybko, że dziadek ledwie go zauważył, ale mnie się udało i wiedziałem, że to sokół. Powiedział, że wobec tego musi być albinosem.

Rozpoczęliśmy kampanię przeciwko sokołowi albinosowi i dwa razy wydawało mi się, że już go mam. Raz porzucił nawet zdobytego kurczaka, ale odleciał. Był za szybki dla mnie, a także bardzo inteligentny, nie wrócił już nigdy, aby polować na farmie dziadka.

Zapomniałbym szybko o nim, gdyby dziadek nie nakłonił mnie do rozpoczęcia polowania na niego. Przez dwa miesiące tropiłem sokoła albinosa po całej dolinie. Nauczyłem się jego zwyczajów i prawie intuicyjnie wyczuwałem trasę jego lotu. Jednak jego szybkość i niespodziewane pojawienia się zawsze zbijały mnie z tropu. Mogłem się pochwalić, że nie pozwalałem mu swobodnie Polować, ale nigdy nie mogłem go dopaść.

W ciągu dwóch miesięcy dziwnej wojny przeciwko sokołowi albinosowi tylko jeden raz udało mi się podejść dość blisko. Tropiłem go przez cały dzień i byłem zmęczony. Musiałem usiąść pod wysokim eukaliptusowym drzewem, aby odpocząć, i zasnąłem. Obudził mnie nagły ptasi krzyk. Nie czyniąc żadnego ruchu, otworzyłem oczy i zobaczyłem białawego sokoła siedzącego na najwyższej gałęzi. To był on. Pościg dobiegł końca. Jednak musiałem oddać trudny strzał. Leżałem na plecach, a sokół był odwrócony do mnie tyłem. Nagły powiew wiatru zagłuszył hałas, który mimowolnie zrobiłem, podnosząc strzelbę. Chciałem zaczekać aż ptak się odwróci albo spróbuje odlecieć, bo wtedy łatwiej byłoby mi nie spudłować. Ale albinos tkwił na gałęzi bez ruchu. Aby przyjąć lepszą pozycję do strzału, powinienem się przesunąć, ale na to sokół był za szybki. Pomyślałem sobie, że najlepszym wyjściem jest czekanie. I tak też zrobiłem. Leżałem bez ruchu bardzo długo. Być może pod wpływem tego wyczekiwania albo samotności miejsca, w którym znalazłem się wraz z ptakiem, w pewnym momencie poczułem dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Wtedy, nie wiem dlaczego, wstałem i odszedłem. Nie popatrzyłem nawet, czy ptak odleciał.

Nigdy nie przywiązywałem żadnego znaczenia do mojej ostatniej przygody z sokołem albinosem. Jednak było to bardzo dziwne, że go nie zastrzeliłem. Wcześniej zabiłem kilka tuzinów sokołów. Na farmie, na której się wychowałem, strzelanie do ptaków czy polowanie na zwierzęta było czymś oczywistym.

Don Juan słuchał uważnie mojej opowieści o sokole albinosie.

– Skąd wiedziałeś o białym sokole? – zapytałem, kiedy skończyłem opowiadać.

– Widziałem go – odparł.

– Gdzie?

– Tutaj, przed tobą.

Nie byłem w nastroju do dyskusji.

– Co to wszystko znaczy? – zapytałem. Don Juan powiedział, że biały ptak jest omenem i jedyne, co można zrobić, to nie strzelać do niego.

– Twoja śmierć przekazała ci małe ostrzeżenie – powiedział tajemniczo. – Ona zawsze przychodzi jako dreszcz.

– O czym ty mówisz? – zapytałem nerwowo.

Zdenerwowało mnie to jego nawiedzone gadanie.

– Wiesz dużo o ptakach – powiedział. – Zbyt dużo ich zabiłeś. Umiesz czekać. Godzinami cierpliwie czekałeś. Wiem o tym. Widzę to.

Jego słowa zmąciły do reszty mój spokój. Pomyślałem, ze najbardziej denerwuje mnie w nim jego pewność. Nie mogłem znieść jego dogmatycznych stwierdzeń dotyczących wydarzeń z mego życia, co do których ja sam nie byłem pewny. Tak pochłonęło mnie uczucie zniechęcenia, że nawet nie zauważyłem, jak się nade mną pochylił, dopóki nie szepnął mi czegoś do ucha. Z początku nic nie zrozumiałem, ale powtórzył. Powiedział, abym się odwrócił, niby przypadkowo i spojrzał na głaz po mojej lewej stronie. Powiedział, że tam przypatruje mi się moja śmierć i że kiedy odwrócę się, gdy da mi znak, będę mógł ją zobaczyć.

Mrugnął znacząco. Odwróciłem się i wydawało mi się, że zobaczyłem, jak coś mignęło nad kamieniem. Dreszcz przebiegł mi przez całe ciało, mięśnie brzucha zacisnęły się odruchowo, wstrząsnął mną skurcz. Po chwili doszedłem do siebie i wyjaśniłem sobie wrażenie migocącego cienia jako optyczną iluzję spowodowaną zbyt szyb-Kina obróceniem głowy.

– Śmierć jest naszym wiecznym towarzyszem – powiedział don Juan zupełnie poważnie. – Zawsze przebywa po naszej lewej stronie, na wyciągnięcie ramienia. Obserwowała cię, kiedy czyhałeś na białego sokoła. Szepnęła ci do ucha i poczułeś jej dreszcz, tak samo jak dzisiaj. Ona zawsze cię obserwuje, aż do dnia kiedy cię łęgnie.

Wyciągnął rękę i dotknął lekko mojego ramienia, równocześnie wydając głęboki dźwięk, coś jak mlaśnięcie językiem. Efekt był niszczycielski, niemalże zwymiotowałem.

– Jesteś chłopcem bawiącym się w tropienie, umiejącym cierpliwie czekać, tak jak czeka śmierć. Bardzo dobrze wiesz, że znajduje się po naszej lewej stronie, tak samo jak ty byłeś po lewej stronie białego sokoła.

Jego słowa posiadały dziwną moc wzbudzania we mnie nieuzasadnionego strachu. Jedyną moją obronę stanowił przymus zapisywania wszystkiego, co mówił.

– Jak można czuć się tak ważnym, kiedy wiemy, że śmierć nas tropi? – zapytał.

Wydawało mi się, że moja odpowiedź nie jest wcale potrzebna. W każdym razie nic nie powiedziałem. Ogarnął mnie jakiś odmienny nastrój.

– Kiedy jesteś niecierpliwy – kontynuował – powinieneś odwrócić się w lewo i zapytać śmierć o radę. Po-zbędziesz się małostkowości, kiedy wykona dla ciebie gest albo gdy zobaczysz ją przez mgnienie oka, czy też jedynie poczujesz, że twój towarzysz cię obserwuje.

Pochylił się nade mną i wyszeptał mi do ucha, że jeśli nagle, na jego sygnał, obrócę się w lewo, znów będę mógł zobaczyć na skale swoją śmierć.

Przekazał mi prawie niewidzialny znak, ale nie ośmieliłem się spojrzeć. Powiedziałem, że mu wierzę i dlatego nie musi przedstawiać mi dalszych dowodów, przecież i tak jestem już przerażony.

Zagrzmiał jednym ze swoich głębokich śmiechów. Odpowiedział, że temat naszej śmierci nigdy nie jest omówiony w wystarczającym stopniu. Oznajmiłem, że zajmowanie się moją śmiercią jest dla mnie bezsensowne, ponieważ wywołuje we mnie tylko niepokój.

– Co za gówno! – wykrzyknął. – Śmierć to jedyny mądry doradca, jakiego posiadamy. Kiedykolwiek poczujesz, a ty czujesz to zawsze, że wszystko idzie źle i się rozpada, zwróć się do swojej śmierci i zapytaj, czy to prawda. Odpowie ci, że nie masz racji, że naprawdę nic się nie liczy poza jej dotknięciem. Twoja śmierć powie ci: "Jeszcze cię nie dotknęłam".

Pokiwał głową i wydawało się, że czeka na moją odpowiedź. Nie miałem żadnej. Moje myśli biegły niepohamowanie. Don Juan zadał ogłuszający cios mojemu egoizmowi. W świetle mojej śmierci małostkowa irytacja, którą we mnie wywoływał, była potworna.

Czułem, że był w pełni świadomy zmiany mojego nastawienia. W końcu dopiął swego. Uśmiechnął się i zaczął nucić meksykańską melodię.

– Tak – powiedział łagodnie po długiej przerwie jeden z nas tutaj musi się zmienić. I to szybko. Jeden z nas musi się znowu nauczyć, że śmierć jest myśliwym i że zawsze przebywa po naszej lewej

stronie. Jeden z nas musi zapytać ją o radę i porzucić przeklętą małostkowość, która właściwa jest ludziom żyjącym tak, jakby śmierć nie miała ich nigdy dosięgnąć.

Siedzieliśmy w ciszy dłużej niż godzinę, po czym zaczęliśmy znowu iść. Godzinami błąkaliśmy się po pustyni porośniętej chaparralem. Nie pytałem go, czy ma w tym jakiś cel, nie miało to teraz znaczenia. Don Juan w jakiś sposób sprawił, że odnalazłem stare uczucie, prostą radość samego poruszania się, chodzenia bez celu.

Chciałem, aby pozwolił mi uchwycić spojrzeniem to, co widziałem nad głazem.

– Pozwól mi jeszcze raz zobaczyć ten cień – powiedziałem.

– Masz na myśli swoją śmierć, tak? – odparł z odcieniem ironii.

Przez chwilę nie byłem zdolny do wypowiedzenia tego na głos.

– Tak – wydusiłem z siebie w końcu. – Pozwól mi jeszcze raz zobaczyć moją śmierć.

– Nie teraz – powiedział. – Zesztywniałeś.

– Przepraszam?

Don Juan zaczął się śmiać i z jakiegoś nieznanego powodu jego śmiech nie był już obraźliwy i podstępny tak jak w przeszłości. W obliczu śmierci moje lęki i irytacja stawały się nonsensowne. Nie wydawało mi się, żeby się zmienił pod względem wysokości, głośności czy uczucia; nowym elementem był mój nastrój.

– Wobec tego pozwól mi przemówić do roślin – poprosiłem.

Zagrzmiał śmiechem.

– Teraz jesteś za dobry – powiedział, wciąż się śmiejąc. – Przechodzisz z jednej skrajności w drugą. Bądź bardziej stały. Nie ma potrzeby mówić do roślin, dopóki nie zechcesz poznać ich tajemnic, a do tego potrzeba ci bardziej trwałej motywacji. Tak więc, oszczędzaj dobre chęci. Nie ma teraz także potrzeby widzenia śmierci. Wystarczy, że czujesz jej obecność.

5. Podjęcie odpowiedzialności

Wtorek, 11 kwietnia 1961

Przyjechałem do domu don Juana wczesnym rankiem, w niedzielę, 9 kwietnia.

– Dzień dobry, don Juanie – powiedziałem. – Cieszę się, że cię znowu widzę.

Popatrzył na mnie i zaśmiał się łagodnie. Podszedł do mojego samochodu i trzymał otwarte drzwi, gdy wynosiłem pakunki zjedzeniem, które przywiozłem dla niego.

Podeszliśmy do domu i usiedliśmy przed drzwiami.

Teraz po raz pierwszy naprawdę byłem świadomy tego, co tutaj robię. Przez trzy miesiące faktycznie myślałem tylko o tym. To było zupełnie tak, jakby wewnątrz mnie eksplodowała jakaś bomba zegarowa i nagle przypomniałem sobie coś, co miało dla mnie wartość transcendentalną. Przypomniałem sobie, że kiedyś, jeden raz w życiu, byłem bardzo cierpliwy i bardzo sprawny.

Zanim don Juan zdążył cokolwiek powiedzieć, zadałem mu pytanie, które przez cały czas mnie nurtowało. Miałem obsesję na punkcie sokoła albinosa. Skąd o nim wiedział, skoro ja sam o nim zapomniałem?

Don Juan uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Zacząłem go prosić.

– To nie było nic wielkiego – stwierdził, jak zwykle * Pełnym przekonaniem. – Każdy może ci powiedzieć, że jesteś dziwny. Ale ty jesteś po prostu drętwy, to wszystko.

Poczułem, że znowu próbuje wyprowadzić mnie z równowagi i zapędzić w ślepy zaułek, w którym wcale nie chciałem się znaleźć.

– Czy możemy zobaczyć swoją śmierć? – zapytałem, chcąc w ten sposób wrócić do tematu.

– Pewnie – powiedział, śmiejąc się. – Ona jest zawsze z nami.

– Skąd to wiesz?

– Jestem starym człowiekiem, a z wiekiem można nauczyć się wszystkiego.

– Znam wielu starych ludzi, ale żaden z nich się tego nie nauczył. Jak to zrobiłeś?

– No więc, powiedzmy, że wiem wiele różnych rzeczy, ponieważ nie mam osobistej historii i nie czuję się ważniejszy od niczego i dlatego, że śmierć siedzi tutaj razem ze mną.

Wyciągnął lewe ramię i poruszył palcami, jakby rzeczywiście coś pieścił.

Zaśmiałem się. Wiedziałem, w co mnie wciąga. Stary diabeł znowu chciał mnie sprowokować, prawdopodobnie wybadać moje poczucie własnej ważności, ale teraz nic mi to nie przeszkadzało. Wspomnienie tego, że raz byłem niesłychanie cierpliwy, napełniało mnie dziwną, spokojną radością mogącą rozproszyć zdenerwowanie i niechęć do don Juana. Zamiast niej poczułem podziw dla niego.

– Kim ty naprawdę jesteś? – zapytałem.

Wyglądał na zdziwionego. Niezwykle szeroko otworzył oczy i zaczął mrugać jak ptak, spuszczając powieki jak zasłonę. Opadały i podnosiły się, ale wzrok don Juana był niezmiennie skupiony. To zachowanie zaszokowało mnie, aż się cofnąłem, a on zaśmiał się z dziecięcą beztroską.

– Dla ciebie jestem Juan Matus, do usług – powiedział z przesadną grzecznością.

Wtedy zadałem następne palące pytanie:

– Co mi zrobiłeś, wtedy, pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy?

Miałem na myśli jego spojrzenie, które wtedy na mnie skierował.

– Ja? Nic. – odparł niewinnie.

Opisałem mu, co poczułem, kiedy tak wejrzał na mnie i jak z tego powodu oniemiałem.

Don Juan śmiał się, aż łzy zaczęły mu spływać po policzkach. Znowu poczułem przypływ niechęci w stosunku do niego. Pomyślałem, że jestem poważny i dobrze wychowany, a on tak po indiańsku nieokrzesany.

Chyba odkrył mój nastrój, bo nagle przestał się śmiać.

Po długim wahaniu powiedziałem mu, że zirytował mnie, ponieważ poważnie próbowałem zrozumieć, co mi Się przydarzyło.

– Nie ma tu nic do zrozumienia – odparł, wcale nie zmieszany.

Przypomniałem mu serię niezwykłych zdarzeń, które miały miejsce od czasu, kiedy go spotkałem, począwszy od tajemniczego spojrzenia, poprzez przypomnienie mi sokoła albinosa, aż do cienia na kamieniu, który według niego był moją śmiercią.

– Dlaczego zrobiłeś mi to wszystko? – zapytałem. W moim pytaniu nie było żadnej wojowniczości, byłem tylko ciekawy, dlaczego dotknęło to właśnie mnie.

– Prosiłeś, żebym opowiedział ci o tym, co wiem o roślinach – powiedział.

Zauważyłem cień sarkazmu w jego głosie. Chyba chciał Banie rozśmieszyć.

– Ale wszystko, co do tej pory powiedziałeś, nie miało Mc wspólnego z roślinami – zaprotestowałem.

Odpowiedział, że aby się o nich czegoś nauczyć, potrzeba dużo czasu.

Zrozumiałem, że dyskusja z nim jest bezcelowa. Uświadomiłem sobie też, jak idiotyczne było lekkomyślnie podjęte przeze mnie postanowienie. Kiedy byłem w domu, obiecałem sobie, że nigdy się nie rozzłoszczę ani nie zdenerwuję na don Juana. Jednak w konkretnej sytuacji, w momencie kiedy dał mi nauczkę, dostałem kolejnego ataku złości. Poczułem, że w żaden sposób nie jestem w stanie się z nim porozumieć i to jeszcze bardziej mnie rozdrażniło.

– Pomyśl teraz o swojej śmierci – powiedział nagle don Juan. – Znajduje się na wyciągnięcie ręki. Może dosięgnąć cię w każdej chwili, dlatego naprawdę nie masz czasu na zasrane myśli i humory. Nikt z nas nie ma na to czasu. Czy chcesz wiedzieć, co ci zrobiłem pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy? Widziałem cię, i widziałem to, że myślisz, że mnie okłamujesz. Ale ty nie kłamałeś, nie całkiem.

Powiedziałem mu, że jego wyjaśnienie wprawiło mnie w jeszcze większy niepokój. Odpowiedział, że właśnie dlatego nie chce wyjaśniać swoich poczynań, wyjaśnienia wcale nie są konieczne. Jedyną rzeczą, która się liczy, jest działanie, działanie, a nie mówienie.

Don Juan rozłożył słomianą matę i położył się na niej, podkładając pod głowę zawiniątko. Ułożył się wygodnie i wtedy powiedział mi, że jest jeszcze jedna rzecz, którą powinienem zrobić, jeżeli rzeczywiście chcę się nauczyć czegoś o roślinach.

– To, co było złe w tobie, kiedy cię widziałem i co jest także złe teraz, to twoja niechęć do przyjmowania odpowiedzialności za to, co robisz – powiedział powoli, jakby dając mi czas na zrozumienie. – Kiedy opowiadałeś mi wszystkie te bzdury na dworcu autobusowym, byłeś świadomy, że to kłamstwa. Dlaczego kłaniałeś?

Powiedziałem, że moim celem było znalezienie informatora potrzebnego do mojej pracy.

Don Juan uśmiechnął się i zaczął nucić meksykańską melodię.

– Kiedy człowiek na coś się zdecyduje, musi to kontynuować – powiedział – ale konieczne jest także, aby wziął odpowiedzialność za swoje czyny. Niezależnie od tego, co robi, musi przede wszystkim wiedzieć, dlaczego to robi, a później powinien dalej działać, nie mając jednak żadnych wątpliwości ani wyrzutów sumienia co do swoich czynów.

Zbadał mnie wzrokiem, ale ja nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu zdobyłem się na opinię brzmiącą zdecydowanie jak protest.

– To niemożliwe! – powiedziałem.

Zapytał mnie dlaczego. Odpowiedziałem, że być może taki jest ideał tego, jak powinno wyglądać nasze działanie, ale jednak w praktyce nie ma sposobu, aby uniknąć wątpliwości i wyrzutów sumienia.

– Oczywiście, że jest taki sposób – odparł z przekonaniem. – Spójrz na mnie. Ja nie mam żadnych wątpliwości ani wyrzutów sumienia. Wszystko, co robię, uzależnione jest od mojej decyzji i jestem za to odpowiedzialny. Najprostsza rzecz, jaką robię, na przykład zabranie cię na pustynię, może oznaczać moją śmierć. Śmierć tropi mnie. Dlatego też nie mam czasu na wątpliwości czy wyrzuty sumienia. Jeśli muszę umrzeć z powodu zabrania cię na przechadzkę, to niech tak będzie. Ty z kolei uważasz, że jesteś nieśmiertelny, a decyzje nieśmiertelnego człowieka można odwoływać, można ich żałować czy też w nie wątpić. W świecie, w którym śmierć jest myśliwym, nie ma, mój drogi, czasu na żale czy wątpliwości. Czasu wystarcza tylko na decyzje.

Z pełnym przekonaniem argumentowałem, że według ronię, ten świat jest nierealny, ponieważ został arbitralnie stworzony przez przyjęcie wyidealizowanej formy zachowania i uznanie jej za obowiązującą.

Opowiedziałem mu historię mojego ojca, który dawał °U nie kończące się wykłady na temat cudów zdrowego ducha w zdrowym ciele i o tym, jak chłopcy powinni ćwiczyć swoje ciała poprzez ciężką pracę i współzawodnictwo w zawodach atletycznych. Był młodym człowiekiem, kiedy miałem osiem lat, on miał tylko dwadzieścia siedem. W lecie za zasadę przyjął wyjazd z miasta, gdzie uczył w szkole, aby spędzić ze mną przynajmniej miesiąc na farmie moich dziadków, na której mieszkałem. Dla mnie był to piekielny okres. Opowiedziałem don Juanowi o jednym z aspektów zachowania mojego ojca, który według mnie odpowiadał dyskutowanej przez nas sytuacji.

Prawie natychmiast po przyjeździe na farmę ojciec upierał się, aby wziąć mnie na długi spacer, tak abyśmy mogli wszystko omówić. Podczas niego planował, że codziennie o szóstej rano będziemy chodzić pływać. Wieczorem nastawiał budzik na piątą trzydzieści, abyśmy mieli wystarczająco dużo czasu, ponieważ równo o szóstej musieliśmy być już w wodzie. Kiedy budzik rano dzwonił, wyskakiwał z łóżka, zakładał okulary, podchodził do okna i wyglądał na zewnątrz.

Zapamiętałem nawet monolog, który wtedy wygłaszał: “Och... Trochę dzisiaj pochmurnie. Posłuchaj, położę się jeszcze tylko na pięć minut. W porządku? Nie więcej niż na pięć! Tylko rozciągnę sobie mięśnie i dobrze się przebudzę". Wtedy zasypiał i spał aż do dziesiątej, a czasami nawet do południa.

Powiedziałem don Juanowi, że najbardziej denerwowało mnie to, że nie chciał porzucić swoich, w oczywisty sposób nierealnych, postanowień. Powtarzał ten rytuał każdego ranka, aż do czasu, kiedy ostatecznie uraziłem jego uczucia, odmawiając nastawienia budzika.

– To nie były nierealne postanowienia – powiedział don Juan, oczywiście biorąc w obronę mojego ojca. – On po prostu nie wiedział, jak ma wstać z łóżka, to wszystko.

– W każdym razie – powiedziałem – zawsze jestem czuły na takie nonsensowne pomysły.

– Wobec tego jakie, według ciebie, byłoby realne postanowienie? – zapytał don Juan z nieśmiałym uśmiechem.

– Mój ojciec powinien powiedzieć sobie, że nie jest w stanie iść pływać o szóstej rano, ale być może uda mu się to zrobić o trzeciej po południu.

– Twoje postanowienia ranią ducha – odparł don Juan całkiem poważnie.

Wydawało mi się, że nawet odkryłem nutę smutku W jego głosie. Siedzieliśmy w ciszy przez długi czas. Moje rozdrażnienie zniknęło. Pomyślałem o ojcu.

– On nie chciał pływać o trzeciej po południu. Czy tego nie widzisz? – powiedział don Juan.

Jego słowa podziałały na mnie tak, że aż podskoczyłem. Powiedziałem mu, że mój ojciec był słaby, tak samo jak świat jego idei, których nigdy nie urzeczywistnił. Prawie krzyczałem.

Don Juan nie powiedział ani słowa. Powoli i rytmicznie kiwał głową. A ja zrobiłem się okropnie smutny. Myślenie o ojcu zawsze wprawiało mnie w przygnębienie.

– Wydaje ci się, że byłeś silniejszy, prawda? – zapytał niedbale.

Przytaknąłem i zacząłem mu opowiadać o emocjonalnym chaosie, który zawdzięczałem ojcu, ale on mi przerwał.

– Czy był dla ciebie zły? – zapytał.

– Nie.

– Czy był małostkowy?

– Nie.

– Czy robił dla ciebie wszystko, co mógł?

– Tak.

– Wobec tego, co w nim było złego?

Znowu zacząłem krzyczeć, że był słaby, ale pohamowałem się i uciszyłem. Poczułem się trochę absurdalnie z powodu tego przepytywania.

– Po co to wszystko robisz? – zapytałem. – Przecież Dęliśmy rozmawiać o roślinach. – Byłem bardziej zirytowany i przygnębiony niż kiedykolwiek. Powiedziałem mu, że nie ma w tym żadnego interesu, ani najmniejszych kwalifikacji do tego, żeby osądzać moje zachowanie, ale on na to wybuchnął gromkim śmiechem.

– Kiedy się złościsz, zawsze uważasz, że masz rację, prawda? – powiedział i zamrugał jak ptak.

Miał słuszność. Zawsze wydawało mi się, że mój gniew jest usprawiedliwiony.

– Nie mówmy już o moim ojcu – zaproponowałem, udając dobry nastrój. – Pomówmy o roślinach.

– Nie, pomówmy o twoim ojcu – upierał się. – Od tego dzisiaj zaczniemy. Jeśli myślisz, że byłeś o wiele silniejszy od niego, to dlaczego nie poszedłeś pływać o szóstej rano?

Powiedziałem mu, że nie mogłem uwierzyć, że ojciec szczerze mnie o to prosi. Zawsze uważałem, że pływanie o szóstej rano to była jego prywatna sprawa, nie moja.

– To była twoja sprawa od chwili, kiedy zaakceptowałeś ten pomysł – naskoczył na mnie don Juan.

Powiedziałem, że nigdy nie zaakceptowałem tego pomysłu, zawsze wiedziałem, że ojciec nie jest szczery w stosunku do siebie. Don Juan zapytał mnie trzeźwo, dlaczego wtedy nie wyraziłem takiej opinii.

– Takich rzeczy nie mówi się ojcu – powiedziałem, wiedząc, że to słaby argument.

– Dlaczego?

– Tak się nie robiło w moim domu, po prostu.

– Robiłeś gorsze rzeczy w swoim domu – stwierdził jak sędzia. – Jedyną rzeczą, jakiej nigdy nie zrobiłeś, było rozświetlenie swojego ducha.

Jego słowa miały niszczącą moc, odbiły się echem w mojej głowie. Don Juan przełamał wszystkie moje systemy obronne. Nie miałem żadnych argumentów. Próbowałem się ratować, robiąc notatki.

Podjąłem się ostatniego, niezbyt przekonującego wyjaśnienia. Powiedziałem, że przez całe życie spotykałem ludzi pokroju ojca, którzy podobnie jak on zamykali mnie w swoich schematach, tak że przeważnie byłem na ich łasce.

– Cały czas narzekasz – odparł łagodnie. – Narzekasz przez całe życie, ponieważ nie przyjmujesz odpowiedzialności za swoje decyzje. Jeśli przyjąłbyś odpowiedzialność za pomysł swojego ojca, aby pływać o szóstej rano, pływałbyś sam, jeśli byłoby trzeba albo powiedziałbyś mu, żeby poszedł do diabła, za pierwszym razem, gdy tylko przejrzałeś jego grę. Ale nie powiedziałeś nic. Dlatego byłeś tak słaby jak twój ojciec. Przyjęcie odpowiedzialności za własne decyzje oznacza gotowość poniesienia za nie śmierci.

– Zaraz, zaraz – powiedziałem – wszystko przekręcasz.

Nie pozwolił mi skończyć. Chciałem mu tylko powiedzieć, że wykorzystałem tutaj pomysły swojego ojca jedynie jako przykład działania pozbawionego realizmu. Chyba nikt przy zdrowych zmysłach, nie miałby zamiaru umierać za taką idiotyczną sprawę.

– Nieważne jest, czego dotyczy decyzja – powiedział. – Nic nie może być bardziej lub mniej istotne od czegokolwiek innego. Czy tego nie widzisz? W świecie, gdzie śmierć jest myśliwym, nie ma ani małych, ani wielkich decyzji. Są tylko decyzje, jakie podejmujemy w obliczu nieuchronnej śmierci.

Nie miałem nic do powiedzenia. Minęła może godzina. Don Juan, chociaż nie spał, pozostawał na macie w całkowitym bezruchu.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz, don Juanie? – zapytałem. – Dlaczego właśnie mnie?

– Przyszedłeś do mnie – powiedział. – Nie, było inaczej, zostałeś do mnie przyprowadzony. A ja chciałem uczynić coś dla ciebie.

– Przepraszam?

— Mogłeś wykonać gest w stosunku do swego ojca, pływając zamiast niego, ale nie zrobiłeś tego, byłeś być może zbyt młody. Ja żyję dłużej niż ty. Nic nade mną nie ciąży. Nigdzie się nie śpieszę, więc mogę coś zrobić dla ciebie.

Po południu poszliśmy na przechadzkę. Bez trudu dotrzymywałem mu kroku, ale znów zadziwiała mnie jego zdumiewająca wytrzymałość. Stawiał kroki tak lekko i pewnie, że ja w porównaniu z nim wyglądałem niezdarnie. Szliśmy na wschód. Zauważyłem, że nie lubi rozmawiać podczas marszu. Kiedy zaczynałem mówić do niego, zatrzymywał się, aby mi odpowiedzieć.

Po kilku godzinach zbliżyliśmy się do jakiegoś wzgórza. Don Juan usiadł i dał mi znak, abym zrobił to samo. Prześmiewczo dramatycznym tonem zapowiedział, że ma zamiar opowiedzieć mi pewną historię.

Powiedział, że pewnego razu młody człowiek, pozbawiony środków do życia Indianin, żył w mieście pośród białych. Nie miał ani domu, ani rodziny, ani przyjaciół. Przybył do miasta w poszukiwaniu szczęścia, a znalazł tylko nędzę i ból. Od czasu do czasu, gdy pracował jak muł, udawało mu się zarobić kilka centów, wystarczających jedynie na odrobinę jedzenia. W przeciwnym wypadku musiałby żebrać albo kraść.

Don Juan powiedział, że pewnego razu młody człowiek poszedł na plac targowy. Oszołomiony chodził w tę i we w tę, dziko patrząc na wszystkie zgromadzone tam dobra. Był prawie nieprzytomny, nie widział, dokąd idzie. Wdepnął na jakieś koszyki i wpadł na starego człowieka. Stary człowiek niósł cztery ogromne tykwy i właśnie usiadł, aby odpocząć i coś zjeść.

Don Juan uśmiechnął się znacząco i powiedział, ze stary człowiek zdziwił się, kiedy młodzieniec wpadł na niego. Nie rozzłościł się, że mu przeszkodzono, ale zdumiał się, że zrobił to właśnie ten młody człowiek. Natomiast on rozzłościł się na staruszka i kazał mu zejść z drogi. W ogóle nie był zainteresowany ostatecznym celem ich spotkania. Wcale nie zauważył, że ich drogi się przecięły. Don Juan zaczął naśladować ruchy człowieka biegnącego za czymś, co się toczy. Powiedział, że tykwy starego człowieka przewróciły się i zaczęły się turlać po ulicy. Kiedy młodzieniec to zauważył, pomyślał sobie, że znalazł na ten dzień jedzenie. Pomógł staremu się podnieść i zaczął nalegać, że poniesie te ciężkie tykwy. Ten odparł, że idzie akurat do swojego domu w górach, ale młody uparł się, aby iść z nim, przynajmniej część drogi.

Stary człowiek wszedł na ścieżkę prowadzącą w góry i kiedy tak szli razem, podzielił się z młodzieńcem jedzeniem, które zakupił na targu. Ten bardzo się z tego ucieszył i kiedy już był syty, zauważył, jak ciężkie są tykwy.

Don Juan uśmiechnął się chytrze i opowiadał dalej. Młody zapytał, co jest w tych naczyniach. Stary człowiek nie udzielił mu odpowiedzi, tylko rzekł, że ma zamiar poznać go z przyjacielem, który ulży jego smutkom, udzieli mu rad i przekaże wiedzę dróg tego świata.

Tu don Juan wykonał majestatyczny gest rękami i kontynuował opowieść. Stary zawezwał najpiękniejszego jelenia, jakiego młody człowiek kiedykolwiek widział. Zwierzę było tak oswojone, że podeszło do niego. Było świetliste i jaśniało. Oczarowało młodzieńca, który od razu poznał, że jest to “magiczny jeleń". Stary człowiek powiedział mu, że jeśli chce mieć takiego przyjaciela i jego mądrość, jedyną rzeczą, jaką musi zrobić, jest porzucenie tykw.

Grymas don Juana przedstawiał teraz ambicję; powiedział, że gdy młodzieniec usłyszał to, odezwały się w nim jego małostkowe pragnienia. Oczy don Juana zwęziły się w szatańskie szparki, gdy wypowiadał pytanie, które młodzieniec zadał: “Co masz w tych czterech wielkich tykwach?"

Staruszek spokojnie odpowiedział, że niesie w nich jedzenie: pinole i wodę.

Don Juan przerwał swoją historię i zaczął chodzić w kółko. Zrobił kilka okrążeń, a ja nie wiedziałem po co. Widocznie stanowiło to część opowieści. Zapewne tak prezentował rozważania młodego człowieka.

Młodzieniec oczywiście nie uwierzył w ani jedno słowo. Wykalkulował sobie, że jeśli stary, który niewątpliwie był czarownikiem, chce oddać “magicznego jelenia" w zamian za tykwy, to one same muszą być wypełnione niewiarygodną mocą.

Don Juan znów wykrzywił twarz w diabelskim grymasie i powiedział, że młody człowiek zdecydował się wziąć tykwy. W tym momencie nastąpiła długa pauza mająca chyba oznaczać koniec historii. Don Juan nadal milczał, jednak byłem pewny, że chce, abym zapytał go o to, co się działo dalej. Tak też zrobiłem.

– Co się stało z tym młodym człowiekiem?

– Zabrał tykwy – odparł z uśmiechem satysfakcji.

Znowu nastąpiła długa pauza. Zaśmiałem się. Pomyślałem sobie, że tak musi wyglądać prawdziwa indiańska historia.

Oczy don Juan miał błyszczące, kiedy po chwili uśmiechnął się do mnie. Wyglądał jak wcielenie niewinności. Zaczął się śmiać i zapytał mnie:

– Czy nie chcesz wiedzieć, co było w tykwach?

– Oczywiście, że chcę. Wydawało mi się, że to już koniec opowieści.

– Ależ skąd – powiedział z figlarnym błyskiem w oku. – Młody człowiek zabrał tykwy i pobiegł w ustronne miejsce, aby je otworzyć.

– I co w nich znalazł? – zapytałem.

Don Juan spojrzał na mnie i poczułem, że był świadomy, że nieźle gimnastykuję swój umysł. Pokiwał głową i zachichotał.

– No więc – przynaglałem go. – Czy tykwy były puste?

– W tykwach było tylko jedzenie i woda – powiedział. – I młody człowiek w przypływie gniewu rozbił je o skałę.

Powiedziałem, że jego reakcja była całkiem naturalna każdy na jego miejscu zrobiłby to samo.

Don Juan odparł, że młodzieniec był głupcem, który nie wiedział, czego szuka. Nie wiedział, czym jest moc, więc nie mógł poznać, czyją znalazł, czy nie. Nie przyjął Odpowiedzialności za swoją decyzję i dlatego wybuchnął gniewem z powodu popełnionego błędu. Spodziewał się coś zdobyć, ale nie dostał niczego. Don Juan spekulował, że gdybym to ja był tym młodzieńcem i postępował zgodnie ze swoimi skłonnościami, skończyłbym podobnie: wściekły i z wyrzutami sumienia. Niewątpliwie spędziłbym resztę swojego życia, użalając się nad sobą i nad tym, co straciłem.

Następnie wyjaśnił postępowanie starego człowieka, który sprytnie nakarmił młodzieńca, aby zapewnić mu odwagę pełnego żołądka. Dlatego też, kiedy znalazł w tykwach tylko jedzenie, rozbił je w napadzie gniewu.

– Gdyby był świadomy swojej decyzji i przyjął za nią odpowiedzialność – powiedział don Juan – wziąłby jedzenie i byłby bardzo zadowolony. A być może nawet uświadomiłby sobie, że jedzenie także jest mocą.

6. Być myśliwym

Piątek, 23 czerwca 1961

Gdy tylko usiadłem, zacząłem bombardować don Juana pytaniami. On jednak nie odpowiedział, tylko wykonał niecierpliwy gest, dając mi do zrozumienia, abym zamilkł. Był bardzo poważny.

– Wydaje mi się, że się wcale nie zmieniłeś od czasu, kiedy chciałeś się uczyć o roślinach – powiedział oskarżycielskim tonem.

Głośno zaczął robić przegląd wszystkich zmian mojej osobowości, które mi doradzał. Powiedziałem mu, że rozważyłem całą sprawę bardzo poważnie i uznałem, że prawdopodobnie nie będę mógł ich przeprowadzić, ponieważ pozostają one w sprzeczności z moją istotą. Odparł, że samo rozważenie nie wystarczy, a wszystko to, co do tej pory mi powiedział, to nie żarty. Upierałem się, że chociaż niewiele zrobiłem, aby dostosować swoje życie do jego wizji, to jednak naprawdę chcę się uczyć używania roślin.

Po długiej, niewygodnej ciszy odważnie zapytałem:

– Czy nauczysz mnie o pejotlu, don Juanie?

Powiedział, że same intencje nie wystarczą, a wiedza o pejotlu, który po raz pierwszy nazwał Mescalito, to poważna sprawa. Wyglądało na to, że nie ma już nic więcej do powiedzenia.

Jednak wczesnym wieczorem przygotował dla mnie test. Nie dając mi klucza do rozwiązania, postawił przede mną następujące zadanie: miałem odnaleźć dobroczynne miejsce na podłodze przed drzwiami, gdzie zwykliśmy siadać, aby porozmawiać. Takie miejsce, w którym czułbym się absolutnie szczęśliwy i pełen energii. W nocy, kiedy próbowałem odnaleźć ten punkt, turlając się po ziemi, dwa razy na wyznaczonym obszarze odkryłem zmianę barwy jednolicie ciemnej powierzchni klepiska.

To zadanie całkiem mnie wyczerpało i zasnąłem na Jednym z tych miejsc, w których odkryłem zmianę koloru. Rankiem don Juan obudził mnie i zakomunikował mi, że odniosłem sukces. Nie tylko znalazłem dobroczynne miejsce, którego poszukiwałem, ale także jego przeciwieństwo oraz związane z nimi kolory.

Sobota, 24 czerwca 1961

Wczesnym rankiem wybraliśmy się na przechadzkę po pustynnym chaparralu. W drodze don Juan wyjaśnił mi, że dla człowieka znajdującego się na pustkowiu bardzo przydatna jest umiejętność znalezienia dobroczynnego albo wrogiego miejsca. Chciałem skierować konwersację na temat pejotlu, ale don Juan kategorycznie odmówił rozmowy o nim. Ostrzegł mnie, abym więcej o nim nie wspominał, chyba że on sam podejmie ten temat.

Usiedliśmy na odpoczynek w cieniu kilku wysokich krzewów. Pustynny chaparral wokół nas jeszcze całkiem nie wysechł. Był ciepły dzień i dokuczały mi muchy, ale Wydawało się, że zostawiały w spokoju don Juana. Pomyślałem, że je po prostu ignoruje, ale później zauważyłem, że w ogóle nie siadają mu na twarzy.

– Czasami na otwartej przestrzeni konieczne jest szybkie odnalezienie dobroczynnego miejsca – kontynuował don Juan. – Albo też szybko trzeba sprawdzić, czy miejsce w którym ma się zamiar odpoczywać, nie jest złe. Kiedyś usiedliśmy w pobliżu pewnego wzgórza i byłeś wtedy bardzo zły i zdenerwowany. To miejsce było ci wrogie. Mała wrona przekazała ci ostrzeżenie, pamiętasz?

Pamiętałem, że don Juan powiedział mi, abym w przyszłości unikał tej okolicy. Pamiętałem także, że rozzłościłem się, ponieważ nie pozwolił mi się śmiać.

– Wydawało mi się, że wrona, która przeleciała nad naszymi głowami, stanowiła omen wyłącznie dla mnie powiedział. – Nigdy nie spodziewałbym się, że wrony także wobec ciebie będą przyjacielskie.

– O czym mówisz?

– Wrona była omenem – kontynuował. – Jeżeli byś to wiedział, unikałbyś tego miejsca jak zarazy. Jednak nie zawsze pojawiają się wrony, aby przekazać ostrzeżenie i dlatego sam musisz nauczyć się znajdować właściwe miejsce na obóz lub odpoczynek.

Po długiej przerwie don Juan nagle odwrócił się do mnie i powiedział, że jedyną rzeczą, jaką mam zrobić, aby odnaleźć właściwe miejsce, jest zrobienie zeza. Spojrzał na mnie jak człowiek dobrze znający się na rzeczy i budzącym zaufanie tonem oświadczył, że właśnie tak postąpiłem, kiedy

turlałem się po jego werandzie. Dzięki temu byłem w stanie odnaleźć dwa miejsca i ich kolory. Dał mi do zrozumienia, że jest pod wrażeniem mojego osiągnięcia.

– Naprawdę nie wiem, co zrobiłem – tłumaczyłem się zażenowany.

– Zrobiłeś zeza – powiedział stanowczo. – Taka jest technika. Musiałeś to zrobić, chociaż nie pamiętasz.

Następnie don Juan opisał tę metodę, na której opanowanie potrzeba lat. Polega ona na stopniowym zmuszaniu oczu do widzenia rozszczepionego obrazu. Takie jego nieprzetworzenie pociąga za sobą podwójne postrzeganie świata. Ta podwójna percepcja, według don Juana, daje możliwości zauważania zmian w otoczeniu niedostrzegalnych przy zwykłym patrzeniu.

Don Juan zaczął nakłaniać mnie, abym spróbował to zrobić. Zapewniał mnie, że nie jest to szkodliwe dla oczu. Powiedział, że powinienem zacząć od robienia krótkich spojrzeń samymi kącikami. Wskazał mi wielki krzew i zademonstrował, jak mam to robić. Poczułem się dziwnie, widząc, jak oczy don Juana wykonują niewiarygodnie szybkie spojrzenia. Przypominał mi chytre zwierzę, które nie potrafi patrzeć wprost.

Szliśmy może z godzinę, podczas której próbowałem na niczym nie koncentrować wzroku. Później don Juan kazał mi rozdzielać obrazy postrzegane przez każde z oczu. Po następnej godzinie dostałem okropnego bólu głowy i musiałem przestać.

– Czy uważasz, że sam mógłbyś znaleźć dla nas odpowiednie miejsce na odpoczynek? – zapytał.

Nie miałem pojęcia, jakie są kryteria odpowiedniego miejsca. Don Juan cierpliwie wytłumaczył mi, jak krótkie spojrzenia pozwalają oczom na uchwycenie niezwykłych widoków.

– Jakich, na przykład? – zapytałem.

– Nie są to właściwie widoki – powiedział – ale bardziej odczucia. Jeśli spojrzysz na krzew, drzewo czy skałę, gdzie chciałbyś odpocząć, twoje oczy pozwolą ci odczuć, które z miejsc jest najlepsze.

Zacząłem znowu nalegać, aby opisał mi, jakie to odczucia, ale albo nie potrafił, albo po prostu nie chciał tego zrobić. Powiedział, że powinienem podejść do tego praktycznie i znaleźć miejsce, a on wtedy powie mi, czy moje oczy właściwie działały.

W pewnym momencie ujrzałem coś, co uznałem za Kamyk odbijający światło. Nie mogłem go zobaczyć, kiedy koncentrowałem na nim wzrok, ale gdy omiatałem cały obszar szybkimi spojrzeniami, byłem w stanie odkryć coś jakby słabo błyszczącego. Pokazałem to miejsce Gon Juanowi. Znajdowało się ono pośrodku otwartej polanki pozbawionej gęstych krzewów. Don Juan zaśmiał się hałaśliwie i zapytał mnie, dlaczego wybrałem ten punkt. Wyjaśniłem, że zobaczyłem coś połyskującego.

– Nie interesuje mnie, co widziałeś – powiedział. – Mogłeś zobaczyć nawet słonia. Ważne jest, co odczuwałeś.

Nie czułem zupełnie nic. Spojrzał na mnie tajemniczo i powiedział, że żałuje, że nie może wyświadczyć mi tej grzeczności i usiąść razem ze mną, ale usiądzie sobie gdzie indziej, podczas gdy ja będę sprawdzał wybrane przez siebie miejsce.

Usadowiłem się wygodnie, podczas gdy on z ciekawością przyglądał mi się z odległości trzydziestu czy czterdziestu stóp. Po kilku minutach zaczai się głośno śmiać. Najpierw zdenerwowało mnie to. Później doprowadziło do ostateczności. Czułem, że stroi sobie ze mnie żarty. Zacząłem powątpiewać w sens mojego pobytu tam, razem z nim. Niewątpliwie było coś niewłaściwego w sposobie postępowania don Juana względem mnie. Poczułem, że jestem tylko zabawką w jego rękach.

Nagle staruszek z pełną prędkością natarł na mnie i ciągnąc za ramię, odwlókł dziesięć czy dwanaście stóp od tego miejsca. Potem pomógł mi wstać i wytarł sobie pot z czoła. Był wyczerpany. Poklepał mnie po plecach i powiedział, ze ponieważ wybrałem złe miejsce, musiał mnie w pośpiechu ratować, gdyż zauważył, że mogło ono zawładnąć wszystkimi moimi uczuciami. Zaśmiałem się. Wspomnienie don Juana szarżującego na mnie było bardzo zabawne.

Po chwili znowu zaczął mnie namawiać do poszukiwania właściwego miejsca na odpoczynek. Szliśmy dalej, ale nie wykryłem ani nie poczułem niczego. Być może, gdybym był bardziej zrelaksowany, mógłbym coś zauważyć lub poczuć. Jednak przestałem się złościć na don Juana. W końcu to on wskazał kilka skał i tam się zatrzymaliśmy.

– Nie zniechęcaj się – powiedział. – Do właściwego wytrenowania oczu potrzeba dużo czasu.

Nic nie odpowiedziałem. Nie zamierzałem zniechęcać się czymś, czego w ogóle nie rozumiałem. Jednak musiałem przyznać, że od czasu kiedy zacząłem odwiedzać don Juana, już trzy razy chorobliwie się zdenerwowałem, siedząc na miejscach, które on nazywał złymi.

– Cała sztuka polega na tym, aby odczuwać oczami – powiedział. – Teraz problem sprawia ci to, że nie wiesz, co masz odczuwać. Jednak poprzez praktykę dojdziesz do tego.

– Może jednak powinieneś mi powiedzieć, don Juanie, jakich odczuć mam się spodziewać.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nikt nie jest w stanie ci powiedzieć, jakich odczuć masz się spodziewać. Nie jest to ani ciepło, ani światło, ani blask, ani też kolor. To coś innego.

– Czy możesz to opisać?

– Nie. Wszystko, co mogę zrobić, to jedynie podać ci metodę. Kiedy nauczysz się rozdzielać obrazy i zawsze widzieć podwójnie, wtedy musisz skoncentrować swoją uwagę na przestrzeni pomiędzy tymi dwoma obrazami. Zmiana godna uwagi pojawi się właśnie w tym miejscu.

– Jakiego rodzaju są to zmiany?

– To nie jest ważne. Tym, co się liczy, jest odczucie. Każdy człowiek jest inny. Dzisiaj zobaczyłeś coś błyszczącego, ale to nic nie znaczy, ponieważ zabrakło twojego odczucia. Nie mogę ci powiedzieć, jak masz odczuwać. Musisz nauczyć się tego sam.

Odpoczywaliśmy w ciszy przez jakiś czas. Don Juan przykrył sobie twarz kapeluszem i tkwił tak bez ruchu, jakby spał. Byłem pochłonięty robieniem notatek, więc gdy się nagle poruszył, podskoczyłem. Gwałtownie usiadł i zwrócił się do mnie, marszcząc brwi.

– Masz talent do polowania. Tego właśnie powinieneś się nauczyć, polowania. Już więcej nie będziemy rozmawiać o roślinach. – Na chwilę wydął policzki, a potem dodał szczerze: – Nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek o nich rozmawiali, prawda? – Zaśmiał się.

Resztę dnia spędziliśmy, włócząc się we wszystkich kierunkach, a don Juan dawał mi niewiarygodnie precyzyjne wyjaśnienia dotyczące grzechotników. Opisywał, w jaki sposób zakładają gniazdo, jak się poruszają, omawiał ich zwyczaje związane z porami roku i kaprysy. Później przystąpił do praktycznego potwierdzenia każdego punktu swojego opisu. W końcu złowił i zabił wielkiego węża. Odciął mu głowę, wyrzucił wnętrzności, obdarł ze skóry i upiekł. Jego ruchy były tak pełne gracji, że czystą przyjemnością było samo przebywanie z nim i obserwowanie go. Skoncentrowałem się tylko na tym, tak że reszta świata praktycznie przestała dla mnie istnieć.

Jedzenie węża stanowiło bolesny powrót do świata zwykłych spraw. Poczułem nudności, kiedy zacząłem żuć kawałek mięsa. Było to spowodowane jedynie przewrażliwieniem, ponieważ wąż miał doskonały smak, ale mój żołądek decydował niezależnie ode mnie. Ledwie mogłem przełknąć cokolwiek. Myślałem, że don Juan ze śmiechu dostanie ataku serca.

Później w cieniu skał oddaliśmy się lenistwu. Zacząłem pracować nad notatkami i ich ilość uświadomiła mi, że don Juan przekazał mi zadziwiająco dużo informacji o grzechotnikach.

– Twój duch myśliwego powrócił do ciebie – powiedział nagle don Juan z poważnym wyrazem twarzy. – Dałeś się złapać na haczyk.

– Przepraszam?

Chciałem, żeby wyjaśnił mi, co miało znaczyć stwierdzenie, że dałem się złapać na haczyk, ale on tylko zaśmiał się i powtórzył to samo zdanie.

– W jaki sposób dałem się złapać na haczyk? – upierałem się.

– Myśliwy zawsze będzie polował – powiedział. – Ja sam jestem myśliwym.

– To znaczy, że utrzymujesz się z polowania?

– Poluję, aby żyć. Jestem w stanie przeżyć w każdym miejscu, wszędzie. – Wskazał ręką na całe otoczenie. – Bycie myśliwym oznacza dużą wiedzę – kontynuował. – Wtedy inaczej widzi się świat. Po to, aby być myśliwym, trzeba znajdować się w doskonałej równowadze z całym światem. W przeciwnym wypadku polowanie staje się bezsensownym zadawaniem śmierci. Na przykład dzisiaj złapaliśmy małego węża. Musiałem przeprosić go za tak nagłe i ostateczne przerwanie jego życia. Zrobiłem to, co zrobiłem, wiedząc, że pewnego dnia moje własne życie zostanie przerwane bardzo

podobnie, gwałtownie i ostatecznie. Tak więc, wziąwszy wszystko razem, my i węże jesteśmy sobie równi. Jeden z nich nakarmił nas dzisiaj.

– Kiedy polowałem, nigdy nie rozważałem tego rodzaju spraw – powiedziałem.

– To nieprawda. Nie tylko zabijałeś. Ty i twoja rodzina żywiliście się upolowaną przez ciebie zwierzyną. Jego stwierdzenia tchnęły pewnością kogoś, kto tam był. Oczywiście miał rację. Bywały takie czasy, kiedy mojej rodzinie dostarczałem dziczyznę.

Po krótkim wahaniu zapytałem:

– Skąd to wiesz?

– Są takie rzeczy, które po prostu wiem. Nie mogę ci Powiedzieć skąd. Opisałem mu, jak moje ciotki i wujowie nazywali bażantami wszystkie ptaki, które upolowałem. Don Juan powiedział, że łatwo może sobie wyobrazić, jak wróbla nazywają tycim bażancikiem, i dołączył komiczną demonstrację tego, w jaki sposób go jedli. Niezwykłe ruchy jego szczęk sprawiały wrażenie, że rzeczywiście zjada całego ptaka, łącznie z kośćmi.

– Naprawdę wydaje mi się, że masz zmysł myśliwski – powiedział, wpatrując się we mnie. – Popełniliśmy błąd. Być może zechcesz zmienić swoje życie, aby stać się myśliwym.

Przypomniał mi, jak bez większego wysiłku odkryłem, że istnieją dobre i złe miejsca, a także specyficzne ich kolory.

– Oznacza to, że masz talent do polowania – stwierdził. – Nie każdy, kto próbowałby tego dokonać, odnalazłby swoje kolory i miejsca w tym samym czasie.

Perspektywa stania się myśliwym zabrzmiała dla mnie bardzo miło i romantycznie, ale była absurdalna, ponieważ wcale mi na tym nie zależało.

– Wcale nie musi ci zależeć na polowaniu ani nie musisz go lubić – odparł na mój zarzut. – Masz do tego naturalne skłonności. Wydaje mi się, że najlepsi myśliwi nigdy nie lubią polować. Robią to dobrze i to wszystko.

Czułem, że don Juan potrafi w każdej sytuacji przekonać oponenta, a przecież twierdził, że w ogóle nie lubi rozmawiać.

– To tak jak z myśliwymi – powiedział. – Niekoniecznie muszę lubić mówić. Mam po prostu do tego talent. Robię to dobrze i to wszystko.

Uznałem tę jego zręczność przekonywania za naprawdę zabawną.

– Myśliwi muszą być wyjątkowo silni i odporni. Myśliwy nie może liczyć na szczęście. Cały czas usiłowałem cię przekonać, że musisz się nauczyć żyć inaczej. Jak dotąd bez rezultatów. Nie było nic, czego mógłbyś się uchwycić. Teraz sytuacja się zmieniła. Sprowadziłem twojego starego ducha i może dzięki niemu coś zdziałasz.

Zaprotestowałem, że wcale nie chcę zostać myśliwym-Przypomniałem mu, że na samym początku chciałem tylko, aby opowiedział mi o leczniczych roślinach, ale on tak daleko odsunął mnie od mojego pierwotnego celu, że teraz nie mogę sobie nawet przypomnieć, czy rzeczywiście kiedyś tego pragnąłem.

– Dobrze – powiedział. – Bardzo dobrze. Jeśli nie masz wyraźnie sprecyzowanego celu, może staniesz się bardziej pokorny. Ujmijmy to w ten sposób: dla ciebie w rzeczywistości nie ma większego znaczenia, czy będziesz się uczył o roślinach, czy o polowaniu. Sam mi to powiedziałeś. Jesteś zainteresowany wszystkim, o czym ktoś ci powie. Prawda?

Powiedziałem mu to wówczas, starając się ukazać mu szeroki zakres zainteresowań antropologicznych; chciałem też zwerbować go na informatora.

Don Juan zachichotał, z pewnością świadomy, że zupełnie panuje nad sytuacją.

– Jestem myśliwym – powiedział, jak gdyby czytał w moich myślach. – Nie miałem wielkiego wyboru. Być może powinienem ci wyjaśnić, że też nauczyłem się, jak zostać myśliwym. Nie zawsze żyłem tak jak teraz. W pewnym momencie musiałem się zmienić. Teraz tobie wskazuję kierunek. Prowadzę cię. Wiem, o czym mówię, ktoś mnie tego nauczył. Sam nie wymyśliłem tego wszystkiego.

– Czy to ma znaczyć, że miałeś nauczyciela, don Juanie?

– Powiedzmy, że ktoś nauczył mnie polować w ten sam sposób, w jaki ja chcę teraz nauczyć ciebie – powiedział i szybko zmienił temat: – Uważam, że kiedyś polowanie stanowiło jeden z największych

czynów, jakich mógł dokonać człowiek. Wszyscy myśliwi byli ludźmi posiadającymi moc. Myśliwy musi ją mieć, aby sprostać trudom takiego życia.

Nagle to wszystko mnie zaciekawiło. Czy don Juan się odwoływał się do czasów przed podbojem? Postanowiłem go wybadać.

– Kiedy był ten czas, o którym mówisz?

– Kiedyś.

– Kiedy? Co znaczy kiedyś?

– Znaczy, pewnego razu, a może dzisiaj. Nie jest to wcale ważne. W pewnym okresie każdy uważał, że myśliwy to najlepszy z ludzi. Teraz nie wszyscy tak sądzą, ale jest jednak wystarczająco wielu, którzy to wiedzą. Ja to wiem; któregoś dnia i ty będziesz wiedział. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Czy Indianie Yaqui mają taki właśnie stosunek do myśliwych? Chciałbym to wiedzieć.

– Niekoniecznie.

– A Indianie Pima?

– Nie wszyscy, niektórzy.

Wymieniałem różne sąsiednie plemiona. Chciałem zmusić go do stwierdzenia, że myślistwo stanowiło wspólną ideę i wartość dla pewnej określonej grupy ludzi. Ale don Juan unikał bezpośredniej odpowiedzi i dlatego zmieniłem temat.

– Dlaczego to wszystko dla mnie robisz, don Juanie? – zapytałem.

Zdjął kapelusz i z udawanym zmieszaniem podrapał się po głowie.

– Robię gest w stosunku do ciebie – powiedział łagodnie. – Inni ludzie także wykonywali podobne gesty w stosunku do ciebie. Pewnego dnia ty sam zrobisz coś takiego dla innych. Powiedzmy, że teraz moja kolej. Pewnego dnia odkryłem, że jeśli chcę być myśliwym mającym szacunek do siebie samego, muszę zmienić swoje życie. Przedtem stroiłem fochy i narzekałem na wszystko. Miałem wiele powodów, aby czuć się wykorzystywany. Jestem Indianinem, a Indianie są traktowani jak psy. Nie mogłem nic zrobić, aby temu zaradzić, więc pozostawał mi tylko smutek. Lecz później dopisało mi szczęście i ktoś nauczył mnie polować. Wtedy uświadomiłem sobie, że życie, jakie dotąd prowadziłem, nie było nic warte... więc zmieniłem je.

– Ale ja jestem zadowolony ze swojego życia, don Juanie. Dlaczego więc miałbym je zmieniać?

Don Juan zaczął cicho śpiewać meksykańską piosenkę, a później nucił tylko melodię. Kiwał głową, w górę i w dół, zgodnie z rytmem.

– Czy uważasz, że ty i ja jesteśmy sobie równi? – rzucił ostro.

Jego pytanie zaskoczyło mnie. Zabrzęczało mi w uszach, jakby krzyczał, czego przecież nie zrobił. Jednak metaliczny dźwięk jego głosu rozbrzmiewał mi w głowie. Małym palcem lewej ręki podrapałem się w lewym uchu. Uszy swędziały mnie cały czas i dlatego nauczyłem się drapać w nerwowy i rytmiczny sposób, co robiłem małymi palcami obydwu rąk. Ruch ten był w zasadzie potrząsaniem całego ramienia.

Don Juan obserwował moje ruchy z wyraźną fascynacją.

– No więc... czy jesteśmy równi? – zapytał.

– Oczywiście, że jesteśmy równi – powiedziałem.

Naturalnie byłem bardzo łaskawy. Miałem wiele ciepłych uczuć dla niego, nawet wtedy, kiedy nie wiedziałem, co mam z nim zrobić. Jednak gdzieś w głębi mojego umysłu tkwiło nigdy nie wypowiedziane przeświadczenie, że ja, będąc studentem uniwersytetu, człowiekiem z rozwiniętego zachodniego świata, jestem lepszy od Indianina.

– Nie – powiedział spokojnie – nie jesteśmy.

– Daj spokój, pewnie, że jesteśmy – zaprotestowałem.

– Nie – powiedział miękko. – Wcale nie jesteśmy sobie równi. Ja jestem myśliwym i wojownikiem, a ty alfonsem.

Otworzyłem szeroko usta. Nie mogłem uwierzyć, że don Juan rzeczywiście to powiedział. Wypuściłem z rąk notes i oniemiały wpatrywałem się w niego, a później oczywiście ogarnęła mnie furia.

Don Juan patrzył na mnie spokojnymi i skupionymi oczyma. Unikałem jego spojrzenia. Zaczął mówić. Jego słowa płynęły gładko i bezlitośnie. Powiedział, że jestem stręczycielem. Nie rozgrywam swoich własnych bitew, ale bitwy jakichś nieznanych ludzi. Nie chcę uczyć się o roślinach ani o polowaniu, ani o niczym innym. Jego świat sprecyzowanych działań, uczuć i decyzji jest szczęśliwszy niż nieudolny idiotyzm, który nazywam swoim życiem.

Kiedy skończył, byłem jak sparaliżowany. Mówił w sposób pozbawiony wojowniczości i zarozumiałości, a jednak z taką mocą i spokojem, że już więcej nie złościłem się na niego.

Siedzieliśmy w ciszy. Czułem się zakłopotany i nie mogłem wymyślić niczego odpowiedniego, co mógłbym powiedzieć. Czekałem, aż przerwie ciszę. Mijały godziny. Don Juan stopniowo coraz bardziej nieruchomiał, aż wreszcie jego ciało nabrało dziwnej, prawie przerażającej sztywności. Trudno go było dostrzec, ponieważ zapadł wieczór. W końcu, kiedy wokół nas zrobiło się zupełnie ciemno, wydawało mi się, że rozpłynął się w czerni skał. Stan bezruchu don Juana był tak doskonały, że starzec sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie istniał.

Minęła północ, kiedy uświadomiłem sobie, że on, jeśli tylko będzie musiał, może na zawsze pozostać na tym pustkowiu. Jego świat sprecyzowanych działań, uczuć i decyzji był rzeczywiście wspaniałe.

Lekko dotknąłem jego ramienia i łzy popłynęły mi po twarzy.

7. Bycie niedostępnym

Czwartek, 29 czerwca 1961

Don Juan znowu, jak każdego dnia przez prawie tydzień, sprawił, że byłem zauroczony jego wiedzą dotyczącą specyficznych zachowań zwierzyny. Najpierw wyjaśnił mi, ą później zastosował w praktyce kilka sposobów polowania opartych na tym, co nazywał kaprysami przepiórek. Tak całkowicie pochłonęły mnie jego wyjaśnienia, że minął cały dzień, a ja nawet tego nie zauważyłem. Zapomniałem także o lunchu. Don Juan żartował, że opuszczenie posiłku to dla mnie coś całkiem niezwykłego.

Przed zakończeniem dnia złapał pięć przepiórek w niezwykle pomysłowe pułapki, które nauczył mnie budować i zastawiać.

– Dwie dla nas wystarczą – powiedział i wypuścił trzy pozostałe.

Następnie nauczył mnie, jak piec przepiórkę. Chciałem wyciąć kilka zakurzonych krzewów o zielonych gałęziach i liściach, aby zbudować palenisko, tak jak robił to mój dziadek, poprzetykane zielonymi gałązkami i liśćmi i uszczelnione ziemią. Don Juan jednak powiedział, ze nie ma potrzeby krzywdzić krzewów, bo już i tak skrzywdziliśmy przepiórki.

Kiedy skończyliśmy jeść, leniwie poszliśmy w kierunku skał. Usiedliśmy na zboczu z piaskowca, a ja żartobliwie stwierdziłem, że jeśli zostawiłby mi wolną rękę, Upiekłbym na rożnie wszystkie pięć przepiórek i na pewno smakowałyby one lepiej niż te przygotowane przez niego.

– Niewątpliwie – powiedział. – Ale jeśli zrobiłbyś to po swojemu, moglibyśmy nigdy nie opuścić tego miejsca w jednym kawałku.

– Co masz na myśli? – zapytałem. – Co by nam przeszkodziło?

– Krzewy, przepiórki, wszystko wokół dobrałoby się nam do skóry.

– Nigdy nie wiem, kiedy mówisz poważnie – rzekłem z wyrzutem.

Don Juan zrobił gest udawanej niecierpliwości i cmoknął ustami.

– Masz dziwne pojęcie o tym, co znaczy mówić poważnie – powiedział. – Śmieję się dużo, ponieważ lubię się śmiać, natomiast wszystko, co mówię, jest śmiertelnie poważne, nawet jeśli tego nie rozumiesz. Dlaczego świat miałby być taki, jakim ci się wydaje? Kto upoważnił cię do tego, aby tak mówić?

– Nie ma żadnego dowodu na to, że świat jest inny – powiedziałem.

Robiło się ciemno. Zastanawiałem się, czy nie czas wracać już do domu, ale don Juan nie spieszył się, a ja się dobrze bawiłem.

Wiatr był już zimny. Nagle don Juan wstał i powiedział, że musimy wspiąć się na wzgórze i stanąć w miejscu, gdzie nie ma krzewów.

– Nic się nie bój – dodał uspokajająco. – Jestem twoim przyjacielem i dopilnuję, żby nic złego ci się nie stało.

– Co masz na myśli? – zapytałem zatrwożony.

Don Juan posiadał najbardziej zdradliwą umiejętność zmieniania mojego nastroju, od witalnej radości do autentycznego strachu.

– O tej porze dnia świat jest bardzo dziwny – powiedział. – O to mi właśnie chodzi. Niezależnie od tego, co zobaczysz, nie bój się.

– A co mam zobaczyć?

– Jeszcze nie wiem – powiedział, wpatrując się w dal-Nie wydawał się szczególnie zmartwiony. Ja również zacząłem patrzeć w tym samym co on kierunku. Nagle ożywił się i wskazał lewą ręką w stronę ciemnego obszaru krzewów pustynnych.

– Tam jest – powiedział, jakby czekając na coś, co się nagle pojawiło.

– Co to jest? – zapytałem.

– Jest – powtórzył. – Spójrz! Spójrz! Nie widziałem niczego, tylko krzewy.

– Teraz jest tutaj – powiedział z napięciem w głosie. – Jest tutaj.

W tym momencie uderzył we mnie gwałtowny powiew wiatru. Zaczęły mnie piec oczy. Dalej wpatrywałem się we wskazanym kierunku. Nie było tam absolutnie nic nadzwyczajnego.

– Nic nie widzę – powiedziałem.

– Właśnie to poczułeś – odparł. – Właśnie teraz. Weszło ci w oczy i nie mogłeś zobaczyć.

– O czym ty mówisz?

– Specjalnie zabrałem cię na wzgórze – powiedział. – Dobrze nas stąd widać i coś przyjdzie do nas.

– Co? Wiatr?

– Nie tylko wiatr – powiedział surowo. – Dla ciebie może to wyglądać na wiatr, ponieważ wiatr jest tym, co znasz.

Wytężałem wzrok, wpatrując się w pustynne krzewy. Przez chwilę don Juan stał cicho obok mnie, później odszedł w pobliski chaparral i zaczął łamać gałęzie. Zebrał osiem i zrobił z nich wiązkę. Kazał mi postąpić tak samo i głośno przeprosić rośliny za ich okaleczenie.

Kiedy mieliśmy już dwie wiązki, powiedział, że polegniemy teraz z nimi na wzgórze i położymy się na plecach między dwoma wielkimi kamieniami. Na miejscu z wielką szybkością rozłożył gałęzie z mojej wiązki, zakrywając mi nimi całe ciało. Później sam się przykrył i wyszeptał mi poprzez liście, żebym zwrócił uwagę na to, jak ten niby wiatr ucichnie, gdy tylko staniemy się niezauważalni.

Ku mojemu najwyższemu zdumieniu, w jednej chwili wiatr rzeczywiście przestał wiać, tak jak zapowiedział don Juan. Może nie zauważyłbym zmiany, gdybym specjalnie na nią nie czekał. Przez chwilę wiatr świszczał poprzez liście nad moją głową, a później stopniowo wokół nas zapanowała cisza.

Szepnąłem don Juanowi, że wiatr ustał, a on także szeptem odpowiedział mi, że nie powinienem robić żadnego widocznego ruchu ani hałasu, ponieważ to, co nazywałem wiatrem, wcale nim nie było, ale czymś posiadającym własną wolę i dlatego wciąż może nas rozpoznać.

Zaśmiałem się nerwowo.

Przytłumionym głosem don Juan zwrócił mi uwagę na panującą wkoło ciszę i wyszeptał, że zamierza wstać, a ja powinienem zrobić to samo, bardzo łagodnie odkładając gałęzie lewą ręką.

Wstaliśmy równocześnie. Przez chwilę don Juan patrzył ku południowi, a później gwałtownie obrócił się i skierował twarzą na zachód.

– Jest podstępne, naprawdę podstępne – mruczał, wskazując na południowy zachód. – Patrz! Patrz! – nalegał.

Wpatrywałem się tak intensywnie, jak tylko mogłem. Chciałem zobaczyć to, o czym mówił, ale nie zauważyłem niczego. Raczej nie zauważyłem nic, czego bym wcześniej nie widział. Były tam falujące krzewy poruszane łagodnym wiatrem.

– Jest – powiedział don Juan.

W tym momencie poczułem silne uderzenie powietrza w twarz. Wyglądało na to, że tutaj wiatr zaczął wiać właśnie wtedy, kiedy wstaliśmy. Nie mogłem w to uwierzyć. Musiało istnieć logiczne wytłumaczenie tego zjawiska.

Don Juan zachichotał łagodnie i powiedział, abym nie przemęczał swojego mózgu, próbując to racjonalnie wytłumaczyć.

– Narwijmy jeszcze raz gałęzi – rozkazał. – Nienawidzę tego robić tym małym roślinkom, ale musimy cię zatrzymać.

Pozbierał gałęzie, których poprzednio użyliśmy, aby się zakryć, poukładał na nich małe kamienie i nasypał ziemi. Później, powtarzając te same ruchy co przedtem, każdy z nas zerwał osiem nowych gałęzi. Wiatr nie przestawał wiać. Czułem, jak rozwiewa włosy wokół uszu. Don Juan szepnął, że gdy tylko mnie zakryje, nie wolno mi zrobić najmniejszego ruchu ani wydać żadnego dźwięku. Bardzo szybko rozłożył gałęzie na moim ciele, potem położył się i też przykrył.

Pozostawaliśmy w tej pozycji około dwudziestu minut i w tym czasie byłem świadkiem najbardziej niezwykłego zjawiska. Wiatr znowu przeszedł z silnych, bezustannych podmuchów w łagodne drżenie.

Powstrzymywałem oddech, czekając na sygnał don Juana. W pewnym momencie łagodnie odsunął gałęzie. Zrobiłem to samo i wstaliśmy. Wzgórze było bardzo spokojne. Jedynie liście pobliskiego chaparralu łagodnie drżały.

Oczy don Juana niewzruszenie wpatrywały się w krzewy na południe od nas.

– Znów jest! – wykrzyknął głośno.

Odruchowo podskoczyłem, prawie tracąc równowagę, a on głośno, nie znającym sprzeciwu tonem kazał mi patrzeć.

– Co mam widzieć? – zapytałem z desperacją. Odpowiedział, że to, wiatr albo cokolwiek by to było, jest jak chmura albo spirala, która najpierw znajdowała się nad krzewami, a później skręciła na wzgórze, gdzie staliśmy.

Zauważyłem falę tworzącą się na krzewach w oddali.

– Nadchodzi – powiedział mi do ucha don Juan. – Spójrz, jak nas szuka.

Wtedy właśnie, tak samo jak przedtem, silny podmuch wiatru uderzył mnie w twarz. Jednak tym razem moja reakcja była inna, przeraziłem się. Nie zobaczyłem tego, co opisywał mi don Juan, ale straszliwą falę tworzącą się na krzewach. Nie chciałem poddać się lękowi i za wszelką cenę starałem się znaleźć odpowiednie wytłumaczenie. Powiedziałem sobie, że na tym obszarze ciągle milszą pojawiać się powietrzne prądy, a don Juan, dokładnie obznajomiony z tą okolicą, nie tylko wiedział o ich istnieniu, ale także potrafił w pamięci określić dokładny czas ich wystąpienia. Wystarczyło, by się położył, policzył i odczekał, aż wiatr ucichnie. Kiedy wstawał, czekał jedynie na jego ponowne pojawienie się.

Głos don Juana wytrącił mnie z intelektualnych rozważań. Powiedział, że czas już ruszać z powrotem. Ja jednak ociągałem się. Chciałem pozostać, aby przekonać się, czy wiatr się zmniejszy.

– Niczego nie widziałem, don Juanie – powiedziałem.

– Jednak zauważyłeś coś niezwykłego.

– Może znowu powinieneś mi powiedzieć, co miałem zobaczyć.

– Już ci mówiłem. Coś, co ukrywa się w wietrze i wygląda jak spirala, chmura, mgła lub jak twarz, która wiruje.

Don Juan wykonał kilka gestów rękami, aby pokazać mi poziome i pionowe drgania.

– Porusza się w określonym kierunku – kontynuował. – Posuwa się albo wirując, albo się tocząc. Myśliwy musi to wszystko wiedzieć, ażeby odpowiednio poruszać się po pustyni.

Chciałem go rozweselić, jednak on tak poważnie obstawał przy swoim, że nie odważyłem się błaznować. Przez chwilę spoglądał na mnie, ale ja uciekłem od jego spojrzenia.

– Przekonanie, że świat jest taki, jakim ci się wydaje, jest bardzo głupie – powiedział. – Świat to tajemnicze miejsce. Szczególnie o zmroku.

Ruchem brody wskazał w kierunku wiatru.

– Może pójść za nami – powiedział. – Może nas prze-wyczerpać lub nawet zabić.

– Ten wiatr?

– O tej porze dnia, o zmierzchu, nie ma wiatru. O tej porze jest tylko moc.

Siedzieliśmy na wzgórzu przez godzinę. Wiatr wiał mocno i nieprzerwanie przez cały czas.

Piątek, 30 czerwca 1961

Późnym popołudniem, po posiłku, don Juan i ja przenieśliśmy się przed drzwi jego domu. Siadłem na swoim “miejscu" i zacząłem opracowywać notatki. On położył się na plecach z rękami złożonymi na brzuchu. Przez cały dzień nie oddaliliśmy się od domu ze względu na “wiatr". Don Juan wyjaśnił, że rozmyślnie go zaniepokoiliśmy i dlatego lepiej się nie wałęsać. Ja nawet musiałem spać przykryty gałęziami.

Gwałtowny podmuch sprawił, że don Juan podniósł się jednym niewiarygodnie zręcznym podskokiem.

– Niech to diabli! – powiedział. – Wiatr cię szuka.

– Tego to już nie mogę kupić, don Juanie – powiedziałem, śmiejąc się. – Naprawdę nie mogę.

Nie byłem uparty. Po prostu nie mogłem zaakceptować koncepcji, że wiatr posiada swoją własną wolę i poszukuje mnie, albo że nas wytropił i popędził za nami na wierzchołek wzgórza. Powiedziałem, że idea samowolnego wiatru składa się na raczej prymitywną wizję świata.

– Wobec tego czym jest wiatr? – zapytał wyzywającym tonem. Cierpliwie wyjaśniłem mu, że masy gorącego i zimnego powietrza wytwarzają różne ciśnienie, które wywołuje ich pionowy i poziomy ruch. Trochę czasu zajęło mi wyłożenie wszystkich szczegółów podstaw meteorologii.

– Według ciebie, wiatr to tylko gorące i zimne powietrze? – zapytał zmieszany.

– Obawiam się, że tak – powiedziałem i w cichości cieszyłem się ze swojego tryumfu.

Don Juan jakby oniemiał. Ale po chwili spojrzał na mnie i ryknął śmiechem.

– Twoje opinie są ostateczne – powiedział z odcieniem sarkazmu. – To twoje ostatnie słowo, prawda? Jednak dla myśliwego twoje teorie to czyste gówno. Niezależnie od tego, czy ciśnienie wynosi jeden, dwa czy dziesięć, jeśli żyłbyś tutaj na pustkowiu, wiedziałbyś, że podczas zmroku wiatr staje się mocą. Myśliwy, z którego jest jakiś pożytek, wie o tym i zgodnie z tym postępuje.

– Jak postępuje?

– Wykorzystuje zmierzch i moc ukrytą w wietrze.

– Jak?

– Jeśli tego potrzebuje, chowa się przed mocą, zakrywając się i trwając bez ruchu, dopóki nie minie zmierzch, a moc nie okryje go swoją osłoną.

Don Juan wykonał gest owijania czegoś.

– Ta osłona jest jak...

Zrobił przerwę, poszukując właściwego słowa, a ja zasugerowałem:

– ...kokon.

– Właśnie – powiedział. – Osłona mocy otula cię jak kokon. Myśliwy może pozostać na otwartej przestrzeni i żadna puma, żaden kojot czy nawet oślizły robak go nie tknie. Puma może podejść pod sam nos myśliwego i go obwąchać, ale jeśli wytrzyma on bez ruchu, zwierzę odejdzie. Mogę ci to zagwarantować. Jeżeli natomiast myśliwy chce być zauważony, musi jedynie wejść na wierzchołek wzgórza, kiedy zapada zmierzch. Wtedy moc nie da mu spokoju i będzie go szukać przez całą noc. Dlatego też, kiedy myśliwy ma podróżować albo nie chce zasypiać, musi stać się dostępny dla wiatru. Na tym polega tajemnica wielkich myśliwych. Jest się dostępnym albo niedostępnym w zależności od potrzeb i sytuacji.

W mojej głowie zapanował chaos, więc poprosiłem don Juana, aby jeszcze raz wszystko wyjaśnił.

Bardzo cierpliwie tłumaczył mi, że wykorzystał zmierzch i wiatr, aby wykazać, jak bardzo ważne są relacje między ukrywaniem się i pokazywaniem.

– Musisz nauczyć się, jak rozmyślnie stawać się dostępnym lub nie – powiedział. – Przez całe swoje dotychczasowe życie zupełnie nieświadomie byłeś zawsze odkryty.

Zaprotestowałem. Miałem poczucie, że moje życie stawało się coraz bardziej i bardziej sekretne. Don Juan powiedział, że nie zrozumiałem, o co mu chodziło. Bycie niedostępnym wcale nie oznacza ukrywania się albo tajemniczości, ale nieprzystępność.

– Pozwól, że przedstawię to w inny sposób – tłumaczył cierpliwie. – Niczego nie zmieni ukrywanie się, jeśli wszyscy będą o tym wiedzieć. Twoje problemy biorą się właśnie stąd. Kiedy się ukrywasz, wszyscy wiedzą, że się ukrywasz. Gdy tego nie robisz, jesteś dostępny i każdy może cię pokazać palcem.

Poczułem się zagrożony i pośpiesznie próbowałem się bronić.

– Nie tłumacz się – powiedział don Juan beznamiętnie. – Nie ma potrzeby. Wszyscy jesteśmy głupcami, a ty nie możesz stanowić wyjątku. Kiedyś, podobnie jak ty, byłem cały czas dostępny, aż w końcu nic ze mnie nie zostało, może nic oprócz płaczu. Więc też płakałem, tak samo jak ty.

Don Juan przez chwilę trzymał mnie w napięciu, a później głośno westchnął.

– Chociaż byłem młodszy od ciebie – kontynuował – Pewnego dnia miałem dość i zmieniłem się. Powiedzmy, że kiedy stawałem się myśliwym, nauczyłem się sekretu bycia dostępnym i niedostępnym.

Powiedziałem mu, że to do mnie nie przemawia. Naprawdę nie mogłem zrozumieć, co znaczy być dostępnym. Don Juan używał hiszpańskich idiomów *ponerse al alcance oraz ponerse en el medio del camino*, czyli “być w zasięgu" oraz “stanąć na środku ruchliwej drogi".

– Musisz odejść – wyjaśniał. – Musisz wycofać się ze środka ruchliwej drogi. Tam znajduje się cała twoja istota, dlatego nie ma żadnego pożytku z ukrywania się. Tylko wydaje ci się, że się ukrywasz. Znajdowanie się na środku drogi oznacza, że każdy, kto nią przechodzi, widzi, kiedy przychodzisz i odchodzisz.

Jego metafora była interesująca, ale równocześnie niejasna.

– Mówisz zagadkami – powiedziałem.

Przez długą chwilę wpatrywał się we mnie ze skupieniem, a później zaczął nucić piosenkę. Wyprostowałem się, przygotowany na wszystko. Wiedziałem już, że kiedy don Juan zaczynał nucić meksykańską melodię, miał zamiar nieźle mi dołożyć.

– Hej! – powiedział z uśmiechem, badając mnie wzrokiem. – Co stało się z twoją przyjaciółką, blondynką? Tą dziewczyną, którą naprawdę lubiłeś.

Musiałem spojrzeć nań jak ostatni idiota. Zaśmiał się z wielką rozkoszą.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

– Opowiadałeś mi o niej – zapewnił mnie. Ja jednak nie przypominałem sobie, abym mu opowiadał o kimkolwiek, a tym bardziej o blondynce.

– Nic podobnego ci nie mówiłem.

– Oczywiście, że mówiłeś – odpowiedział, jakby nie słyszał mojego argumentu.

Chciałem zaprotestować, ale powstrzymał mnie, mówiąc, że nie ma znaczenia, skąd o niej wie. Ważne jest tylko to, że rzeczywiście ją lubiłem.

Poczułem, jak narasta we mnie fala niechęci do niego.

– Przestań się wykręcać – powiedział don Juan ostro. – Najwyższy czas, żebyś skończył z tym wysokim mniemaniem o swojej wartości. Miałeś kiedyś kobietę, bardzo ci drogą, a później pewnego dnia straciłeś ją.

Zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek rozmawiałem o niej z don Juanem. Doszedłem do wniosku, że nigdy nie było takiej okazji. A jednak mogłem się wygadać. Zawsze, kiedy don Juan ze mną jechał, bez przerwy rozmawialiśmy o wszystkim. Nie pamiętam, o czym mówiliśmy, gdyż

prowadziłem samochód i nie mogłem notować. Doszedłszy do takiego wniosku, poczułem się nieco spokojniejszy. Powiedziałem mu, że ma rację. Tak, w moim życiu była bardzo ważna blondynka.

– Dlaczego nie jest teraz z tobą? – zapytał.

– Odeszła.

– Dlaczego?

– Było wiele powodów.

– Nie tak wiele. Tylko jeden. Byłeś za bardzo dostępny.

Naprawdę chciałem wiedzieć, co przez to rozumie. Znowu mnie poruszył. Był świadomy efektu, jaki na mnie wywarły jego słowa, bo wydął wargi, aby ukryć złośliwy uśmieszek.

– Każdy o was wiedział – stwierdził z niewzruszonym przekonaniem.

– Czy to źle?

– Okropnie. Ona była wspaniałą kobietą.

Szczerze mu zakomunikowałem, że jego grzebanie się w mojej przeszłości jest dla mnie odpychające, a szczególnie to, że swoje stwierdzenia zawsze przedstawia z taką pewnością, jakby tam był i wszystko widział.

– Ale to prawda – powiedział z rozbrajającą szczerością. – Wszystko to widziałem. Ona była wspaniała.

Wiedziałem, że bez sensu byłoby wdawać się z nim w dyskusję, ale rozzłościłem się na niego za to, że ugodził w mój czuły punkt. Powiedziałem, że dziewczyna, o której mówi, wcale nie była taka wspaniała. Według mnie była słaba.

– Tak samo jak ty – powiedział łagodnie. – Ale to nie jest ważne. Ważne jest to, że szukałeś jej wszędzie, co znaczy, że była kimś szczególnym w twoim życiu. A o kimś szczególnym powinniśmy mówić tylko pięknymi słowami.

Poczułem się zakłopotany. Zaczął ogarniać mnie wielki smutek.

– Co ty ze mną robisz, don Juanie? – zapytałem. – Zawsze udaje ci się mnie zasmucić. Dlaczego?

– Teraz jesteś zbyt sentymentalny – powiedział oskarżycielsko.

– O co w tym wszystkim chodzi, don Juanie?

– O to, aby być niedostępnym – stwierdził. – Przypomniałem ci o tej dziewczynie tylko dlatego, ażeby bezpośrednio pokazać ci to, czego nie udało mi się na przykładzie wiatru. Straciłeś ją, ponieważ byłeś dostępny. Zawsze znajdowałeś się w jej zasięgu i twoje życie stało się rutyną.

– Nie – powiedziałem. – Jesteś w błędzie. Moje życie nigdy nie było rutyną.

– Było i jest rutyną – powiedział dogmatycznie. – Jest niezwykle rutynowe i dlatego wydaje ci się, że nie jest. Zapewniam cię, że tak jest.

Chciałem się nadąsać się i poddać przygnębieniu, ale w jakiś sposób oczy don Juana pobudzały mnie i zmuszały do aktywności.

– Sztuka myśliwego polega na tym, aby stać się nieprzystępnym – powiedział. – W przypadku tej dziewczyny znaczyłoby to, że musiałbyś rzadziej się z nią widywać. Nie tak jak to robiłeś. Byłeś z nią dzień w dzień, aż jedynym uczuciem, jakie ci zostało, była nuda. Prawda?

Nie odpowiedziałem. Czułem, że nie muszę. Miał rację.

– Bycie nieprzystępnym oznacza, że oszczędnie dotykasz świata wokół siebie. Zamiast zjeść pięć przepiórek, gadasz tylko jedną. Nie niszczysz roślin, aby zrobić palenisko. Nie wystawiasz się na moc wiatru, jeśli nie jest ci to potrzebne. Nie wykorzystujesz ludzi i nie wyciskasz z nich wszystkiego, aż uschną na pieprz, szczególnie tych, których kochasz.

– Nigdy nikogo nie wykorzystywałem – powiedziałem szczerze.

Jednak don Juan uważał inaczej i dlatego też mogę Otwarcie stwierdzić, że ludzie zaczynają mnie męczyć i nudzić.

– Bycie niedostępnym oznacza, że rozmyślnie unikasz wyczerpywania siebie i innych – kontynuował. – Znaczy to, że nie jesteś głodny i zdesperowany, nie jesteś jak ten biedak, który czuje, że już nigdy więcej nie będzie jadł i pożera całe jedzenie, jakie ma, wszystkie pięć przepiórek!

Don Juan wyraźnie wymierzył cios poniżej pasa. Zaśmiałem się i chyba sprawiłem mu tym przyjemność. Lekko dotknął moich pleców.

– Myśliwy wie, że będzie wciąż od nowa zwabiał do pułapek zwierzynę i dlatego o nic się nie martwi. Martwienie się to stawanie się dostępnym, bez zdawania sobie z tego sprawy. Kiedy się martwisz, jesteś zaniepokojony, w desperacji kurczowo chwytasz się wszystkiego. A wtedy już musisz całkiem wyeksploatować to, czego się uchwyciłeś lub tego kogoś, lub samego siebie.

Powiedziałem, że w moim świecie nie do pomyślenia jest, aby stać się nieprzystępnym. Argumentowałem, że po to, aby normalnie funkcjonować, muszę pozostawać w zasięgu każdego, kto ma ze mną coś wspólnego.

– Już ci mówiłem, że bycie nieprzystępnym wcale nie oznacza ukrywania się czy bycia tajemniczym mówił spokojnie. – Nie oznacza także, że nie możesz kontaktować się z ludźmi. Myśliwy korzysta ze swojego świata oszczędnie i z czułością, niezależnie od tego czy dotyczy to rzeczy, roślin, zwierząt, ludzi, czy mocy. Myśliwy ma bardzo intymny kontakt ze swoim światem, a jednak jest nieprzystępny dla niego.

– To sprzeczność – powiedziałem. – Nie może być nieprzystępny, jeśli pozostaje w tym świecie, przez wszystkie dni, wszystkie lata.

– Nie rozumiesz – rzekł don Juan cierpliwie. – Jest niedostępny, ponieważ nie wykorzystuje wszystkich możliwości i sił tego świata. Lekko go dotyka, przebywa w nim tak długo, jak tego potrzebuje, a później szybko odchodzi, prawie nie pozostawiając śladów.

8. Przerwanie życiowej rutyny

Niedziela, 16 lipca 1961

Cały ranek spędziliśmy, obserwując gryzonie wyglądające jak tłuste wiewiórki, które don Juan nazywał wodnymi szczurami. Zwrócił mi uwagę, jak łatwo potrafiły uniknąć niebezpieczeństwa, ale gdy tylko umknęły jakiemuś drapieżcy, miały okropny zwyczaj zatrzymywania się lub nawet wspinania na kamień i stawania na tylnych łapkach, aby się rozejrzeć lub uporządkować futerko.

– Mają bardzo dobre oczy – powiedział don Juan. – Musisz poruszać się tylko wtedy, kiedy biegną, dlatego też powinieneś nauczyć się przewidywać, kiedy i gdzie się zatrzymają, tak abyś również ty się zatrzymał.

Pochłonęła mnie ich obserwacja i można powiedzieć, że był to dzień pracy w terenie. Jak prawdziwemu myśliwemu wiele z nich udało mi się wytropić. W końcu potrafiłem prawie za każdym razem przewidzieć ich zachowanie.

Później don Juan pokazał mi, jak robić pułapki, aby je schwytać. Wyjaśnił, że myśliwy, aby wiedzieć, gdzie umieścić pułapki, musi poświęcić trochę czasu na odkrycie miejsc, w których jedzą i się gnieżdżą. Zastawia je w nocy, a następnego dnia musi tylko wystraszyć gryzonie, aby same powpadały do jego pułapek. Nazbieraliśmy .trochę patyków i przystąpiliśmy do konstruowania tych Myśliwskich wynalazków. Ja swój prawie skończyłem i byłem bardzo podniecony, zastanawiając się, czy zadziała, kiedy nagle don Juan spojrzał na swój lewy przegub, jak gdyby sprawdzał godzinę na zegarku, którego nigdy nie miał. Powiedział, że według niego, czas na lunch. Właśnie trzymałem długi kij, z którego chciałem zrobić pętlę, naginając go koliście. Automatycznie położyłem go na ziemi wraz z innymi myśliwskimi przyrządami.

Don Juan popatrzył na mnie z wyrazem zaciekawienia. Później wydał zawodzący dźwięk imitujący syrenę fabryczną, ogłaszającą porę lunchu. Zaśmiałem się. Jego syrena była doskonała. Podszedłem do niego i zauważyłem, że się we mnie wpatruje. Pokręcił głową.

– Chyba mnie przekleniesz – powiedział.

– Co się stało? – zapytałem. Znowu zawył jak fabryczna syrena.

– Koniec lunchu – oznajmił. – Wracaj do pracy.

Przez chwilę nie wiedziałem, o co chodzi, ale później pomyślałem, że prawdopodobnie żartował, dlatego ze właściwie nie mieliśmy nic dojedzenia. Byłem tak zaabsorbowany gryzoniami, że

zapomniałem, że nie wzięliśmy zapasów. Podniosłem patyk i usiłowałem go wygiąć. Po chwili don Juan znowu zadął w swój “gwizdek".

– Czas iść do domu – powiedział. Spojrzał na swój wyimaginowany zegarek, później na mnie i zamrugał.

– Jest piąta – stwierdził, jakby odkrywał wielki sekret.

Pomyślałem, że nagle znudziło mu się polowanie i daje sygnał, aby je zakończyć. Położyłem wszystko na ziemi i zacząłem się przygotowywać do powrotu. Nie patrzyłem na niego. Wydawało mi się, że on także się zbiera. Kiedy byłem już gotowy, spojrzałem w jego kierunku i zobaczyłem, że siedzi ze skrzyżowanymi nogami kilka stóp ode mnie.

– Jestem gotowy – powiedziałem. – Możemy iść w każdej chwili.

Wstał i wspiął się na skałę. Stanął tam, pięć czy sześć

Pop nad ziemią, patrząc na mnie. Przyłożył dłonie do ust i wydał przeciągły i bardzo przenikliwy dźwięk, taki fale wzmocniony gwizd fabrycznej syreny. Obrócił się wkoło zawodząc w ten sposób.

– Co robisz, don Juanie? – zapytałem.

Powiedział, że daje sygnał całemu światu, aby szedł do domu. To mnie całkowicie zbiło z tropu. Nie wiedziałem, czy żartuje, czy też już całkiem mu odbiło. Obserwowałem go z przejęciem i próbowałem powiązać to, co robi, z tym, co wcześniej mówił. Prawie nie rozmawialiśmy przez cały poranek i nie mogłem przypomnieć sobie niczego ważnego.

Don Juan wciąż stał na szczycie skały. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i znowu zamrugał. Nagle zacząłem się niepokoić. Don Juan przyłożył dłonie do ust i wydał następny gwiżdżący dźwięk. Powiedział, że jest ósma Kuno i muszę rozłożyć swoje narzędzia, ponieważ mamy przed sobą cały dzień.

To całkowicie zmąciło mój spokój. W ciągu kilku minut mój strach tak wzrósł, że ogarnęło mnie nieodparte pragnienie, aby stamtąd uciec. Pomyślałem, że don Juan oszalał. Chciałem już biec, kiedy ześliznął się ze łkały i podszedł do mnie, uśmiechając się.

– Myślałeś, że oszalałem, co? – zapytał.

Powiedziałem, że swoim niespodziewanym zachowaniem przeraził mnie aż do utraty zmysłów.

Odparł, że jesteśmy kwita. Nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Byłem pod głębokim wpływem myśli, że jego zachowanie jest szalone. Wyjaśnił, że swoim nieoczekiwanym, bezwzględnym działaniem rozmyślnie usiłował tak mnie przerazić, abym stracił rozum, ponieważ ja sam swoim bezwzględnym, całkowicie oczekiwanym działaniem doprowadziłem go do takiego samego stanu. Dodał, że moja rutyna jest tak samo szalona jak jego gwizdy. Byłem zszokowany i przekonywałem go, że moje postępowanie wcale nie jest rutynowe. Powiedziałem mu że wręcz przeciwnie, uważam, że właściwie moje życie to bałagan spowodowany brakiem zdrowych nawyków.

Don Juan zaśmiał się i dał mi znak, abym usiadł obok niego. Cała sytuacja znowu się zmieniła w tajemniczy sposób. Mój lęk zniknął, gdy tylko zaczął mówić.

– Czym jest rutyna? – zapytałem.

– Wszystko, co robisz, to rutyna.

– Czy nie wszyscy tak postępujemy?

– Nie wszyscy. Ja nie żyję rutynowo.

– Co takiego zrobiłem albo powiedziałem, że tak się zachowałeś?

– Martwiłeś się o lunch.

– Nic ci o tym nie mówiłem. Skąd mogłeś wiedzieć, że martwię się o lunch?

– Pilnujesz tego, aby każdego dnia jeść koło południa, koło szóstej wieczorem i ósmej rano – powiedział, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – Niepokoisz się o jedzenie zawsze o tych porach, nawet jeśli wcale nie jesteś głodny. Wystarczyło tylko zadąć w gwizdek, aby ukazać ci ten mechanizm. Twój duch jest wyszkolony, aby pracować na sygnał.

Wpatrywał się we mnie pytająco. Nie miałem nic na swoją obronę.

– Teraz jesteś już gotowy, aby polowanie również przemienić w rutynę – kontynuował. – Wytworzyłeś już swój własny rytm polowania. Rozmawiasz w wyznaczonym czasie, jesz o określonej porze i idziesz spać o określonej godzinie.

Nie miałem nic do powiedzenia. Opis mojego nawyku jedzenia dotyczył wzorca, jaki stosowałem do wszystkiego w swoim życiu. Jednak miałem dziwne odczucie, że w moim przypadku jest tej rutyny mniej niż w życiu większości moich przyjaciół i znajomych.

– Teraz dużo już wiesz o polowaniu – kontynuował don Juan – więc łatwo będzie ci zrozumieć, że dobry myśliwy musi przede wszystkim znać nawyki swojej zwierzyny. Właśnie dzięki temu staje się dobrym myśliwym. Jeśli przypomnisz sobie, jak postępowałem, ucząc cię polowania, prawdopodobnie zrozumiesz, co mam na myśli. Najpierw uczyłem cię, jak robić i ustawiać pułapki, następnie uczyłem cię nawyków zwierzyny, na którą polujesz, a później zastawiania pułapek na te nawyki. Te umiejętności tworzą zewnętrzną formę polowania. Teraz muszę nauczyć cię najważniejszej i dużo trudniejszej. Mogą nawet minąć lata, zanim będziesz mógł powiedzieć, że to rozumiesz i że jesteś myśliwym.

Don Juan przerwał, jakby dając mi czas na zastanowienie. Zdjął kapelusz i zaczai naśladować ruchy gryzoni, które obserwowaliśmy. Było to bardzo śmieszne. Jego okrągła głowa sprawiała, że wyglądał jak jedno z tych myjących swe futro zwierzątek.

– Bycie myśliwym to nie tylko chwytanie zdobyczy – odezwał się znowu. – Dobremu myśliwemu nie dlatego udaje się złowić zwierzynę, że zastawia pułapki albo że zna jej nawyki, ale dlatego że sam nie ma żadnych. Na tym polega jego przewaga. Jest zupełnie inny niż zwierzęta, na które poluje, niezmienne w swych reakcjach i łatwych do przewidzenia kaprysach. Jest wolny, giętki i nieobliczalny.

Słowa don Juana brzmiały w moich uszach jak arbitralna i irracjonalna idealizacja. Nie mogłem sobie wyobrazić życia bez żadnych przyzwyczajeń. Chciałem być z nim szczery, a nie tylko mu przytakiwać lub zaprzeczać. Czułem, że to, o czym mówił, było niewykonalne ani dla mnie, ani dla kogokolwiek innego.

– Nie obchodzi mnie to, co czujesz – powiedział. – Po to, aby być myśliwym, musisz przerwać życiową rutynę. Jesteś dobry w polowaniu. Szybko się uczysz i teraz możesz już zobaczyć, że jesteś taki sam jak twoja zdobycz, łatwo przewidzieć każde twe posunięcie.

Poprosiłem go, by był bardziej konkretny i podał mi przykłady.

– Mówię teraz o polowaniu – powiedział chłodno. – Dlatego interesuje mnie teraz, co zwierzęta robią; miejsca, gdzie się żywią; gdzie, jak i kiedy śpią; gdzie zakładają gniazda; jak się poruszają. Wszystko to nawyki, na które zwracam ci uwagę, abyś stał się ich świadomy w swoim własnym życiu. Obserwowałeś zwyczaje zwierząt na pustyni. Jedzą i piją w pewnych miejscach, w innych zakładają gniazda, zostawiają ślady we właściwy sobie sposób. W rzeczywistości wszystko to może przewidzieć i zrekonstruować dobry myśliwy.

Jak już wcześniej ci mówiłem, według mnie, zachowujesz się tak samo jak twoja zdobycz. Kiedyś w moim życiu ktoś także zwrócił mi na to uwagę, nie jesteś wyjątkiem. Wszyscy zachowujemy się jak zwierzyna, na którą polujemy. Z tego też powodu sami stajemy się celem dla kogoś czy czegoś innego. A więc myśliwemu, który to wszystko wie, chodzi o to, aby samemu nie stać się ofiarą. Czy mnie rozumiesz?

Znowu wyraziłem opinię, że jego koncepcja jest nie do zrealizowania w praktyce.

– Wymaga czasu – powiedział don Juan. – Możesz zacząć od niejedzenia lunchu o dwunastej każdego dnia.

Poparzył na mnie i uśmiechnął się życzliwie. Wyraz jego twarzy był bardzo zabawny i dlatego zaśmiałem się.

– Jednak są zwierzęta nie dające się wytropić – zaczął znów opowieść. – Jest na przykład taki jeleń, którego myśliwy, jeśli jest szczęściarzem, może dzięki czystemu przypadkowi spotkać raz w życiu.

Don Juan zrobił teatralną pauzę i popatrzył na mnie przenikliwie. Wydawało mi się, że czeka na pytanie, ale nie miałem żadnego.

– Jak ci się wydaje, co sprawia, że jest taki wyjątkowy i trudno go znaleźć? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami, bo nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Nie ma nawyków – oznajmił tonem objawienia. – To sprawia, że jest magiczny.

– Jeleń musi w nocy spać – powiedziałem. – Czy to nie jest nawyk?

– Oczywiście, jeżeli jeleń każdej nocy śpi o określonej godzinie i w określonym miejscu. Ale te magiczne istoty tak się nie zachowują. Któregoś dnia sam możesz się o tym przekonać. Być może twoim przeznaczeniem stanie się tropienie jednej z nich do końca życia.

– Co masz na myśli?

– Lubisz polować. Być może któregoś dnia, w jakimś miejscu na świecie twoja droga przetnie się z drogą magicznej istoty i zechcesz na nią zapolować.

– A jej widok jest godny zobaczenia. Miałem tyle szczęścia, że nasze drogi się spotkały. Miało to miejsce zaraz po tym, jak nauczyłem się polować. Pewnego razu byłem w gęstym lesie w górach centralnego Meksyku, kiedy nagle posłyszałem słodki gwizd. Był mi obcy. Nigdy przez te wszystkie lata włóczęgi po pustkowiach nie słyszałem takiego dźwięku. Nie byłem w stanie określić kierunku, z którego pochodził, wydawało mi się, że dobiegał ze wszystkich stron równocześnie. Pomyślałem sobie, że być może jestem otoczony przez stado czy grupę nieznanych zwierząt.

Jeszcze raz posłyszałem ten zwodniczy gwizd. Uświadomiłem sobie, że mam szczęście. Wiedziałem już, że to magiczna istota, jeleń. Wiedziałem również, że magiczny jeleń jest świadomy nawyków zwykłych ludzi i myśliwych.

Bardzo łatwo wyobrazić sobie, co człowiek zrobi w sytuacji takiej jak ta. Przede wszystkim jego strach uczyni z niego ofiarę. Wtedy pozostaną mu dwie możliwości: albo ucieknie, albo stawi czoło. Jeśli będzie nie uzbrojony, z pewnością ucieknie na otwartą przestrzeń, aby uratować życie. Jeśli zaś będzie miał broń, przygotuje ją do strzału. Wtedy zastygnie w miejscu albo położy się na ziemi. Natomiast myśliwy, który tropi zwierzynę na pustkowiu, nigdy nie zapomni zapewnić sobie osłony, zanim wykona jakiś ruch. Może rzucić poncho na ziemię albo powiesić je na gałęzi. Później chowa się i czeka na następny krok zwierzyny.

Znalazłszy się w obecności magicznego jelenia, nie zachowałem się ani w jeden, ani w drugi sposób. Szybko stanąłem na głowie i zacząłem zawodzić. Roniłem łzy i szlochałem tak długo, aż prawie zemdlałem. Nagle poczułem łagodny dotyk powietrza, coś wąchało moje włosy za prawym uchem. Spróbowałem obrócić głowę, aby przekonać się, co to jest, i przewróciłem się. Podniosłem się szybko i zobaczyłem świetliste stworzenie wpatrujące się we mnie. Jeleń patrzył na mnie, a ja powiedziałem, że nie mam zamiaru zrobić mu krzywdy. I jeleń przemówił do mnie.

Don Juan przerwał i spojrzał na mnie. Uśmiechnąłem się mimowolnie. Obraz gadającego jelenia, mówiąc delikatnie, był raczej niewiarygodny.

– Przemówił do mnie – powiedział don Juan z szerokim uśmiechem.

– Jeleń przemówił?

– Tak.

Don Juan wstał i podniósł swoje myśliwskie przybory.

– Naprawdę przemówił? – zapytałem zupełnie skonsternowany.

Don Juan wybuchnął śmiechem.

– Co powiedział? – zapytałem półżartem.

Myślałem, że droczy się ze mną, opowiadając mi niestworzone historie. Don Juan umilkł na chwilę, jak gdyby usiłował sobie przypomnieć, a później jego oczy zajaśniały.

– Magiczny jeleń powiedział: “Cześć przyjacielu". A ja mu odpowiedziałem: “Cześć". Wtedy zapytał mnie, czemu płaczę. A ja na to: “Ponieważ jest mi smutno". Wtedy magiczne stworzenie podeszło i powiedziało mi do ucha tak wyraźnie, jak ja teraz tobie mówię: “Nie bądź smutny". Don Juan zajrzał mi głęboko w oczy z błyskiem czystej przekory. Po chwili ryknął śmiechem.

Powiedziałem, że jego dialog z jeleniem był raczej drętwy.

– Czego się spodziewałeś? – zapytał, wciąż się śmiejąc. – Przecież jestem Indianinem.

Jego poczucie humoru było tak nietypowe, że zacząłem śmiać się razem z nim.

– Nie wierzysz, że magiczne jelenie mówią, prawda?

– Przykro mi, ale nie mogę uwierzyć, że takie rzeczy się wydarzają – powiedziałem.

– Nie mam o to do ciebie pretensji – odparł uspokajająco. – To cholernie dziwna rzecz.

9. Ostatnia bitwa na ziemi

Poniedziałek, 24 lipca 1961

Wczesnym popołudniem, po kilku godzinach włóczenia się po pustyni, don Juan wybrał ocienione miejsce na odpoczynek. Gdy tylko usiedliśmy, zaczął mówić. Powiedział, że dużo nauczyłem się o polowaniu, ale nie zmieniłem się tak bardzo jak on by sobie tego życzył.

– Nie wystarczy wiedzieć, jak budować i zastawiać pułapki – powiedział. – Myśliwy musi żyć jak myśliwy po to, aby najlepiej wykorzystać swoje życie. Niestety, zmiany są trudne i zachodzą bardzo powoli. Czasami mijają lata, zanim człowiek przekona się o tym, że są konieczne. Mnie zabrało to całe lata, ale być może nie mam żyłki do polowania. Wydaje mi się, że dla mnie najtrudniejszą rzeczą było to, ażeby rzeczywiście chcieć się zmienić.

Zapewniłem go, że rozumiem jego punkt widzenia. Faktycznie, od czasu kiedy zaczął mnie uczyć polować, ja również poddałem rewizji swoje życie. Być może najbardziej dramatycznym dla mnie odkryciem było uświadomienie sobie, że podoba mi się sposób postępowania don Juana. Lubiłem go jako człowieka. W jego zachowaniu było coś, co zasługiwało na zaufanie. Sposób, w jaki żył, nie pozostawiał wątpliwości co do jego mistrzostwa, a jednak nigdy nie wykorzystywał swojej przewagi, aby wymagać czegoś ode mnie. Jego zainteresowanie zmianą mojego życia, jak czułem, było bardziej sugestią albo komentarzem dotyczącym moich wad. Dzięki niemu stałem się bardziej świadomy swoich braków, ale jednak nie wyobrażałem sobie, jak jego metody mogą mi pomóc. Byłem szczerze przekonany, że w świetle tego, co chciałem robić w życiu, jego sposoby mogłyby przynieść mi tylko cierpienie i trudy i dlatego znalazłem się w ślepym zaułku. Jednak nauczyłem się szanować jego biegłość, którą zawsze ujawniał w elegancki i precyzyjny sposób.

– Zdecydowałem się zmienić swoją taktykę – powiedział.

Poprosiłem go o wyjaśnienie. Jego stwierdzenie było niejasne i nie wiedziałem, czy odnosi się do mnie.

– Dobry myśliwy zmienia sposób postępowania tak często, jak tego potrzebuje – zareplikował. – Sam o tym wiesz.

– Co masz na myśli, don Juanie?

– Myśliwy nie tylko zna nawyki swojej zwierzyny, ale musi również wiedzieć, że istnieją na ziemi takie moce, które kierują ludźmi, zwierzętami i wszystkim, co żyje.

Czekałem, co powie dalej, ale wyglądało na to, że powiedział już wszystko, co chciał.

– O jakich mocach mówisz? – zapytałem po długiej przerwie.

– O mocach, które kierują naszym życiem i śmiercią.

Don Juan zamilkł i zdawało się, że ma ogromne trudności, żeby zdecydować się, co ma mi powiedzieć. Pocierał dłonie i kiwał głową, wydymając policzki. Dwa razy dał mi znak, abym był cicho, kiedy chciałem poprosić go o wyjaśnienie tych tajemniczych stwierdzeń.

– Nie będzie ci łatwo się zatrzymać – powiedział w końcu. – Wiem, że jesteś uparty, ale to nie ma znaczenia. Im bardziej jesteś uparty, tym lepiej dla ciebie, kiedy w końcu się zmienisz.

– Robię wszystko, co mogę – powiedziałem.

– Nie. Nie zgadzam się z tym. Wcale nie robisz tego, co możesz. Tylko tak mówisz, ponieważ przyjemnie ci tego słuchać. Zawsze tak mówisz, kiedy do czegoś się zabierasz. Robisz wszystko, co możesz, całymi latami i bez żadnego rezultatu. Trzeba coś zrobić, aby temu zaradzić.

Jak zwykle poczułem się zmuszony do obrony. Don Juan zgodnie ze swoją zasadą uderzał w mój najczulszy punkt. Przypomniałem sobie, że za każdym razem, kiedy usiłowałem się bronić przed jego krytyką, wychodziłem na idiotę i dlatego teraz zatrzymałem się w środku długiej, usprawiedliwiającej przemowy.

Don Juan przyjrzał mi się z ciekawością i zaśmiał się. Bardzo uprzejmie przypomniał mi, że już wcześniej stwierdził, że wszyscy jesteśmy głupcami, a ja nie stanowię wyjątku.

– Zawsze czujesz się zmuszony, aby tłumaczyć się ze swoich czynów, jak gdybyś był jedynym człowiekiem na ziemi, który popełnia błędy – powiedział. – Dochodzi tu do głosu twoje stare poczucie własnej wartości i przywiązanie do osobistej historii. Z drugiej strony, nie przyjmujesz

odpowiedzialności za swoje czyny, nie słuchasz rad swojej śmierci, a przede wszystkim każdy ma łatwy dostęp do ciebie. Innymi słowy, twoje życie jest takim samym bałaganem, jakim było, zanim cię spotkałem.

Znowu poczułem przypływ zarozumiałości i chciałem argumentować, że nie ma racji. Dał mi znak, abym był cicho.

– Trzeba przyjąć odpowiedzialność za przebywanie w dziwnym świecie – powiedział. – Żyjemy w dziwnym świecie, wiesz o tym?

Skinąłem potwierdzająco głową.

– Nie mówimy o tym samym – odparł. – Dla ciebie świat jest dziwny, ponieważ wtedy, kiedy cię nie nudzi, występuje przeciw tobie. Natomiast dla mnie świat jest dziwny, ponieważ jest zdumiewający, przerażający, tajemniczy, niezgłębiony. Pragnę cię przekonać, że musisz przyjąć odpowiedzialność za bycie tutaj, w tym cudownym świecie, na tej cudownej pustyni, w tym cudownym czasie. Chcę cię przekonać, że musisz się nauczyć, jak sprawić, aby każdy twój czyn się liczył, ponieważ będziesz tutaj tylko przez chwilę. Zbyt krótko, aby zobaczyć wszystkie cuda świata.

Tłumaczyłem mu, że znudzenie światem albo pozostawanie z nim w sprzeczności to odwieczna cecha kondycji ludzkiej.

– A więc zmień ją – odparł sucho. – Jeśli nie odpowiesz na to wyzwanie, będziesz niewiele więcej wart od trupa.

Podjudzał mnie do wymienienia choćby jednej rzeczy w moim życiu, w którą całkowicie się zaangażowałem. Powiedziałem, że była nią sztuka. Zawsze chciałem być artystą i przez lata próbowałem coś tworzyć. Wciąż mam bolesne wspomnienie swojego niepowodzenia.

– Nigdy nie przyjąłeś odpowiedzialności za bycie w tym niezgłębionym świecie – powiedział oskarżycielsko. – Dlatego też nigdy nie byłeś artystą i być może nigdy nie będziesz myśliwym.

– Robiłem wszystko, na co mnie było stać, don Juanie.

– Nie. Nie wiesz, na co cię stać.

– Robię wszystko, co mogę.

– Znowu nie masz racji. Możesz robić to lepiej. W tym wszystkim jest tylko jedna zła rzecz: wydaje ci się, że masz dużo czasu.

Przerwał i spojrzał na mnie, jakby oczekiwał reakcji.

– Myślisz, że masz dużo czasu – powtórzył.

– Dużo czasu na co, don Juanie?

– Myślisz, że twoje życie będzie trwać wiecznie.

– Nie, wcale tak nie myślę.

– Wobec tego, jeśli nie myślisz, że twoje życie będzie trwać wiecznie, to na co czekasz? Dlaczego wahasz się i nie chcesz się zmienić?

– Czy kiedyś, don Juanie, zauważyłeś, że ja nie chcę się zmienić?

— Tak, zauważyłem. Ja tak samo nie chciałem się zmieniać. Jednak ja nie lubiłem swojego życia. Byłem nim zmęczony, tak samo jak ty. Za to teraz wcale nie mam go dość.

Wybuchnąłem, że to zmuszanie mnie do zmiany trybu życia jest przerażające i arbitralne. Powiedziałem, że do pewnego stopnia zgadzam się z nim, ale jednak sam fakt, że on zawsze wszystko mi wytyka, sprawia, że sytuacja staje się dla mnie nie do zniesienia.

– Nie masz czasu na to przedstawienie, głupcze – powiedział surowo. – To, cokolwiek robisz teraz, może być twoim ostatnim czynem na ziemi. Równie dobrze może to być twoja ostatnia bitwa. Nie ma takiej mocy, która zagwarantowałaby ci, że pożyjesz jeszcze minutę dłużej.

– Wiem o tym – powiedziałem, hamując gniew.

– Nie, nie wiesz. Gdybyś wiedział, byłbyś myśliwym.

Odparłem, że wystarczy mi świadomość grożącej mi śmierci, ale bez sensu jest mówienie o niej, ponieważ nie mogę nic zrobić, aby jej uniknąć. Don Juan zaśmiał się i powiedział, że jestem jak komediant odklepujący swoją rolę.

– Gdyby to była twoja ostatnia bitwa na ziemi, powiedziałbym, że jesteś idiotą – stwierdził spokojnie. – Marnujesz swój ostatni czyn na jakieś głupie humory.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Moje myśli biegły niepohamowanym strumieniem. Don Juan miał oczywiście rację.

– Nie masz czasu, przyjacielu, ani chwili czasu. Nikt z nas go nie ma – powiedział.

– Zgadzam się z tobą, don Juanie, ale...

– Nie masz co się zgadzać – warknął. – Zamiast tak łatwo się zgadzać, zacznij działać. Podejmij wyzwanie. Zmień się.

– Tak po prostu?

– Właśnie. Zmiana, o której mówię, nigdy nie zachodzi stopniowo, następuje nagle. A ty nie przygotowałeś się na ten nagły akt.

Wydawało mi się, że jest w tym sprzeczność. Wytłumaczyłem mu, że jeżeli miałbym się przygotowywać do zmiany, to z pewnością zmieniałbym się stopniowo.

– Nie zmieniłeś się ani trochę – powiedział. Dlatego uważasz, że zmieniasz się po trochu. Jednak, być może, pewnego dnia zdziwisz się, kiedy nagle zmienisz się bez żadnego ostrzeżenia. Wiem, że tak będzie i dlatego nie przestaję cię przekonywać.

Nie miałem już żadnych argumentów. Nie byłem pewny, co właściwie chcę powiedzieć. Po chwili przerwy don Juan dalej wyjaśniał swój punkt widzenia.

– Może powinienem ująć to inaczej – powiedział. – Radziłbym ci, abyś zwrócił uwagę na to, że nie mamy żadnej pewności co do tego, czy nasze życie będzie trwało wiecznie. Powiedziałem ci już, że zmiany nadchodzą gwałtownie i niespodziewanie, tak samo jest ze śmiercią. Jak ci się wydaje, co możemy z tym zrobić?

Wydawało mi się, że to pytanie retoryczne, ale on ruchem brwi nakłaniał mnie do odpowiedzi.

– Żyć tak szczęśliwie, jak tylko się da – powiedziałem.

– W porządku! Ale czy znasz kogoś, kto żyje szczęśliwie?

Zgodnie z pierwszym impulsem chciałem powiedzieć, ze tak. Wydawało mi się, że wielu ludzi mogę podać za Przykład. Jednak w końcu, uznałem, że moje wysiłki staną się tylko bezowocną próbą oczyszczenia się z zarzutów.

– Nie – powiedziałem. – Naprawdę nie znam. . – A ja tak – zareplikował don Juan. – Są tacy ludzie, którzy zważają na naturę swych czynów. Ich szczęście polega na tym, że działają z pełną świadomością całkowitego braku czasu. Dlatego ich czyny mają szczególną moc – Ich czyny mają...

Don Juanowi zabrakło chyba słów. Podrapał się po głowie i uśmiechnął. Później nagle wstał, jakby już skończył rozmowę. Poprosiłem go, żeby jednak dokończył to o czym zaczai mi mówić. Usiadł i wydął policzki.

– Czyny mają moc – powiedział. – Szczególnie wtedy, kiedy osoba, która działa, wie, że jej czyny stanowią ostatnią jej bitwę. Dziwnego, ekscytującego szczęścia dostarczają działania oparte na pełnej wiedzy o tym. Radziłbym ci, żebyś ponownie przyjrzał się swojemu życiu i działał, mając to na uwadze.

Nie zgadzałem się z nim. Dla mnie szczęście polegało na przeświadczeniu o naturalnej ciągłości moich czynów, o tym, że będę w stanie kontynuować do woli to, co robię teraz, a szczególnie wtedy, kiedy przynosi mi to radość. Powiedziałem mu, że moja opinia nie jest bezpodstawna, ale opiera się na przekonaniu, że świat i ja sam posiadamy zdeterminowaną ciągłość.

Don Juan był rozbawiony wysiłkami nadania sensu mojej wypowiedzi. Śmiał się, kiwał głową, drapał się po niej, a w końcu, kiedy mówiłem o zdeterminowanej ciągłości, rzucił kapelusz na ziemię i stanął na nim. Skończyłem więc przemowę, śmiejąc się z jego błazeństw.

– Nie masz czasu, przyjacielu – powiedział. – Na tym polega nieszczęście istot ludzkich. Nikt z nas nie posiada wystarczająco dużo czasu, a twoja ciągłość nie ma żadnego znaczenia w tym wzbudzającym grozę, tajemniczym świecie. Sprawia tylko, że jesteś bojaźliwy. Twoje czyny z pewnością nie mają błyskotliwości, mocy i zniewalającej siły czynów dokonywanych przez człowieka, który wie, że walczy w swojej ostatniej bitwie na ziemi-Innymi słowy, twoja ciągłość wcale nie czyni cię szczęśliwym ani pełnym mocy.

Przyznałem mu się, że bałem się myśleć o swojej śmierci i oskarżyłem go, że ciągłym przypominaniem mi o niej wzbudza we mnie lęk.

– Ale przecież wszyscy musimy umrzeć – powiedział i wskazał na wzgórza w oddali. – Tam gdzieś ona czeka na mnie, jestem tego pewny. Przyłączę się do niej, tego też jestem pewny. Ale być może ty jesteś inny i śmierć wcale na ciebie nie czeka.

Zaśmiał się w odpowiedzi na mój gest rozpaczy. – Nie chcę o niej myśleć, don Juanie.

– Dlaczego?

– To bez sensu. Jeśli czeka na mnie, to po co mam się tym przejmować?

– Wcale nie powiedziałem, że masz się nią przejmować.

– Wobec tego co mam robić?

– Wykorzystać ją. Skoncentruj uwagę na nici łączącej ciebie i twoją śmierć, bez wyrzutów sumienia, smutku czy obawy. Skoncentruj się na tym, że nie masz czasu, i niech twoje czyny będą się na nim opierać. Niech każdy twój czyn będzie twoją ostatnią bitwą na ziemi. Tylko wtedy, kiedy spełnisz te warunki, będą posiadały właściwą moc. W przeciwnym przypadku, pozostaną one czynami człowieka bojaźliwego.

– Czy to coś strasznego być bojaźliwym?

– Nie, jeśli jesteś nieśmiertelny, ale jeśli masz umrzeć, nie ma czasu na bojaźliwość, po prostu dlatego że sprawia ona, że przywiązujesz się do czegoś, co istnieje tylko w twoich myślach. Uspokaja cię, kiedy panuje spokój, ale kiedy przerażający, tajemniczy świat otworzy paszczę, aby cię pochłonąć, tak samo jak każdego z nas, wtedy uświadomisz sobie, że twoje niezawodne sposoby postępowania wcale nie były takie niezawodne. Bojaźń nie pozwala nam na zbadanie i wykorzystanie naszego losu.

– To nie jest naturalne, aby żyć, ciągle myśląc o swojej śmierci, don Juanie.

– Śmierć czeka na nas i ten czyn, którego teraz dokonujemy może być naszą ostatnią bitwą na ziemi – odparł soczystym tonem. – Nazywam to bitwą, ponieważ życie jest walką. Większość ludzi działa, nie walcząc ani nie myśląc. Natomiast w przeciwieństwie do nich, myśliwy oszacowuje każdy czyn, a ponieważ posiada gruntowną wiedzę o swojej śmierci, postępuje rozumnie, tak jakby każdy jego czyn był jego ostatnią bitwą. Tylko głupiec nie zauważyłby przewagi, jaką myśliwy posiada nad zwykłymi ludźmi. Myśliwy odnosi się do swojej ostatniej bitwy z należnym jej szacunkiem. Naturalne jest, że dokonując ostatniego czynu na ziemi, powinien dać z siebie wszystko. Dzięki temu odczuwa przyjemność, która stępia ostrze jego przerażenia.

– Masz rację – przyznałem. – Ale trudno mi to zaakceptować.

– Całe lata zajmie ci przekonanie się do tego, a później znowu miną lata, zanim zaczniesz tak postępować. Mam nadzieję, że wystarczy ci czasu.

– Jestem przerażony, kiedy tak mówisz – powiedziałem.

Don Juan z poważnym wyrazem twarzy zbadał mnie wzrokiem.

– Powiedziałem ci, że to dziwny świat. Siły, które kierują ludźmi są nieprzewidywalne, przerażające, ale jednak czasami można być świadkiem ich wspaniałości.

Przestał mówić i znowu na mnie spojrzał. Wyczuwałem, że jest na granicy ujawnienia mi czegoś, ale powstrzymał się i uśmiechnął się tylko.

– Czy jest coś, co nami kieruje? – zapytałem.

– Oczywiście. Są moce, które nami kierują.

– Czy możesz je opisać?

– Nie całkiem, poza tym że można je nazwać siłami, duchami, powietrzem, wiatrem czy czymś podobnym.

Chciałem go wybadać, ale on wstał, zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać. Gapiłem się na niego oszołomiony. Wstał w jednej chwili. Jego ciało wykonało nagły ruch i już był na nogach.

Wciąż rozmyślałem o jego niezwykłych zdolnościach umożliwiających mu poruszanie się z taką szybkością, kiedy suchym, rozkazującym tonem polecił mi wytropić królika, złapać go, zabić, ściągnąć

z niego skórę i upiec mięso przed zmierzchem. Popatrzył na niebo i powiedział, że powinienem zdążyć.

Automatycznie przystąpiłem do działania, postępując w taki sam sposób jak dziesiątki razy wcześniej. Don Juan szedł obok mnie i śledził moje ruchy badawczym wzrokiem. Byłem bardzo spokojny, poruszałem się ostrożnie i nie miałem żadnego kłopotu ze złapaniem królika.

– Teraz zabij go – powiedział don Juan ostro.

Sięgnąłem do pułapki, aby wyjąć królika. Złapałem go za uszy i wyciągnąłem, kiedy ogarnęło mnie dziwne uczucie strachu. Od czasu kiedy don Juan zaczął mnie uczyć polować, nigdy nie zdarzyło się, aby pokazywał mi, jak mam zabijać zwierzynę. Wiele razy włóczyliśmy się po pustyni i przez cały ten czas on sam zabił tylko jednego królika, dwie przepiórki i jednego grzechotnika.

Upuściłem klatkę z królikiem i spojrzałem na don Juana.

– Nie mogę go zabić – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Nigdy tego nie robiłem.

– Przecież zabiłeś setki ptaków i innych zwierząt.

– Zastrzeliłem je, a nie zabiłem gołymi rękami.

– Cóż to za różnica? Czas królika skończył się.

Ton don Juana zaszokował mnie. Był tak zdecydowany, emanował pewnością i wiedzą, że nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że czas królika dobiegł końca.

– Zabij go! – rozkazał z dzikim spojrzeniem.

– Nie mogę.

Krzyknął na mnie, że królik musi umrzeć. Powiedział, Ze jego życie na tej pięknej pustyni dobiegło końca. Nie mam co zawracać sobie nim głowy, ponieważ moc czy też duch kierujący królikami zaprowadził u progu zmierzchu właśnie jego do mojej pułapki.

Poczułem natłok chaotycznych myśli, jakby właśnie tutaj na mnie czekały. Z rozdzierającą serce jasnością czułem tragedię królika, który wpadł w moją pułapkę. W przeciągu kilku sekund przez mój umysł przewinęły się najistotniejsze momenty z mojego życia. Zrozumiałem, jak wiele razy sam byłem królikiem.

Popatrzyłem na niego, a on na mnie. Zwierzę przywarło do tylnej ściany klatki, skuliło się, siedziało cicho i bez ruchu. Wymieniliśmy smutne spojrzenia, a jego odebrałem jako wyraz milczącej rozpaczy, co spowodowało całkowitą identyfikację z nim.

– Do diabła z zabijaniem – powiedziałem głośno.

– Nikogo nie zabiję. Ten królik będzie wolny.

Zadrżałem z emocji. Trzęsły mi się ręce, kiedy próbowałem chwycić królika za uszy, ale on był za szybki i chybiłem. Spróbowałem jeszcze raz i znów mi się nie udało. Ogarnęła mnie rozpacz. Poczułem mdłości i gwałtownie kopnąłem klatkę, aby go uwolnić. Okazała się nadspodziewanie mocna i nie rozbiła się, jak przewidywałem. Moje zdeterminowanie przerodziło się w udrękę nie do zniesienia. Z całych sił, prawą nogą nadepnąłem na krawędź klatki. Jej pręty złamały się z trzaskiem. Wyciągnąłem królika na zewnątrz. Odczułem przez chwilę ulgę, która w następnym momencie gwałtownie zmieniła się w rozpacz i przerażenie. Królik zwisał bezwładnie. Był martwy.

Nie wiedziałem, co robić. Opanowało mnie pragnienie odkrycia, w jaki sposób zdechł. Odwróciłem się do don Juana. Wpatrywał się we mnie. Dreszcz strachu przebiegł mi po plecach.

Usiadłem obok skały. Okropnie bolała mnie głowa. Don Juan położył mi na niej rękę i wyszeptał do ucha, że muszę zdjąć skórę z królika i upiec go, zanim zapad' nie noc.

Czułem mdłości. Don Juan bardzo cierpliwie przemawiał do mnie, zupełnie tak, jakby mówił do dziecka. Powiedział, że moce, które kierują ludźmi albo zwierzętami, przyprowadziły tego królika do mnie w taki sam sposób, jak poprowadzą mnie do mojej śmierci. Powiedział, że śmierć królika jest dla mnie darem, zupełnie tak samo jak moja śmierć będzie darem dla kogoś lub czegoś innego.

Kręciło mi się w głowie. Proste zdarzenia tego dnia wykończyły mnie. Usiłowałem przekonać samego siebie, że to tylko królik. Jednak nie potrafiłem wyzbyć się niesamowitego poczucia identyfikacji z nim.

Don Juan powiedział, że powinienem zjeść kawałek jego mięsa, przynajmniej jeden kęs, aby uprawomocnić swoje odkrycie.

– Nie mogę tego zrobić – zaprotestowałem pokornie.

– Jesteśmy niczym dla tych mocy – warknął na mnie. – Dlatego zostaw swoje poczucie ważności i właściwie wykorzystaj ten dar.

Podniosłem królika. Był jeszcze ciepły. Don Juan pochylił się nade mną i wyszeptał mi do ucha:

– Twoja pułapka była dla niego ostatnią bitwą na ziemi. Jak ci powiedziałem, nie zostało mu już ani trochę czasu, aby biegać po tej cudownej pustyni.

10. Stać się dostępnym dla mocy

Czwartek, 17 sierpnia 1961

Gdy tylko wyszedłem z samochodu, zacząłem narzekać na swoje nędzne samopoczucie.

– Siadaj, siadaj – powiedział don Juan łagodnie i prawie zaprowadził mnie za rękę na werandę. Uśmiechną} się i poklepał mnie po plecach.

Dwa tygodnie wcześniej, 4 sierpnia, don Juan, jak zapowiedział, zmienił swoją taktykę i pozwolił mi przyjąć kilka gałek pejotlu. Podczas największego nasilenia halucynacyjnych wrażeń bawiłem się z psem, który mieszkał w domu, gdzie odbywała się sesja. Don Juan zinterpretował moją zabawę z psem jako wyjątkowe wydarzenie. Utrzymywał, że w momentach mocy, takich jak ten, który wtedy przeżyłem, świat zwykłych zdarzeń nie istnieje i niczego nie można uznać za pewne. Pies nie był prawdziwym psem, ale wcieleniem Mescalito, mocy czy też bóstwa znajdującego się w pejotlu.

Późniejszym skutkiem tego doświadczenia było ogólne poczucie zmęczenia i melancholii, plus przypadki wyjątkowo wyraźnych snów i koszmarów.

– Gdzie są twoje przybory do pisania? – zapytał don Juan, kiedy usiadłem na werandzie.

Zostawiłem swoje notesy w samochodzie. Don Juan wrócił do niego, ostrożnie wyciągnął moją walizkę i przyniósł mi ją.

Zapytał, czy zwykle noszę ją ze sobą. Odpowiedziałem twierdząco.

– To szaleństwo – podsumował. – Mówiłem ci, żebyś nigdy nie nosił niczego w rękach, kiedy chodzisz. Używaj plecaka.

Zaśmiałem się. Pomysł noszenia notatek w plecaku był niedorzeczny. Powiedziałem mu, że zwykle chodzę w garniturze i plecak w połączeniu z nim byłby absurdalny.

– Załóż płaszcz na plecak – powiedział. – Lepiej żeby ludzie myśleli, że masz garb, niż miałbyś zrujnować sobie zdrowie, nosząc to cały czas w ręku.

Nalegał, abym wyjął notes i zaczął pisać. Wydawało mi się, że bardzo się stara mnie rozluźnić.

Znowu zacząłem narzekać na dotkliwe bóle i na dziwną depresję.

Don Juan zaśmiał się i rzekł:

– Zaczynasz się uczyć.

Później odbyliśmy długą rozmowę. Powiedział, że Mescalito, pozwalając mi bawić się z sobą, wskazał na mnie jako na wybrańca i dlatego, chociaż zdezorientował go ten omen, gdyż nie jestem Indianinem, zamierza jednak przekazać mi pewną tajemną wiedzę. Powiedział mi, że on sam miał dobroczyńcę, który nauczył go, jak stać się człowiekiem wiedzy.

Czułem, że wydarzy się coś strasznego. Jego wyznanie, że jestem wybrańcem, plus absolutnie osobliwe postępowanie don Juana oraz destrukcyjny wpływ pejotlu wytworzyły we mnie stan

nieznośnego lęku i niezdecydowania. Ale don Juan nie przejął się moimi uczuciami i poradził mi, abym myślał tylko o cudzie zabawy z Mescalito.

– Nie myśl o niczym innym – dodał. – Reszta przyjdzie sama.

Wstał i klepiąc mnie lekko po głowie, dodał bardzo godnie:

– Zamierzam nauczyć cię, jak zostać wojownikiem, tak samo jak uczyłem cię polowania. Muszę cię jednak Strzec, że podobnie jak nauka polowania nie uczyniła z ciebie myśliwego, tak teraz mogę nie zrobić z ciebie wojownika.

Byłem sfrustrowany, a fizyczne dolegliwości graniczyły z bólem. Zacząłem uskarżać się na plastyczne sny i koszmary. Myślał o tym przez chwilę i znowu usiadł.

– To są dziwne sny – powiedziałem.

– Zawsze miałeś dziwne sny – odparował.

– Ale mówię ci, że teraz są naprawdę dużo dziwniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

– Nie przejmuj się. To tylko sny. Tak jak sny zwykłego człowieka, nie mają mocy. A więc po co martwić się nimi albo o nich mówić?

– One mnie niepokoją, don Juanie. Czy nie mógłbym czegoś zrobić, aby je powstrzymać?

– Nie. Niech same ustaną – powiedział. – Teraz nadszedł czas, abyś stał się dostępny dla mocy, i zaczniesz od śnienia.

Ton jego głosu, kiedy mówił o śnieniu, sprawił, że uznałem, iż używa tego słowa w bardzo szczególny sposób. Zastanawiałem się nad pytaniem, jakie mam zadać, kiedy znowu zaczął mówić.

– Nigdy nie mówiłem ci o śnieniu, ponieważ do tej pory chciałem uczyć cię tylko tego, jak zostać myśliwym – powiedział. – Myśliwy nie jest zainteresowany manipulowaniem mocą, dlatego jego sny są tylko snami. Mogą poruszać cię do głębi, ale nie są śnieniem.

Natomiast wojownik poszukuje mocy, a jedną z prowadzących do niej ścieżek jest śnienie. Można powiedzieć, że różnica pomiędzy myśliwym a wojownikiem polega na tym, że wojownik postępuje ścieżką mocy, a myśliwy nic o niej nie wie albo wie bardzo mało.

Decyzja co do tego, kto ma być wojownikiem, a kto tylko myśliwym, nie zależy od nas. Zostaje podjęta w sferze mocy, które kierują człowiekiem. Dlatego właśnie twoja zabawa z Mescalito była tak ważnym omenem. Te moce przywiodły cię do mnie, zabrały cię na dworzec autobusowy, pamiętasz? Pewien błazen przyprowadził cię do mnie. Doskonały omen, błazen wskazujący na ciebie. Dlatego uczyłem cię, jak zostać myśliwym. A później pojawił się następny doskonały omen, sam Mescalito bawił się z tobą. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Jego niezwykła logika była przytłaczająca. Słowa don Juana stworzyły wizję, w której podlegałem czemuś przerażającemu i nieznanemu, czemuś, czego zupełnie się nie spodziewałem i nawet w najdziwniejszych fantazjach nie wyobrażałem sobie jego istnienia.

– Co, według ciebie, powinienem robić? – zapytałem.

– Otwórz się na przyjęcie mocy. Zabierz się za swoje sny. Nazywasz je snami, ponieważ nie masz mocy. Natomiast wojownik, będąc człowiekiem poszukującym mocy, nie nazywa ich snami, ale rzeczywistością.

– Uważasz, że bierze swoje sny za rzeczywistość?

– On nie myli ze sobą żadnych rzeczy. To, co ty nazywasz snami, jest dla wojownika rzeczywiste. Musisz zrozumieć, że wojownik nie jest głupcem. Jest nieskazitelnym myśliwym, który poluje na moc. Nie jest pijakiem ani szaleńcem. Nie ma czasu ani chęci na blagowanie czy też okłamywanie samego siebie, ani na wykonanie nie właściwego ruchu. Stawki są zbyt wysokie, aby mógł robić coś takiego. Ryzykuje swoim precyzyjnie uporządkowanym życiem, a doprowadzenie go do doskonałości zajęło mu dużo czasu. Nie ma zamiaru go zmarnować przez jakiś głupi błąd w kalkulacji, przez pomylenie ze sobą jakichś rzeczy. Śnienie jest rzeczywiste dla wojownika, ponieważ może on w nim działać w zamierzony sposób, jest w stanie dokonać selekcji. Z wielkiej liczby rzeczy może wybierać te, które prowadzą do mocy, a póz niej manipulować nimi i wykorzystywać je. Natomiast w zwykłym śnie nie da się działać w zamierzony sposób.

– Czy wobec tego uważasz, że śnienie jest rzeczywiste?

– Oczywiście, że jest rzeczywiste.

– Tak rzeczywiste jak to, co teraz robimy?

– Jeśli chcesz porównywać, mogę ci powiedzieć, ze jest bardziej rzeczywiste. Podczas śnienia posiadasz moc, jesteś w stanie zmieniać rzeczy, możesz odkryć niezliczoną ilość faktów, możesz kontrolować wszystko, co tylko zechcesz.

Stwierdzenia don Juana zawsze przemawiały do mnie tylko częściowo. Bez trudu mogłem zrozumieć, że podoba mu się idea możliwości dokonywania wszystkiego we śnie, ale nie mogłem jej traktować poważnie. Byłoby to zbyt dużo jak na mnie.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Jego twierdzenia były szalone, a jednak nie mogłem sobie przypomnieć, bym kiedykolwiek spotkał człowieka tak mądrego jak on.

Powiedziałem mu, że nie mogę uwierzyć, że bierze swoje sny za rzeczywistość. Zachichotał, jakby był przekonany o absolutnej niemożności obrony mojego stanowiska. Potem wstał i bez słowa wszedł do domu.

Przez długi czas siedziałem osłupiały. Potem don Juan zawołał mnie na tyły swojej chaty. Przygotował trochę kukurydzianki i wręczył mi miskę.

Zapytałem go o czas, kiedy się nie śpi. Chciałem się dowiedzieć, czy nie ma na ten okres szczególnej nazwy. Ale albo nie zrozumiał, albo nie chciał odpowiedzieć.

– Jak nazywasz to, co teraz robimy? – zapytałem go, chcąc mu zwrócić uwagę na to, czym jest rzeczywistość w przeciwieństwie do snu.

– Nazywam to jedzeniem – powiedział, powstrzymując śmiech.

– A ja rzeczywistością – wyjaśniłem – ponieważ jedzenie jest czymś, co się naprawdę teraz odbywa.

– Śnienie również się odbywa – zareplikował, chichocząc. – Tak samo jak polowanie, chodzenie, śmianie się.

Nie wysunąłem już dalszych argumentów. Nie mogłem jednak, nawet gdybym bardzo się postarał, przekroczyć swoich ograniczeń i zaakceptować jego stwierdzeń. Don Juan wydawał się rozkoszować moją desperacją. Gdy tylko skończyliśmy jeść, niedbale stwierdził, że wybierzemy się na przechadzkę, ale nie będziemy się już błąkać po pustyni, tak jak to robiliśmy poprzednio.

– Teraz jest inaczej – powiedział. – Od dzisiaj zaczniemy chodzić do miejsc mocy. Nauczysz się, jak stać się dostępnym dla mocy.

Znowu dałem wyraz wewnętrznej rozterce. Powiedziałem, że się nie kwalifikuję do tego przedsięwzięcia.

– Daj spokój, pozwalasz sobie na głupie lęki – powiedział cicho, klepiąc mnie po plecach i uśmiechając się życzliwie. – Przemawiam teraz do twojego ducha myśliwego. Przecież lubisz włóczyć się ze mną po pięknej pustyni. Teraz już za późno, aby to porzucić.

Zaczął iść w kierunku pustynnego chaparralu. Dał mi znak ruchem głowy, abym poszedł za nim. Mógłbym wrócić do samochodu i odjechać, ale przecież bardzo lubiłem chodzić razem z nim. Lubiłem to wrażenie, którego doświadczałem tylko w jego towarzystwie, że rzeczywiście jest to przerażający, tajemniczy, a jednak piękny świat. Tak jak powiedział, złapałem się na haczyk.

Don Juan poprowadził mnie ku wzgórzom na wschodzie. Wycieczka okazała się bardzo długa. Był gorący dzień. Jednak wysokiej temperatury, zwykle dla mnie nie do zniesienia, jakoś nie odczułem.

Kawał drogi szliśmy kanionem. Don Juan wreszcie zatrzymał się i usiadł w cieniu kamieni. Wyjąłem krakersy z plecaka, ale on powiedział mi, żebym sobie nimi nie zawracał głowy. Chciał, abym usiadł w wyróżniającym się miejscu. Wskazał na samotnie stojący w odległości dziesięciu, piętnastu stóp prawie okrągły kamień i pomógł mi wspiąć się na niego. Myślałem, że siądzie razem ze mną, ale on podszedł tylko po to, aby podać mi kilka kawałków suszonego mięsa. Ze śmiertelną powagą powiedział, że to mięso mocy i trzeba je żuć powoli, nie mieszając z żadnym innym pożywieniem. Później wrócił w ocienione miejsce i usiadł, opierając się plecami o ścianę. Był spokojny, niemalże śpiący. Pozostał w tej pozycji, dopóki nie skończyłem jeść. Później usiadł wyprostowany i zwrócił głowę na prawo. Uważnie nasłuchiwał. Spojrzał na mnie dwa czy trzy razy, wstał nagle i zaczął wzrokiem badać otoczenie, tak jak to robi myśliwy. Automatycznie zastygłem w bezruchu na swoim miejscu i poruszałem tylko oczyma, śledząc jego poczynania. Bardzo ostrożnie wycofał się za skały, jakby spodziewał się, że podejdzie do nas zwierzyna. Wtedy zauważyłem, że znajdowaliśmy się w kolistym, podobnym do zatoczki zagięciu wyschłego koryta rzeki, otoczonym głazami z piaskowca.

Don Juan nagle wyszedł zza skał i uśmiechnął się do mnie. Przeciągnął się, ziewnął i podszedł do kamienia, na którym siedziałem. Rozluźniłem się i swobodnie usiadłem.

– Co się stało? – zapytałem szeptem.

Odpowiedział mi, wrzeszcząc, że w pobliżu nie ma nic, czym można by się niepokoić.

Poczułem gwałtowne szarpnięcie w żołądku. Jego odpowiedź była nienaturalna i niepojęty był dla mnie jego krzyk, którego z pewnością nie użyłby, nie mając ku temu ważnych powodów. Zacząłem zsuwać się z kamienia, ale on wrzasnął, że powinienem jeszcze chwilę tam pozostać.

– Co robisz? – zapytałem.

Usiadł i ukrył się pomiędzy dwiema skałami u podstawy głazu, na którym siedziałem. Później bardzo głośno powiedział, że musiał rozejrzeć się wkoło, bo wydawało mu się, że coś posłyszał. Zapytałem go, czy było to jakieś wielkie zwierzę. Don Juan przyłożył rękę do ucha i wrzasnął, że mnie nie słyszy i dlatego muszę do niego krzyczeć. Krępowałem się, ale on nalegał, abym krzyczał. Wrzasnąłem, że chciałbym wiedzieć, co się dzieje, a on odkrzyknął, że niczego tu nie ma. Następnie zapytał mnie, czy z wierzchołka mojego kamienia widzę coś niezwykłego. Powiedziałem, że nie, a wtedy on poprosił mnie, abym opisał mu widok rozciągający się na południe od nas.

Krzyczeliśmy tak do siebie przez jakiś czas, po czym dał mi znak, żebym zszedł na dół. Podszedłem do niego, a on szepnął mi do ucha, że krzyk był potrzebny do ujawnienia mojej obecności, ponieważ muszę stać się dostępny dla mocy wody zamieszkujących to wyjątkowe miejsce.

Rozejrzałem się wkoło, ale nie zauważyłem żadnej wody. Pokazał, że stoimy nad nią.

– Tutaj jest woda – szepnął – a także moc. Jest tutaj duch i musimy go wywabić. Może pójdzie za tobą.

Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym domniemanym duchu, ale don Juan nakazał całkowitą ciszę. Poradził mi, abym trwał w bezruchu i nawet szeptem czy najmniejszym drgnieniem nie zdradził naszej obecności.

Trwanie godzinami w zupełnym bezruchu wyraźnie było dla niego bardzo łatwe, za to dla mnie stanowiło wyjątkową torturę. Ścierpły mi nogi, bolały mnie plecy i czułem napięcie w ramionach i szyi. Całe ciało mi zdrętwiało i zmarzłem. Don Juan w końcu wstał. Po prostu skoczył na równe nogi i wyciągnął do mnie rękę, aby mi pomóc. Kiedy próbowałem się wyprostować, zwróciłem uwagę na niepojętą łatwość, z jaką don Juan poderwał się po kilku godzinach bezruchu. Minęło trochę czasu, zanim moje mięśnie odzyskały elastyczność potrzebną do chodzenia.

Don Juan skierował się ku domowi. Szedł bardzo wolno. Wyznaczył odległość trzech kroków jako dystans, który miałem utrzymywać, idąc za nim. Umyślnie błądził, naszą zwykłą trasę przecinał cztery czy pięć razy w różnych kierunkach. Kiedy w końcu dotarliśmy do domu, było późne popołudnie.

Próbowałem wypytywać go o wydarzenia minionego dnia. Wytłumaczył mi, że rozmowa nie jest potrzebna. Na razie muszę powstrzymać się od zadawania pytań, do czasu kiedy znajdziemy się w miejscu mocy.

Umierałem z ciekawości, aby dowiedzieć się, co przez to rozumie i szeptem próbowałem zadać pytanie, ale on, spoglądając surowo, przypomniał mi, że ubiliśmy interes.

Siedzieliśmy na werandzie przez kilka godzin. Pracowałem nad notatkami. Od czasu do czasu podawał mi kawałek suszonego mięsa. W końcu zrobiło się za ciemno na pisanie. Próbowałem myśleć o czekających mnie nowych przygodach, ale jakaś część mnie zupełnie odmówiła funkcjonowania i zasnąłem.

Sobota, 19 sierpnia 1961

Wczoraj rano don Juan i ja pojechaliśmy do miasta i zjedliśmy śniadanie w restauracji. Don Juan poradził mi, żebym zbyt drastycznie nie zmieniał swoich nawyków związanych z posiłkami.

– Twoje ciało nie jest przyzwyczajone do mięsa mocy powiedział. – Rozchorowałbyś się, gdybyś nie jadł tego co zwykle.

On sam zajadał z wielkim apetytem. Kiedy zacząłem z tego żartować, powiedział po prostu:

– Moje ciało lubi wszystko.

Koło południa znowu wybraliśmy się do wodnego kanionu. Aby zauważył nas duch, prowadziliśmy hałaśliwą rozmowę, a potem zachowywaliśmy przymusową ciszę, trwającą godzinami.

Kiedy opuściliśmy to miejsce, zamiast skierować się do domu, don Juan udał się w stronę gór. Najpierw dotarliśmy do łagodnych wzniesień, a później wspięliśmy się na szczyt jednego z wyższych wzgórz. Tutaj don Juan wybrał niczym nie osłonięte miejsce na odpoczynek. Powiedział, że musimy zaczekać na zmierzch i że powinienem zachowywać się w jak najbardziej naturalny sposób, co znaczy, że mogę zadawać wszelkie pytania, jakie tylko zechcę.

– Wiem, że tutaj czai się duch – powiedział bardzo cicho.

– Gdzie?

– Tam, w krzakach.

– Jaki to rodzaj ducha?

Popatrzył na mnie z ironicznym wyrazem twarzy i za-replikował:

– A ile jest ich rodzajów?

Zaśmialiśmy się. Ze zdenerwowania zadawałem głupie pytania.

– Wyjdzie o zmierzchu – powiedział. – Musimy tylko poczekać. Siedzieliśmy w ciszy. Zabrakło mi pytań.

– Teraz jest czas, kiedy musimy rozmawiać – powiedział. – Ludzki głos przyciąga duchy. Tam jeden już się czai. Abyśmy byli dla niego dostępni, powinniśmy rozmawiać.

Doświadczałem idiotycznego uczucia pustki. Nie mogłem niczego wymyślić. Don Juan zaśmiał się i poklepał mnie po plecach.

– Rzeczywiście, ciężki z ciebie typ – powiedział. – Kiedy masz mówić, zapominasz języka w gębie. No, rusz Jadaczką.

Zrobił zabawną minę, otwierając i zamykając usta z wielką szybkością.

– Są takie rzeczy, o których od teraz będziemy mówić tylko w miejscach mocy – kontynuował. – Przyprowadziłem cię tutaj, ponieważ zaczyna się twoja pierwsza próba. To jest miejsce mocy i możemy tutaj mówić tylko o niej.

– Naprawdę nie wiem, czym jest moc – powiedziałem.

– Moc jest czymś, czym zajmuje się wojownik – odparł. – Na początku to coś niewiarygodnego, bardzo odległego, o czym nawet trudno pomyśleć. To właśnie wydarza się teraz tobie. Później moc staje się czymś ważnym. Możesz jej nie mieć albo nawet nie zdawać sobie sprawy z jej istnienia, a jednak wiesz, że jest coś, czego przedtem nie dało się zauważyć. Następnie moc manifestuje się jako coś niekontrolowanego, co przychodzi do ciebie. Nie mogę powiedzieć, jak przychodzi ani czym naprawdę jest. Jest niczym, a jednak dokonuje cudów na twoich oczach. Aż w końcu moc staje się czymś, co jest w tobie, co kontroluje twoje działania, ale jednak pozostaje pod twoimi rozkazami.

Nastąpiła krótka pauza. Don Juan zapytał mnie, czy wszystko zrozumiałem. Czułem się zabawnie, dając twierdzącą odpowiedź. Chyba zauważył moją konsternację, bo zachichotał.

– Właśnie teraz zamierzam nauczyć cię pierwszego kroku do osiągnięcia mocy – powiedział, jakby dyktował list do mnie. – Zamierzam nauczyć cię, jak ustawić śnienie.

Spojrzał na mnie znowu i zapytał, czy wiem, co ma na myśli. Odpowiedziałem, że nie. W ogóle z trudnością nadążałem za tym, co mówił. Wyjaśnił, że ustawienie śnienia oznacza posiadanie prostej i praktycznej kontroli nad ogólną sytuacją we śnie. Takiej kontroli, jaką mamy na pustyni, kiedy możemy dokonać wyboru pomiędzy wejściem na wzgórze, a pozostaniem w cieniu wodnego kanionu.

– Musisz zacząć od czegoś bardzo prostego – powiedział. – Dzisiejszej nocy musisz patrzeć w snach na swoje ręce.

Zaśmiałem się głośno. Jego ton był tak zwyczajny, jakby opowiadał mi o czymś, co należy do zjawisk codziennych.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytał zdziwiony.

– Jak mam patrzeć we śnie na ręce?

– Bardzo prosto, skieruj na nie swój wzrok. O tak.

Pochylił głowę do przodu i z otwartymi ustami zaczął się gapić na swoje ręce. Wyglądał tak komicznie, że nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

– A teraz poważnie. Jak spodziewasz się, że to zrobię? – zapytałem.

– Tak, jak ci powiedziałem – odburknął. – Możesz oczywiście patrzeć na cokolwiek, na co ci się podoba, do cholery. Jeśli o to chodzi, mogą to być palce u nóg, twój brzuch czy kutas. Powiedziałem ci o rękach, ponieważ dla mnie najłatwiej jest patrzeć na nie. Nie myśl, że to żart. Śnienie jest tak poważne jak widzenie, umieranie czy każda inna rzecz w tym przerażającym, tajemniczym świecie.

Pomyśl o tym, jak o czymś zabawnym. Wyobraź sobie wszystkie niepojęte rzeczy, jakie dzięki temu możesz osiągnąć. Człowiek polujący na moc nie podlega prawie żadnym ograniczeniom w swoim śnieniu.

Poprosiłem go, aby dał mi jakieś wskazówki.

– Nie ma żadnych wskazówek – powiedział. – Patrz tylko na swoje ręce.

– Z pewnością jest jeszcze coś, co mógłbyś mi powiedzieć – nalegałem.

Pokręcił przecząco głową i zezując, rzucił na mnie kilka krótkich spojrzeń.

– Każdy z nas jest inny – powiedział w końcu. – Wskazówką dla ciebie mogłoby być tylko to, co ja sam robiłem, kiedy się uczyłem. Nie jesteśmy tacy sami, w ogóle nie Jesteśmy podobni.

– Może jednak powiedziałbyś coś, co by mi pomogło.

– Będzie prościej, jeśli będziesz tylko wiedział, że masz patrzeć na swoje ręce. – Wyglądał, jakby układał myśli, i rytmicznie kiwał głową. – Zawsze kiedy spojrzysz na jakąś rzecz w swoich snach, ona zmienia kształt – powiedział po długiej chwili ciszy. – Sztuka ustawiania śnienia nie polega tylko na widzeniu rzeczy, ale na utrzymywaniu ich widoku. Śnienie staje się rzeczywiste kiedy udaje ci się skupić na wszystkim, co zechcesz. Wtedy nie ma różnicy pomiędzy tym, co robisz, kiedy śpisz i kiedy nie śpisz. Rozumiesz, o czym mówię?

Powiedziałem, że chociaż zrozumiałem, o czym mówił, to jednak nie jestem w stanie zaakceptować jego poglądu. Przytoczyłem argument, że w cywilizowanym świecie są setki ludzi, którzy ogarnięci iluzją nie potrafią odróżnić tego, co się dzieje w świecie rzeczywistym od swoich fantazji. Powiedziałem, że bez wątpienia takie osoby są psychicznie chore, a moje obawy wzrastają za każdym razem, kiedy doradza mi, abym zachowywał się jak wariat.

Po tym moim długim wyjaśnieniu don Juan wykonał komiczny gest rozpaczy, przykładając ręce do policzków i głośno wzdychając.

– Zostaw swój cywilizowany świat – powiedział. – Niech będzie taki, jaki jest! Nikt nie każe ci się zachowywać jak szaleniec. Jak już ci powiedziałem, wojownik musi być doskonały, po to aby wiedzieć, jak obchodzić się mocami, na które poluje. Jak możesz uważać, że wojownik nie potrafi odróżniać tak podstawowych stanów? Natomiast ty, przyjacielu, który doskonale wiesz, czym jest rzeczywisty świat, gdybyś miał polegać na swojej zdolności odróżniania rzeczywistego od nierzeczywistego, od razu spaprałbyś całą robotę i umarł.

Najwyraźniej nie udało mi się przekazać tego, o co mi rzeczywiście chodziło. Zawsze, gdy sprzeciwiałem się temu, co mówił, wyrażałem po prostu moje ogrornn6 rozgoryczenie tym, że jestem na z góry straconej pozycji– Nie próbuję wpędzać cię w chorobę, wariacie – kontynuował don Juan. – Możesz to zrobić sam, bez mojej pomocy. Lecz siły, które nami kierują, przyprowadziły de do mnie, a ja usiłowałem cię nauczyć, jak zmienić twój głupi sposób życia, abyś mógł prowadzić mocne i czyste życie myśliwego. Później moce zwróciły mi uwagę, że powinieneś stać się nieskazitelnym wojownikiem. Wydaje mi się, że jednak tego nie potrafisz. Ale kto może być tego pewny? Jesteśmy tak tajemniczymi i tak przerażającymi istotami jak ten bezkresny świat. Więc któż może wiedzieć, do czego jesteś zdolny?

W głosie don Juana pobrzmiewała nuta smutku. Chciałem go przeprosić, ale on znów zaczął mówić.

– Nie musisz patrzeć na swoje ręce – powiedział. – Jak już ci mówiłem, możesz wybrać to, co zechcesz. Lecz zdecyduj się wcześniej, a później znajdź to w swoich snach. Powiedziałem ci o rękach, ponieważ one są tam zawsze.

Kiedy zaczną zmieniać kształt, musisz przenieść wzrok na coś innego, a później spojrzeć na nie znowu. Opanowanie tej techniki wymaga czasu.

Byłem tak zajęty pisaniem, że nie zauważyłem, iż zaczęło się już ściemniać. Słońce już zniknęło za horyzontem. Niebo było pochmurne i nadciągał już zmierzch. Don Juan wstał i zaczął rzucać ukradkowe spojrzenia na południe.

– Chodźmy – powiedział. – Musimy iść na południe i poczekać, aż pokaże się duch wody.

Szliśmy może pół godziny. Krajobraz gwałtownie się zmienił i znaleźliśmy się na obszarze pozbawionym roślinności. Było tam wielkie okrągłe wzgórze, na którym chaparral został wypalony. Wyglądało jak łysa głowa. Udaliśmy się w jego kierunku. Myślałem, że don Juan będzie chciał wspiąć się po jego łagodnym stoku, ale on się zatrzymał i przyjął niezwykle czujną postawę. Całe Jego ciało zdawało się napięte niczym jeden mięsień; Przez chwilę drżał. Później znów się rozluźnił i stanął niedbale. Na próżno się głowiłem, jak mógł utrzymywać pozycję pionową przy takim rozluźnieniu mięśni.

W tym momencie szarpnął mną bardzo silny podmuch wiatru. Don Juan zwrócił się w kierunku wiatru, na zachód. Nie używał mięśni do wykonania obrotu, a przynajmniej nie robił tego tak jak ja. Wydawało mi się, że ciało don Juana pociągnęła jakaś siła z zewnątrz. Wyglądało to tak, jakby ktoś inny go odwrócił.

Cały czas wpatrywałem się w niego. On patrzył na mnie kącikami oczu. Jego twarz wyrażała zdecydowanie i nieugiętą wolę. To uczucie przenikało całą jego istotę; wpatrywałem się w niego jak urzeczony. Nigdy nie znalazłem się w takiej sytuacji, która wymagałaby tego rodzaju dziwnej koncentracji.

Nagle zadrżał, jakby ktoś spuścił na niego zimny prysznic. Jego ciało poddało się jeszcze jednemu wstrząsowi, a później don Juan zaczął iść, jakby nic się nie wydarzyło.

Udałem się za nim. Obeszliśmy nagie wzgórza od wschodu i doszliśmy do środkowej części podnóża. Tutaj don Juan zatrzymał się, zwracając się twarzą na zachód. Z miejsca, na którym staliśmy, szczyt wzgórza nie wydawał się już taki okrągły i gładki jak z dużej odległości. W pobliżu jego wierzchołka znajdowała się jaskinia albo dziura. W skupieniu wpatrywałem się w nią, ponieważ don Juan robił to samo. Przy następnym silnym podmuchu wiatru dreszcz przeszedł mi po plecach. Don Juan zwrócił się na południe i zaczął wzrokiem penetrować cały teren.

– Tam – powiedział szeptem i wskazał na jakiś obiekt na ziemi.

Wytężyłem wzrok, aby coś zobaczyć. Jakieś dwadzieścia stóp od nas coś leżało na piasku. Było jasnobrązowe i drżało, kiedy na to patrzyłem. Skoncentrowałem na tym całą swoją uwagę. Było prawie okrągłe, jakby skulone, przypominało zwiniętego w kłębek psa.

– Co to jest? – szeptem zapytałem don Juana.

– Nie wiem – odparł podobnie cicho. – Według ciebie, na co to wygląda? Powiedziałem mu, że podobne jest do psa.

– Zbyt duże jak na psa – powiedział rzeczowo.

Zrobiłem kilka kroków w kierunku tej rzeczy, ale don Juan zatrzymał mnie łagodnie. Zacząłem się znowu wpatrywać. Niewątpliwie było to jakieś zwierzę, albo śpiące, albo martwe. Prawie mogłem dostrzec jego głowę i uszy sterczące jak u wilka. Wówczas byłem już najzupełniej przekonany, że to jakieś skulone zwierzę. Pomyślałem sobie, że może to być brązowy cielak. Szepnąłem to don Juanowi. Odpowiedział, że jest za bardzo skulone jak na cielę, a poza tym ma sterczące uszy.

Zwierzę znowu zadrżało i wtedy przekonałem się, że jest żywe. Widziałem, jak oddycha, chociaż jego boki nie poruszały się rytmicznie. Spazmatycznie łapało powietrze. W tym momencie nagle zrozumiałem.

– To zwierzę jest w agonii – szepnąłem don Juanowi.

– Masz rację – wyszeptał w odpowiedzi. – Ale co to za zwierzę?

Nie byłem w stanie dostrzec żadnych wyróżniających się cech. Don Juan zrobił kilka ostrożnych kroków w jego kierunku. Podążyłem za nim. W tym czasie zrobiło się już całkiem ciemno i musieliśmy zbliżyć się jeszcze o dwa kroki, aby widzieć zwierzę.

– Uważaj – szepnął mi don Juan do ucha. – Jeśli jest umierające, może na nas skoczyć, wykorzystując resztkę swojej energii.

Zwierzę, jeśli to było zwierzę, zdawało się dogorywać jego oddech był nieregularny, ciałem wstrząsały skurcze, ale nie zmieniło swojej skulonej pozycji. W pewnym momencie niezwykle silny spazm podniósł je z ziemi. dosłyszałem nieludzki wrzask i zwierzę wyprostowało nogi. Miało tak przerażające pazury, że na ich widok zrobiło mi się niedobrze. Po wyprostowaniu nóg, przewróciło się na bok, a później przetoczyło na grzbiet. Posłyszałem potężny ryk i krzyczącego don Juana:

– Uciekaj! Ratuj swoje życie!

Właśnie to robiłem. Wdrapałem się na szczyt wzgórza z niewiarygodną szybkością i zręcznością. Kiedy byłem w połowie drogi, odwróciłem się i zobaczyłem don Juana stojącego w tym samym miejscu. Dał mi znak, abym zszedł na dół. Zbiegłem więc do niego.

– Co się stało? – zapytałem bez tchu.

– Myślę, że zwierzę nie żyje – powiedział.

Zbliżyliśmy się do niego ostrożnie. Leżało na grzbiecie. Kiedy podszedłem bliżej, o mało nie krzyknąłem ze strachu. Przekonałem się, że jeszcze nie zdechło. Jego ciałem wciąż wstrząsały skurcze. Nogi sterczące w górę dziko podrygiwały. Zwierzę niewątpliwie wydawało ostatnie tchnienie.

Stanąłem przed don Juanem. Nowe szarpnięcie poruszyło ciałem zwierzęcia i wtedy zobaczyłem jego głowę. Przerażony odwróciłem się do don Juana. Sądząc po korpusie, zwierzę z pewnością było ssakiem, jednak miało dziób jak ptak.

Wpatrywałem się w nie w stanie absolutnego przerażenia. Mój umysł nie mógł uwierzyć w istnienie czegoś takiego. Stałem oniemiały. Nie potrafiłem wypowiedzieć ani jednego słowa. W całym swoim życiu nie widziałem niczego podobnego. Coś niepojętego znajdowało się teraz przed moimi oczami. Chciałem, aby don Juan wytłumaczył mi, czym jest to nieprawdopodobne zwierzę, ale byłem w stanie jedynie coś wymamrotać. Wpatrywał się we mnie. Spoglądałem raz na niego, raz na zwierzę, aż wreszcie wszystko poskładało mi się w całość i wiedziałem już, czym było. Zbliżyłem się i podniosłem je. Była to wielka gałąź krzewu. Została spalona i prawdopodobnie wiatr nawiał pyłu i popiołu, które przykryły gałąź, nadając jej wygląd wielkiego, brzuchatego zwierzęcia. Kolor spopielonych resztek, kontrastując z zieloną roślinnością, nadał całej gałęzi barwę jasnobrązową.

Zaśmiałem się ze swojej głupoty i w podnieceniu opisałem don Juanowi, jak wiatr sprawił, że gałąź wyglądała jak żywe zwierzę. Wydawało mi się, że będzie zadowolony ze sposobu, w jaki rozwiązałem tajemnicę, ale on odwrócił się i zaczął iść na szczyt wzgórza. Podążyłem za nim. Wczołgał się do zagłębienia, które wyglądało jak jaskinia. Nie był to jednak otwór, ale płytka szczerba w piaskowcu.

Don Juan kilkoma małymi gałązkami zmiótł pył nagromadzony na dnie wgłębienia.

– Musimy pozbyć się kleszczy – wytłumaczył. Dał mi znak, abym usiadł, i kazał mi znaleźć sobie wygodne miejsce, bo spędzimy tutaj noc. Zacząłem mówić o gałęzi, ale uciszył mnie.

– To, co zrobiłeś, to nie żaden sukces – powiedział. – Zmarnowałeś wspaniałą moc, moc, która tchnęła życie w suchą gałąź.

Powiedział, że prawdziwym sukcesem byłoby, gdybym porzucił wszystko i podążył za mocą, aż świat przestałby istnieć. Nie wyglądało na to, żeby złościł się na mnie albo był rozczarowany moim postępowaniem. Ciągle powtarzał, że to tylko początek, a opanowanie mocy zajmuje dużo czasu. Poklepał mnie po ramieniu i zażartował, że jeszcze tego samego dnia byłem osobą, która wiedziała, co jest rzeczywiste, a co nie.

Byłem zakłopotany. Zacząłem przepraszać go za skłonność do zbytniej ufności w słuszność własnego postępowania.

– To nie ma znaczenia – powiedział. – Gałąź była prawdziwym zwierzęciem i żyła w momencie, kiedy moc ją dotknęła. Ponieważ to właśnie mocą ożywiała, więc cała sztuka, tak jak podczas śnienia, polega na tym, aby utrzymać jej obraz. Rozumiesz, co mam na myśli?

Chciałem zapytać o coś innego, ale uciszył mnie i powiedział, że przez całą noc powinienem trwać w kompletnej ciszy i czuwać. Tylko on będzie przez chwilę mówił.

Powiedział, że duch, który zna jego głos, może złagodnieje, słuchając jego dźwięku i zostawi nas w spokoju. Wyjaśnił, że próba stania się dostępnym dla mocy może być niebezpieczna. Moc posiada niszczącą siłę, która z łatwością może spowodować śmierć i dlatego trzeba ją traktować z wielką ostrożnością. Stawanie się dostępnym dla mocy musi się odbywać systematycznie i zawsze z wielką uwagą.

Polega to na ujawnieniu swej obecności przez kontrolowaną, ostentacyjną, głośną rozmowę albo inny rodzaj hałaśliwej aktywności. Później konieczne jest zachowanie długiej i całkowitej ciszy. Kontrolowany wybuch i kontrolowany spokój są oznakami wojownika. Don Juan powiedział, że dłużej powinienem zachować widok żywego potwora chwilę dłużej. W sposób kontrolowany, nie tracąc głowy ani nie odchodząc od zmysłów z podniecenia czy strachu, powinienem dążyć do “zatrzymania świata". Zwrócił mi uwagę na to, że kiedy uciekałem na górę, ratując swoje cenne życie, znajdowałem się w doskonałym stanie, aby zatrzymać świat. Połączyły się w nim lęk, groza, moc i śmierć. Stwierdził, że dość trudno byłoby powtórzyć ten stan.

Szepnąłem mu do ucha:

– Co rozumiesz przez zatrzymanie świata?

Popatrzył na mnie dziko, zanim odpowiedział, że jest to technika praktykowana przez tych, którzy polują na moc. Technika, dzięki której świat, który znamy, rozpada się.

11. Nastrój wojownika

Przyjechałem do domu don Juana w czwartek, 31 sierpnia 1961 roku. Zanim zdążyłem przywitać się z nim, wsadził głowę przez okno samochodu, uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Musimy przejechać niezły kawałek drogi do miejsca mocy, a jest już południe.

Otworzył drzwi samochodu, usiadł z przodu obok mnie i poprowadził mnie około siedemdziesięciu mil na południe. Później skręciliśmy na wschód w ubitą piaszczystą drogę i jechaliśmy nią aż do podnóża gór. Zaparkowałem samochód w zagłębieniu, które wybrał don Juan ze względu na to, że było na tyle głębokie, iż mogło ukryć samochód przed ludzkim wzrokiem. Stąd poszliśmy prosto ku szczytom niskich wzgórz, przemierzając rozległe, płaskie pustkowie.

Kiedy zrobiło się ciemno, don Juan wybrał miejsce na nocleg. Zażądał kompletnej ciszy.

Następnego dnia zjedliśmy skromny posiłek i kontynuowaliśmy podróż na wschód. Roślinność z pustynnych krzewów przeszła w gęste, zielone górskie zarośla i drzewa.

Wczesnym popołudniem wspięliśmy się na szczyt gigantycznego, skalistego urwiska, które wyglądało jak Ściana. Don Juan usiadł i dał mi znak, abym zrobił to samo.

– To jest miejsce mocy – powiedział po chwili przerwy – – To jest miejsce, gdzie dawno temu byli zakopani bojownicy.

W tym momencie, bezpośrednio nad nami, kracząc, Przeleciała wrona. Don Juan śledził jej lot skupionym krokiem.

Przyglądałem się skale i dziwiłem się, jak i gdzie zostali pogrzebani wojownicy. Don Juan klepnął mnie w ramię.

– Nie tutaj, głupcze – powiedział z uśmiechem. – Na dole.

Wskazał na pole na dnie urwiska, rozciągające się bezpośrednio pod nami ku wschodowi. Wyjaśnił, że to pole jest otoczone przez naturalne ogrodzenie z kamieni. Z miejsca, gdzie siedziałem, zauważyłem obszar o średnicy około stu jardów mający kształt koła. Gęste krzewy pokrywały jego powierzchnię łącznie z kamieniami. Nie zauważyłbym tego regularnego okręgu, gdyby don Juan mi go nie pokazał.

Powiedział, że istnieją dziesiątki takich miejsc, które rozrzucone są po starym świecie Indian. Nie są to właściwe miejsca mocy, jak niektóre wzgórza i formacje krajobrazowe stanowiące siedzibę duchów, ale bardziej miejsca oświecenia, gdzie można pobierać nauki lub znajdować rozwiązanie problemów.

– Wystarczy, że przyjdziesz w to miejsce – powiedział. – Albo spędzisz noc na tej skale; wówczas twoje uczucia się przemienia.

– Czy zostaniemy tutaj na noc?

– Tak myślałem, ale mała wrona powiedziała mi, żeby tego nie robić.

Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o wronie, ale uciszył mnie niecierpliwym gestem dłoni.

– Patrz na krąg kamieni – powiedział. – Zachowaj go w swojej pamięci, a kiedyś, pewnego dnia wrona zaprowadzi cię do innego takiego miejsca. Im doskonalsze jest koło, tym większa jego moc.

– Czy kości wojowników są wciąż tutaj pogrzebane-Don Juan uczynił komiczny gest zakłopotania i uśmiechnął się szeroko.

– To nie jest cmentarz – wyjaśnił. – Nikt nie jest tutaj pogrzebany. Powiedziałem, że kiedyś wojownicy byli tutaj zakopani. Znaczy to, że przychodzili tu, aby zakopać się na noc, na dwa czy trzy

dni, tak długo jak tego potrzebowali. Nie ma tu zakopanych kości umarłych ludzi. Nie interesują mnie cmentarze. Nie ma w nich żadnej mocy. Moc znajduje się w kościach wojownika, ale ich nigdy nie znajdziesz na cmentarzu. Jeszcze więcej mocy jest w kościach człowieka wiedzy, jednak odszukanie ich praktycznie byłoby niemożliwe.

– Kim jest człowiek wiedzy, don Juanie?

– Każdy wojownik może stać się człowiekiem wiedzy. Jak już ci mówiłem, wojownik jest nieskazitelnym myśliwym, który poluje na moc. Jeśli odniesie sukces w polowaniu, może zostać człowiekiem wiedzy.

– Co...

Powstrzymał moje pytanie ruchem ręki. Wstał i dał mi znak, abym szedł za nim. Zaczął schodzić stromą, wschodnią stroną urwiska. Była tam wyraźna ścieżka w prawie pionowej ścianie, prowadząca do kamiennego kręgu.

Powoli zeszliśmy po niebezpiecznej ścieżce i kiedy znaleźliśmy się na dnie, don Juan od razu poprowadził mnie poprzez gęsty chaparral do środka okręgu. Kilkoma grubymi i suchymi gałęziami zmiótł i oczyścił miejsce do siedzenia. Było ono również koliste.

– Miałem zamiar zakopać cię tutaj na całą noc – powiedział. – Ale wiem, że jeszcze nie nadszedł czas. Nie masz mocy. Zakopię cię tylko na chwilę.

Zdenerwował mnie pomysł unieruchomienia mnie w ziemi i zapytałem, w jaki sposób ma zamiar to zrobić. Zachichotał jak dziecko i zaczął zbierać suche gałęzie. Nie pozwolił mi sobie pomóc. Powiedział, że powinienem siedzieć i czekać.

Gałęzie, które zebrał, rzucił na oczyszczone wcześniej miejsce. Kazał mi się położyć głową na wschód, podłożył mi pod nią kurtkę i zrobił klatkę wokół mojego ciała.

Skonstruował ją, wbijając w miękki pył kawałki gałęzi o długości dwóch i pół stopy. Te z nich, które kończyły się rozwidleniami, służyły za oparcie dla dłuższych kijów nadających klatce wygląd otwartej trumny. Zamknął tę skrzynię, kładąc na górze krótkie gałęzie z liśćmi. W ten sposób przykrył mnie od ramion w dół. Pozwolił, aby głowa oparta na kurtce jak na poduszce wystawała na zewnątrz.

Wziął gruby kawałek suchego drewna i używając go do kopania wzruszył ziemię wokół mnie i zasypał nim całą konstrukcję. Rama była na tyle solidna, a liście tak dobrze rozmieszczone, że ani trochę ziemi nie nasypało się do środka. Mogłem swobodnie poruszać nogami, a także wsuwać się i wysuwać z tej klatki.

Don Juan powiedział, że zwykle wojownik sam ją sobie budował, po czym wślizgiwał się do niej i uszczelniał ją od środka.

– A co ze zwierzętami? – zapytałem. – Czy mogą rozgrzebać wierzchnią warstwę ziemi, wśliznąć się do klatki i zranić wojownika?

– Nie, wojownik nie przejmuje się nimi. Ty się o to martwisz, ponieważ nie masz mocy. Natomiast wojownik, kierując się swą niezachwianą wolą, potrafi obronić się przed wszystkim. Żaden szczur, wąż czy puma nie będą go niepokoiły.

– Po co wojownicy się zakopują, don Juanie?

– Żeby osiągnąć oświecenie i moc.

Doświadczałem wyjątkowo przyjemnego uczucia spokoju i zadowolenia; świat w tamtej chwili wydawał mi się taki prosty. Ten spokój był rozkoszny, a równocześnie obezwładniający. Nie byłem przyzwyczajony do tego rodzaju ciszy. Próbowałem mówić, ale don Juan uciszył mnie. Spokój tego miejsca wpłynął na mój nastrój. Zacząłem myśleć o swoim życiu i o mojej osobistej historii i doświadczałem dobrze mi znanego uczucia smutku i miałem wyrzuty sumienia. Powiedziałem don Juanowi, że nie zasługuję na to, żeby tu być. Jego świat jest silny i prawy, natomiast ja jestem słaby, a mój duch został wypaczony przez okoliczności mojego życia.

Zaśmiał się i zagroził, że przysypie mi głowę ziemią, jeśli dalej będę tak mówił. Powiedział, że jestem człowiekiem. Tak samo jak każdy człowiek zasługuję na wszystko, co przynosi mi los – radość, ból, smutek i walkę. Natura czynów przestaje być ważna, jeśli działa się jak wojownik.

Ściszając głos prawie do szeptu, powiedział, że jeśli rzeczywiście czuję, że mój duch został wypaczony, powinienem go po prostu doprowadzić do porządku, oczyścić go i sprawić, aby stał się doskonały, ponieważ w całym naszym życiu nie ma ważniejszego zadania do wykonania.

Zaniedbywanie własnego ducha to poszukiwanie śmierci, co jest tym samym, co poszukiwanie niczego, ponieważ, niezależnie od wszystkiego, śmierć i tak nas dopędzi.

Zrobił długą przerwę, a później powiedział z głębokim przekonaniem:

– Poszukiwanie doskonałości ducha wojownika to jedyne zadanie godne naszego człowieczeństwa.

Jego słowa podziałały jak katalizator. Poczułem wagę moich przeszłych działań jako nieznośne i krępujące brzemię. Uznałem, że nie ma dla mnie żadnej nadziei. Zacząłem płakać, opowiadając o swoim życiu. Powiedziałem, że błąkałem się tak długo, aż stałem się nieczuły na ból i smutek, z wyjątkiem pewnych sytuacji, kiedy uświadamiałem sobie swoją samotność i bezsilność.

Nic nie odpowiedział. Chwycił mnie pod pachy i wyciągnął z klatki. Usiadłem, kiedy mnie puścił. On również usiadł. Zapanowało niezręczne milczenie. Pomyślałem, że daje mi trochę czasu, abym doszedł do siebie. Wziąłem notes i podenerwowany zacząłem coś gryzmolić.

– Czujesz się jak liść zdany na łaskę wiatru, prawda? – zapytał don Juan, patrząc na mnie.

Właśnie dokładnie to odczuwałem. Wydawało mi się, że potrafi wczuć się we mnie. Powiedział, że mój nastrój przypomniał mu pewną piosenkę. Zaczął ją śpiewać niskim, bardzo przyjemnym głosem. Jej słowa poniosły mnie w dal: “Jestem tak daleko od nieba, pod którym się urodziłem. Ogarnia mnie ogromna nostalgia. Teraz, kiedy czuję się samotny i smutny jak liść na wietrze, czasami chce mi się płakać, a czasami śmiać z tęsknoty" (Que lejos estoy del cielo donde he nacido. Inmensa nostalgia invade mi pensamiento. Ahora que estoy tan solo y triste cual hoja al viento, ąuisiera llorar, quisiera reir de sentimiento).

Przez dłuższą chwilę nie rozmawialiśmy. W końcu don Juan przerwał ciszę.

– Od dnia twoich narodzin w ten czy inny sposób zawsze ktoś coś dla ciebie robił – powiedział.

– Racja – odparłem.

– I zawsze wbrew twojej woli.

– Tak.

– A teraz jesteś bezsilny jak liść na wietrze.

– To prawda, tak właśnie jest.

Powiedziałem, że czasami pewne sytuacje w moim życiu niszczyły mnie. Słuchał z uwagą, ale nie mogłem odgadnąć, czy zgadza się ze mną i faktycznie jest zainteresowany moją opowieścią, dopóki nie zauważyłem, że usiłuje ukryć uśmiech.

– Niezależnie od tego, jak bardzo lubisz rozczulać się nad sobą, musisz to zmienić – powiedział łagodnie. – To nie licuje z życiem wojownika.

Roześmiał się i jeszcze raz zaśpiewał tę samą piosenkę, ale tym razem zmienił intonację pewnych słów i w efekcie powstało śmieszne i płaczliwe zawodzenie. Zwrócił mi uwagę, że piosenka podobała mi się, ponieważ przez całe życie szukałem tylko dziury w całym i nad wszystkim się użalałem. Nie mogłem temu zaprzeczyć, gdyż miał rację. Jednak dalej wierzyłem, że mam wystarczające powody, aby czuć się jak liść na wietrze.

– Najtrudniejszą rzeczą na świecie jest osiągnięcie nastroju wojownika – powiedział. – Nie ma żadnego pożytku z bycia smutnym, z narzekania i jeszcze usprawiedliwiania się przed sobą, w poczuciu, że to wszystko wina innych. Nikt nikomu nic nie robi, a szczególnie wojownikowi. Jesteś tutaj ze mną, ponieważ chcesz być. Od teraz powinieneś przejąć pełną odpowiedzialność, tak aby myśl, że jesteś na łasce wiatru, stała się nie do przyjęcia.

Wstał i zaczął rozbierać klatkę. Zmiótł ziemię z powrotem tam, skąd ją wygrzebał, i dokładnie porozrzucał po chaparralu wszystkie kije. Później zasypał oczyszczony krąg, pozostawiając to miejsce w takim stanie, jakby się tu nic nie wydarzyło.

Wyraziłem uznanie dla jego biegłości. Powiedział, że dobry myśliwy i tak będzie wiedział, że byliśmy tutaj, niezależnie od tego jak byłby ostrożny, ponieważ śladów człowieka nie da się całkowicie zatrzeć.

Siadł ze skrzyżowanymi nogami i powiedział, abym usiadł wygodnie, zwracając się twarzą w kierunku miejsca, gdzie byłem zakopany, i pozostał w tej pozycji, dopóki smutek mi nie przejdzie.

– Wojownik zakopuje się, aby odnaleźć moc, a nie aby płakać, rozczulając się nad sobą – powiedział.

Usiłowałem się tłumaczyć, ale powstrzymał mnie niecierpliwym ruchem głowy. Wyjaśnił, że musiał mnie w pośpiechu wyciągnąć z klatki, ponieważ mój nastrój był nie do zniesienia i obawiał się, że to miejsce może obrazić się za moją słabość i próbować mnie skrzywdzić.

– Rozczulanie się nad sobą nie pasuje do mocy – powiedział. – Nastrój wojownika wymaga samokontroli, a równocześnie zatracenia się.

– Jak to możliwe? – zapytałem. – Jak można równocześnie kontrolować się i zatracać?

– To trudna technika – skwitował.

Wydawało mi się, że się zastanawia czy ma mówić dalej. Dwa razy miał już coś powiedzieć, ale powstrzymał się i uśmiechnął.

– Jeszcze nie przestałeś być smutny – powiedział. – Wciąż czujesz się słaby, więc teraz nie ma sensu mówić o nastroju wojownika.

Prawie godzina minęła w kompletnej ciszy. Nagle zapytał mnie, czy udało mi się nauczyć techniki śnienia, którą mi przekazał. Praktykowałem wytrwale i po dokonaniu ogromnego wysiłku byłem w stanie uzyskać pewien stopień kontroli nad swoimi snami. Don Juan miał rację, kiedy mówił, że trzeba to ćwiczenie traktować jak rozrywkę. Po raz pierwszy w życiu czekałem na pójście do łóżka.

Przedstawiłem mu szczegółowy raport z moich osiągnięć.

Stosunkowo łatwo było mi nauczyć się utrzymywać obraz moich rąk, kiedy umiałem już nakazywać sobie patrzenie na nie. Moje wizje, chociaż nie zawsze moich własnych rąk, trwały dość długo, aż w końcu traciłem kontrolę i pogrążałem się w zwykłym śnie. Nie używałem żadnej siły woli, kiedy nakazywałem sobie patrzenie na swoje ręce czy na inne elementy moich snów. To po prostu się wydarzało. W pewnej chwili przypominałem sobie, że muszę patrzeć na ręce, albo na jakiś szczegół otoczenia. Były jednak i takie noce, kiedy nie mogłem sobie przypomnieć, abym to w ogóle robił.

Don Juan wydawał się usatysfakcjonowany i chciał wiedzieć, co zwykle pojawiało się w moich wizjach. Nie przypominałem sobie niczego szczególnego i zacząłem się rozwodzić nad koszmarnym snem, który miałem zeszłej nocy.

– Nie daj się ponosić fantazji – powiedział sucho. Przyznałem mu się, że zapisuję szczegółowo swoje sny. Od kiedy zacząłem praktykować patrzenie na ręce, moje sny stały się znaczące, a moja zdolność przypominania ich sobie tak wzrosła, że teraz potrafię odtworzyć nawet najdrobniejsze szczegóły. Don Juan odpowiedział, ale to tylko marnowanie czasu, ponieważ szczegóły i ich wyrazistość nie są wcale ważne.

– Zwykłe sny stają się bardzo plastyczne, gdy zaczynasz ustawiać śnienie – powiedział. – Ta żywość i wyrazistość to potężna bariera, a ty jesteś najgorszy ze wszystkich ludzi, jakich spotkałem w swoim życiu. Masz najgorszą manię. Zapisujesz wszystko, co tylko się da.

Szczerze wierzyłem, że to, co robię, jest właściwe. Prowadzenie szczegółowych zapisków pozwalało mi na pewne zrozumienie natury moich wizji.

– Przestań to robić – powiedział kategorycznie. – W niczym ci to nie pomoże. To, co robisz, odwodzi cię tylko od celu śnienia, którym jest kontrolowanie i moc.

Położył się i zakrył oczy kapeluszem. Mówił, nie patrząc na mnie.

– Przypomnę ci teraz technikę, którą masz praktykować. Po pierwsze, musisz zacząć od koncentrowania wzroku na swoich rękach. Później przenosisz go na inne rzeczy, które obrzucasz krótkimi spojrzeniami. Koncentruj wzrok na tylu rzeczach, na ilu dasz radę. Pamiętaj, że jeśli nie będziesz patrzył długo, obraz się nie zmieni. Później przenieś wzrok z powrotem na swoje ręce. Za każdym razem, kiedy patrzysz na nie, odnawiasz moc potrzebną do śnienia, dlatego na początku nie patrz na zbyt wiele przedmiotów. Na jeden raz wystarczą cztery. Później możesz powiększyć ich liczbę i objąć wzrokiem Wszystko, co zechcesz. Gdy tylko obrazy zaczną się zmieniać i poczujesz, że tracisz nad nimi kontrolę, wracaj spojrzeniem do rąk. Kiedy poczujesz, że możesz patrzeć na rzeczy przez cały czas, będziesz gotowy, by wypróbować nową technikę. Nauczę cię jej teraz, ale mam nadzieję, że wykorzystasz ją tylko wtedy, kiedy spełnisz ten warunek.

Milczał około piętnastu minut. W końcu usiadł i popatrzył na mnie.

– Następnym krokiem w ustawianiu śnienia jest nauczenie się podróżowania – powiedział. – W ten sam sposób, w jaki nauczyłeś się patrzeć na swoje ręce, nakażesz sobie przemieszczanie się.

Najpierw musisz wybrać miejsce, do którego chcesz pójść. Najlepiej dobrze znane – może swoją szkołę, park albo dom przyjaciela – a później wyraź chęć, aby tam pójść. Ta technika jest bardzo trudna. Obejmuje dwa zadania. Musisz umieć nakazać sobie podróż do wybranego miejsca, a później, kiedy opanujesz tę metodę, powinieneś nauczyć się kontrolować czas tej podróży.

Kiedy zapisywałem jego wypowiedzi, miałem uczucie, że naprawdę mi odbiło. Spisywałem wariackie instrukcje i wykańczałem się, usiłując je wykonać. Miałem może wyrzuty sumienia i byłem zażenowany.

– Co ty mi robisz, don Juanie? – zapytałem, nie całkiem to mając na myśli.

Wydawał się zdziwiony. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, a później się uśmiechnął.

– Wciąż zadajesz mi to samo pytanie. Nic ci nie robię. Stajesz się dostępny dla mocy. Polujesz na nią, a ja tylko kieruję tobą.

Przechylił głowę na bok i obserwował mnie. Wziął mnie jedną ręką pod brodę, a drugą położył mi z tyłu głowy i poruszał nią do tyłu i do przodu. Mięśnie szyi miałem bardzo napięte i ten ruch rozluźnił je.

Don Juan popatrzył przez chwilę na niebo, jakby coś na nim obserwował.

– Czas iść – powiedział beznamiętnie i wstał. Szliśmy na wschód, aż do skrawka pustyni porośniętego małymi drzewkami i znajdującego się w dolinie pomiędzy dwoma dużymi wzgórzami. Była już prawie piąta po południu. Don Juan powiedział od niechcenia, że być może będziemy musieli spędzić tutaj noc. Wskazał na drzewa i stwierdził, że gdzieś tam jest woda.

Napiął wszystkie mięśnie i zaczął węszyć jak zwierzę. Zauważyłem, jak mięśnie jego brzucha zaciskają się yr bardzo krótkich skurczach, kiedy szybko wdychał i wydychał powietrze przez nos. Skłonił mnie do zrobienia tego samego, abym mógł odkryć miejsce, w którym znajduje się woda. Niechętnie spróbowałem go naśladować. Po pięciu czy sześciu minutach szybkiego oddychania zakręciło mi się w głowie, ale w niezwykły sposób oczyścił mi się nos, tak że naprawdę mogłem odkryć zapach wikliny. Jednak nie potrafiłem wskazać, gdzie się znajdowała.

Don Juan powiedział, abym odpoczął przez kilka minut, a potem kazał mi znowu zacząć wąchać. Druga runda była bardziej intensywna. Udało mi się wyczuć zapach wikliny dolatujący z prawej strony. Ruszyliśmy w tamtym kierunku i po dobrej ćwierci mili znaleźliśmy bagniste miejsce ze stojącą wodą. Obeszliśmy je wkoło, aż dotarliśmy do nieco wyżej położonego płaskiego wzgórza. Wokół niego chaparral był bardzo gęsty.

– W tym miejscu roi się od pum i innych mniejszych kotów – powiedział zdawkowo don Juan, jakby stwierdzał coś oczywistego!

Podbiegłem doń, a on wybuchnął śmiechem.

– Normalnie w ogóle bym tu nie przychodził – powiedział. – Ale wrona wskazała ten kierunek. Widocznie musi być tutaj coś szczególnego.

– Czy naprawdę musimy tu zostać, don Juanie?

– Musimy. W przeciwnym razie unikałbym tego miejsca.

Byłem bardzo zdenerwowany. Don Juan kazał mi uważnie słuchać, co ma mi do powiedzenia.

– Można tu jedynie polować na pumy – stwierdził. – dlatego nauczę cię, jak to robić. Istnieje specjalny sposób konstruowania pułapek z wodnymi szczurami, które służą tu za przynętę. Ich ściany są tak zbudowane, że mogą się kłaść na zewnątrz, a wzdłuż jej krawędzi umocowane są bardzo ostre kolce. Pozostają ukryte, kiedy klatka stoi pionowo i nikomu nie szkodzą, dopóki coś nie upadnie na nią, a wtedy ścianki się kładą, a kolce przebijają to, co uderzyło w pułapkę.

Nie mogłem zrozumieć, jak to ma wyglądać, więc don Juan narysował mi na ziemi szkic i pokazał, że jeśli boczne pręty zostaną umieszczone w podobnych do łożysk otworach ramy, klatka rozpadnie się, kiedy coś naciśnie na nią z góry. Kolcami są dobrze zaostrzone drzazgi z twardego drewna zamontowane w całej ramie.

Don Juan powiedział, że zwykle na kracie z kijów, połączonej z klatką i zawieszonej wysoko nad nią umieszczano ciężkie kamienie. Kiedy puma przychodzi do pułapki zwabiona przez wodne szczury i próbuje ją rozbić, z całą mocą waląc łapami, wtedy wbijają się w nie drzazgi, ona zaś, doprowadzona do szaleństwa podskakuje, spuszczając na siebie lawinę kamieni.

– Pewnego dnia być może będziesz musiał złowić lwa – powiedział. – Mają one specjalne moce. Są strasznie sprytne i jedynym sposobem na nie jest ogłupienie ich bólem i zapachem wikliny.

Ze zdumiewającą szybkością i zręcznością don Juan zbudował pułapkę i po długim oczekiwaniu złowił trzy pucołowate, podobne do wiewiórek gryzonie. Powiedział mi, abym z brzegu bagna nazrywał trochę wiklinowych gałęzi i natarł nimi swoje ubranie. On zrobił to samo. Później szybko i zręcznie wyplótł z trzciny dwie proste siatki, powyrywał z bagna duże kępki zielonych roślin z mułem i zaniósł na płaskie wzgórze, gdzie się ukrył. Tymczasem szczury wodne zaczęły bardzo głośno piszczeć. Don Juan z ukrycia powiedział mi, żebym wziął drugą siatkę i napełnił ją mułem oraz roślinami i wspiął się na niższe gałęzie drzewa, w pobliżu pułapki z gryzoniami. Stwierdził, że nie zamierza zranić ani kota, ani szczurów, dlatego kiedy puma podejdzie do pułapki, rzuci na niego tylko muł. Powiedział mi, żebym był czujny i pomógł mu odstraszyć kota, ciskając w niego swoją siatką, zaraz po tym jak on to zrobi. Zwrócił mi uwagę, żebym był wyjątkowo ostrożny i nie spadł z drzewa. Jego ostatnie instrukcje nakazywały mi siedzieć tak spokojnie, jakbym stopił się z gałęziami.

Nie widziałem, gdzie jest don Juan. Piski gryzoni stały się niezwykle głośne i w końcu zrobiło się tak ciemno, że ledwie mogłem dostrzec ogólne zarysy terenu. Nagle posłyszałem bliski odgłos miękkich kroków i przytłumiony koci oddech, a później łagodny pomruk, po którym piski w klatce ucichły. Właśnie wtedy bezpośrednio pod drzewem, na którym siedziałem, zobaczyłem ciemną sylwetkę zwierzęcia. Nie zdążyłem się nawet upewnić, czy to puma, kiedy zaatakowało pułapkę. Lecz zanim do niej dotarło, coś w niego uderzyło, aż odskoczyło. Tak jak kazał mi don Juan, cisnąłem swoją siatkę. Nie trafiłem, ale narobiłem wiele hałasu. W tym momencie don Juan wydał serię przenikliwych wrzasków, które wywoływały dreszcze, i kot z wyjątkową zręcznością wskoczył na wzgórze i zniknął.

Don Juan jeszcze przez chwilę przenikliwie gwizdał, a później powiedział mi, abym zszedł z drzewa, wziął klatkę z gryzoniami, wbiegł na wzgórze i tak szybko, jak tylko potrafię, dotarł do miejsca, w którym się znajdował.

Niewiarygodnie szybko znalazłem się przy don Juanie. Powiedział mi, żebym jak najlepiej naśladował jego Wrzaski, aby nie dopuścić pumy, kiedy on będzie rozbierał klatkę i wypuszczał gryzonie.

Zacząłem krzyczeć, lecz nie mogłem uzyskać takiego samego efektu. Z powodu podniecenia mój głos był chrapliwy. Don Juan kazał mi zapomnieć o sobie i wrzeszczeć z Prawdziwym uczuciem, ponieważ zwierzę w dalszym ciągu przebywało w pobliżu. Nagle w pełni uświadomiłem sobie sytuację. Zwierzę było rzeczywiste. Wykonałem wspaniałą arię przenikliwych wrzasków.

Don Juan zagrzmiał śmiechem. Pozwolił mi jeszcze krzyczeć przez chwilę, a później stwierdził, że musimy opuścić to miejsce tak szybko, jak to tylko możliwe, ponieważ puma nie jest głupia i prawdopodobnie już wraca po swoich śladach.

– Na pewno pójdzie za nami – powiedział. – Niezależnie od tego, jak jesteśmy ostrożni, i tak pozostawiamy za sobą ślad szeroki jak autostrada panamerykańska.

Szedłem bardzo blisko don Juana. Od czasu do czasu zatrzymywał się na chwilę i nadsłuchiwał. W pewnej chwili zaczął biec w ciemności, a ja biegłem za nim, wyciągając przed siebie ręce, aby osłaniać się przed gałęziami.

W końcu dotarliśmy do podnóża urwiska, na którym byliśmy przedtem. Don Juan powiedział, że jeśli uda się nam dostać na górę, zanim rozszarpie nas puma, będziemy bezpieczni. Poszedł pierwszy, aby pokazywać mi drogę. Zaczęliśmy się wspinać w ciemności. Nie wiem jak, ale szedłem za nim, stawiając kroki z absolutną pewnością. Kiedy byliśmy już blisko wierzchołka, posłyszałem dość osobliwy ryk zwierzęcy; był podobny do muczenia krowy, ale dłuższy i bardziej chrapliwy.

– W górę! W górę! – krzyczał don Juan.

Wgramoliłem się na szczyt w całkowitej ciemności i to przed don Juanem. Kiedy on wszedł na płaski wierzchołek urwiska, ja już siedziałem, łapiąc oddech. Przewrócił się na ziemię. Przez moment wydawało mi się, że wysiłek był zbyt wielki jak dla mężczyzny w jego wieku, ale on tylko śmiał się z mojej szybkiej wspinaczki.

Siedzieliśmy w kompletnej ciszy przez kilka godzin, a później zaczęliśmy schodzić do samochodu.

Niedziela, 3 września 1961

Kiedy się obudziłem, don Juana nie było w domu. Popracowałem trochę nad notatkami i zanim wrócił, miałem czas, aby nazbierać drewna na opał w pobliskim chaparralu. Jadłem, kiedy wszedł do domu. Zaczął się śmiać z tego, co nazywał moim nawykiem jedzenia w południe, ale poczęstował się moimi kanapkami.

Powiedziałem mu, że to, co wydarzyło się z pumą, zbiło mnie z tropu. Kiedy teraz wracałem do tego myślą, wydawało się nierzeczywiste. Wyglądało, jakby wszystko zostało specjalnie dla mnie zaaranżowane. Zdarzenia następowały tak szybko, że w rzeczywistości nie miałem czasu, aby się bać. Wystarczało mi go tylko na działanie, & nie na rozważanie okoliczności. Kiedy robiłem notatki, do głowy przyszło mi pytanie, czy rzeczywiście widziałem to zwierzę. Wciąż jeszcze świeże było dla mnie wspomnienie suchej gałęzi.

– To na pewno była puma – stwierdził don Juan kategorycznie.

– Czy to było prawdziwe zwierzę z krwi i kości?

– Oczywiście.

Powiedziałem mu, że moje podejrzenia zrodziły się dlatego, że całe wydarzenie miało zbyt gładki przebieg. Wyglądało tak, jakby puma już na nas czekała i została wytresowana, aby zrobić dokładnie to, co zaplanował don Juan.

Niewzruszony pod ogniem moich sceptycznych uwag, śmiał się tylko ze mnie.

– Jesteś śmieszny – powiedział. – Widziałeś i słyszałeś kota. Był pod drzewem, na którym siedziałeś. Nie Wywąchał cię i nie skoczył na ciebie dzięki wiklinie. Zabija ona wszystkie zapachy. Trzymałeś całą jej wiązkę.

Powiedziałem, że nie chodzi o to, iż mu nie dowierzam, ale że wszystko, co się wydarzyło tej nocy, było całkowicie obce mojemu codziennemu życiu. Kiedy robiłem notatki, przez moment pomyślałem, że don Juan mógł odgrywać rolę zwierzęcia. Jednak musiałem odrzucić to przypuszczenie, ponieważ naprawdę widziałem ciemny kształt czworonoga nacierającego na klatkę, a później biegnącego na wzgórze.

– Dlaczego robisz takie zamieszanie? – zapytał. – To był tylko duży kot. W tych górach muszą być ich tysiące. Wielka mi rzecz. Jak zwykle koncentrujesz uwagę na niewłaściwej rzeczy. Nie ma różnicy, czy to była puma, czy moje spodnie. Ważne są twoje uczucia w tamtej chwili.

Nigdy w życiu nie widziałem ani nie słyszałem wielkiego, dzikiego kota polującego na swoją zdobycz. Kiedy o tym myślałem, nie mogłem przejść do porządku dziennego nad tym, że znajdowałem się niewiele ponad metr od takiego zwierzęcia.

Don Juan słuchał cierpliwie, kiedy opisywałem mu swoje wrażenia.

– Dlaczego boisz się dużego kota? – zapytał z ciekawością. – Byłeś już blisko większości zwierząt, które tutaj żyją, i nigdy się ich nie bałeś. Lubisz koty?

– Nie, nie lubię.

– A więc zapomnij o nich. W każdym razie lekcja nie była o tym, jak polować na koty.

– A o czym?

– Mała wrona pokazała mi to specjalne miejsce, a ja zobaczyłem tam możliwość nauczenia cię tego, jak się działa, będąc w nastroju wojownika – powiedział don Juan. – Wszystko, co robiłeś wczoraj w nocy, robiłeś we właściwym nastroju. Kontrolowałeś się i równocześnie poddawałeś. Kiedy zeskoczyłeś z drzewa, porwałeś klatkę i przybiegłeś do mnie. Strach cię nie sparaliżował. A później, w pobliżu krawędzi urwiska, kiedy zaryczał lew, całkiem nieźle się ruszałeś. Jestem przekonany, że nie uwierzyłbyś w to, co zrobiłeś, gdybyś zobaczył to urwisko w dzień. W pewnym stopniu poddałeś się, ale równocześnie umiałeś się kontrolować. Nie rzuciłeś wszystkiego i nie narobiłeś w spodnie, ale jednak odrzuciłeś wszystko i w zupełnej ciemności wdrapałeś się na urwisko. Mogłeś zgubić ścieżkę i się zabić. Aby wspiąć się w ciemności na tę ścianę, trzeba było równocześnie polegać na sobie i porzucić siebie. To właśnie nazywam nastrojem wojownika.

Powiedziałem, że cokolwiek zrobiłem tej nocy, było to skutkiem strachu, a nie żadnego kontrolowania i porzucenia.

– Wiem o tym – powiedział, uśmiechając się. – Ale chciałem ci pokazać, że możesz przekroczyć pewne granice, jeśli jesteś we właściwym nastroju. Wojownik tworzy swój nastrój. Nie wiedziałeś o tym. Strach wprowadził cię w nastrój wojownika, ale teraz, kiedy już o tym wiesz, wszystko może ci posłużyć do osiągnięcia tego celu.

Chciałem się z nim kłócić, ale nie znalazłem przekonujących argumentów. Czułem się poirytowany.

– Wygodnie jest zawsze działać w takim nastroju – kontynuował don Juan. – Eliminuje całe gówno i jesteś oczyszczony. Czy nie czułeś się wspaniale, kiedy wdrapałeś się na szczyt tego urwiska?

Powiedziałem, że rozumiem, co ma na myśli, ale jednak czuję, że idiotyzmem byłoby stosowanie w codziennym życiu tego, czego mnie nauczył.

– Nastrój wojownika jest potrzebny do każdego działania – odpowiedział. – W przeciwnym razie żyjesz fałszywie i czujesz się paskudnie. Życie pozbawione tego nastroju nie ma w ogóle mocy. Spójrz na siebie. Wszystko ci przeszkadza i wyprowadza cię z równowagi. Jęczysz i narzekasz, że musisz tańczyć, jak ci zagrają. Jesteś liściem na łasce wiatru. Nie ma żadnej mocy w twoim życiu. Cóż to musi być za okropne uczucie! Zamiast zachowywać się w ten sposób, wojownik staje się myśliwym. Wszystko kalkuluje. To kontrola. Kiedy zaś kończy kalkulację – działa. Rzuca wszystko. Poddaje się. Wojownik nie jest liściem na lasce wiatru. Nikt na niego nie może wpłynąć ani zmusić go, by zrobił coś wbrew sobie lub wbrew swemu osądowi. Wojownik jest nastawiony na przetrwanie i udaje mu się to w stylu, który nie ma sobie równych.

Podobała mi się jego postawa, chociaż uznałem ją za nierealistyczną. Wydawała mi się zbyt prosta dla skomplikowanego świata, w którym żyłem.

Don Juan śmiał się z moich argumentów, a ja upierałem się, że nastrój wojownika prawdopodobnie mi nie pomoże, gdy poczuję się urażony lub wprost zostanę zraniony w wyniku działań moich bliźnich, na przykład wtedy, kiedy byłbym fizycznie dręczony przez jakiegoś zawziętego okrutnika, który miałby nade mną władzę.

Ryknął śmiechem i przyznał, że przykład jest a propos.

– Wojownik może zostać zraniony, ale nie urażony – powiedział. – Dla wojownika nie ma nic obraźliwego w czynach jego bliźnich tak długo, jak długo sam działa pod wpływem właściwego nastroju. Poprzedniej nocy nie czułeś się obrażony na pumę. To, że na nas polowała, nie wywołało twojego gniewu. Nie słyszałem, abyś ją przeklinał albo mówił, że nie ma prawa uganiać się za nami. Według tego, co wiedziałeś, mogła to być okrutna i złośliwa puma. Ale tego nie brałeś pod uwagę, kiedy starałeś się uciec przez nią. Liczyła się jedynie kwestia przeżycia. I to było właściwe. Gdybyś był sam i puma by cię dopadła i rozszarpała, to przecież nie miałbyś czasu na narzekanie czy obrażanie się na nią. Nastrój wojownika nie jest dla ciebie niedostępny ani dla innych. Potrzebujesz go, aby przebić się przez te wszystkie głupoty.

Wyjaśniłem mój sposób rozumowania. Puma i moi bliźni nie byli sobie równi, ponieważ dokładnie znałem wszystkie zagrywki ludzi, natomiast nic nie wiedziałem o pumie. Bliźni mogą mnie urazić, gdyż działają świadomie i są zawzięci.

– Wiem, wiem – cierpliwie odpowiedział don Juan. – Osiągnięcie nastroju wojownika nie jest łatwe. To rewolucja. Traktowanie pumy, wodnych szczurów i ludzi jako równych sobie to wspaniały akt ducha wojownika. Do tego jednak potrzeba mocy.

12. Bitwa mocy

Czwartek, 28 grudnia 1961

Wyruszyliśmy w podróż bardzo wczesnym rankiem. Pojechaliśmy na południe, a później na wschód, w kierunku gór. Don Juan zabrał tykwy z jedzeniem i wodą. Zanim wyruszyliśmy w drogę, zjedliśmy posiłek w samochodzie.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział don Juan. – Nie znasz tych terenów i nie ma potrzeby ryzykować. Będziesz poszukiwał mocy i teraz liczy się wszystko, co zrobisz. Obserwuj wiatr, szczególnie pod koniec dnia. Patrz, jak zmienia kierunek i ty też zmieniaj swoją pozycję, tak żebym zawsze mógł cię przed nim osłaniać.

– Co będziemy robić w tych górach, don Juanie?

– Będziesz polował na moc.

– Ale co będziemy robić konkretnie?

– Kiedy dochodzi do polowania na moc, nie robi się wtedy żadnych planów. Polowanie na moc czy polowanie na zwierzynę to to samo. Myśliwy poluje na to, co mu się pokaże. Dlatego zawsze musi być czujny i gotowy. Wiesz już wiele o wietrze i teraz sam możesz polować na moc, która się w nim

znajduje. Ale są też inne jej centra, których nie znasz. Moc to bardzo specyficzna siła. Nie da się jej przytrzymać i powiedzieć, czym jest naprawdę. To odczucie, jakie masz w pewnych sytuacjach. Moc jest czymś osobistym. Ona należy tylko do ciebie. Na przykład mój dobroczyńca mógł, jedynie patrząc na kogoś, sprowadzić na niego śmiertelną chorobę. Kobiety marniały w oczach po tym, jak raz na nie spojrzał. Jednak nie czynił tego przez cały czas, a tylko wtedy, kiedy angażował osobistą moc.

– Na jakiej podstawie wybierał osoby, które mają być chore?

– Tego nie wiem. On sam tego nie wiedział. Taka jest właśnie moc. Rozkazuje ci, a jednak cię słucha. Myśliwy polujący na moc chwyta ją i gromadzi. Kiedy wojownik posiada jej już wystarczająco dużo, staje się człowiekiem wiedzy.

– Jak gromadzi się moc, don Juanie?

– To znów inne uczucie. Zależy od tego, jaką naturę ma wojownik. Mój dobroczyńca był gwałtownym człowiekiem. Gromadził moc dzięki temu uczuciu. Wszystko, co robił, było silne i prostolinijne. Wspominam go jako człowieka, który niszczył przeszkody. Wszystko, co mu się wydarzało, wyglądało w ten sposób.

Powiedziałem mu, że nie rozumiem, jak poprzez uczucie można gromadzić moc.

– Nie ma sposobu, aby to wyjaśnić – powiedział po długiej przerwie. – Musisz to zrobić sam.

Wziął tykwy zjedzeniem i wodą i przywiązał je sobie do pleców. Mnie zaś dał mocną nić z nanizanymi na nią ośmioma kawałkami suchego mięsa i powiesił mi na szyi.

– To mięso mocy – powiedział.

– Co sprawia, że to mięso mocy, don Juanie?

– Jest mięsem zwierzęcia, które miało moc. To był jeleń, wyjątkowy jeleń. Moja osobista moc przyprowadziła go do mnie. To mięso może utrzymać nas przy życiu przez tygodnie, a nawet jeśli byłaby taka potrzeba, Przez miesiące. Co pewien czas bierz po kawałku i przeżuwaj dokładnie. Niech moc powoli wypełnia twoje ciało.

Ruszyliśmy. Była prawie jedenasta. Don Juan jeszcze faz przypomniał mi, co mam robić.

– Obserwuj wiatr – powiedział. – Nie pozwól, żeby cię przewrócił ani żeby cię zmęczył. Żuj mięso mocy i chowaj się za mną przed wiatrem. On nie zrobi mi krzywdy. Znamy się bardzo dobrze.

Zaprowadził mnie na ścieżkę, która wiodła prosto ku wysokim górom. Dzień był pochmurny i zanosiło się na deszcz. Widziałem, jak chmury płynące nad górami i mgła zstępują do dolinki, przez którą szliśmy.

Wędrowaliśmy w kompletnej ciszy aż do trzeciej po południu. Żucie suszonego mięsa naprawdę dostarczało mi energii. Obserwowanie nagłych zmian kierunku wiatru stało się czymś frapującym i tajemniczym. Doszło do tego, że moje ciało wyczuwało zmiany, zanim te rzeczywiście nastąpiły. Miałem uczucie, że odbieram je jako pewien nacisk na górną część klatki piersiowej, na oskrzela. Za każdym razem na chwilę przed podmuchem wiatru klatka piersiowa i gardło zaczynały mnie swędzieć.

Don Juan zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wkoło. Sądziłem, że poszukuje właściwego kierunku. W końcu obrócił się w prawo. Zauważyłem, że on również żuje suche mięso. Czułem się bardzo świeżo i wcale nie byłem zmęczony. Zadanie obserwowania zmian kierunku wiatru było tak absorbujące, że nie rejestrowałem upływu czasu.

Weszliśmy do głębokiego wąwozu, a później jedną jego ścianą wspięliśmy się na mały płaskowyż na stromym zboczu olbrzymiej góry. Znaleźliśmy się bardzo wysoko, prawie na jej szczycie.

Don Juan wdrapał się na wielką skałę na końcu płaskowyżu i pomógł mi na nią wejść. Wyglądała jak kopuła umieszczona na szczycie kamiennej wieży. Powoli obchodziliśmy ją wokoło. W końcu musiałem się poruszać po skale na własnym siedzeniu, podpierając się piętami i rękami. Cały byłem mokry od potu i co chwil? musiałem wycierać dłonie.

Po drugiej stronie zauważyłem wielką, płytką jaskinię znajdującą się w pobliżu wierzchołka góry. Wyglądała jak sala wycięta w skale. Piaskowiec zwietrzał w for-jnę balkonu z dwoma filarami.

Don Juan zdecydował, że założymy tam obóz, ponieważ jest to bardzo bezpieczne miejsce – za płytkie na kryjówkę dla pum i innych drapieżników, za bardzo otwarte na gniazdo dla szczurów i zbyt wietrzne dla insektów. Zaśmiał się i powiedział, że to idealne miejsce dla człowieka, gdyż inne stworzenia nie wytrzymałyby w nim.

Wspiął się na skałę jak kozica. Byłem zadziwiony jego zdumiewającą zręcznością. Powoli zsunąłem się na siedzeniu w dół skały, a później próbowałem wbiec zboczem góry, aby dostać się do występu skalnego. Ostatnie kilka jardów całkowicie mnie wyczerpało. Zapytałem don Juana żartobliwie, ile ma naprawdę lat. Wydawało mi się, że aby wspiąć się na ten występ, tak jak on to zrobił, trzeba być wyjątkowo sprawnym i młodym.

– Jestem taki młody, jaki chcę być – powiedział. – To znów kwestia osobistej mocy. Jeśli gromadzisz moc, twoje ciało jest w stanie dokonać niewiarygodnych wyczynów. Natomiast jeżeli roztrwonisz ją, od razu staniesz się tłustym, starym człowiekiem.

Dłuższą krawędzią półka skalna była usytuowana wzdłuż linii wschód-zachód. Podobna do balkonu formacja otwierała się na południe. Poszedłem na jego zachodni koniec. Widok był wspaniały. Deszcz przeszedł bokiem. Wyglądał jak zasłona przezroczystego materiału zawieszona nad niziną.

Don Juan powiedział, że mamy wystarczająco dużo czasu, aby zbudować szałas. Kazał mi zgromadzić tyle kamieni, ile tylko dam radę wnieść na półkę, podczas gdy on sam zajął się zbieraniem gałęzi na dach. W ciągu godziny na wschodnim krańcu półki wybudował mur grubości jednej stopy, który miał około dwóch stóp długości i trzech wysokości. Wplótł w niego i przykazał zebrane wiązki gałęzi i w ten sposób zbudował dach. Przymocował go do dwóch długich palików zakończonych rozwidleniami. Jeszcze jeden palik takiej samej długości przywiązany do dachu podpierał go po przeciwnej stronie muru. Budowla ta wyglądała jak wysoki stół o trzech nogach.

Don Juan usiadł pod nim ze skrzyżowanymi nogami, na samej krawędzi balkonu. Kazał mi usiąść obok siebie, po prawej stronie. Przez chwilę panowała cisza.

Don Juan przerwał ją i szeptem powiedział, że będziemy się zachowywać, jak gdyby nic specjalnego się nie działo, całkiem zwyczajnie. Zapytałem go, czy mam robić coś szczególnego. Uznał, że powinienem zająć się pisaniem i robić to w taki sposób, jakbym siedział przy biurku i nie miał żadnych innych zmartwień, oprócz łamiących się ołówków. W odpowiedniej chwili don Juan trąci mnie łokciem, a wtedy powinienem spojrzeć tam, gdzie mi wskaże. Ostrzegł mnie, żebym niezależnie od tego, co zobaczę, nie odważył się wypowiedzieć ani jednego słowa. Tylko on może mówić bezkarnie, ponieważ dobrze znają go wszystkie moce tych gór.

Postępując zgodnie z jego instrukcjami, pisałem przez ponad godzinę. Całkowicie pochłonęło mnie to zajęcie. Nagle poczułem delikatne dotknięcie w ramię i zobaczyłem, że don Juan porusza oczami i głową w kierunku wału mgły zstępującego ze szczytu góry i oddalonego od nas o jakieś dwieście metrów. Szepnął mi do ucha tak cicho, że ledwie go słyszałem nawet z tak bliskiej odległości:

– Przesuwaj spojrzenie wzdłuż granicy mgły – powiedział. – Ale nie patrz na nią otwarcie. Mrugaj i nie koncentruj na niej wzroku. Kiedy zauważysz zielony punkt na wale mgły, wskaż mi go oczyma.

Przesuwałem wzrok z lewa na prawo, wzdłuż górnej granicy mgły powoli schodzącej na nas. Minęło chyba z pół godziny. Zaczęło się ściemniać. Mgła poruszała się wyjątkowo powoli.

W pewnym momencie poczułem, że odkryłem słabą poświatę na prawo ode mnie. Z początku wydawało mi się, że widzę zieleń krzewów prześwitującą przez mgłę. Kiedy patrzyłem na to miejsce wprost, nie widziałem niczego. Jednak kiedy nie skupiałem na nim wzroku, byłem w stanie odkryć rozmyty zielonkawy kształt.

Wskazałem go don Juanowi. Zrobił zeza i przypatrzył się mu.

– Skoncentruj wzrok na tym punkcie – szepnął mi do ucha. – Patrz, nie mrugając, aż będziesz widział.

Chciałem zapytać, co powinienem zobaczyć, ale obrzucił mnie groźnym spojrzeniem jakby upominając, że nie powinienem mówić.

Znowu zacząłem się wpatrywać. Mały strzęp mgły, który wyglądał, jakby był trwałą materią, zwisał akurat nad tym miejscem, gdzie zauważyłem zielony kolor. Kiedy wzrok mi się znowu zmęczył i zrobiłem zeza, najpierw spostrzegłem fragment mgły nakładający się na jej wał, a później, pomiędzy nimi, cienki jej pasek wyglądający jak wątła budowla pozbawiona podparcia, most łączący górujący szczyt z wałem mgły przede mną. Przez chwilę myślałem, że widzę przeźroczystą mgłę zdmuchniętą na dół ze szczytu góry, przepływającą ponad mostem i nie dotykającą go. Wyglądało to tak, jakby most był rzeczywiście zbudowany ze stałego materiału. W pewnej chwili miraż stał się tak doskonały, że byłem w stanie odróżnić cień pod samym mostem kontrastujący z jego jasnym bokiem koloru piaskowca.

Wpatrywałem się w most, oniemiały. I wtedy albo ja Podniosłem się do jego poziomu, albo most obniżył się do Mojego. Nagle zobaczyłem prostą belkę znajdującą się Przede mną. Była niezwykle długa, solidna i wąska. Chociaż nie miała poręczy, wyglądała na wystarczająco szeroką, aby przez nią przejść.

Don Juan energicznie potrząsał moim ramieniem. Czułem, jak podskakuje mi głowa i zwróciłem uwagę, że okropnie swędzą mnie oczy. Zupełnie nieświadomie zacząłem je pocierać. Don Juan nie przestawał mną potrząsać, dopóki znów nie otworzyłem oczu. W zagłębienie dłoni nalał trochę wody z tykwy i spryskał mi nią twarz. Wywołało to bardzo nieprzyjemne wrażenie. Woda była tak zimna, że jej krople odczuwałem jak rany na skórze. Czułem, że mam gorączkę.

Don Juan w pośpiechu dał mi trochę wody do picia, a później wylał mi kilka kropli na uszy i szyję. Posłyszałem bardzo głośny i straszny krzyk ptaka. Don Juan słuchał uważnie przez chwilę, po czym nogą rozbił mur i strącił dach. Wrzucił go w krzewy, a wszystkie kamienie, jeden po drugim odrzucił na bok. Szepnął mi do ucha:

– Wypij trochę wody i pozuj suchego mięsa. Nie możemy tutaj zostać. To nie był krzyk ptaka.

Zeszliśmy ze skalnej półki i skierowaliśmy się na wschód. Natychmiast zrobiło się tak ciemno, jakby ktoś rozwiesił kurtynę przed naszymi oczami. Mgła wyglądała jak nie dająca się przeniknąć bariera. Nigdy nie uświadamiałem sobie, jak paraliżująca może być mgła w nocy. Nie mogłem pojąć, jak don Juan może iść. Trzymałem się jego ramienia, jakbym był ślepy.

Nie wiadomo dlaczego miałem odczucie, jakbym szedł nad krawędzią przepaści. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Mój rozum ufał don Juanowi i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem chciałem iść, ale moje ciało miało inne zdanie i don Juan musiał mnie ciągnąć w tej całkowitej ciemności. Widać doskonale znał cały ten teren. W pewnym momencie zatrzymał się i pozwolił mi usiąść. Nie odważyłem się puścić jego ręki. Moje ciało bez cienia wątpliwości czuło, że siedzę na nagiej, podobnej do kopuły górze i jeśli ruszę się chociażby na cal w prawo, spadnę w przepaść. Byłem absolutnie przekonany, że siedzę na nachylonym zboczu, ponieważ moje ciało bezwiednie przechylało się w prawo. Tak więc, aby utrzymać je w pionie, próbowałem pochylać się najbardziej jak mogłem w lewo, opierając się o don Juana.

Nagle on odsunął się ode mnie, a ja pozbawiony oparcia upadłem. Kontakt z ziemią przywrócił mi poczucie równowagi. Leżałem na płaskim gruncie. Zacząłem dłonią badać najbliższe otoczenie. Rozpoznałem suche liście i gałązki. Nagła błyskawica rozświetliła całą okolicę. Towarzyszył jej niezwykle głośny grzmot. Zobaczyłem don Juana stojącego po mojej lewej stronie, wielkie drzewa i jaskinię kilka stóp za nim.

Don Juan kazał mi wejść do środka. Wczołgałem się tam i siadłem, opierając się o skałę. Poczułem, jak nachyla się nade mną i szepcze, że muszę być absolutnie cicho.

Trzy błyskawice nastąpiły szybko jedna po drugiej. W ich świetle zobaczyłem don Juana siedzącego ze skrzyżowanymi nogami po mojej lewej stronie. Nasza jaskinia była wystarczająco duża, aby dwie czy trzy osoby mogły w niej usiąść. Wejście wyglądało, jakby było wyciosane u dołu głazu. Wydało mi się, że rzeczywiście niegłupio zrobiłem, wczołgując się do jaskini, ponieważ gdybym wchodził, uderzyłbym głową o skałę.

W świetle błyskawic mogłem się zorientować, jak gęsty w rzeczywistości jest ten wał mgły. Spostrzegłem ciemne zarysy pni olbrzymich drzew na tle mętnej, jasnoszarej masy mgły.

Don Juan wyszeptał, że mgła i błyskawice są ze sobą w zmowie i że powinienem kontynuować to wyczerpujące czuwanie, ponieważ jestem zaangażowany w bitwę mocy. W tym momencie zdumiewający blask błyskawicy wydobył całą fantastykę i niesamowitość scenerii. Mgła, jak biały filtr, zamrażała światło elektrycznego wyładowania i równomiernie je rozpraszała. Wyglądała jak gęsta, biaława substancja zwisająca pomiędzy drzewami, ale bezpośrednio przede mną, na poziomie gruntu jej Warstwa była cieńsza. Wyraźnie rozróżniałem poszczególne elementy terenu. Znajdowaliśmy się w sosnowym lesie. Otaczały nas bardzo wysokie drzewa. Tak niezwykle wysokie, że gdybym wcześniej nie widział tego miejsca, mógłbym przysiąc, że jesteśmy pośród sekwoi.

Nastąpiła salwa błyskawic, która trwała kilka minut. Każdy błysk coraz bardziej uwidaczniał, wcześniej już zaobserwowane przeze mnie, szczegóły. Na wprost przed sobą zauważyłem ścieżkę, ciągnącą się aż po horyzont. Nie rosła na niej żadna roślinność. Wydawało mi się, że prowadzi na równinę pozbawioną drzew.

Błyskało tak często, że przestałem odróżniać pojedyncze błyskawice. Jednak tak dokładnie oświetlały cały teren, że poczułem się dużo lepiej. Moje lęki i brak pewności siebie zniknęły od razu,

gdy tylko odpowiednia ilość światła podniosła ciężką kurtynę ciemności. Tak więc nawet podczas długich przerw pomiędzy błyskami, nie byłem już całkowicie zdezorientowany.

Don Juan szepnął mi, że prawdopodobnie wystarczająco już się naobserwowałem i że teraz powinienem skoncentrować uwagę na samych grzmotach. Ku swemu zdumieniu, uświadomiłem sobie, że do tej pory zupełnie nie zwracałem uwagi na grzmoty, chociaż były one potężne. Don Juan dodał, że powinienem podążać za dźwiękiem i patrzeć w kierunku, z którego, jak mi się wydaje, dochodzi.

Skończyły się już salwy błyskawic i grzmotów i tylko sporadycznie pojawiały się błyski intensywnego światła i towarzyszące im odgłosy. Wydawało mi się, że grzmoty zawsze dochodzą z prawej strony. Mgła podnosiła się, a ja, przyzwyczajony już do jednolitej czerni, zacząłem odróżniać zarysy większych roślin. Błyskawice i grzmoty jednak nie ustawały i nagle mgła z prawej strony rozproszyła się i zobaczyłem niebo.

Elektryczne wyładowania zdawały się przesuwać w prawo. W następnym błysku zobaczyłem odległą górę właśnie z tej strony. Światło stanowiło tło, na którym zarysowała się jej wielka masa. Zobaczyłem też na jej szczycie drzewa, które wyglądały zupełnie jak czarna wycinanka nałożona na olśniewająco białe niebo. Spostrzegłem nawet cumulusy ponad górami.

Mgła wokół nas całkowicie ustąpiła. Zaczął wiać stały wiatr i posłyszałem szelest liści na wielkich drzewach z lewej strony. Burza odeszła już zbyt daleko, aby je dobrze oświetlić, ale światła było tyle, aby ustalić, że po prawej stronie znajdował się łańcuch gór, natomiast las był tylko po lewej. Wydawało mi się, że patrzę w dół ciemnej doliny, która pozostawała zupełnie niewidoczna. Obszar, nad którym przechodziła teraz burza, znajdował się po jej przeciwnej stronie.

Wtedy zaczęło padać. Opierałem się o skałę tak mocno, jak tylko mogłem. Kapelusz dobrze mi służył za osłonę. Siedziałem z kolanami podciągniętymi pod piersi, tak że zmokły mi tylko łydki i buty.

Padało przez długi czas. Deszcz był ciepły. Poczułem go na stopach i wtedy usnąłem.

Obudziły mnie krzyki ptaków. Rozejrzałem się wkoło za don Juanem. Nie było go. Zwykle zacząłbym się zastanawiać, czy nie zostawił mnie samego, ale teraz szok spowodowany zmianą otoczenia, w którym się znajdowałem, sparaliżował mnie.

Wstałem. Miałem mokre nogi, a rondo kapelusza przemokło i lała się woda z niego. Wcale nie byłem w jaskini, ale pod jakimiś wielkimi krzewami. Przeżyłem chwilę niezwykłego zamętu. Stałem na płaskim terenie pomiędzy dwoma pagórkami porośniętymi roślinnością. Nie było żadnych drzew po lewej ani doliny po prawej. Bezpośrednio przede mną, tam, gdzie widziałem ścieżkę, znajdował się gigantyczny krzew.

Nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Brak zgodności Pomiędzy dwoma wersjami rzeczywistości sprawił, że gwałtownie zacząłem poszukiwać jakiegoś wytłumaczenia. Wydawało mi się zupełnie prawdopodobne, że ponieważ spałem tak głęboko, don Juan mógł, nie budząc, przenieść mnie na plecach w zupełnie inne miejsce.

Jednak ziemia była sucha, tam gdzie spałem, tak samo obok, gdzie siedział don Juan.

Kilkakrotnie go zawołałem, a potem opanował mnie strach i wykrzykiwałem jego imię tak głośno, jak tylko potrafiłem. Wyłonił się zza krzewów. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że on wie, co się stało. Jego uśmiech był tak figlarny, że i ja się w końcu uśmiechnąłem.

Nie chciałem tracić czasu na żadne zagrywki. Wypaplałem wszystko o tym, co się ze mną działo. Tak dokładnie, jak tylko się dało, opisałem każdy szczegół mojej całonocnej halucynacji. Don Juan słuchał, nie przerywając mi. Nie mógł jednak zachować poważnego wyrazu twarzy i kilkakrotnie wybuchał śmiechem, ale natychmiast się uspokajał.

Poprosiłem go, trzy czy cztery razy, o komentarz, ale on tylko kręcił głową, jakby cała sprawa była dla niego niepojęta. Kiedy skończyłem swoje sprawozdanie, popatrzył na mnie i powiedział:

– Okropnie wyglądasz. Może chcesz iść w krzaki?

Zachichotał, a później dodał, że powinienem zdjąć ubranie i wyżąć je, aby mogło wyschnąć.

Słońce wspaniale świeciło, a na niebie było tylko kilka chmurek. Wiał ożywczy wiatr.

Don Juan, odchodząc, powiedział, że idzie poszukać pewnych roślin, a ja powinienem dojść do siebie i coś zjeść. Mogę zawołać go dopiero wtedy, kiedy się uspokoję i odzyskam siły.

Moje ubranie rzeczywiście było mokre. Usiadłem w słońcu, aby wyschnąć. Poczułem, że jedynym sposobem zrelaksowania się jest pisanie. Jadłem i równocześnie robiłem notatki.

Po kilku godzinach tej pracy zawołałem don Juana. Odpowiedział z miejsca w pobliżu szczytu góry. Polecił mi, abym zabrał tykwy i przyszedł do niego. Kiedy tam dotarłem, siedział na gładkiej skale. Otworzył tykwy i wziął sobie trochę jedzenia. Podał mi dwa wielkie kawałki mięsa.

Nie wiedziałem, od czego zacząć. Było tyle spraw, o które chciałem zapytać. Był świadomy mojego nastroju, bo zaśmiał się z wielką rozkoszą.

– Jak się czujesz? – zapytał żartobliwie. Nie chciałem nic mówić. Wciąż byłem przygnębiony. Don Juan kazał mi usiąść na płaskiej płycie skalnej. Powiedział, że ma ona moc i że po chwili odzyskam siły.

– Siadaj – rozkazał.

Nie uśmiechał się już. Jego wzrok przewiercał mnie na wylot. Automatycznie usiadłem. Powiedział, że poddając się przygnębieniu, postąpiłem lekkomyślnie w stosunku do mocy. Muszę z tym skończyć, bo w przeciwnym przypadku moc zwróci się przeciwko nam obydwu i nigdy żywi nie opuścimy tych odludnych wzgórz.

Po krótkiej przerwie od niechcenia zapytał:

– Jak tam z twoim śnieniem?

Wyjaśniłem mu, jak trudno było mi zaprogramować się, aby patrzeć na swoje ręce. Na początku było to względnie łatwe, być może z powodu nowości. Nie miałem w ogóle żadnego problemu z przypomnieniem sobie, że muszę na nie patrzeć. Ale podniecenie spowszedniało i w niektóre noce wcale nie byłem w stanie tego zrobić.

– Musisz do snu wkładać opaskę na głowę – powiedział. – Zakładanie jej to taka sztuczka. Nie mogę ci jej dać, ponieważ sam musisz ją zrobić, improwizując. Ale nie możesz jej wykonać, dopóki nie pojawi ci się jej wizja podczas śnienia. Rozumiesz, o co mi chodzi? Opaska powinna być zrobiona według specjalnej wizji. Musi też mieć poprzeczny pasek dokładnie przylegający do głowy. Albo może też przypominać ciasno przylegającą czapkę. Śnienie staje się łatwiejsze, kiedy na głowę wkłada się obiekt mocy. Możesz też włożyć kapelusz albo mnisi kaptur i iść spać, ale te przedmioty wywołają tylko intensywne sny, a nie śnienie.

Don Juan przez chwilę zachowywał milczenie, a później, bombardując mnie słowami, przystąpił do wyjaśniania mi, że wizja przepaski na głowę nie musi pojawić się tylko podczas śnienia, ale może też wystąpić w stanach czuwania jako rezultat dowolnych i nie związanych ze sobą wydarzeń, takich jak obserwowanie lotu ptaków, ruchu wody czy chmur.

– Myśliwy polujący na moc obserwuje wszystko kontynuował. – Każda rzecz może mu wyjawić pewną tajemnicę.

– Ale skąd pewność, że rzeczy w ogóle wyjawiają jakieś tajemnice? – zapytałem.

Pomyślałem sobie, że być może don Juan posiada jakiś specjalny sposób, umożliwiający mu dokonywanie właściwych interpretacji.

– Jedynym sposobem uzyskania pewności jest stosowanie instrukcji, które ci podaję, począwszy od pierwszego dnia, kiedy przyszedłeś do mnie – powiedział. – Aby posiadać moc, musi się żyć z mocą.

Uśmiechnął się życzliwie. Wydawało mi się, że wrócił mu pogodny nastrój, nawet trącił mnie lekko w ramię. – Zjedz swoje suszone mięso – nalegał. Zacząłem je żuć i w tym momencie nagle uświadomiłem sobie, że suszone mięso może zawierać substancje psychotropowe i stąd wzięły się halucynacje. Przez chwilę prawie poczułem ulgę. Jeśli dodał czegoś do mięsa, moje zwidy były całkiem zrozumiałe. Zapytałem go co jest w mięsie mocy.

Zaśmiał się, lecz nie odpowiedział mi bezpośrednio. Upierałem się, zapewniając go, że nie jestem zły ani nawet zirytowany, ale dla własnej satysfakcji muszę znaleźć wyjaśnienie zdarzeń poprzedniej nocy. Nalegałem, przypochlebiałem się, a w końcu błagałem go, aby powiedział mi prawdę.

– Jesteś całkiem popieprzony – powiedział, kręcąc głową w geście niedowierzania. – Masz zdradliwą skłonność. Cały czas usiłujesz dla własnej satysfakcji wszystko sobie wytłumaczyć. W mięsie nie ma niczego oprócz mocy. Moc nie została tam dodana ani przeze mnie, ani przez żadnego innego człowieka, ale przez samą moc. Jest to suszone mięso jelenia, którego otrzymałem w darze, podobnie jak ty, nie tak dawno, dostałeś pewnego królika. Ani ty, ani ja nie wsadzaliśmy niczego do królika. Nie prosiłem cię, abyś wysuszył jego mięso, ponieważ ten czyn wymaga większej mocy niż twoja. Powiedziałem ci jednak, abyś zjadł mięso. Nie zjadłeś go dużo, ale to z powodu własnej

głupoty. To, co przydarzyło ci się poprzedniej nocy, nie było ani żartem, ani żadnym kawałem. Zetknąłeś się z mocą. Mgła, ciemność, błyskawice, grzmot i deszcz stanowiły elementy wielkiej bitwy mocy. Miałeś szczęście głupca. Wojownik dałby wszystko, żeby mieć taką bitwę.

Argumentowałem, że całe to wydarzenie nie mogło być bitwą mocy, ponieważ nie było rzeczywiste.

– A co jest rzeczywiste? – bardzo spokojnie zapytał don Juan.

– To, na co teraz patrzymy, jest rzeczywiste – powiedziałem, wskazując na wszystko dookoła.

– Ale taki sam był most, który widziałeś zeszłej nocy i las, i wszystko pozostałe.

– Jeśli były rzeczywiste, to gdzie są teraz?

– Są tutaj. Jeśli miałbyś wystarczającą moc, mógłbyś je zawezwać jeszcze raz. Teraz nie możesz tego zrobić, Ponieważ uważasz, że bardzo pomaga ci wątpienie i zrzędzenie. Ale tak nie jest, przyjacielu. Istnieją światy ponad światami, tutaj przed nami. I nie ma z czego się śmiać. Poprzedniej nocy, jeśli nie złapałbym cię za rękę, niezależnie od tego czy chciałbyś, czy nie, wszedłbyś na ten "tost. A przedtem także musiałem chronić cię przed wiałem, który cię szukał.

– Co by się stało, gdybyś mnie nie ochraniał?

– Ponieważ nie masz wystarczająco dużo mocy, wiatr doprowadziłby do tego, że zgubiłbyś drogę, a może nawet zabiłby cię, popychając w przepaść. Ale ta mgła zeszłej nocy była prawdziwa. Dwie rzeczy mogły ci się przydarzyć we mgle. Mógłbyś przejść przez most na drugą stronę albo spaść i zabić się. Zależałoby to od mocy. Jednak jedno jest pewne. Gdybym cię nie ochraniał, wszedłbyś na ten most, nie zważając na nic. Taka jest natura mocy. Jak ci już wcześniej mówiłem, ona ci rozkazuje, a jednocześnie pozostaje pod twoimi rozkazami. Zeszłej nocy, na przykład, moc zmusiłaby cię do wejścia na most i wtedy pozostawałaby na twoje rozkazy, utrzymując cię na nim. Zatrzymałem cię, ponieważ wiem, że nie masz umiejętności potrzebnych do używania mocy, a bez niej most zawaliłby się.

– Czy ty sam widziałeś ten most, don Juanie?

– Nie, widziałem tylko moc. Ona może być wszystkim. Dla ciebie, tym razem, moc stała się mostem. Nie wiem dlaczego akurat mostem. Jesteśmy niezwykle tajemniczymi stworzeniami.

– Czy kiedykolwiek widziałeś most z mgły, don Juanie?

– Nie, nigdy. To dlatego, że nie jestem podobny do ciebie. Widziałem inne rzeczy. Moje bitwy mocy bardzo się różnią od twojej.

– Co widziałeś, don Juanie? Czy możesz mi powiedzieć?

– Podczas swojej pierwszej bitwy mocy widziałem swoich wrogów. Ty nie masz wrogów. Nie ma w tobie nienawiści do ludzi. Ja w tamtym czasie nienawidziłem ludzi. Folgowałem sobie w tym. Teraz już więcej tego nie robię. Przezwyciężyłem swoją nienawiść, ale wtedy prawie mnie zniszczyła. Z kolei twoja bitwa mocy była przyjemna. Nie wyczerpała cię. Ty sam się wykończysz przez te swoje zasrane myśli i wątpliwości. To jest twój sposób folgowania sobie. Mgła była bez zarzutu w stosunku do ciebie. Jesteś z nią spokrewniony. Ofiarowała ci zdumiewający most. Od tej chwili ten most już w niej pozostanie. Będzie ci się ukazywał wielokrotnie, aż pewnego dnia będziesz musiał przez niego przejść. Poważnie radzę ci, abyś od dzisiejszego dnia sam nie wchodził we mgłę, dopóki nie będziesz wiedział, co robić. Moc to bardzo dziwna sprawa. Aby ją uzyskać i jej rozkazywać, na początku sam musisz ją mieć. Można ją jednak po trochu gromadzić, aż będziesz jej miał tyle, aby wytrzymać bitwę mocy.

– Czym jest bitwa mocy?

– To, co wydarzyło się zeszłej nocy, było początkiem bitwy mocy. Krajobrazy, które widziałeś, to miejsca mocy. Pewnego dnia staną się dla ciebie jasne; te krajobrazy mają przeogromne znaczenie.

– Czy możesz mi powiedzieć, jakie mają znaczenie, don Juanie?

– Nie. Te krajobrazy stanowią część twojego osobistego podboju, którego nie możesz dzielić z nikim innym. Ale to, co wydarzyło się ostatniej nocy, było tylko początkiem, potyczką. Prawdziwa bitwa nastąpi wtedy, kiedy przekroczysz most. Co jest po drugiej stronie? Tylko ty możesz to wiedzieć. Tylko ty się dowiesz, co jest na końcu ścieżki biegnącej przez las. To wszystko może ci się wydarzyć, ale nie musi. Po to, aby podróżować tymi nieznanymi ścieżkami i mostami, trzeba mieć wystarczającą moc.

– Co się dzieje, kiedy nie ma się wystarczającej mocy?

– Śmierć zawsze czeka, a kiedy moc wojownika wygasa, po prostu go dosięga. Dlatego podróżowanie po tym, co nieznane, bez żadnej mocy jest głupie. Wtedy można znaleźć tylko śmierć.

Właściwie nie słuchałem go. Po głowie przez cały czas chodziła mi myśl, że suche mięso było tym, co spowodowało moje halucynacje. Sprawiało mi przyjemność folgowanie sobie w takim myśleniu.

– Nie wysilaj się, próbując wszystko sobie wytłumaczyć – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – Świat jest tajemnicą. To na co patrzysz, nie jest wszystkim. Naprawdę świat jest nieskończony. Tak więc, kiedy usiłujesz sobie to wszystko wytłumaczyć, w rzeczywistości chcesz sprawić, aby świat stał się znajomy. Ty i ja jesteśmy tutaj, w świecie, który nazywasz rzeczywistym, tylko dlatego, że obydwaj go znamy. Ty nie znasz świata mocy i dlatego nie potrafisz zrobić z niego czegoś znajomego.

– Wiesz, że nie mogę ci przeciwstawić żadnego argumentu – powiedziałem. – Ale jednak mój intelekt nie może tego zaakceptować.

Zaśmiał się i lekko dotknął mojej głowy

– Jesteś naprawdę szalony – powiedział. – Ale wszystko jest w porządku. Wiem, jak trudno jest żyć jak wojownik. Gdybyś stosował się do moich zaleceń i wykonał wszystko, czego cię nauczyłem, miałbyś wystarczającą moc, aby przekroczyć ten most. Wystarczająco dużo mocy, aby widzieć i zatrzymać świat.

– Dlaczego powinienem chcieć mocy, don Juanie?

– Jestem taki jak ty. Ja też jej nie chciałem. Nie mogłem znaleźć powodu, dla którego miałbym jej chcieć. Miałem wszystkie wątpliwości, jakie ty masz, i nigdy nie wykonywałem wskazówek, które otrzymywałem, albo wydawało mi się, że ich nie wykonuję. Jednak, pomimo mojej głupoty, zgromadziłem wystarczająco dużo mocy i pewnego dnia moja osobista moc sprawiła, że mój świat runął.

– Ale dlaczego ktoś ma chcieć zatrzymać świat?

– Nikt tego nie chce, i o to właśnie chodzi. To po prostu się wydarza. A gdy już wiesz, jak wygląda zatrzymanie świata, uświadamiasz sobie także powód, dla którego to robisz. Widzisz, jedną ze sztuk wojownika jest zburzenie świata z powodu jakiejś szczególnej przyczyny, a później odbudowanie go po to, aby móc żyć.

Powiedziałem mu, że być może najbardziej by mi pomógł, gdyby podał mi konkretny powód takiego działania.

Don Juan milczał przez pewien czas. Zastanawiał się, jaką ma mi dać odpowiedź.

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Potrzeba zbyt dużo mocy, żeby to zrozumieć. Pewnego dnia, kiedy wbrew sobie będziesz żył jak wojownik, zgromadzisz wystarczająco dużo osobistej mocy, aby odpowiedzieć sobie na to pytanie. Nauczyłem cię już prawie wszystkiego, co musi wiedzieć wojownik, aby wyruszyć w świat i samemu zacząć gromadzić moc. Jednak zdaję sobie sprawę, że nie potrafisz tego zrobić, i dlatego muszę być cierpliwy w stosunku do ciebie. Wiem bardzo dobrze, że aby w końcu dawać sobie radę samemu w świecie mocy, trzeba walczyć przez całe życie.

Don Juan spojrzał w niebo i na góry. Słońce znajdowało się już na zachodzie i deszczowe chmury szybko zbierały się nad górami. Nie wiedziałem, która godzina. Zapomniałem nakręcić zegarek. Zapytałem go, czy nie mógłby mi tego powiedzieć, a wtedy dostał takiego ataku śmiechu, że aż stoczył się ze skalnej płyty w krzewy.

Wstał, przeciągnął się i ziewnął.

– Jest wcześnie – powiedział. – Musimy poczekać, aż mgła zgromadzi się na szczycie góry, a później musisz sam stanąć na tej płycie i podziękować jej za uprzejmość. Niech przyjdzie i cię otuli. Zostanę w pobliżu, aby ci pomóc, jeśli będzie trzeba.

Perspektywa samotnego przebywania we mgle dziwnie mnie przeraziła. Czułem się jak idiota, reagując tak irracjonalnie.

– Nie możesz opuścić tych bezludnych gór, nie wyrażać podziękowania – powiedział stanowczym tonem. – Wojownik nigdy nie odwraca się plecami do mocy jak zarozumialec, który nie potrafi być wdzięczny za to, co trzymał.

Położył się, podkładając ręce pod głowę i zakrywając twarz kapeluszem.

– Jak mam czekać na tą mgłę? – zapytałem. – Co mam robić?

– Pisz! – powiedział spod kapelusza. – Ale miej oczy otwarte i nie odwracaj się do niej plecami. Próbowałem pisać, ale nie mogłem się skoncentrować.

Wstałem i zacząłem nerwowo chodzić w kółko. Don Juan podniósł kapelusz i zaniepokojony spojrzał na mnie.

– Siadaj! – rozkazał.

Powiedział, że bitwa mocy jeszcze się nie skończyła i muszę nauczyć swojego ducha bycia niewzruszonym. Nic, co robię, nie może zdradzać moich uczuć, jeśli nie chcę zostać pochłonięty przez te góry.

Usiadł i zrobił ręką ponaglający gest. Powiedział, że powinienem postępować tak, jakby nic niezwykłego się nie działo, ponieważ miejsca mocy, jak to, posiadają możliwość wsysania ludzi, którzy są rozproszeni. Wtedy nawiązuje się dziwne i szkodliwe związki z danym miejscem.

– Takie więzy zakotwiczają człowieka w miejscu mocy, czasem nawet na całe życie – powiedział. – A to nie jest miejsce dla ciebie. Nie znalazłeś go sam. A więc uspokój się i nie narób w portki.

Jego napomnienia podziałały na mnie jak zaklęcie. Pisałem bez przerwy przez kilka godzin.

Don Juan ponownie zasnął i obudził się dopiero wtedy, gdy mgła schodząca ze szczytu góry znalazła się jakieś sto jardów od nas. Wstał i uważnie się rozejrzał. Ja rozglądnąłem się wkoło, nie zmieniając pozycji. Mgła, schodząc z gór po prawej stronie, opanowała już nizinę-Po lewej widok był jeszcze klarowny. Wydawało mi się jednak, że wiatr wiejący z prawej, jakby chcąc nas otoczyć, popychał mgłę na nizinę.

Don Juan wyszeptał, że muszę stać w bezruchu taro, gdzie stoję. Nie powinienem zamykać oczu ani odwracać się, dopóki nie zostanę całkowicie otoczony przez mgłę. Dopiero wtedy będziemy mogli ruszyć w kierunku niziny.

Znalazł schronienie u stóp skał, kilka kroków za mną. Cisza w tych górach była czymś wspaniałym, ale równocześnie przerażającym. Łagodny wiatr niosący mgłę sprawiał, że miałem wrażenie, jakby syczała mi do uszu. Wielkie jej płaty schodziły w dół zbocza jak twarde bryły białawej materii staczającej się na mnie. Powąchałem mgłę – Jej zapach był mieszanką czegoś ostrego i aromatycznego. A potem otuliła mnie.

Wydawało mi się, że oddziałuje na moje powieki. Bardzo mi ciążyły i miałem ochotę zamknąć oczy. Było mi zimno. Swędziało mnie w gardle i chciałem zakaszleć, ale nie odważyłem się. Podniosłem brodę i wyciągnąłem szyję, aby tego nie zrobić. Kiedy patrzyłem w górę, miałem wrażenie, że widzę, jak wysoko sięga wał mgły. Wyglądało to tak, jakby mój wzrok, przebijając się przez nią, mógł szacować jej grubość. Oczy zaczynały mi się zamykać i nie mogłem przezwyciężyć pragnienia zaśnięcia. Czułem, że w każdej chwili mogę upaść na ziemię. W tym momencie przyskoczył do mnie don Juan, chwycił za ramiona i potrząsnął. Wstrząs był na tyle silny, aby przywrócić mi przytomność.

Szepnął mi do ucha, że muszę zacząć biec w dół wzgórza tak szybko, jak tylko potrafię. On będzie biegł za mną, ponieważ nie chce być uderzony przez skały, które mogę potrącić. Powiedział, że ja prowadzę, gdyż jest to Woja bitwa mocy. Muszę mieć jasny umysł i poddać się, aby bezpiecznie wyprowadzić nas stąd.

– To jest to – głośno powiedział. – Jeśli nie będziesz miał nastroju wojownika, możemy nigdy nie wydostać się z tej mgły.

Wahałem się przez moment. Nie byłem pewny, czy potrafię znaleźć drogę wiodącą do domu.

– Biegnij, króliku, biegnij! – krzyknął don Juan i popchnął mnie łagodnie.

13. Ostatnia próba wojownika

Niedziela, 28 stycznia 1962

Około dziesiątej rano don Juan wrócił do domu. Wyszedł o świcie. Przywitałem się z nim. Zachichotał i błaznując, podał mi rękę i ceremonialnie się ze mną przywitał.

– Idziemy na małą przechadzkę – powiedział. – Zawieziesz nas w wyjątkowe miejsce, gdzie będziemy szukać mocy.

Do dwóch siatek wsadził dwie tykwy wypełnione jedzeniem, związał je razem cienką linką i wręczył mi.

Leniwie jechaliśmy na północ jakieś czterysta mil, a później zjechaliśmy z autostrady na żwirową drogę prowadzącą na zachód. Przez kilka godzin mój samochód był chyba jedyny na tej drodze. Kiedy tak jechaliśmy, przestałem cokolwiek widzieć przed sobą. Desperacko wysilałem wzrok, chcąc dostrzec drogę, ale było zbyt ciemno, a szybę pokrywały rozbite owady i kurz.

Powiedziałem don Juanowi, że muszę się zatrzymać, żeby umyć szybę. Kazał mi jednak jechać dalej, nawet jeśli miałbym wlec się dwie mile na godzinę z głową wystawioną na zewnątrz przez boczne okno. Powiedział, że nie możemy się zatrzymać, dopóki nie dojedziemy na miejsce.

W pewnym momencie kazał mi skręcić w prawo. Nieprzenikniona ciemność i gęsty kurz sprawiały, że nawet długie światła na niewiele się zdały. Jechałem z wielkim strachem, obawiałem się, że się zagrzebiemy, ale ziemia była ubita.

Przez około sto metrów posuwaliśmy się z możliwie najmniejszą prędkością. Miałem uchylone drzwi. W końcu don Juan pozwolił mi stanąć. Powiedział, że zaparkowałem samochód akurat za wielką skałą, która osłoni go od strony drogi.

Zacząłem obchodzić go wkoło. W światłach reflektorów chciałem zbadać otoczenie, ponieważ nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Ale don Juan je wyłączył. Głośno powiedział, że nie mamy czasu do stracenia. Powinienem zamknąć samochód, abyśmy mogli wyruszyć w drogę.

Podał mi siatkę z tykwami. Było tak ciemno, że potknąłem się i o mało co ich nie upuściłem. Łagodnym, stanowczym tonem don Juan kazał mi usiąść i poczekać, aż moje oczy przywykną do ciemności. Ale oczy nie stanowiły dla mnie problemu. Gdy tylko wyszedłem z samochodu, zacząłem widzieć całkiem nieźle. Za to ogarnęła mnie dziwna nerwowość, która spowodowała, że byłem roztargniony i wszystko koloryzowałem.

– Dokąd idziemy? – zapytałem.

– Wybieramy się na przechadzkę w całkowitej ciemności, idziemy do pewnego miejsca – powiedział.

– Po co?

– Aby upewnić się, że jesteś w stanie kontynuować polowanie na moc.

Zapytałem go, czy ma to być jakiś rodzaj testu i czy jeśli go obleję, będzie dalej ze mną rozmawiał i opowie mi o swojej wiedzy.

Słuchał, nie przerywając mi. Powiedział, że to, co robimy, nie jest testem. Czekamy na omen. Jeśli się nie pojawi, będzie to znaczyło, że nie udało mi się polowanie na moc i wtedy będę wolny od wszelkich obowiązków, Wolny na tyle, by być dalej tak głupim, jak tylko zechcę. Stwierdził, ze jednak niezależnie od tego, co się wydarzy, pozostanie moim przyjacielem i będzie ze mną rozmawiał.

Skądś wiedziałem, że mi się nie uda.

– Omen się nie pojawi – powiedziałem żartobliwie. – Wiem to. Mam trochę mocy.

Zaśmiał się i łagodnie poklepał mnie po plecach.

– Już ty się nie martw – odparował. – Omen się pojawi. Wiem to. Mam więcej mocy niż ty.

Uznał swoje stwierdzenie za zabawne. Klepnął się po udach i klasnął w ręce, rycząc ze śmiechu.

Przywiązał mi do pleców siatkę i powiedział, że powinienem iść jeden krok za nim i jeśli tylko będę mógł, stawiać stopy na jego śladach.

Bardzo dramatycznym tonem szepnął:

– To jest wyprawa po moc, dlatego wszystko się tu liczy.

Powiedział, że jeśli będę szedł po jego śladach, moc, która spływa z niego podczas chodzenia, przejdzie na mnie.

Spojrzałem na zegarek, była jedenasta.

Postawił mnie jak żołnierza na baczność. Następnie popchnął moją prawą nogę do przodu i kazał mi stanąć tak, jakbym właśnie robił krok przed siebie. Ustawił się przede mną w tej samej pozycji i zaczął iść, przypominając mi instrukcję, że muszę iść dokładnie po jego śladach. Wyraźnym szeptem powiedział, że nie wolno mi zajmować się niczym innym, jak tylko wymierzaniem odpowiednich kroków. Nie powinienem patrzeć ani do przodu, ani na boki, tylko na ziemię, tam gdzie on stawia stopy.

Ruszył bardzo powoli. Kroczenie za nim nie sprawiało mi żadnych kłopotów. Szliśmy po względnie twardym gruncie. Przez jakieś trzydzieści metrów utrzymywałem tempo i szedłem dokładnie po jego śladach, później na moment spojrzałem w bok i następną rzeczą, jaką poczułem, było to, jak wpadłem na niego.

Zachichotał i upewnił mnie, że nie uszkodziłem mu kostki, kiedy stanąłem na jego stopie swoim wielkim buciorem, ale jeśli dalej będę potykał się o niego, to do rana jeden z nas zostanie kaleką. Śmiejąc się, powiedział bardzo cicho, ale stanowczo, że nie zamierza odnieść obrażeń z powodu mojej głupoty i braku koncentracji i jeśli jeszcze raz nadepnę na niego, będę musiał iść boso.

– Nie mogę iść bez butów – powiedziałem głośno i chrapliwie.

Don Juan skręcał się ze śmiechu i musieliśmy zaczekać, aż przestanie.

Jeszcze raz zapewnił mnie, że mówi poważnie. Podróżujemy, aby nawiązać kontakt z mocą, i wszystko musi być wykonane perfekcyjnie.

Perspektywa chodzenia po pustyni bez butów niewiarygodnie mnie przestraszyła. Don Juan żartował sobie, że prawdopodobnie moja rodzina należała do tego typu farmerów, którzy nie zdejmują butów nawet wtedy, kiedy idą do łóżka. Oczywiście miał rację. Nigdy nie chodziłem boso i chodzenie po pustyni bez butów oznaczałoby dla mnie samobójstwo.

– Pustynia wydziela moc – szepnął mi don Juan do ucha. – Nie ma czasu na wahanie.

Zaczęliśmy znowu iść. Don Juan podążał w łatwym do utrzymania tempie. Po chwili zauważyłem, że skończył się twardy grunt i weszliśmy na miękki piasek. Stopy don Juana zagłębiały się w nim i pozostawiały wyraźne ślady.

Szliśmy tak wiele godzin, zanim don Juan się zatrzymał. Nie stanął nagle, ale abym nie wpadł na niego, wcześniej ostrzegł mnie o swym zamiarze. Teren znów stał się twardy i wydawało mi się, że się wznosi.

Don Juan powiedział, że jeśli muszę iść w krzaki, to muszę to zrobić teraz, ponieważ zaraz będziemy mieli do Przejścia niezły kawał drogi bez żadnej przerwy. Spojrzałem na zegarek, była pierwsza.

Po około piętnastominutowej przerwie don Juan znów Ustawił mnie w szeregu i zaczęliśmy marsz. Miał rację, była to bardzo uciążliwa droga. Nigdy wcześniej nie robiłem niczego, co wymagałoby takiej koncentracji. Tempo, które narzucił don Juan, było tak wielkie, a napięcie, z jakim obserwowałem każdy jego krok, tak pochłaniające, że w pewnym momencie przestałem czuć, że idę. Nie czułem ani swoich stóp, ani nóg. Wyglądało to tak, jakbym szedł w powietrzu i unosiła mnie jakaś siła. Moja koncentracja była tak pełna, że nie zauważyłem stopniowej zmiany światła. Nagle uświadomiłem sobie, że widzę przed sobą don Juana. Teraz dostrzegałem jego stopy i ślady, zamiast zgadywać, gdzie mogą być, jak to robiłem przez pół nocy.

W pewnej chwili niespodziewanie skoczył na bok, a siła bezwładności poniosła mnie jeszcze jakieś dwadzieścia metrów dalej. Kiedy zwolniłem, moje nogi stały się słabsze i zaczęły drżeć, aż w końcu upadłem na ziemię.

Spojrzałem w górę na don Juana, który badał mnie dokładnie wzrokiem. Nie wydawał się zmęczony. Ja nie mogłem złapać tchu i byłem cały mokry od zimnego potu.

Don Juan obrócił mnie, leżącego, ciągnąc mnie za rękę. Powiedział, że jeśli chcę odzyskać siły, powinienem położyć się z głową zwróconą na wschód. Moje ciało powoli się rozluźniało i ból łagodniał. W końcu miałem tyle siły, aby wstać. Chciałem spojrzeć na zegarek, ale mi nie pozwolił, zakrywając ręką mój nadgarstek. Bardzo łagodnie odwrócił mnie twarzą na wschód i powiedział, że nie potrzebuję

swojego diabelskiego zegarka, bo znajdujemy się w magicznym czasie i mamy się przekonać, czy jestem w stanie podążać śladem mocy.

Rozejrzałem się wokoło. Byliśmy na szczycie wielkiego, wysokiego wzgórza. Chciałem podejść do czegoś, co wyglądało jak krawędź lub szczelina w skale, ale don Juan skoczył i przytrzymał mnie. Kategorycznie kazał mi pozostać w miejscu, w którym upadłem, aż słońce wyjdzie zza czarnych szczytów górskich znajdujących się w pobliżu.

Wskazał na wschód i zwrócił mi uwagę na ciężki wał chmur nad horyzontem. Powiedział, że dobrym omenem byłoby, gdyby wiatr zdążył rozwiać chmury, tak aby pierwsze promienie słońca mogły paść na moje ciało na wzgórzu.

Powiedział mi, abym stał bez ruchu z prawą nogą wysuniętą do przodu, tak jakbym szedł i nie patrzył prosto na horyzont.

Nogi mi zesztywniały i bolały mnie łydki. Była to śmiertelnie męcząca pozycja, moje mięśnie wycierpiały za dużo, aby mnie jeszcze podtrzymywać. Prawie już upadałem, nogi drżały mi w niekontrolowany sposób, kiedy don Juan odwołał wszystko. Pomógł mi usiąść.

Wał chmur nie przesunął się i nie zobaczyliśmy słońca wschodzącego nad horyzontem.

Jedyny komentarz don Juana brzmiał:

– Szkoda.

Nie chciałem od razu pytać, jakie są prawdziwe konsekwencje mego niepowodzenia, ale znając don Juana, byłem przekonany, że będzie on postępował zgodnie ze wskazaniami swoich omenów. Ale tego ranka nie pojawił się żaden. Ból w łydkach zniknął i poczułem falę odprężenia. Zacząłem biec w miejscu, aby rozluźnić mięśnie. Don Juan bardzo łagodnie powiedział mi, abym pobiegł na sąsiednie wzgórze i nazbierał liści z pewnego krzewu, a potem natarł nimi nogi, aby złagodzić ból.

Z miejsca, gdzie stałem, wyraźnie było widać wielki, bujny, zielony krzew. Jego liście wydawały się bardzo wilgotne. Używałem ich już przedtem. Nigdy nie poczułem, żeby mi naprawdę pomogły, ale don Juan zawsze utrzymywał, że działanie prawdziwie przyjacielskich roślin jest tak subtelne, że prawie nie zauważalne, a jednak zawsze przynosi pożądane rezultaty.

Pobiegłem w dół, a następnie pod górę, na wskazane wzgórze. Kiedy zbliżałem się do wierzchołka, poczułem że ten wysiłek jest chyba dla mnie zbyt wielki. Ledwie mogłem złapać oddech i przewracało mi się w żołądku. Przykucnąłem i skuliłem się na chwilę, aż poczułem się lepiej. Później podniosłem się, aby zerwać wreszcie liście. Ale nie mogłem znaleźć krzewu. Rozejrzałem się. Byłem pewny, że nie pomyliłem wzgórz, ale tutaj nie było niczego, co choć trochę mogło przypominać tę szczególną roślinę. A jednak to musiało być miejsce, które widziałem. Inne byłoby poza zasięgiem wzroku dla każdego, kto stałby tam, gdzie don Juan.

Zaprzestałem poszukiwań i wróciłem na pierwsze wzgórze. Don Juan uśmiechał się życzliwie, kiedy opisałem mu swoją pomyłkę.

– Dlaczego nazywasz to pomyłką? – zapytał.

– Przecież nie ma tam żadnego krzewu – powiedziałem.

– Ale go widziałeś, prawda?

– Wydaje mi się, że tak.

– A co widzisz teraz na tym samym miejscu?

– Nic.

Nie było absolutnie żadnej roślinności tam, gdzie wydawało mi się, że widziałem krzew. Usiłowałem wyjaśnić to, co widziałem, jako złudzenie optyczne, pewien rodzaj mirażu. Byłem naprawdę wyczerpany i z tego powodu mogłem łatwo uwierzyć, że widzę coś, co spodziewałem się zobaczyć, a czego w ogóle nie było.

Don Juan zachichotał i popatrzył na mnie przez chwilę.

– Nie widzę tu żadnej pomyłki – powiedział. – Krzew jest tam, na tamtym wzgórzu.

Teraz przyszła moja kolej, aby się śmiać. Zlustrowałem dokładnie cały teren. W zasięgu wzroku nie było żadnych takich roślin, a to, co widziałem wcześniej, na tyle, na ile się na tym znałem, mogłem uznać za halucynację.

Don Juan bardzo spokojnie zaczął schodzić ze wzgórza i dał mi znak, abym poszedł za nim. Wspięliśmy się razem na sąsiedni pagórek i stanęliśmy dokładnie tam, gdzie wydawało mi się, że widzę krzew. Zachichotałem z radości, że miałem rację. Don Juan również zachichotał.

– Przejdź na drugą stronę tego wzgórza – powiedział. – Znajdziesz tam krzew.

Przedstawiłem argument, że druga strona wzgórza jest poza zasięgiem mego wzroku i że jeśli nawet znajdzie się tam jakiś krzew, nie będzie to żaden dowód.

Don Juan dał mi znak głową, abym poszedł za nim. Obszedł szczyt dookoła, zamiast iść na przełaj i w teatralnej pozie stanął przy krzewie, wcale na niego nie patrząc.

Odwrócił się i spojrzał na mnie szczególnie przenikliwie.

– W pobliżu muszą rosnąć setki takich krzewów powiedziałem.

Don Juan z wielką cierpliwością zszedł na drugą stronę wzgórza wraz ze mną, idącym jego śladem. Szukaliśmy wszędzie podobnego krzewu. Nie było żadnego. Przeszliśmy ze ćwierć mili, zanim natknęliśmy się na następny.

Nie mówiąc ani słowa, don Juan zaprowadził mnie z powrotem na pierwsze wzgórze. Staliśmy tam przez chwilę, a później zabrał mnie na dalsze poszukiwania krzewów, ale w przeciwnym kierunku. Przeczesaliśmy cały ten obszar i milę dalej znaleźliśmy jeszcze dwa. Rosły razem i wyróżniały się intensywną zielenią i bujnością.

Don Juan spojrzał na mnie z poważnym wyrazem twarzy. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

– To bardzo dziwny omen – powiedział.

Wróciliśmy na pierwsze wzgórze, obchodząc je szerokim łukiem, aby wejść na nie z innej strony. Sądziłem, że don Juan wybrał taką drogę, żeby udowodnić mi, iż w okolicy jest bardzo mało takich roślin. Nie natknęliśmy się już na żadną z nich. Kiedy weszliśmy na wierzchołek, siedzieliśmy chwilę w kompletnej ciszy. Don Juan rozwiązał siatkę z tykwami.

– Poczujesz się lepiej po jedzeniu – powiedział.

Nie potrafił ukryć swego zadowolenia. Rozpromieniony pogłaskał mnie po głowie. Czułem się zdezorientowany z powodu nowego obrotu, jaki przyjęły sprawy, ale byłem zbyt głodny i zmęczony, aby się nad tym zastanawiać.

Po jedzeniu poczułem się bardzo senny. Don Juan namówił mnie, abym użył techniki patrzenia bez skupiania wzroku i znalazł odpowiednie do spania miejsce na szczycie wzgórza, na którym zobaczyłem krzew.

Wybrałem pewne miejsce. Don Juan pozbierał z niego drobne kamienie i zrobił z nich krąg wielkości mojego ciała. Bardzo delikatnie nazrywał świeżych gałęzi z krzaków i zamiótł obszar wewnątrz kręgu. Wykonywał takie ruchy, jednak w rzeczywistości nie dotykał ziemi gałęziami. Później pozbierał wszystkie większe kamienie znajdujące się wewnątrz kręgu, skrupulatnie posortował je według wielkości i w jego centrum ułożył z nich dwie kupki po tyle samo sztuk w każdej.

– Co robisz z tych kamieni? – zapytałem.

– To nie są kamienie – powiedział. – To sznury. Na nich będzie zawieszone twoje miejsce.

Wziął średnie kamienie i wyznaczył nimi obwód koła. Rozmieszczał je w równych odległościach i pomagając sobie kijem, zakopywał je w ziemi, tak sprawnie jakby był murarzem.

Nie pozwolił mi wejść do środka, ale kazał chodzić wkoło i obserwować to, co robi. Odliczył osiemnaście kamieni, idąc w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara.

– Teraz biegnij do stóp wzgórza i czekaj – powiedział. – A ja podejdę do krawędzi stoku, żeby zobaczyć, czy stoisz we właściwym miejscu.

– Co masz zamiar zrobić?

– Rzucę ci wszystkie te sznury – powiedział, wskazując na stos większych kamieni. – A ty umieścisz je w ziemi, tak samo jak ja to zrobiłem, w miejscu, które ci wskażę. Powinieneś być niezwykle ostrożny. Kiedy zajmujesz się mocą, musisz być perfekcyjny. Każda pomyłka może być śmiertelna. Każdy z tych sznurków może nas zabić, jeśli będzie zbyt luźny, dlatego nie wolno ci się pomylić. Musisz skoncentrować wzrok w tym miejscu, w które rzucę sznur. Jeśli pozwolisz, żeby coś

cię rozproszyło, stanie się on zwykłym kamieniem, a ty nie będziesz potrafił odróżnić go od innych kamieni leżących w pobliżu.

Powiedziałem, że byłoby łatwiej, gdybym po jednym zanosił “sznury" na dół.

Don Juan zaśmiał się i przecząco pokręcił głową.

– To są sznury – upierał się. – Ja muszę je rzucać, a ty chwytać.

Wykonanie tego zadania zabrało nam dobrych kilka godzin. Tak intensywne skupienie było wyczerpujące. Za każdym razem don Juan przypominał mi, abym był uważny i skoncentrowany. Dobrze, że to robił. Odnajdywanie wśród innych kamieni tego, który spadał z góry, było zwariowanym zajęciem.

Kiedy już zamknąłem krąg i wróciłem na szczyt, wydawało mi się, że padnę martwy. Don Juan nazbierał małych gałązek i wyłożył nimi mój krąg. Dał mi trochę liści i powiedział, żebym wsadził je do spodni i umieścił w okolicach pępka. Podczas snu będą mnie ogrzewać zamiast koca. Wszedłem do kręgu. Gałęzie utworzyły całkiem miękkie posłanie, na którym natychmiast zasnąłem.

Obudziłem się późnym popołudniem. Było wietrznie i pochmurno. Nad głową cumulusy zalegały grubą warstwą, ale na zachodzie znajdowały się delikatne cirrusy i od czasu do czasu pojawiało się słońce.

Sen mnie odświeżył. Czułem się pełen energii i byłem szczęśliwy. Nie przeszkadzał mi wiatr ani nie było mi zimno. Podparłem głowę rękami i rozejrzałem się wokół. Przedtem nie zauważyłem, że wzgórze było tak wysokie. Widok, który rozciągał się na zachód, robił duże wrażenie. Widziałem rozległy kres pofałdowany małymi wzgórzami, a dalej pustynię. Na północy i wschodzie rozciągał się łańcuch ciemnobrązowych górskich szczytów. Na południu w oddali były niskie wzgórza i odległe niebieskie góry.

Usiadłem. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było don Juana. Nagle opanował mnie strach. Pomyślałem, że może zostawił mnie tu samego, a ja nie znałem drogi do samochodu. Położyłem się znowu na posłaniu z gałęzi i w dziwny sposób mój niepokój zniknął. Ponownie doświadczałem błogiego spokoju. Było to dla mnie całkowicie nowe uczucie, wydawało mi się, że moje myśli zostały wyłączone. Byłem szczęśliwy. Czułem się silny. Wypełniło mnie bardzo radosne podniecenie. Zachodni, łagodny wiatr owiewał całe moje ciało, wcale mnie nie ziębiąc. Czułem go na twarzy i wokół uszu jak łagodną falę ciepłej wody, która obmywała mnie, ustępowała i potem znów przychodziła. Był to bardzo dziwny stan, zupełnie odmienny od tego, który towarzyszył mi na co dzień w moim chaotycznym życiu. Zacząłem płakać, ale nie ze smutku czy z żalu, tylko z niewysłowionej, niewytłumaczalnej radości.

Chciałem na zawsze pozostać w tym miejscu i pewnie bym został, gdyby nie przyszedł don Juan i nie wyciągnął mnie z kręgu.

– Już wystarczy – powiedział.

Bardzo spokojnie odbyliśmy przechadzkę wokół wzgórza. Szliśmy powoli w kompletnej ciszy. Chodziło mu o to, abym dokładnie obserwował całą okolicę. Ruchem oczu albo brody wskazywał raz na chmury, raz znowu na góry.

Późnym popołudniem roztaczał się przed nami wspaniały widok. Ta sceneria wzbudzała we mnie uczucie grozy i rozpaczy. Przypominała mi obrazy z dzieciństwa.

Wspięliśmy się na najwyższy punkt na wzgórzu, na wierzchołek ze skały wulkanicznej i usiedliśmy wygodnie, oparci plecami o głaz i zwróceni twarzą na południe. Pustynia i góry na południu były naprawdę majestatyczne.

– Utrwal sobie to wszystko dobrze w pamięci – szepnął mi don Juan do ucha. – To miejsce jest twoje. Dzisiejszego ranka widziałeś i to był omen. Znalazłeś to miejsce dzięki widzeniu. Omen był niespodziewany, ale jednak się pokazał. Będziesz polował na moc, niezależnie od tego czy chcesz, czy nie. To nie jest ludzka decyzja, ani twoja, ani moja.

Teraz szczyt wzgórza jest twoim miejscem, twoim ukochanym miejscem. Tutaj wszystko wkoło znajduje się pod twoją opieką. Musisz dbać o wszystko, co tutaj jest, a wzgórze odwdzięczy ci się i zadba o ciebie.

Żartobliwie zapytałem, czy to wszystko jest moje. Bardzo poważnie odparł, że tak. Zaśmiałem się i powiedziałem, że to, co teraz robimy, przypomina mi historię z Hiszpanami, którzy po zdobyciu

Nowego Świata dzielili ziemię w imię swojego króla. Wspinali się na szczyt wzgórza i rościli sobie prawo do obszaru, który było stamtąd widać.

– To dobry pomysł – powiedział. – Daję ci całą ziemię, którą widzisz.

Wstał i wskazując wyciągniętą ręką, obrócił się, zakreślając pełny okrąg.

– Cała ta ziemia jest twoja – powiedział. Zaśmiałem się głośno. Don Juan zachichotał i zapytał:

– Czemu nie? Czemu nie mógłbym ci dać tej ziemi?

– Nie jesteś jej właścicielem – odpowiedziałem.

– No to co? Hiszpanie też nie byli właścicielami, a jednak podzielili ją i rozdali. A więc dlaczego ty nie możesz wziąć jej we władanie w ten sam sposób?

Próbowałem przejrzeć jego prawdziwe zamiary. Don Juan wybuchnął takim śmiechem, że o mało co spadłby ze skały.

– Cała ta ziemia, dokąd tylko sięgniesz wzrokiem, jest twoja – kontynuował, nie przestając się uśmiechać. – Nie do wykorzystania, ale do zapamiętania. Natomiast sam szczyt do końca twojego życia jest po to, abyś z niego korzystał. Daję ci go, ponieważ sam go odkryłeś. Jest twój. Przyjmij go.

Zaśmiałem się, ale don Juan już był bardzo poważny. Gdyby nie ten jego zabawny uśmieszek, można by przysiąc, że naprawdę wierzy, iż może mi dać ten wierzchołek.

– Czemu nie? – zapytał się, jakby czytał w moich myślach.

– Przyjmuję go – powiedziałem żartem. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Zrobił zeza, patrząc na mnie.

– Każda skała i kamień, i krzak na tym wzgórzu, szczególnie na jego szczycie, znajduje się pod twoją opieką – powtórzył. – Każdy robak, który tutaj żyje, jest twoim przyjacielem. Może cię wykorzystać, a ty jego.

Siedzieliśmy w ciszy przez kilka minut. Właściwie o niczym nie myślałem. Niewyraźnie przeczuwałem, że gwałtowna zmiana nastroju Don Juana nie wróży dla mnie nic dobrego, ale nie przerażało mnie to. Po prostu nie miałem chęci rozmawiać. Wydawało mi się, że w jakiś sposób słowa są fałszywe, a ich znaczenie jest trudne do uchwycenia. Nigdy dotąd nie miałem takich odczuć w stosunku do mówienia. Gdy tylko uświadomiłem sobie swój niezwykły nastrój, w pośpiechu zacząłem pytać:

– Ale co ja mam zrobić z tym wzgórzem, don Juanie?

– Każdy jego szczegół utrwal w pamięci. To jest miejsce, do którego będziesz przychodził podczas śnienia. Tu będziesz spotykał się z mocami, tu pewnego dnia zostaną przed tobą odkryte tajemnice. Polujesz na moc i to jest miejsce, w którym będziesz gromadził jej zapasy. Teraz to wszystko nie ma dla ciebie sensu. Niech więc na razie będzie to wzgórze miejscem nonsensu.

Zeszliśmy ze skały i don Juan zaprowadził mnie do małego, podobnego do kielicha zagłębienia po zachodniej stronie wzgórza. Siedzieliśmy tam i jedliśmy. Niewątpliwie było tu coś niewypowiedzianie przyjemnego dla mnie. Jedzenie, tak samo jak odpoczynek, stanowiło wspaniałe przeżycie.

Światło zachodzącego słońca dawało bogaty, prawie miedziany blask i całe otoczenie wydawało się zabarwione złocistym odcieniem. Oddałem się całkowicie kontemplacji tego piękna. Nawet nie miałem chęci na myślenie.

Don Juan przemówił do mnie prawie szeptem. Powiedział, abym obserwował każdy szczegół, nawet najmniejszy i pozornie nieważny. Szczególnie cechy krajobrazu po stronie zachodniej. Wyjaśnił, że powinienem patrzeć na słońce, nie koncentrując na nim wzroku, aż zniknie za horyzontem.

Ostatnie minuty światła, zanim słońce dotknęło koca niskich chmur czy mgły, były wspaniałe, w pełnym znaczeniu tego słowa. Wyglądało to tak, jakby słońce ogarniało ziemię płomieniem, zapalało ją jak ognisko. Odczuwałem czerwony blask na twarzy.

– Wstawaj! – krzyknął don Juan, ciągnąc mnie w górę.

Odskoczył ode mnie i kategorycznie zażądał, abym zaczął biec w miejscu, w którym stałem.

Gdy posłuchałem, poczułem, jak ciepło ogarnia całe moje ciało. Było to ciepło miedzi. Czułem jego smak na podniebieniu i ciężar pod powiekami. Czułem, jakby górna część mojej głowy płonęła zimnym ogniem promieniującym miedzianym blaskiem.

Coś sprawiało, że kiedy słońce zaczynało znikać, biegłem coraz szybciej. W pewnej chwili naprawdę poczułem, że jestem tak lekki, że mogę latać. Don Juan bardzo mocno uchwycił mnie za prawy przegub. To przywróciło mi trzeźwość i opanowanie. Osunąłem się na ziemię, a on usiadł obok mnie.

Po kilku minutach odpoczynku wstał spokojnie i klepiąc mnie w ramię, dał mi znak, abym poszedł za nim. Znowu wspięliśmy się na wulkaniczną skałę, gdzie siedzieliśmy przedtem. Zasłaniała nas przed zimnym wiatrem. Don Juan przerwał ciszę.

– To był świetny omen – powiedział. – Ale dziwny! Wydarzył się pod koniec dnia. Ty i ja bardzo różnimy się od siebie. Ty jesteś bardziej stworzeniem nocy. Ja wolę świeżą jasność poranka. Właściwie to jasność porannego słońca właśnie szuka mnie, ale ucieka od ciebie. Natomiast umierające słońce właśnie ciebie kąpie w blasku. Jego płomienie przypalają cię, ale nie spalają. Jakie to dziwne!

– Dlaczego dziwne?

– Nigdy jeszcze tego nie widziałem. Omen, kiedy się pokazuje, zawsze pozostaje w sferze młodego słońca.

– Dlaczego tak jest, don Juanie?

– Teraz nie czas o tym mówić – powiedział ostro. – Wiedza jest mocą. Trzeba dużo czasu, aby ujarzmić choć tyle mocy, ażeby tylko móc o tym mówić.

Próbowałem nalegać, ale on natychmiast zmienił temat. Zapytał o moje postępy w śnieniu.

Zacząłem mieć sny o szczególnych miejscach, takich jak szkoła i domy przyjaciół.

– Czy jesteś w tych miejscach we dnie czy w nocy? – zapytał.

Moje sny korespondowały z porą dnia, w jakiej zwykle bywałem w tych miejscach: w dzień w szkole i wieczorem u przyjaciół.

Don Juan zasugerował, abym spróbował śnienia podczas drzemki w ciągu dnia i sprawdził, czy potrafię wizualizować wybrane miejsce, które wygląda odpowiednio do pory, w jakiej odbywa się śnienie. W nocy moje wizje danego miejsca również powinny je przedstawiać w nocy. Powiedział, że to, czego doświadcza się podczas śnienia, musi zgadzać się z porą dnia, kiedy odbywa się śnienie, w przeciwnym wypadku pojawiające się wizje mogą być tylko zwyczajnymi snami.

– Aby ułatwić sobie zadanie, powinieneś wybrać jakiś przedmiot, który jest charakterystyczny dla tego miejsca, do którego chcesz pójść i skoncentrować na nim uwagę – kontynuował. – Tutaj, na szczycie tej góry, masz na przykład specyficzny krzew, który powinieneś obserwować, aż utkwi ci w pamięci. Możesz powrócić tutaj podczas śnienia, jedynie przypominając sobie ten krzew albo skałę, gdzie siedzimy, albo inne rzeczy znajdujące się tutaj. Łatwiej podróżować, jeśli możesz skupić się na miejscu mocy, takim jak to. Ale jeśli nie chcesz przyjść tutaj, nie musisz tego robić. Być może szkoła, do której chodzisz, jest dla ciebie miejscem mocy. Wykorzystaj je. Skup swoją uwagę na dowolnym przedmiocie, który się tam znajduje, a później znajdź go podczas śnienia. Z tego specyficznego przedmiotu, który sobie przypomnisz, musisz wrócić do swoich rąk, a później przejść do następnego przedmiotu, i tak dalej. Ale teraz skup uwagę po kolei na wszystkim, co jest na tym szczycie, ponieważ jest to najważniejsze miejsce w twoim życiu.

Spojrzał na mnie, jakby badając efekt swoich słów.

– To jest miejsce, w którym umrzesz – powiedział łagodnie. Poruszyłem się nerwowo, zmieniając pozycję.

– Będę musiał wciąż tu z tobą przychodzić – dodał. – A później będziesz przychodził tu sam, aż nasiąkniesz nim, aż szczyt wypełni cię całego. Poznasz, kiedy już to się stanie. Ten szczyt, taki jaki jest teraz, w przyszłości będzie miejscem twojego ostatniego tańca.

– Co rozumiesz przez mój ostatni taniec, don Juanie?

– To jest miejsce twojej ostatniej próby – powiedział. – Niezależnie od tego, gdzie będziesz, umrzesz tutaj. Każdy wojownik ma swoje miejsce, w którym umrze. Jest to miejsce przez niego szczególnie ulubione, przesiąknięte niezapomnianymi wspomnieniami, gdzie ważne wydarzenia odcisnęły swój ślad, miejsce, w którym był świadkiem cudów, gdzie zostały mu objawione tajemnice, miejsce, gdzie zgromadził swoją osobistą moc. Wojownik ma obowiązek wracać do swojego ulubionego miejsca za każdym razem, kiedy dotknie mocy, po to, aby przechować ją tutaj. Dostaje się tutaj albo przychodząc osobiście, albo podczas śnienia. A w końcu, pewnego dnia, kiedy jego czas na

ziemi dobiegnie końca i kiedy poczuje dotknięcie śmierci na lewym ramieniu, jego duch, który jest zawsze przygotowany, przyleci tam i wojownik zatańczy dla swojej śmierci.

Każdy wojownik posiada specyficzną formę, specyficzną postawę mocy, którą rozwija przez całe życie. To pewien rodzaj tańca, ruchu, jaki wykonuje pod wpływem swojej osobistej mocy. Jeśli umierający wojownik ma ograniczoną ilość mocy, jego taniec jest krótki. Jeśli jego moc jest wielka, taniec jest wspaniały. Ale niezależnie od tego czy moc jest mała, czy potężna, śmierć musi się zatrzymać, aby być świadkiem jego ostatniej próby na ziemi. Nie może wziąć wojownika, który po raz ostatni opowiada o trudzie swojego życia, dopóki nie skończy tańca.

Słowa don Juana sprawiły, że przeszedł mnie dreszcz. Cisza, zmrok, wspaniała sceneria, wszystko to zdawało się pomagać w wyobrażeniu sobie ostatniego tańca mocy.

– Czy możesz nauczyć mnie tego tańca, chociaż nie jestem wojownikiem? – zapytałem.

– Każdy, kto poluje na moc, musi się go nauczyć – powiedział. – Ale jeszcze nie teraz. Wkrótce znajdziesz godnego siebie przeciwnika, a wtedy pokażę ci pierwsze posunięcie mocy. W ciągu swojego życia będziesz sam musiał dodawać do niego następne ruchy. Każdy następny musi zostać zdobyty podczas walki mocy. Tak więc taniec wojownika stanowi historię jego życia, to taniec, który rozwija się wraz z jego osobistą mocą.

– Czy śmierć rzeczywiście zatrzymuje się, patrząc na taniec wojownika?

– Wojownik jest tylko człowiekiem. Pokornym człowiekiem. Nie może zmienić zamiarów swojej śmierci. Ale jego nieskazitelny duch, który po przejściu przez potworne trudy zgromadził moc, z pewnością może przez chwilę ją zatrzymać. Przez chwilę trwającą wystarczająco długo, aby po raz ostatni mógł się cieszyć, przyzywając swoją moc. Możemy powiedzieć, że to gest, jaki śmierć robi w stosunku do tych, którzy mają nieskazitelnego ducha.

Ogarnął mnie przytłaczający niepokój i zacząłem mówić tylko po to, aby go przytłumić. Zapytałem don Juana, czy zna wojowników, którzy umarli, i w jakim stopniu ich ostatni taniec wpłynął na ich śmierć.

– Przestań – powiedział sucho. – Umieranie to poważna sprawa. To coś więcej niż tylko strzelenie kopytami i zesztywnienie.

– Czy ja też będę tańczył dla swojej śmierci, don Juanie?

– Z pewnością. Polujesz na osobistą moc, chociaż jeszcze nie żyjesz jak wojownik. Dzisiaj słońce pokazało ci omen. Najlepsze efekty swojej życiowej pracy będziesz uzyskiwał pod koniec dnia. Niewątpliwie nie lubisz młodzieńczej jasności wczesnego światła. Poranne podróżowanie nie przemawia do ciebie. Ale przyjemność sprawia ci umierające słońce o soczystej barwie starego złota. Nie lubisz gorąca, tylko blask. I dlatego będziesz tańczył dla swojej śmierci tutaj, na tym szczycie, pod koniec dnia. W ostatnim tańcu opowiesz o swojej walce, o bitwach, które wygrałeś, i o tych, które przegrałeś. Opowiesz o radościach i zamęcie doświadczanym podczas spotkania z osobistą mocą. Twój taniec opowie o tajemnicach i cudach, które zgromadziłeś. A twoja śmierć będzie siedzieć i obserwować cię. Umierające słońce olśni cię blaskiem, nie spalając cię, tak jak zrobiło to dzisiaj. Wiatr będzie łagodny i przyjemny, a twój szczyt zadrży. Kiedy skończysz taniec, spojrzysz na słońce, którego już nigdy więcej nie zobaczysz, ani na jawie, ani podczas śnienia, a wtedy twoja śmierć wskaże na południe. Na bezmiar.

14. Chód mocy

Sobota, 8 kwietnia 1962

– Czy śmierć jest osobą, don Juanie? – zapytałem, siadając na werandzie.

W spojrzeniu don Juana pojawiło się zakłopotanie. Trzymał torbę z artykułami spożywczymi, które mu przywiozłem. Ostrożnie położył ją na ziemi i usiadł przede mną. Poczułem się tym ośmielony i wyjaśniłem, że chciałbym wiedzieć, czy śmierć jest osobą, czy też jest podobna do osoby, kiedy obserwuje ostatni taniec wojownika.

– A co to za różnica? – zapytał don Juan.

Powiedziałem mu, że to wyobrażenie jest fascynujące i chciałbym dowiedzieć się, jak do tego doszedł. Skąd wie, że tak jest.

– To bardzo proste – powiedział. – Człowiek wiedzy wie, że śmierć jest ostatnim świadkiem, ponieważ widzi.

– Czy to znaczy, że ty sam byłeś świadkiem ostatniego tańca wojownika?

– Nie. Nikt nie może być tego świadkiem. Tylko śmierć. Ale ja widziałem moją śmierć i zatańczyłem dla niej, tak jakbym umierał. Pod koniec tego tańca śmierć nie wskazała mi żadnego kierunku, a moje ulubione miejsce nie zadrżało, by się ze mną pożegnać. Dlatego też mój czas na ziemi nie skończył się i nie umarłem. Kiedy to wszystko się działo, posiadałem ograniczoną moc i nie rozumiałem zamiarów śmierci, dlatego wydawało mi się, że umieram.

– Czy twoja śmierć wyglądała jak osoba?

– Śmieszny z ciebie gość. Wydaje ci się, że wszystko zrozumiesz, zadając pytania. Ja uważam inaczej, no ale kim ja w końcu jestem? Śmierć nie jest osobą. Jest bardziej jak obecność. Ale można także powiedzieć, że jest niczym, a równocześnie wszystkim. W każdym przypadku ma się rację. Śmierć jest tym, czym się chce, żeby była. Dobrze żyję z ludźmi, dlatego dla mnie śmierć jest osobą. Lubię także tajemnice i z tego powodu moja śmierć ma puste oczy. Mogę przez nie patrzeć. Są jak dwa okna, a jednak poruszają się jak oczy. I dlatego mogę powiedzieć, że śmierć patrzy swoimi pustymi oczyma, jak wojownik tańczy swój ostatni taniec na ziemi.

– Ale czy jest tak tylko w twoim wypadku, don Juanie, czy też w wypadku każdego innego wojownika?

– Każdy wojownik tańczy swój taniec mocy, a jednak nie wszystko jest tak samo. Śmierć obserwuje ostatni taniec wojownika, ale sposób, w jaki on ją widzi, pozostaje niewiadomą. Może ona być wszystkim: ptakiem, światłem, osobą, krzewem, kamykiem, mgłą albo tajemniczą obecnością.

Wyobrażenie śmierci don Juana oszołomiło mnie. Nie mogłem znaleźć adekwatnych słów, aby zadać pytanie i zająknąłem się. Patrzył na mnie, uśmiechając się i łagodnie nakłaniał mnie do mówienia.

Zapytałem go, czy sposób, w jaki wojownik widzi swoją śmierć, zależy od jego wychowania. Podałem za przykład Indian Yuma i Yaqui. Według mojej koncepcji, kultura determinuje sposób, w jaki wyobraża się sobie śmierć.

– Wychowanie nie ma znaczenia – powiedział. – Tym, co determinuje sposób, w jaki wszystko się robi, jest osobista moc. Człowiek jest tylko sumą swojej osobistej mocy i od niej zależy, jak żyje i jak umiera.

– Czym jest osobista moc?

– Osobista moc to odczucie – powiedział. – Fart. Można to też nazwać nastrojem. Osobista moc jest czymś, co zdobywa się niezależnie od pochodzenia. Mówiłem ci już, że wojownik to myśliwy, który poluje na moc, uczyłem cię, jak ją upolować i gromadzić. Twój kłopot, zresztą taki sam jak nas wszystkich, to kwestia przekonania się o tym. Musisz przyjąć, że można używać osobistej mocy, a także że można ją gromadzić. Jak dotąd nie jesteś o tym przekonany.

Powiedziałem mu, że zrobił wszystko, aby mnie przekonać, i że jestem tak bardzo przekonany, jak to tylko możliwe. Zaśmiał się.

– To nie jest ten rodzaj przekonania, o którym mówiłem – powiedział.

Dwa lub trzy razy łagodnie poklepał mnie po ramieniu i rechocząc, dodał:

– Przecież wiesz, że mnie nie musisz rozśmieszać. Poczułem się zobowiązany, aby przekonać go o swoim poważnym podejściu do sprawy.

– Nie wątpię w to – przerwał mi. – Ale bycie przekonanym oznacza, że potrafisz działać sam, z własnej inicjatywy. Będzie to z twojej strony wymagało jeszcze wiele wysiłku. Jeszcze dużo trzeba zrobić. Dopiero co zacząłeś.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Jego twarz wyrażała łagodność.

– W śmieszny sposób przypominasz mi czasami mnie samego – kontynuował. – Ja także nie chciałem wstąpić na ścieżkę wojownika. Wydawało mi się, że cała ta praca jest bezsensowna, a ponieważ i tak wszyscy musimy umrzeć, więc jaką różnicę sprawia, czy jest się wojownikiem, czy nie. Myliłem się. Ale musiałem odkryć to sam. Kiedy uświadomisz sobie, że jesteś w błędzie, ponieważ

zauważysz tę wielką różnicę, wtedy możesz powiedzieć, że się przekonałeś. I od tej pory jesteś w stanie działać sam. I sam też możesz stać się człowiekiem wiedzy.

Poprosiłem, żeby mi wyjaśnił, kogo rozumie przez człowieka wiedzy. – Człowiek wiedzy to osoba, która szczerze poświęciła się trudom uczenia się, która nie gorączkując się i nie wahając, doszła tak daleko, że potrafi odkrywać tajemnice osobistej mocy.

Krótko omówił tę koncepcję i zaraz dodał, że powinienem interesować się tylko tym, jak gromadzić osobistą moc.

– Nie mogę tego pojąć – zaprotestowałem. – Naprawdę nie wyobrażam sobie, do czego zmierzasz.

– Polowanie na moc to szczególne wydarzenie – powiedział. – Najpierw musi być ideą, później trzeba ją krok po kroku wprowadzać w życie i w końcu – cyk! Masz ją.

– Jak to się dzieje?

Don Juan wstał. Zaczął się przeciągać i wygiął grzbiet jak kot. Jak zwykle, jego kości wydały serię strzałów.

– Chodźmy – powiedział. – Przed nami długa podróż.

– Ale jest tyle rzeczy, o które chciałbym cię zapytać.

– Idziemy na miejsce mocy – powiedział, wchodząc do domu. – Czy nie mógłbyś poczekać z pytania mi, aż się tam znajdziemy? Wtedy z pewnością będziemy mieli okazję aby porozmawiać.

Myślałem, że pojedziemy samochodem, więc wstałem i podszedłem do niego. Ale don Juan zawołał mnie z domu i kazał mi zabrać siatki z tykwami. Wkrótce czekał już na mnie na skraju pustynnego chaparralu za swoim domem.

– Musimy się pospieszyć – powiedział.

Dotarliśmy do niższych stoków zachodnich gór Sierra Mądre około trzeciej po południu. Był ciepły dzień, lecz późnym popołudniem zaczął wiać zimny wiatr. Don Juan usiadł na skale i dał mi znak, abym zrobił to samo.

– Co teraz będziemy tutaj robić, don Juanie?

– Bardzo dobrze wiesz, że jesteśmy tutaj, aby polować na moc.

– To wiem. Ale co będziemy robić konkretnie?

– Wiesz, że nie mam najmniejszego pojęcia.

– Czy to znaczy, że nigdy nie robisz planów?

– Polowanie na moc to bardzo dziwna sprawa – powiedział. – Nie da się nic zaplanować. Dlatego jest takie ekscytujące. Wojownik postępuje tak, jakby miał dokładny plan, ponieważ ma zaufanie do swojej osobistej mocy. Jest przekonany, że dzięki niej będzie działał w najbardziej właściwy sposób.

Zwróciłem mu uwagę, że jego stwierdzenia są sprzeczne. Jeśli wojownik ma już osobistą moc, to dlaczego na nią poluje?

Don Juan uniósł brwi z udawanym obrzydzeniem.

– Ty jesteś tym, który poluje na moc – powiedział. – Ja jestem wojownikiem, który już ją ma. Zapytałeś mnie, czy mam jakiś plan, a ja powiedziałem, że mam zaufanie do swojej osobistej mocy, która mną kieruje, i nie potrzebuję planu.

Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, a później zaczęliśmy znowu iść. Zbocza były bardzo strome i wspinanie się sprawiało mi duże trudności i wyjątkowo mnie męczyło. Natomiast jeśli chodzi o don Juana, to wydawało się, że jego energia jest niespożyta, był niestrudzony. Nie spieszył się. Jego chód był równy. Zauważyłem, że w ogóle się nie spocił, nawet po wspinaczce na ogromne, prawie pionowe zbocze. Kiedy dotarłem tam, don Juan już na mnie czekał. Kiedy siadłem obok niego, wydawało mi się, że serce wyskoczy mi z piersi. Położyłem się na plecach i pot dosłownie lał się ze mnie strumieniami.

Don Juan zaśmiał się głośno i zaczął mnie toczyć w prawo i w lewo. Dzięki temu mogłem złapać oddech. Powiedziałem mu, że jego sprawność fizyczna po prostu powala mnie na kolana.

– Przez cały czas starałem ci się zwrócić na to uwagę – powiedział.

– Wcale nie jesteś stary, don Juanie!

– Oczywiście, że nie. Próbuję robić wszystko, abyś to zauważył.

– Jak ty to robisz?

– Nic nie robię. Moje ciało czuje się dobrze, to wszystko. Traktuję siebie bardzo dobrze, dlatego nie mam powodów, aby się męczyć czy niepokoić. Tajemnica nie polega na tym, co z sobą robisz, lecz na tym, czego nie robisz.

Czekałem na wyjaśnienie. Wyglądał, jakby zdawał sobie sprawę z tego, że nic nie pojmuję. Uśmiechnął się znacząco i wstał.

– To jest miejsce mocy – powiedział. – Znajdź dla nas tutaj, na szczycie, miejsce na obóz.

Zacząłem protestować. Chciałem, aby wyjaśnił mi, czego nie powinienem robić z moim ciałem. Uciszył mnie kategorycznym gestem.

– Dość tych głupstw – powiedział łagodnie. – Tym razem, dla odmiany, po prostu działaj. Nie liczy się, ile czasu ci zajmie znalezienie odpowiedniego miejsca na odpoczynek. Może nawet całą noc. Nie jest też ważne, czyje znajdziesz. Masz próbować.

Odłożyłem przybory do pisania i wstałem. Don Juan przypomniał mi, jak to robił niezliczoną ilość razy, kiedy kazał mi znaleźć miejsce na odpoczynek, abym patrzył, nie koncentrując na niczym wzroku, i robił zeza, aż obraz mi się rozmaże.

Zacząłem iść, badając teren spod półprzymkniętych powiek. Don Juan szedł kilka kroków za mną i nieco z boku.

Najpierw przeczesałem obrzeża wierzchołka góry. Zamierzałem posuwać się spiralnie ku środkowi. Ale gdy tylko obszedłem wierzchołek szerokim łukiem, don Juan zatrzymał mnie.

Powiedział, że pozwoliłem sobie na to, aby zawładnęła mną rutyna. Sarkastycznym tonem dodał, że chociaż niewątpliwie systematycznie zbadałem teren, to w tak ociężały sposób, że nie uda mi się spostrzec właściwego miejsca. Stwierdził także, że wie, gdzie się on znajduje i dlatego nie ma sensu, abym improwizował.

– Co wobec tego powinienem zrobić? – zapytałem.

Don Juan kazał mi usiąść. Później zerwał po jednym liściu z każdego z kilku krzewów i dał mi je. Kazał mi położyć się na plecach, rozpiąć pasek i ułożyć liście bezpośrednio na skórze w okolicach pępka. Patrzył, jak to robię i poinstruował mnie żebym liście przyciskał do ciała obydwiema dłońmi. Następnie polecił mi zamknąć oczy i ostrzegł mnie, że jeśli chcę osiągnąć właściwe rezultaty, nie powinienem przestać naciskać liści, nie wolno mi też otwierać oczu ani próbować usiąść, kiedy on będzie ustawiał moje ciało w pozycji mocy.

Złapał mnie pod prawą pachę i zakręcił mną wkoło. Miałem nieprzeparte pragnienie, aby podglądać, ale don Juan położył mi rękę na oczach. Polecił zająć się tylko uczuciem ciepła, które miało mnie przenikać.

Przez chwilę leżałem zupełnie bez ruchu, a potem zacząłem odczuwać dziwne gorąco promieniujące z liści. Najpierw poczułem je w dłoniach, potem ciepło rozeszło się po brzuchu, aż w końcu dosłownie przeniknęło całe moje ciało.

W ciągu kilku minut stopy zaczęły mi płonąć gorącem, które przypominało mi chwile, w których miałem wysoką temperaturę.

Powiedziałem don Juanowi o tym nieprzyjemnym wrażeniu i potrzebie zdjęcia butów. Odparł, że pomoże mi wstać, ale nie wolno mi otwierać oczu, dopóki na to nie pozwoli. Powinienem przyciskać liście do brzucha tak długo, aż znajdę właściwe miejsce na odpoczynek.

Kiedy stanąłem na nogi, szepnął mi do ucha, żebym otworzył oczy i szedł bez planu, pozwalając mocy liści, aby mną kierowała.

Zacząłem iść. Gorąco sprawiało, że czułem się bardzo niedobrze. Byłem przekonany, że mam wysoką temperaturę i całkowicie pochłonęło mnie dociekanie tego, w jaki sposób don Juan ją wywołał.

Szedł za mną. Nagle wrzasnął tak, że o mało mnie nie sparaliżowało. Śmiejąc się, wyjaśnił mi, że niespodziewane krzyki odstraszają złe duchy. Zrobiłem zeza i chodziłem w tę i we w tę przez jakieś pół godziny. Przez ten czas niemiłe gorąco przemieniło się w przyjemne ciepło. Podczas chodzenia w górę i w dół wzgórza czułem się bardzo lekki. Jednak byłem rozczarowany. Spodziewałem się odkryć jakieś niezwykłe wizualne zjawisko, ale na obrzeżach swego pola widzenia nie dostrzegłem żadnych zmian, żadnych niezwykłych kolorów, poświaty czy ciemnych plam.

W końcu zmęczyłem się zezowaniem i szeroko otwarłem oczy. Stałem przed małym występem skalnym z piaskowca, który był jednym z niewielu niezarośniętych, skalistych miejsc na szczycie. Resztę pokrywały chaotycznie rozrzucone małe krzaczki Wyglądało to tak, jakby kiedyś cała roślinność spłonęła, a nowa nie zdążyła jeszcze dobrze wyrosnąć. Z jakiejś nieznanej przyczyny pomyślałem sobie, że ten występ z piaskowca jest piękny. Długo stałem przed nim, a potem po prostu usiadłem na nim.

– Dobrze! Dobrze! – stwierdził don Juan i poklepał mnie po plecach.

Później powiedział mi, abym ostrożnie wyjął liście spod ubrania i rozłożył je na skale. Gdy tylko przestały dotykać mojej skóry, poczułem, że ciepłota mojego ciała się zmniejsza. Zbadałem sobie puls. Wydawał się normalny.

Don Juan zaśmiał się, nazywając mnie doktorem Car-losem, i zapytał, czy jemu także zmierzę puls. Powiedział, że to, co czułem, było mocą liści, która oczyściła mnie i umożliwiła mi wykonanie zadania.

Z całą szczerością stwierdziłem, że nie zrobiłem niczego szczególnego. Siadłem na tym miejscu, ponieważ byłem zmęczony i spodobał mi się kolor tego piaskowca.

Don Juan nic nie odpowiedział. Stał w odległości kilku stóp ode mnie. Nagle poderwał się, z niewiarygodną zręcznością przeskoczył przez kilka krzaków i znalazł się na wysokiej skalnej grani.

– Co się stało? – zapytałem zaalarmowany.

– Obserwuj kierunek, w którym wiatr rozwieje twoje liście – powiedział. – Policz je szybko, bo już nadchodzi. Weź połowę z nich i z powrotem połóż na brzuchu.

Doliczyłem się dwudziestu liści. Dziesięć wepchnąłem pod koszulę i wtedy silny podmuch wiatru rozrzucił pozostałe dziesięć w kierunku zachodnim. Kiedy patrzyłem na nie, miałem niesamowite uczucie, że jakaś istota rozmyślnie zmiata je w stronę bezkształtnej masy zielonych krzewów.

Don Juan wrócił i usiadł po mojej lewej stronie, zwracając się twarzą na południe. Trwaliśmy w milczeniu przez długi czas. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłem wyczerpany. Chciałem zamknąć oczy, ale nie miałem odwagi. Don Juan musiał zauważyć mój stan, bo stwierdził, że czas na spanie. Powiedział mi, abym położył ręce na brzuchu, na liściach i próbował poczuć, że leżę zawieszony na łożu ze “sznurów", które zrobił dla mnie w moim “ulubionym miejscu". Zamknąłem oczy i ogarnęło mnie wspomnienie spokoju i pełni, jakich doświadczyłem, śpiąc na szczycie tamtego wzgórza. Chciałem przekonać się, czy rzeczywiście jestem zawieszony, ale wtedy zasnąłem.

Obudziłem się tuż przed zachodem słońca. Sen odświeżył mnie i dodał mi energii. Don Juan także spał. Otworzył oczy razem ze mną. Było wietrznie, ale nie czułem zimna. Liście na brzuchu działały jak piec, pewnego rodzaju ogrzewanie.

Rozejrzałem się. Miejsce, które wybrałem na odpoczynek, przypominało płytką nieckę. Można było tu siedzieć jak na kanapie, skalna ściana mogła służyć za oparcie. Zauważyłem również, że don Juan przyniósł moje bloki do pisania i podłożył mi pod głowę.

– Znalazłeś właściwe miejsce – powiedział z uśmiechem. – I cała operacja odbyła się tak, jak ci powiedziałem. Moc zaprowadziła cię tutaj, bez żadnego twojego planu.

– Co to za liście mi dałeś? – zapytałem.

Ciepło promieniujące z nich, które otulało mnie jak koc czy ciepłe ubranie, było dla mnie rzeczywiście ciekawym zjawiskiem.

– To były zwykłe liście – powiedział don Juan. – Czy to znaczy, że mogę zerwać liście z pierwszego lepszego krzaka i dadzą one ten sam efekt?

– Nie. Nie powiedziałem, że sam to możesz zrobić. Nie masz mocy. Każdy rodzaj liści może ci pomóc, pod warunkiem że osoba, która ci je da, ma moc. Tym, co wspierało cię dzisiaj, nie były liście, ale moc.

– Twoja moc, don Juanie?

– Wydaje mi się, że mógłbym tak powiedzieć, chociaż nie jest to całkiem ścisłe. Moc nie należy do nikogo. Niektórzy z nas mogą ją gromadzić i później bezpośrednio przekazać komuś innemu. Widzisz, kluczem do zgromadzonej mocy jest to, że może ona być użyta tylko po to, aby komuś innemu pomóc w jej gromadzeniu.

Zapytałem go, czy to znaczy, że jego moc jest ograniczona tylko do pomagania innym. Don Juan cierpliwie wytłumaczył mi, że może używać swojej osobistej mocy jak tylko zechce i do czego zechce. Natomiast jeśli chodzi o bezpośrednie dawanie jej innej osobie, jest ona bezużyteczna, jeśli ta osoba nie wykorzysta jej w swoich własnych poszukiwaniach.

– Wszystko, co robi człowiek, zależy od jego osobistej mocy – mówił don Juan. – Z tego powodu dla kogoś, kto jej nie ma, czyny potężnego człowieka wydają się niewiarygodne. Nawet po to, by pojąć, czym jest moc, potrzeba mocy. To właśnie cały czas usiłuję ci wytłumaczyć. Ale wiem, że trudno ci to zrozumieć, nie z powodu sprzeciwu i oporu z twojej strony, ale dlatego że masz bardzo mało osobistej mocy.

– Co więc powinienem robić, don Juanie?

– Nic. Rób to, co robisz teraz. Moc znajdzie drogę do ciebie.

Wstał i rozpoczął obrót, zakreślając pełny okrąg i patrząc na każdy element krajobrazu. Jego ciało było obrotnicą dla oczu. Sprawiał wrażenie jakiejś monumentalnej, mechanicznej zabawki, która obracała się dokoła precyzyjnym i równomiernym ruchem.

Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Ukrył uśmiech, zdając sobie sprawę z mojego zdziwienia.

– Dzisiaj będziesz polował na moc w ciemnościach – powiedział i usiadł.

– Słucham?

– Dzisiaj zaryzykujesz wyprawę na te nieznane wzgórza. W ciemnościach nie są one wzgórzami.

– Czym są?

– Są czymś innym. Czymś nie do pomyślenia dla ciebie, ponieważ nigdy nie doświadczyłeś ich istnienia.

– Co masz na myśli, don Juanie? Zawsze straszysz mnie taką nawiedzoną mową. Zaśmiał się i lekko kopnął mnie w łydkę.

– Świat jest tajemnicą – powiedział. – I wcale nie wygląda tak, jak go sobie wyobrażasz. Zdawał się zastanawiać. Kiwał rytmicznie głową, po czym uśmiechnął się i dodał:

– No tak, w zasadzie wygląda też tak, jak go sobie wyobrażasz, ale to nie wszystko, co kryje w sobie świat. Odkrywasz to cały czas i kto wie, może dzisiejszej nocy dojdzie ci jeszcze jeden kawałek do tej układanki.

Jego ton sprawił, że dreszcz przebiegł mi przez ciało.

– Co planujesz? – zapytałem.

– Niczego nie planuję. O wszystkim decyduje ta sama moc, która pozwoliła ci znaleźć to miejsce.

Don Juan wstał i wskazał na coś w oddali. Przypuszczałem, że chce, abym wstał i popatrzył. Spróbowałem szybko skoczyć na równe nogi, ale zanim to zrobiłem, z wielką siłą popchnął mnie z powrotem.

– Nie kazałem ci robić tego, co ja – powiedział surowo. Później złagodził ton i dodał: – Dzisiaj w nocy czeka cię ciężkie zadanie i będziesz potrzebował całej osobistej mocy, jaką tylko możesz zebrać. Zostań tam, gdzie jesteś i oszczędzaj się na później.

Wyjaśnił, że nie wskazywał na nic konkretnego, jedynie upewniał się, czy są tam pewne określone rzeczy. Zapewnił mnie, że wszystko jest w całkowitym porządku i kazał mi siedzieć cicho i zająć się pisaniem, ponieważ było jeszcze dużo czasu do zapadnięcia całkowitych ciemności. Jego śmiech był zaraźliwy i poprawił mi samopoczucie.

– Ale co będziemy robić, don Juanie? Pokręcił głową w przesadzonym geście niedowierzania.

– Pisz! – rozkazał mi i odwrócił się do mnie plecami.

Nie miałem nic innego do roboty. Pracowałem nad notatkami, aż zrobiło się za ciemno na pisanie.

Przez cały ten czas, kiedy pisałem, don Juan nie zmienił pozycji. Wydawało mi się, że jest pochłonięty patrzeniem w dal, na zachód. Ale gdy tylko przestałem pisać, odwrócił się do mnie i żartobliwym tonem stwierdził, że jedynym sposobem na to, abym się zamknął, jest danie mi czegoś do jedzenia, skłonienie mnie do pisania lub do pójścia spać.

Wyjął małe zawiniątko ze swojego plecaka i z namaszczeniem je rozwinął. Zawierało kawałki suszonego mięsa. Dał mi jeden, sam wziął drugi i zaczął go żuć. Obojętnym tonem poinformował

mnie, że to mięso mocy, którego obydwaj będziemy potrzebowali na tę okazjęByłem zbyt głodny, żeby rozważać możliwość istnienia w nim substancji psychotropowych. Jedliśmy w kompletnej ciszy, aż skończyło się mięso i zrobiło się całkiem ciemno.

Don Juan wstał i przeciągnął się. Zasugerował, abym zrobił to samo. Powiedział, że przeciąganie się jest bardzo dobre po spaniu, siedzeniu czy chodzeniu.

Postąpiłem zgodnie z jego radą i liście, które trzymałem pod koszulą, wypadły mi przez nogawki spodni. Zastanawiałem się, czy powinienem je pozbierać, ale don Juan powiedział, żebym o nich zapomniał, ponieważ teraz nie są już potrzebne.

Następnie podszedł bardzo blisko i szepnął mi do prawego ucha, że mam iść za nim w bardzo bliskiej odległości i naśladować wszystko, co robi. Powiedział, że jesteśmy bezpieczni w tym miejscu, w którym stoimy, ponieważ jesteśmy, jak by to powiedzieć, na krawędzi nocy.

– To nie jest noc – szepnął, uderzając nogą o skałę, na której staliśmy. – Noc jest tam. – Wskazał na ciemność wokół nas.

Sprawdził moją siatkę, patrząc, czy tykwy z pożywieniem i moje bloki do pisania są dobrze rozmieszczone i łagodnym głosem powiedział, że wojownik zawsze upewnia się, czy wszystko jest w porządku. Nie robi tego, ponieważ wierzy, że przeżyje próbę, ale dlatego, że to część jego nieskazitelnego zachowania.

Zamiast przynieść mi ulgę, jego napomnienia doprowadziły mnie do absolutnego przekonania, że mój los jest przesądzony. Chciałem płakać. Wiedziałem, że don Juan był całkowicie świadomy efektu swoich słów.

– Zaufaj swojej osobistej mocy – powiedział mi do ucha. – To wszystko, co posiadasz w tym tajemniczym świecie.

Pociągnął mnie delikatnie i zaczęliśmy iść. Wyprzedził mnie o kilka kroków. Szedłem za nim, koncentrując Wzrok na ziemi. Jakoś nie mogłem się odważyć, aby rozejrzeć się wkoło, a skupianie wzroku na ziemi dziwnie mnie uspokajało, prawie hipnotyzowało.

Po krótkim czasie don Juan zatrzymał się. Wyszeptał, że całkowita ciemność jest już blisko i że będzie szedł jeszcze dalej z przodu, ale będzie mnie informował o swojej pozycji, naśladując charakterystyczny krzyk małej sowy. Przypomniał mi, że już znam ten sposób: na początku krzyk jest chrapliwy, a później staje się tak łagodny jak krzyk prawdziwej sowy. Ostrzegł mnie, abym zwracał wielką uwagę na krzyki innych sów, które nie mają tej cechy.

Zanim don Juan skończył przekazywanie mi instrukcji, ogarnęła mnie panika. Chwyciłem go za ramię i nie chciałem puścić. Potrzebowałem dwóch albo trzech minut, żeby uspokoić się na tyle, by móc wypowiedzieć chociaż słowo. Nerwowy skurcz przebiegł mi przez żołądek i brzuch i uniemożliwił sensowne mówienie.

Spokojnym, łagodnym głosem don Juan przekonywał mnie, abym wziął się w garść, ponieważ ciemność, tak jak wiatr, jest nieznaną nieposkromioną istotą, która może mnie zwieść, jeśli nie będę ostrożny. I dlatego muszę być absolutnie spokojny, aby móc ją opanować.

– Musisz dać się ponieść, tak aby twoja osobista moc stopiła się z mocą nocy – wyszeptał mi do ucha. Powiedział, że już idzie, a ja dostałem następnego ataku irracjonalnego lęku.

– To szaleństwo – zaprotestowałem.

Don Juan nie rozzłościł się ani nie stracił cierpliwości. Zaśmiał się spokojnie i powiedział mi coś do ucha, co niezbyt dobrze zrozumiałem.

– Co powiedziałeś? – zapytałem głośno, szczękając zębami.

Don Juan zakrył ręką moje usta i wyszeptał, że wojownik zawsze działa tak, jakby wiedział, co robi, nawet jeśli w rzeczywistości nie wie nic. Powtórzył to stwierdzenie trzy lub cztery razy, chcąc zapewne, abym dobrze je zapamiętał.

– Wojownik pozostaje nieskazitelny wtedy, kiedy ma zaufanie do swojej osobistej mocy, niezależnie od tego, czy jest ona mała, czy olbrzymia.

Po chwili oczekiwania zapytał mnie, czy już dobrze się czuję. Kiedy przytaknąłem, szybko zniknął z mojego pola widzenia, nie wydając przy tym żadnego odgłosu.

Spróbowałem się rozejrzeć. Wydawało mi się, że stoję na obszarze pokrytym gęstą roślinnością. Mogłem jedynie rozróżnić ciemną masę krzewów lub małych drzew. Skoncentrowałem uwagę na

dźwiękach, ale żaden się nie wyróżniał. Świst wiatru zagłuszał prawie wszystko, oprócz sporadycznych przenikliwych krzyków dużych sów i świergotu innych ptaków.

Czekałem przez chwilę w stanie największego natężenia uwagi. I nagle dobiegł mnie wydłużony krzyk sówki. Nie miałem wątpliwości, że to don Juan. Nadszedł z tyłu. Odwróciłem się i zacząłem iść w tamtym kierunku. Poruszałem się powoli, ponieważ czułem się niesłychanie ograniczany przez ciemność.

Szedłem jakieś dziesięć minut. Nagle coś wyskoczyło przede mną. Krzyknąłem i upadłem na siedzenie. Zadzwoniło mi w uszach. Mój przestrach był tak wielki, że zabrakło mi tchu. Musiałem otworzyć usta, aby złapać oddech.

– Wstawaj – łagodnie powiedział don Juan. – Nie chciałem cię przestraszyć. Przyszedłem, żeby się z tobą spotkać.

Obserwował ponoć mój zasrany sposób chodzenia. Kiedy tak poruszałem się w ciemności, wyglądałem jak kaleka, albo stara – baba próbująca na paluszkach przejść między błotnistymi kałużami. Uznał to porównanie za bardzo dowcipne, bo wybuchnął głośnym śmiechem.

Następnie przystąpił do demonstracji specjalnego sposobu chodzenia w ciemności, który nazywał chodem mocy. Stanął przede mną i kazał mi rękami przesunąć po swoich plecach i kolanach, abym uzyskał pojęcie o odpowiedniej postawie ciała. Była ona lekko pochylona, ale z wyprostowanym kręgosłupem. Kolana również miały być lekko ugięte.

Przeszedł powoli przede mną, tak że mogłem zobaczyć, jak za każdym krokiem podnosi kolana prawie do piersi. A potem zniknął mi z oczu, ale powrócił. Nie byłem w stanie pojąć, jak może biec w kompletnej ciemności.

– Chód mocy służy do biegania w nocy – szepnął mi do ucha.

Nalegał, abym sam go spróbował. Powiedziałem mu, iż jestem przekonany, że połamałbym sobie nogi, wpadając do szczelin albo uderzając o skałę. Don Juan bardzo spokojnie powiedział, że chód mocy jest absolutnie bezpieczny.

Stwierdziłem, iż unika niebezpieczeństw tylko dlatego, że doskonale zna te góry.

Don Juan objął obydwiema dłońmi moją głowę i z mocą wyszeptał:

– To jest noc! I to jest moc!

Puścił moją głowę i dodał, już łagodnie, że w nocy świat jest inny, a jego umiejętność biegania w nocy nie ma nic wspólnego ze znajomością tych wzgórz. Powiedział, że kluczem do niej jest pozwolenie na swobodny wypływ własnej osobistej mocy, tak aby mogła zmieszać się z mocą nocy. Gdy ta druga tylko zacznie działać, nie ma możliwości, aby coś się nie udało. Następnie z pełną powagą dodał, że jeśli mam wątpliwości, to niech przez chwilę rozważę obecną sytuację. Dla człowieka w jego wieku bieganie po wzgórzach o tej porze byłoby samobójstwem, jeśli nie kierowałaby nim moc nocy.

– Patrz! – powiedział i pobiegł w ciemność. Po chwili wrócił. Sposób, w jaki poruszało się jego ciało, był tak niezwykły, że nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Przez chwilę pokazywał ten bieg w miejscu. Metoda podnoszenia nóg przypominała mi rozgrzewkę sprintera.

Powiedział, abym podążał za nim. Zrobiłem to z największą ostrożnością. Próbowałem patrzeć, gdzie stawiam kroki, ale niemożliwa była ocena odległości. Don Juan wrócił i zaczął biec obok mnie. Szepnął mi, że muszę poddać się nocy i zaufać tej odrobinie osobistej mocy, którą mam, albo nigdy nie będę w stanie swobodnie się poruszać. Ciemność dlatego tak mnie ogranicza, ponieważ we wszystkim co robię, polegam na wzroku, nie wiedząc, że innym sposobem poruszania jest pozwolenie mocy na kierowanie sobą.

Próbowałem to zrobić kilka razy, lecz bezskutecznie. Po prostu nie mogłem dać się ponieść. Przytłaczał mnie strach przed zranieniem sobie nóg. Don Juan kazał mi biec w miejscu i spróbować poczuć, że rzeczywiście używam chodu mocy.

Później powiedział mi, że oddali się teraz, a ja mam czekać na jego krzyk. Zniknął w ciemności, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Co chwilę zamykałem oczy i biegłem w miejscu ze zgiętymi kolanami i pochylonym ciałem może przez godzinę. Powoli napięcie mnie opuszczało, aż poczułem się całkiem dobrze. Wtedy posłyszałem krzyk don Juana.

Przebiegłem pięć czy sześć metrów w kierunku, z którego dochodził, próbując “zatracić się", tak jak sugerował don Juan. Ale kiedy wpadłem na krzak, natychmiast powróciło poczucie braku bezpieczeństwa.

Don Juan czekał na mnie i poprawił moją postawę. Twierdził, że powinienem zacisnąć palce w pięści, ale wyprostować kciuk i palec wskazujący. Według niego, po prostu folguję sobie, myśląc, że się nie nadaję; dobrze wiem, że zawsze będę dobrze widział w ciemności, bez względu na to, jak mroczna będzie noc, jeśli nie będę na niczym skupiał oczu, a tylko omiatał wzrokiem ziemię bezpośrednio przed sobą. Chód mocy był podobny do znajdowania miejsca na odpoczynek.

W obydwu przypadkach trzeba poczucia poddania się i zaufania. Chód mocy wymaga patrzenia tylko do przodu, ponieważ nawet jedno spojrzenie w bok wywołuje zmianę płynności ruchu. Wyjaśnił mi, że zgięcie ciała jest konieczne do obniżenia poziomu, na którym znajdują się oczy, a podnoszenie kolan do piersi sprawia, że kroki są bardzo krótkie i bezpieczne. Ostrzegł mnie, że na początku często mogę na coś wpadać, ale dzięki praktyce będę mógł biegać tak szybko i bezpiecznie jak w dzień.

Godzinami usiłowałem naśladować jego ruchy i osiągnąć wymagany przez niego nastrój. Z wielką cierpliwością biegł w miejscu przede mną albo wybiegał nieco do przodu i powracał, żebym mógł zobaczyć, jak się porusza. Popychał mnie nawet i nakłaniał do przebiegnięcia kilku metrów.

Później oddalił się i wezwał mnie serią krzyków sowy. W jakiś niewytłumaczalny sposób zacząłem poruszać się z niespodziewanym poczuciem zaufania do siebie. Z tego co wiem, nie zrobiłem niczego, co wywołałoby to uczucie, ale moje ciało zdawało się rozpoznawać rzeczy bez myślenia o nich. Na przykład w ogóle nie dostrzegałem wyszczerbionych skał stojących mi na drodze, ale mimo to mojemu ciału zawsze udawało się stanąć na krawędzi, a nigdy w szczelinie, z wyjątkiem kilku nieudanych przypadków, kiedy straciłem równowagę z powodu braku skupienia. Aby omiatać wzrokiem ziemię bezpośrednio przed sobą, musiałem być całkowicie skoncentrowany. Jak ostrzegał mnie don Juan, najmniejsze spojrzenie w bok albo za daleko w przód unieruchamiało mnie lub powalało.

Zlokalizowałem don Juana po długim poszukiwaniu. Siedział w pobliżu jakichś ciemnych kształtów wyglądających na drzewa. Podszedł do mnie i powiedział, że szło mi bardzo dobrze, ale czas z tym skończyć, ponieważ gwiżdże już wystarczająco długo, żeby inni zaczęli go naśladować.

Zgodziłem się z nim, że już czas skończyć. Byłem prawie zupełnie wyczerpany. Poczułem ulgę i zapytałem go, kto mógłby naśladować jego krzyk.

– Moce, sprzymierzeńcy, duchy, kto to wie? – powiedział szeptem.

Wyjaśnił, że te istoty nocy zwykle wydają bardzo melodyjne dźwięki i bardzo nie lubią naśladować chrapliwego ludzkiego krzyku czy gwizdu ptaków. Zwrócił mi uwagę na to, abym zawsze zatrzymywał się, kiedy posłyszę taki dźwięk i pamiętał, co mi powiedział, ponieważ kiedyś, w przyszłości, może będę musiał dokonać właściwej identyfikacji. Uspokajającym tonem powiedział, że mam bardzo dobry pogląd na temat tego, czym jest chód mocy i do opanowania go potrzeba mi tylko małego bodźca, który otrzymam przy innej okazji, kiedy znowu odważymy się na wyprawę w noc. Klepnął mnie w ramię i stwierdził, że jest gotowy, aby wyruszyć.

– Zabierajmy się stąd – powiedział i zaczął biec.

– Czekaj! Czekaj! – krzyknąłem szaleńczo. – Czy nie możemy iść?

Don Juan zatrzymał się i zdjął kapelusz.

– Ojej! – powiedział z zakłopotaniem. – No, to mamy problem. Wiesz, że nie potrafię chodzić w ciemności. Mogę tylko biec. Połamałbym sobie nogi, gdybym szedł.

Miałem wrażenie, że mówiąc to, nie przestawał się uśmiechać, chociaż nie mogłem zobaczyć jego twarzy. Później dodał konfidencjalnie, że jest za stary na chodzenie, a tę odrobinę chodu mocy, której nauczyłem się do tej pory, trzeba wykorzystać zgodnie z nadarzającą się okazją.

– Jeśli nie użyjemy chodu mocy, zostaniemy skoszeni jak trawa – szepnął mi do ucha.

– Przez kogo?

– W nocy są takie rzeczy, które oddziałują na ludzi.

Wyszeptał to takim tonem, że moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Powiedział, że niekoniecznie muszę za nim nadążać, ponieważ co pewien czas będzie wydawał cztery krzyki sowy, abym wiedział, gdzie mam iść.

Zasugerowałem, abyśmy do świtu przeczekali na tych wzgórzach i dopiero wtedy je opuścili. Odparł bardzo dramatycznie, że pozostanie tutaj oznaczałoby samobójstwo, a nawet gdyby udało się

nam ujść z życiem, to noc wyssałaby z nas tyle osobistej mocy, że nie uniknęlibyśmy losu ofiar pierwszego lepszego niebezpieczeństwa czyhającego na nas za dnia.

– Nie marnujmy już więcej czasu – powiedział nagląco. – Chodźmy stąd.

Zapewnił mnie, że będzie próbował biec tak wolno, jak to tylko możliwe. Jego ostateczna instrukcja mówiła, że niezależnie od tego, co się wydarzy, powinienem starać się być tak cicho, żeby nawet nie oddychać. Wskazał mi kierunek, w którym będziemy się poruszali i zaczął biec w stosunkowo wolnym tempie. Podążałem za nim, lecz bez względu na to, jak powoli się poruszał, nie mogłem dotrzymać mu kroku, tak że wkrótce zniknął w ciemności przede mną.

Kiedy zostałem sam, uświadomiłem sobie, że nie zdając sobie z tego sprawy, zacząłem biec. Był to dla mnie szok. Usiłowałem dalej utrzymywać takie tempo i wtedy posłyszałem wołanie don Juana, nieco z prawej ode mnie. Zagwizdał cztery razy.

Po chwili znowu posłyszałem krzyk sowy, ale tym razem jeszcze bardziej z prawej. Aby podążać za nim, musiałem skręcić o czterdzieści pięć stopni. Spodziewałem się, że następne krzyki pozwolą mi na lepszą orientację.

Posłyszałem nowy gwizd, który umiejscawiał don Juana prawie w tym samym miejscu, z którego wyruszyliśmy. Zatrzymałem się i słuchałem. Posłyszałem bardzo ostry dźwięk, jakby uderzenie dwóch kamieni o siebie.

Następnie dotarła do mnie cała seria łagodnych dźwięków tego rodzaju. Przy następnym krzyku sowy przekonałem się, co don Juan miał wcześniej na myśli. Było w nim coś naprawdę melodyjnego. Był zdecydowanie dłuższy i łagodniejszy niż krzyk prawdziwej sowy.

Byłem przerażony. Żołądek skurczył mi się i tak ciążył, jakby ze środka mojego ciała coś ciągnęło mnie w dół. Obróciłem się i zacząłem biec w przeciwnym kierunku.

W oddali posłyszałem słabnący krzyk sowy. Po nim szybko nastąpiły jeszcze trzy inne. Pobiegłem w kierunku, z którego dochodziły. Należały do don Juana. Musiał być dobre ćwierć mili stąd i czułem, że jeśli będę poruszał się dalej w tym samym tempie, wkrótce pozostanę sam w tych górach, w sytuacji bez wyjścia. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego don Juan pobiegł naprzód, kiedy przecież mógł biegać wokół mnie, jeśli chciał utrzymać swoje tempo.

Zauważyłem, jakby coś poruszało się razem ze mną z mojej lewej strony. Mogłem prawie to zobaczyć na obrzeżu pola widzenia. Wpadłbym w panikę, gdyby nie trzeźwa myśl, która przyszła mi do głowy. Przecież w ciemności nie mogłem niczego zobaczyć. Chciałem popatrzeć w tamtym kierunku, ale obawiałem się stracić rytm.

Następny krzyk sowy wyrwał mnie z rozmyślań. Dobiegał z lewej strony. Nie zmieniłem kierunku, ponieważ bez wątpienia był to najsłodszy i najbardziej melodyjny krzyk, jaki kiedykolwiek słyszałem. Jednak wcale mnie nie przestraszył. Było w nim coś pociągającego, może nawet nawiedzonego albo smutnego.

Nagle ciemny kształt przeciął mi błyskawicznie drogę z lewa na prawo. Szybkość jego ruchu spowodowała, że spojrzałem tam. Straciłem równowagę i głośno wpadłem w krzaki. Wtedy posłyszałem melodyjny krzyk kilka kroków ode mnie. Podniosłem się na nogi, lecz zanim zacząłem znów biec, posłyszałem następny krzyk, bardziej wymagający i nieodparty niż pierwszy. Zdawało mi się, jakby coś chciało, bym się zatrzymał i nasłuchiwał. Dźwięk był tak przeciągły i miły, że ukoił mój lęk. Zatrzymałbym się tutaj, gdybym dokładnie w tym samym momencie nie posłyszał czterech chrapliwych krzyków don Juana. Wydawały się pochodzić z dość bliska. Podskoczyłem i ryszyłem w tamtym kierunku.

Po chwili znowu zauważyłem jakieś migotanie czy falę ciemności z lewej strony. Nie był to właściwie widok, ale raczej odczucie, a jednak byłem prawie przekonany, że postrzegam ją oczami. Poruszała się szybciej niż ja i znowu przemieściła się z lewa na prawo, przez co straciłem równowagę. Tym razem jednak nie upadłem, co najdziwniejsze, to mnie zaniepokoiło. Nagle rozzłościłem się i bezsensowność moich emocji doprowadziła mnie do prawdziwej paniki. Usiłowałem zwiększyć tempo. Chciałem sam zacząć naśladować sowę, aby poinformować don Juana o tym, gdzie jestem, ale nie odważyłem się złamać jego zakazu.

W tym momencie jakaś okropna rzecz zwróciła moją uwagę. Z lewej strony rzeczywiście coś podobnego do zwierzęcia niemal mnie dotknęło. Odruchowo podskoczyłem i skręciłem w prawo. Przerażenie prawie pozbawiło mnie tchu. Byłem tak ogarnięty przez lęk, że w moim umyśle nie zagościła ani jedna myśl, kiedy poruszałem się w ciemności, tak szybko, jak tylko mogłem. Strach odczuwałem jako wrażenie cielesne, nie mające nic wspólnego z myślami. Uznałem to za bardzo

niezwykłe. W całym moim życiu lęki zawsze opierały się na intelektualnej podstawie. Wywoływały je zagrażające mi społeczne sytuacje albo ludzie zachowujący się wrogo wobec mnie. Jednak tym razem mój lęk stanowił dla mnie absolutną nowość. Pochodził z nieznanej części świata i uderzał w nieznaną część mnie samego.

Posłyszałem krzyk sowy dochodzący z bliska, nieco z mojej lewej strony. Nie udało mi się wychwycić niuansów jego tonu, ale wydawało mi się, że należy do don Juana. Nie był melodyjny. Zwolniłem. Nadszedł następny. Była w nim chrapliwość gwizdów don Juana, więc przyspieszyłem. Trzeci krzyk dotarł do mnie z bardzo bliska. Mogłem rozróżnić nawet ciemną masę skał albo drzew. Posłyszałem jeszcze jedno zawołanie sowy i pomyślałem, że don Juan czeka na mnie, gdyż znaleźliśmy się już poza niebezpieczną strefą. Znalazłem się już na granicy ciemniejszego i jaśniejszego obszaru, kiedy piąty krzyk unieruchomił mnie. Usiłowałem coś wypatrzeć w ciemności, ale nagły szeleszczący dźwięk z lewej sprawił, że obróciłem się i zdążyłem zobaczyć czarny kształt, ciemniejszy od całego otoczenia, który turlał się albo ślizgał. Wystraszyłem się i odskoczyłem. Posłyszałem mlaszczący odgłos, jakby ktoś cmokał wargami, a później zbliżyła się do mnie wielka, ciemna masa. Była kwadratowa jak drzwi, na osiem albo dziesięć stóp wysoka.

To niespodziewane pojawienie się jej zmusiło mnie do krzyku. Przez chwilę mój strach przekraczał wszelkie granice, lecz już w sekundę później z przerażającym spokojem wpatrywałem się w ciemny kształt.

Moje reakcje były dla mnie następną absolutną nowością. Jakaś część mnie wydawała się ciągnąć mnie z niesamowitym uporem w kierunku ciemnego obszaru, podczas gdy druga opierała się temu. Było tak, jakbym z jednej strony chciał się przekonać, co to jest, a z drugiej – rzucił się panicznie do ucieczki.

Ledwie słyszałem krzyki don Juana. Zdawało mi się, że dochodzą z bardzo bliska i są gorączkowe. Były dłuższe i bardziej chrapliwe, jak gdyby wydawał je podczas biegu w moim kierunku.

Nagle odzyskałem kontrolę nad sobą, bo byłem w stanie odwrócić się i przez chwilę biec tak, jak wymagał don Juan.

– Don Juanie! – wykrzyknąłem, kiedy go znalazłem.

Położył mi rękę na ustach i dał znak, abym podążał za nim. Biegliśmy razem w bardzo wygodnym tempie, aż dotarliśmy do skalnego występu, przy którym odpoczywaliśmy wcześniej.

Siedzieliśmy na tym stopniu w absolutnej ciszy przez jakąś godzinę aż do świtu. Wtedy zjedliśmy jedzenie z tykw. Don Juan powiedział, że musimy tutaj pozostać do samego południa. Nie będziemy spać, tylko rozmawiać, tak jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło.

Kazał mi dokładnie opowiedzieć o wszystkim, co się działo, od momentu kiedy mnie opuścił. Gdy skończyłem swoją historię, przez długi czas siedział w milczeniu. Był pogrążony w myślach.

– Nie wygląda to zbyt dobrze – powiedział w końcu. – To, co wydarzyło ci się tej nocy, jest bardzo poważne, zbyt poważne, abyś kiedykolwiek mógł ryzykować samotną wyprawę w noc. Teraz istoty nocy nie zostawią cię już w spokoju.

– Co mi się przydarzyło ostatniej nocy, don Juanie?

– Natknąłeś się na pewne istoty, które znajdują się w świecie i mają wpływ na ludzi. Nic o nich nie wiesz, ponieważ nigdy ich nie spotkałeś. Może lepiej byłoby je nazwać istotami gór, bo w rzeczywistości nie należą one do nocy. Nazwałem je tak, gdyż dużo łatwiej je zobaczyć właśnie o tej porze. Są one tutaj przez cały czas. Jednak w dzień dużo trudniej je zauważyć, po prostu dlatego że wtedy dobrze nam znany świat bardziej się wyróżnia. Natomiast w ciemności wszystko jest tak samo dziwne i niewiele rzeczy się wyróżnia, dlatego jesteśmy bardziej wrażliwi na te istoty.

– Ale czy one są rzeczywiste, don Juanie?

– Oczywiście! Są tak rzeczywiste, że zwykle zabijają ludzi, szczególnie tych, którzy zabłądzą na pustkowiu i nie mają żadnej osobistej mocy.

– Jeśli wiedziałeś, że są one tak niebezpieczne, dlaczego zostawiłeś mnie samego?

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się nauczyć i jest nim praktyka. Sama rozmowa o mocy jest bezużyteczna. Jeśli chcesz się dowiedzieć, czym ona jest, jeśli chcesz ją zgromadzić, musisz sam się ze wszystkim chwycić za bary. Droga wiedzy i mocy jest bardzo trudna i bardzo długa. Jak zapewne zauważyłeś, nie pozwalałem ci samotnie zapuszczać się w ciemność aż do zeszłej nocy. Nie miałeś

wystarczająco dużo mocy. Teraz masz jej tyle, aby stoczyć dobrą bitwę, ale za mało, ażeby samemu pozostać w ciemności.

– Co by się stało, gdybym jednak to zrobił?

– Umarłbyś. Istoty nocy zgniotłyby cię jak robaka.

– Czy to znaczy, że nie mogę być w nocy sam?

– Możesz spędzać noc sam, będąc w swoim łóżku, ale nie w górach.

– Czy dotyczy to także równin?

– Dotyczy tylko pustkowi, gdzie nie ma nikogo, a szczególnie odludnych miejsc w wysokich górach, ponieważ naturalną siedzibą nocnych istot są skały i szczeliny skalne. Nie możesz więc iść w góry, aż do czasu, kiedy zgromadzisz wystarczającą ilość osobistej mocy.

– Ale jak mam gromadzić osobistą moc?

– Robisz to, żyjąc w ten sposób, jaki ci wskazałem. Powoli zatykasz wszystkie dojścia do siebie. Nie musisz tego robić rozmyślnie, ponieważ moc zawsze znajdzie sobie drogę. Weź mnie za przykład. Nie wiedziałem, że gromadzę moc, kiedy na początku zacząłem się uczyć postępowania wojownika. Tak samo jak ty, nie myślałem, że robię coś szczególnego, ale było inaczej. Moc ma tę właściwość, że pozostaje niezauważalna, kiedy się ją gromadzi.

Poprosiłem go, aby mi wyjaśnił, w jaki sposób doszedł do wniosku, że niebezpieczne jest dla mnie samotne przebywanie w ciemności.

– Istoty nocy poruszały się z twojej lewej strony powiedział. – Próbowały stopić się z twoją śmiercią. Szczególnie ważne były drzwi, które widziałeś. Powinieneś wiedzieć, że było to rzeczywiście przejście i ciągnęłoby cię, aż musiałbyś je przekroczyć, a wtedy byłby to już twój koniec.

Najdelikatniej jak tylko potrafiłem, zwróciłem don Juanowi uwagę, że takie niesamowite rzeczy wydarzają mi się zawsze wtedy, kiedy on znajduje się w pobliżu i wygląda to tak, jakby on sam mi je zgotował. Kiedy samotnie bywałem w nocy na pustkowiu, zawsze wszystko było absolutnie normalne i nie działo się nic niezwykłego. Nigdy nie widziałem żadnych cieni ani nie słyszałem dziwnych odgłosów. Nigdy nie zostałem przez nic przestraszony.

Don Juan zachichotał i powiedział, że wszystko to stanowi dowód, że ma on wystarczająco dużo osobistej mocy, aby zawezwać na pomoc miliard różnych rzeczy.

Miałem wrażenie, że chodzi o jakichś ludzi, jakichś jego wspólników.

Don Juan chyba czytał w moich myślach, bo zaśmiał się głośno i powiedział:

– Nie wysilaj się na wyjaśnienia. To, co powiedziałem, nie ma dla ciebie sensu, po prostu dlatego, że nie posiadasz wystarczającej mocy. Jednak masz jej więcej niż wtedy, kiedy zaczynałeś i dlatego zdarzają się pewne rzeczy. Miałeś już spotkanie z mgłą i błyskawicą. Nie jest ważne, czy zrozumiesz, co ono oznacza, ważne że nosisz jego wspomnienie. Most i wszystko pozostałe, co widziałeś tamtej nocy, powtórzy się pewnego dnia, kiedy będziesz miał wystarczająco dużo osobistej mocy.

– W jakim celu to się powtórzy, don Juanie?

– Nie wiem. Nie jestem tobą. Tylko ty możesz dać na to odpowiedź. Jesteśmy inni. Dlatego musiałem zostawić cię samego ostatniej nocy, chociaż wiedziałem, że grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiałeś przejść test z tymi istotami. Wybrałem krzyk sowy, ponieważ sowy są posłańcami tych istot. Ich głos wywabia je. Stały się niebezpieczne dla ciebie, nie dlatego że normalnie są wrogie, ale że ty nie jesteś bez skazy. Jest w tobie coś na pokaz i ja wiem, co to jest. Ty mi po prostu przytakujesz, żeby mieć święty spokój. Cały czas wszystkim przytakujesz i to automatycznie ustawia cię ponad ludźmi. Lecz sam wiesz, że tak nie powinno być. Jesteś tylko człowiekiem i twoje życie jest za krótkie, żeby ogarnąć wszystkie cudowne i straszne rzeczy tego wspaniałego świata. Dlatego to twoje przytakiwanie jest na pokaz; redukuje cię do żałosnych rozmiarów.

Chciałem zaprotestować. Don Juan przygwoździł mnie, tak jak to robił już dziesiątki razy wcześniej. Przez chwilę byłem zły na niego. Ale tak samo jak poprzednio, pisanie pozwoliło mi zachować dystans wystarczająco duży, abym mógł pozostać niewzruszony.

– Wydaje mi się, że mam na to lekarstwo – kontynuował don Juan po długiej przerwie. – Nawet ty zgodzisz się ze mną, jeśli przypomnisz sobie to, co robiłeś zeszłej nocy. Biegłeś z prędkością godną

czarownika dopiero wtedy, kiedy twój przeciwnik stał się nie do zniesienia. Obaj to wiemy i wydaje mi się, że już znalazłem dla ciebie godnego przeciwnika.

– Co masz zamiar zrobić, don Juanie? Nie odpowiedział. Wstał i przeciągnął się. Naciągał każdy mięsień. Kazał mi zrobić to samo.

– Musisz rozciągać ciało wiele razy w ciągu dnia powiedział. – Im więcej razy, tym lepiej, ale tylko po długim okresie pracy albo odpoczynku.

– Jakiego przeciwnika masz zamiar znaleźć dla mnie? – zapytałem.

– Na nieszczęście tylko nasi bliźni, ludzie, są godnymi przeciwnikami – powiedział. – Inne istoty nie mają własnej woli i trzeba ich szukać albo je wywabiać. W przeciwieństwie do nich człowiek jest nieubłagany.

– Mówiliśmy już wystarczająco długo – rzekł don Juan gwałtownie. – Zanim stąd odejdziemy, musisz zrobić jeszcze jedną rzecz, najważniejszą ze wszystkiego. Powiem ci teraz coś, co oczyści twój umysł z wątpliwości. Powód, dla którego nie przestajesz przychodzić do mnie, jest bardzo prosty. Za każdym razem, kiedy mnie widzisz, twoje ciało uczy się pewnych rzeczy, nawet mimo twego sprzeciwu. I teraz musi już wracać do mnie, aby się więcej nauczyć. Powiedzmy, że twoje ciało wie, że kiedyś umrze, nawet jeśli ty nigdy o tym nie pomyślałeś. Tak więc mówię mu, że ja też muszę umrzeć, ale zanim to zrobię, chciałbym mu pokazać pewne rzeczy, których ty nie możesz dać mu sam. Na przykład twoje ciało potrzebuje strachu. Lubi go. Twoje ciało potrzebuje ciemności i wiatru. Teraz zna już chód mocy i nie może się doczekać, kiedy go wypróbuje. Potrzebuje też osobistej mocy i już się niecierpliwi. Powraca, aby się ze mną zobaczyć, ponieważ jestem jego przyjacielem.

Don Juan przez długą chwilę milczał. Widziałem, jak walczy z myślami.

– Powiedziałem ci, że sekret silnego ciała nie polega na tym, co z nim robisz, ale na tym, czego nie robisz – odezwał się w końcu. – Teraz nadszedł czas, abyś przestał robić to, co zawsze robisz. Siedź tu, dopóki stąd nie pójdziemy, i nie-działaj.

– Nie wiem, o co ci chodzi, don Juanie.

Położył ręce na moich notatkach i zabrał mi je. Ostrożnie zamknął mój notes, założył na niego gumową opaskę i wyrzucił jak dysk daleko w chaparral.

Byłem zaszokowany i zacząłem protestować, ale położył mi rękę na ustach. Wskazał na wielki krzew i powiedział, abym skoncentrował uwagę nie na liściach, ale na ich cieniach. Tłumaczył, że bieg w ciemności nie musi być pobudzany przez strach, ale może być całkiem naturalną reakcją pełnego radości ciała, które wie, jak nie– -działać. Szeptem w kółko powtarzał mi do prawego

ucha, że “nierobienie tego, co wiem, jak robić", stanowi klucz do mocy. W wypadku patrzenia na drzewo tym, co wiem, jak robić, jest natychmiastowe skoncentrowanie się na liściach. Cienie liści albo przestrzenie pomiędzy nimi nie były nigdy przedmiotem mego zainteresowania. W swoich ostatnich wskazówkach kazał mi zacząć koncentrować się na cieniach liści na jednej gałęzi, a później objąć tym spojrzeniem całe drzewo. Nie powinienem pozwolić oczom na powrót do liści, ponieważ pierwszym świadomym krokiem prowadzącym do nagromadzenia osobistej mocy jest pozwolenie ciału na nie-działanie.

Być może z powodu zmęczenia albo nerwowego podniecenia tak pochłonęły mnie cienie liści, że zanim don Juan wstał, mogłem posegregować ciemne masy cieni prawie tak efektywnie jak normalnie zrobiłbym to z liśćmi. Ostateczny efekt był niezwykle zaskakujący. Powiedziałem don Juanowi, że chciałbym zostać tu dłużej. Zaśmiał się i poklepał mnie po kapeluszu.

– Mówiłem ci – powiedział. – Ciało lubi takie rzeczy.

Następnie stwierdził, że nagromadzona przeze mnie moc poprowadzi mnie poprzez krzaki do mojego notesu. Lekko popchnął mnie w kierunku chaparralu. Szedłem bez celu przez chwilę i zaraz potem znalazłem go. Myślałem, że nieświadomie musiałem zapamiętać sobie kierunek, w jakim don Juan go rzucił. On wytłumaczył mi to, mówiąc, że podszedłem od razu do notesu, ponieważ moje ciało przez wiele godzin nasiąknęło nie-działaniem.

15. Nie-działanie

Środa, 11 kwietnia 1962

Kiedy wróciliśmy do domu, don Juan poradził mi, abym pracował nad swoimi notatkami, tak jakby nic mi się nie wydarzyło i ani nie wspominał, ani nawet nie myślał o tym, co przeżyłem.

Po jednodniowym odpoczynku zapowiedział, że musimy opuścić tę okolicę na kilka dni, ponieważ wskazane jest oddalić się od "istot nocy". Stwierdził, że silnie na mnie wpłynęły, chociaż tego nie zauważam, ponieważ moje ciało nie jest wystarczająco wrażliwe. Jednak w krótkim czasie mogę poważnie zachorować, jeśli nie udam się w moje "ulubione miejsce", aby oczyścić się i odpocząć.

Wyruszyliśmy przed świtem i pojechaliśmy na północ. Po wyczerpującej jeździe i szybkim marszu przybyliśmy na wzgórze późnym popołudniem.

Don Juan, tak jak zrobił to przedtem, pokrył miejsce, na którym kiedyś spałem, małymi gałązkami. Następnie dał mi garść liści, abym umieścił je bezpośrednio na skórze brzucha, i kazał mi położyć się i odpoczywać. Dla siebie wybrał inne miejsce, trochę na lewo w stosunku do mojej głowy i także się położył.

Po kilku minutach zacząłem odczuwać rozkoszne ciepło. Było to wrażenie fizycznego komfortu, zawieszenia w powietrzu. W pełni mogłem się teraz zgodzić z don Juanem, że "łoże ze sznurków" pozwala mi na unoszenie się w powietrzu. Opisałem to niewiarygodne doświadczenie don Juanowi. Powiedział poważnie, że zostało zrobione właśnie w tym celu.

– Nie wierzę, że to możliwe! – wykrzyknąłem.

Don Juan przyjął moje stwierdzenie dosłownie i skarcił mnie. Powiedział, że ma dość tego, że zachowuję się jak istota najważniejsza na świecie, której wciąż trzeba dostarczać dowodów na to, że świat jest nieznany i wspaniały.

Usiłowałem mu wyjaśnić, że było to retoryczne stwierdzenie, nie mające większego znaczenia. Odpowiedział na to, że jeśli faktycznie tak by było, wybrałbym inne. Chyba nieźle się na mnie zdenerwował. Usiadłem i zacząłem go przepraszać, ale on się zaśmiał i naśladując mój sposób mówienia, zaproponował całą serię zabawnych, retorycznych stwierdzeń, które mogłem użyć zamiast tamtego. Skończyło się na tym, że zaśmiewałem się z zamierzonej niedorzeczności niektórych proponowanych przez niego możliwości. Potem łagodnie przypomniał mi, że mam się poddawać wrażeniu unoszenia się.

Kojące uczucie spokoju i pełni, którego doświadczałem w tym tajemniczym miejscu, pobudziło moje głęboko ukryte emocje. Zacząłem opowiadać o swoim życiu. Przyznałem się, iż nigdy nie szanowałem ani nie lubiłem nikogo, nawet samego siebie. Zawsze czułem, że z gruntu jestem zły, i dlatego w stosunku do innych zawsze maskowałem się pyszałkowatością i udawaną odwagą.

– To prawda – powiedział don Juan. – Wcale nie lubisz siebie.

Zarechotał i powiedział, że widział to, kiedy ja mówiłem. Poradził mi, abym nie miał wyrzutów sumienia z powodu czegoś, co zrobiłem, ponieważ traktowanie swoich czynów jako podłych, paskudnych czy złych jedynie dodaje ważności "ja".

Poruszyłem się nerwowo i posłanie z liści wydało szeleszczący dźwięk. Don Juan powiedział, że jeśli chcę odpoczywać, nie powinienem pobudzać swoich liści, ale naśladować jego sposób leżenia w całkowitym bezruchu. Dodał, że gdy widział, natknął się na jeden z moich nastrojów. Przez chwilę usiłował znaleźć właściwe słowo. Powiedział, że ten nastrój to pewien stan umysłu, w który ciągle wpadam. Opisał go jako rodzaj zapadni, która co jakiś czas niespodziewanie się uruchamia i wciąga mnie.

Poprosiłem go, aby wyraźniej to określił. Odparł, że niemożliwe jest wyraźniejsze określenie widzenia. Zanim zdołałem powiedzieć coś więcej, zwrócił mi uwagę, abym się rozluźnił, ale nie zasypiał, tak długo, jak tylko potrafię. Powiedział, że "łoże ze sznurków" zostało zrobione wyłącznie po to, aby umożliwić wojownikowi uzyskanie szczególnego stanu spokoju i dobrego samopoczucia.

Dramatycznym tonem don Juan stwierdził, że dobre samopoczucie jest stanem, który trzeba sobie przygotować, stanem, który najpierw trzeba dobrze poznać, aby można było go poszukiwać.

– Nie wiesz, czym jest dobre samopoczucie, ponieważ nigdy go nie doświadczyłeś – powiedział.

Nie mogłem się z nim zgodzić. Ale on dalej przekonywał mnie, że dobre samopoczucie stanowi cel, do którego trzeba rozmyślnie dążyć. Powiedział, że doskonale wiem jedynie o tym, jak szukać dezorientacji, złego samopoczucia i zamętu.

Zaśmiał się kpiąco i zapewnił mnie, że jeśli chcę dokonać wielkiego czynu unieszczęśliwienia samego siebie, to muszę nad tym pracować niezwykle intensywnie, i że graniczy to z absurdem, iż do tej pory nie uświadomiłem sobie tego, że wszystkie moje wysiłki mógłbym równie dobrze włożyć w dążenie do pełni i siły.

– Cała sztuka polega na tym, na co kładziesz nacisk – powiedział. – Możemy albo uczynić siebie nieszczęśliwymi, albo silnymi. W obu wypadkach wysiłek jest taki sam.

Zamknąłem oczy, znowu się uspokoiłem i zacząłem doświadczać unoszenia się w powietrzu. Przez chwilę czułem się, jakbym rzeczywiście poruszał się w przestrzeni, jak liść. Chociaż uczucie to było niezwykle przyjemne, przypominało mi nieco wrażenie wirowania, którego doświadczałem czasami, kiedy byłem chory i miałem zawroty głowy. Pomyślałem sobie, że może zjadłem coś niezdrowego.

Słyszałem, że don Juan mówi do mnie, ale nie zrobiłem żadnego wysiłku, aby go wysłuchać. Usiłowałem przypomnieć sobie wszystkie rzeczy, które jadłem tego dnia, ale szybko przestało mnie to interesować. Przestało być ważne.

– Obserwuj, jak zmienia się światło słońca – powiedział don Juan.

Jego głos był wyraźny. Pomyślałem, że jest jak woda, płynny i ciepły.

Na zachodzie niebo było wolne od chmur i światło wyglądało niezwykle. Być może uwaga don Juana sprawiła, że żółtawy blask popołudniowego słońca wydawał mi się wspaniały.

– Niech ten blask cię zapali – powiedział don Juan. – Zanim dzisiaj zajdzie słońce, musisz być całkowicie uspokojony i wypoczęty, ponieważ jutro albo pojutrze zaczniesz się uczyć nie-działania.

– Uczyć się czego? – zapytałem.

– Teraz się tym nie przejmuj – powiedział. – Zaczekaj, aż znajdziemy się w tamtych magmowych górach.

Wskazał na odległe, wyszczerbione, ciemne i wrogo wyglądające szczyty na północy.

Czwartek, 12 kwietnia 1962

Dotarliśmy do wysoko położonej pustyni wokół wulkanicznych wzgórz późnym popołudniem. Ciemnobrązowe magmowe góry w oddali wyglądały złowieszczo. Słońce znajdowało się bardzo nisko nad horyzontem i oświetlało zachodnią ścianę zastygłej lawy, dodając jej ciemnemu brązowi oślepiających ozdób z żółtych refleksów. Nie mogłem oderwać od nich wzroku. Te szczyty były naprawdę hipnotyzujące.

Przed końcem dnia stały się widoczne dolne zbocza gór. Na wysokiej pustyni znajdowało się mało roślinności. Dostrzegłem tylko kaktusy i wysoką trawę rosnącą kępkami.

Don Juan zatrzymał się na odpoczynek. Usiadł, ostrożnie opierając o skałę swoje tykwy z jedzeniem. Powiedział, że będziemy tutaj obozować w nocy. Znajdowaliśmy się na wzniesieniu. Stąd, gdzie stałem, mogłem sięgnąć wzrokiem na dość dużą odległość.

Był pochmurny dzień i zmierzch szybko ogarnął okolicę. Pochłonęła mnie obserwacja szybkości, z jaką karmazynowe chmury na zachodzie rozpływały się w jednolitą, grubą, ciemną szarość.

Don Juan wstał i poszedł w stronę krzewów. Zanim wrócił, sylwetki wulkanicznych gór były już tylko ciemną masą. Siadł obok mnie i zwrócił mi uwagę na to, co wydawało się naturalną formacją górską na północnym wschodzie. Był to punkt dużo jaśniejszy niż jego otoczenie. Chociaż cały łańcuch wulkanicznych gór w czasie zmroku miał jednolitą ciemnobrązową barwę, to punkt, na który wskazywał, był żółtawy albo ciemnobeżowy. Nie byłem w stanie ustalić, co to jest. Wpatrywałem się w niego bardzo długo. Wydawało mi się, że się porusza. Miałem wrażenie, że pulsuje. Kiedy zrobiłem zeza, zadrżał, jakby poruszał go wiatr.

– Koncentruj się na nim bez przerwy – polecił don Juan.

W pewnej chwili poczułem, że cały łańcuch górski zbliża się do mnie. Uczuciu temu towarzyszył niezwykły niepokój w dołku pod piersiami. Było to tak nieprzyjemne, że aż musiałem wstać.

– Siadaj! – krzyknął don Juan.

Ale stanąłem już na równe nogi. Z tej nowej perspektywy żółtawa formacja znalazła się niżej na tle gór. Usiadłem znowu, nie odrywając od niej wzroku i formacja przesunęła się ku górze. Wpatrywałem się w nią przez chwilę i nagle uświadomiłem sobie, że to, na co patrzyłem, w ogóle nie znajdowało się w górach, ale że był to kawałek żółtawego materiału zwisającego z kaktusa przede mną.

Zaśmiałem się głośno i wyjaśniłem don Juanowi, że zmierzch stał się przyczyną tej optycznej iluzji. On zaś wstał i podszedł do miejsca, gdzie wisiał kawałek materiału, zdjął go, zwinął i schował do swej torby.

– Po co to robisz? – zapytałem.

– Ponieważ ten kawałek materiału ma moc – powiedział obojętnie. – Przez chwilę dobrze ci z nim szło i nie wiadomo, co by się stało, gdybyś nie wstawał.

Piątek, 13 kwietnia 1962

O świcie wyruszyliśmy w góry. Były niespodziewanie daleko. Do południa doszliśmy do jednego z kanionów. W płytkich kałużach było tam trochę wody. Siedliśmy, aby odpocząć w cieniu wiszącej ściany skalnej.

Góry stanowiły zastygłe bryły monumentalnej rzeki lawy, która przez tysiąclecia zwietrzała w porowatą ciemnobrązową skałę. Tylko kilka silnych chwastów rosło w jej szczelinach.

Patrzenie w górę prawie pionowych ścian kanionu spowodowało, że poczułem dziwny ucisk w dołku. Były one wysokie na setki stóp i sprawiały wrażenie, jakby chciały się zamknąć nade mną. Słońce znajdowało się niemalże nad moją głową, lekko na południowy zachód.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział don Juan i, manewrując moim ciałem, ustawił mnie tak, że patrzyłem w kierunku słońca. Powiedział, żebym skupił wzrok na górskiej ścianie nade mną.

Widok był zdumiewający. Pobudził moją wyobraźnię. Zaczynałem myśleć jak musiała wyglądać ta wulkaniczna rzeka. Kilkakrotnie przesunąłem wzrokiem w górę i w dół po ścianach kanionu. Pochłonęło mnie bogactwo ich kolorów. Znajdowały się tam cętki wszystkich możliwych do wyobrażenia barw. Na każdej skale rosły łaty jasnoszarych mchów i porostów. Spojrzałem bezpośrednio w górę i zauważyłem, jak słońce wytwarza przepiękne refleksy, kiedy pada na błyszczące punkciki zastygłej lawy.

Wpatrywałem się w ten fragment gór, gdzie odbijało się światło słońca. Wraz z jego ruchem zmniejszała się intensywność refleksów, aż w końcu całkowicie znik-nęły.

Spojrzałem na drugą stronę kanionu i zauważyłem następne miejsce, gdzie tak samo wspaniale załamywało się światło. Powiedziałem o tym don Juanowi, a później wypatrzyłem jeszcze jedną świetlistą strefę, i jeszcze jedną, aż cały kanion był upstrzony wielkimi łatami światła.

Poczułem zawrót głowy i nawet wtedy, kiedy zamknąłem oczy, wciąż widziałem połyskujące refleksy słońca. Objąłem głowę dłońmi i usiłowałem wczołgać się pod wiszącą skałę, ale don Juan chwycił mnie silnie za ramię i kategorycznym tonem kazał mi patrzeć na górskie ściany i próbować wynajdywać punkty gęstej ciemności pośród obszarów światła.

Nie chciałem patrzeć, ponieważ blask raził mnie w oczy. Powiedziałem, że to, co się teraz ze mną dzieje, przypomina mi patrzenie na słoneczną ulicę przez okno, co powoduje, że później wszędzie widzi się ciemną okienną ramę.

Don Juan pokręcił głową i zaczai chichotać. Puścił moją rękę i razem usiedliśmy pod wiszącą skałą. Notowałem swoje wrażenia, kiedy po długo trwającej ciszy don Juan nagle przemówił:

– Przyprowadziłem cię tutaj, aby nauczyć cię jednej rzeczy – powiedział z wyczuciem dramatyzmu. – Będziesz się uczył nie-działania. Równie dobrze możemy najpierw o tym porozmawiać, ponieważ z tobą nie da się inaczej postępować. Wydawało mi się, że zrozumiesz, o co chodzi w nie-działaniu bez moich wyjaśnień. Jednak myliłem się.

– Nie wiem, o czym mówisz, don Juanie.

– To nie ma znaczenia – powiedział. – Powiem ci o czymś, co jest bardzo proste, ale bardzo trudno to wykonać. Opowiem ci o nie-działaniu, mimo, że nie da się o tym mówić, ponieważ to ciało się tym zajmuje.

Rzucił w moim kierunku kilka krótkich spojrzeń, a później stwierdził, że to co powie, wymaga mojej wyjątkowej uwagi.

Zamknąłem notes, ale ku memu zdziwieniu, polecił mi pisać.

– Nie-działanie jest tak trudne i ma taką moc, że nie powinno się o nim wspominać – kontynuował. – Przynajmniej do czasu, kiedy nie zatrzyma się świata. Tylko wtedy można o nim swobodnie mówić, jeśli się tego pragnie.

Don Juan rozejrzał się wkoło i wskazał na wielką skałę.

– Ta skała jest skałą z powodu działania – powiedział.

Spojrzeliśmy na siebie i don Juan się uśmiechnął. Chciałem dalszych wyjaśnień, ale on nie odzywał się. W końcu byłem zmuszony powiedzieć, że nie rozumiem, o co mu chodzi.

– To jest działanie! – wykrzyknął.

– Słucham?

– To także działanie.

– O czym mówisz, don Juanie?

– Działanie jest tym, co sprawia, że skała jest skałą, a krzak krzakiem. Działanie jest tym, co powoduje, że ty jesteś sobą, a ja mną.

Powiedziałem mu, że jego wytłumaczenie niczego nie wyjaśnia. Zaśmiał się i podrapał po głowie.

– Na tym właśnie polega problem z mówieniem. Zawsze prowadzi do zamętu. Kiedy zaczyna się mówić o działaniu, zawsze kończy się na mówieniu o czymś innym. Lepiej po prostu coś zrobić. Weź na przykład skałę. Patrzenie na nią to działanie, a widzenie jej to nie-działanie.

Musiałem się przyznać, że te słowa nie miały dla mnie żadnego sensu.

– Ależ mają! – wykrzyknął. – Ale ty jesteś przekonany, że nie mają, i to jest twoje działanie. W ten sposób postępujesz ze mną i ze światem. – Znowu wskazał na skałę. – Ta skała jest skałą z tego powodu, że wiesz, jak z nią postępować – powiedział. – Nazywam to działaniem. Człowiek wiedzy, na przykład, wie, że skała jest skałą tylko z powodu działania. Więc jeśli nie chce, aby nią była, musi po prostu nie-działać. Rozumiesz, o co mi chodzi?

W ogóle go nie zrozumiałem. Zaśmiał się i przystąpił do następnej próby wyjaśnienia.

– Świat jest światem, ponieważ znasz działanie potrzebne do stworzenia go takim, jakim jest – powiedział. – Gdybyś nie znał tego działania, świat byłby inny.

Przyglądał mi się z ciekawością. Przestałem pisać. Chciałem go tylko słuchać. Dalej wyjaśniał, że bez działania nie byłoby nic znajomego w naszym otoczeniu.

Pochylił się i wziął mały kamień pomiędzy kciuk i palec wskazujący lewej ręki i podsunął mi pod nos.

– To jest kamyk, ponieważ znasz działanie potrzebne do uczynienia z niego kamyka – powiedział.

– Co mówisz? – zapytałem w poczuciu zupełnego zamętu.

Don Juan uśmiechnął się. Chyba musiał się dobrze bawić moim kosztem, choć nie dawał tego po sobie poznać.

– Nie wiem, skąd ten chaos! – powiedział. – Słowa są twoimi faworytami. Powinieneś być w siódmym niebie.

Popatrzył na mnie tajemniczo i dwa czy trzy razy uniósł brwi. Następnie znowu wskazał na mały kamień, który trzymał mi przed oczyma.

– Powiedziałem, że robisz z tego kamyk, ponieważ znasz potrzebne do tego działanie – powiedział. – Po to, aby zatrzymać świat, musisz przestać działać.

Zdawał sobie sprawę z tego, że nic nie zrozumiałem, bo uśmiechnął się, kiwając głową. Potem wziął gałązkę i wskazał nią na nierówną krawędź kamyka.

– W przypadku tego małego kamienia – kontynuował – pierwszą rzeczą, jaką wykonuje z nim działanie, jest skurczenie go do tej wielkości. Jeśli więc wojownik chce zatrzymać świat, powiększa taki mały kamień, albo jakąkolwiek inną rzecz, przez nie-działanie.

Wstał i położył kamyk na głazie, a później powiedział mi, abym podszedł bliżej i dokładnie go obejrzał. Kazał mi patrzeć na otwory i wgłębienia i spróbować uchwycić nawet najmniejsze szczegóły. Powiedział, że jeśli uda mi się znaleźć te szczegóły, otwory i wgłębienia znikną, a ja zrozumiem, czym jest nie-działanie.

– Ten przeklęty kamyk chyba doprowadzi cię dzisiaj do szaleństwa – powiedział.

Na mojej twarzy musiała malować się konsternacja. Popatrzył na mnie i ryknął śmiechem. Później, udając, że złości się na kamyk, uderzył go dwa czy trzy razy kapeluszem.

Nalegałem, aby jeszcze wyraźniej wyjaśnił mi, o co mu chodzi. Dowodziłem, że jest w stanie wyjaśnić wszystko, jeśli tylko włoży w to trochę wysiłku.

Popatrzył na mnie niby zawstydzony i pokręcił głową jakby sytuacja była beznadziejna.

– Oczywiście, że mogę wszystko wyjaśnić – powiedział, śmiejąc się. – Ale czy ty to zrozumiesz? Byłem zaskoczony jego aluzją.

– Działanie sprawia, że oddzielasz kamyk od większego głazu – podjął jeszcze jedną próbę. – Jeśli chcesz się nauczyć nie-działania, powiedzmy, że musisz je połączyć.

Wskazał na mały cień, jaki kamyk rzucał na głaz i stwierdził, że to nie cień, ale klej, który wiąże je ze sobą. Później odwrócił się i odszedł, mówiąc, że przyjdzie za jakiś czas, aby mnie sprawdzić.

Długo wpatrywałem się w kamyk. Nie mogłem się skoncentrować na jego drobnych otworach i wgłębieniach, natomiast niewielki cień, jaki rzucał na głaz, stał się dla mnie najbardziej interesujący. Don Juan miał rację, był on jak klej. Poruszał się i zmieniał kształt. Miałem wrażenie, że jest wyciskany spod kamyka.

Kiedy wrócił don Juan, opowiedziałem mu wszystko o mojej obserwacji.

– To dobry początek – powiedział. – Wojownik potrafi z cieni przepowiedzieć wszystko.

Później zasugerował, abym wziął kamień i gdzieś go zakopał.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Obserwowałeś go bardzo długo – powiedział. – Teraz jest w nim jakaś część ciebie. Wojownik zawsze próbuje wpłynąć na siłę działania, zamieniając ją w nie-działanie. Działanie polegałoby na pozostawieniu kamienia tam, gdzie leży, ponieważ to tylko mały kawałek skały. Nie-działanie każe postępować z nim tak, jakby był czymś dużo więcej niż tylko skalnym okruchem. W tym przypadku kamyk długo nasiąkał tobą i teraz jest tobą. Dlatego nie możesz go tak zostawić, ale musisz zakopać. Natomiast gdybyś miał osobistą moc, nie-działanie zamieniłoby ten kamyk w obiekt mocy.

– Czy mogę to zrobić?

– Twoje życie nie jest wystarczająco uporządkowane, abyś mógł to zrobić. Gdybyś widział, wiedziałbyś, że twoje przy ciężkie myślenie zamieniło ten kamyk w coś zupełnie nieciekawego, dlatego najlepszą rzeczą, jaką możesz zrobić, jest wykopanie dziury i wrzucenie go do niej, aby ziemia mogła wchłonąć jego ociężałość.

– Czy to wszystko prawda, don Juanie?

– Odpowiedź tak albo nie na twoje pytanie to działanie. Ale ponieważ uczysz się nie-działania, muszę ci powiedzieć, że w rzeczywistości nie ma znaczenia, czy to wszystko jest prawdziwe, czy fałszywe. Tutaj wojownik ma przewagę nad zwykłym człowiekiem, który zwraca uwagę na to, czy rzeczy są prawdziwe, czy fałszywe. Wojownik tak nie postępuje. Zwykły człowiek w specyficzny sposób reaguje na rzeczy, o których wie, że są prawdziwe, a w inny na te, które uznaje za nieprawdziwe. W pierwszym przypadku, robi z nimi coś i wierzy w to, co robi, zaś w drugim nie zajmuje się nimi albo nie wierzy w to, co robi. Natomiast wojownik ma do nich taki sam stosunek. Z rzeczami uważanymi za prawdziwe postępuje w taki sposób, aby wykonywać działanie. Z rzeczami uważanymi za nieprawdziwe postępuje tak, aby wykonać nie-działanie. Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie, w ogóle nic nie rozumiem – powiedziałem.

Stwierdzenia don Juana zdenerwowały mnie. Nie mogłem znaleźć w nich żadnego sensu. Powiedziałem mu, że to bzdury, a on, przedrzeźniając mnie, stwierdził, że ja nie mam nieskazitelnego ducha nawet w tym, co lubię najbardziej, w mówieniu. Naśmiewał się z werbalnych środków wyrazu, jakimi dysponuję, uznając je za nieścisłe i nieadekwatne.

– Jeśli masz zamiar tylko dużo gadać i nic nie robić, zostań przynajmniej gadułą-wojownikiem – powiedział i wybuchnął śmiechem.

Ogarnęło mnie przygnębienie. W uszach mi dzwoniło. Odczuwałem nieprzyjemne ciepło w głowie. Byłem zakłopotany i prawdopodobnie czerwony na twarzy.

Wstałem, poszedłem w krzaki i zakopałem kamyk.

– Trochę się z tobą drażniłem – powiedział don Juan, kiedy wróciłem i znowu usiadłem. – A jednak wiem, że jeśli nie mówisz, to nie rozumiesz. Mówienie jest działaniem dla ciebie, ale nie jest ono właściwe i jeśli chcesz wiedzieć, co rozumiem przez nie-działanie, musisz wykonać proste ćwiczenie.

Ponieważ jesteśmy zainteresowani nie-działaniem, nie ma znaczenia, czy zrobisz je teraz, czy za dziesięć lat.

Kazał mi się położyć, ujął moją prawą rękę i zgiął ją w łokciu. Później tak ją wykręcił, że dłoń miałem zwróconą w jego kierunku. Zagiął mi palce, tak że wyglądało, jakbym trzymał gałkę drzwi, i wtedy zaczął poruszać nią do tyłu i do przodu kolistym ruchem przypominającym popychanie i przyciąganie dźwigni przymocowanej do koła.

Don Juan powiedział, że wojownik wykonuje taki ruch, zawsze kiedy chce coś wyrzucić ze swego ciała, na przykład chorobę albo niepożądane uczucie. Trzeba odpychać i przyciągać wyobrażoną przeciwną siłę, dopóki nie poczuje się ciężkiego przedmiotu czy czegoś, co zatrzymuje swobodny ruch ręki. W przypadku tego ćwiczenia nie-działanie polega na powtarzaniu go, aż poczuje się ten ciężar, pomimo całkowitego braku wiary w możliwość jego odczucia.

Zacząłem poruszać ramieniem i po krótkiej chwili moja ręka stała się lodowato zimna. Zacząłem odczuwać jakąś papkę wokół niej, jakbym pływał w ciężkiej, kleistej i płynnej substancji.

Don Juan wykonał gwałtowny ruch i chwycił mnie za dłoń, aby mnie zatrzymać. Cały drżałem, jakby pod wpływem jakiejś niewidzialnej siły. Kiedy usiadłem, uważnie mi się przyjrzał, a później obszedł mnie wokoło, zanim znowu usiadł na swoim miejscu.

– Wystarczy – powiedział. – Może zrobisz to ćwiczenie innym razem, kiedy będziesz miał więcej osobistej mocy.

– Czy zrobiłem coś nie tak?

– Nie. Nie-działanie jest tylko dla bardzo silnych wojowników, a ty nie masz jeszcze mocy, aby je wykonać. Teraz złapałeś dłonią tylko coś straszliwego. Dlatego rób to stopniowo, tak abyś nigdy nie czuł zimna. Kiedy ręka jest ciepła, jesteś w stanie wyczuć nią linie świata.

Zrobił pauzę, dając mi czas na zadanie pytania o linie. Ale zanim zdążyłem to zrobić, zaczął wyjaśniać mi, że istnieje nieskończona ilość linii, które łączą nas z rzeczami. Powiedział, że ćwiczenie nie-działania, jakie właśnie opisał, może pomóc każdemu odczuć linię wychodzącą z poruszającej się ręki, linię, którą da się rzucić, gdziekolwiek się chce. Don Juan powiedział, że było to tylko ćwiczenie, ponieważ linie tworzone przez rękę nie są wystarczająco trwałe, aby mieć wartość w praktycznej sytuacji.

– Człowiek wiedzy używa innych części ciała, aby wytworzyć trwałe linie – powiedział.

– Jakich części ciała, don Juanie?

– Najtrwalsze linie, jakie wytwarza człowiek wiedzy, pochodzą z centrum jego ciała – powiedział. – Ale może je także zrobić oczami.

– Czy są to rzeczywiste linie?

– Oczywiście.

– Czy możesz je zobaczyć i dotknąć?

– Powiedzmy, że możesz je odczuć. Najtrudniejszą częścią ścieżki wojownika jest uświadomienie sobie, że świat jest uczuciem. Kiedy się nie-działa, odczuwa się świat, odczuwa się go poprzez linie.

Zrobił przerwę i przyjrzał mi się z ciekawością. Uniósł brwi i otworzył oczy, a potem zamrugał, co w efekcie przypominało mruganie ptaka. Prawie natychmiast po-czułem się nieswojo i zaczęło mnie mdlić. Było tak, jakby coś faktycznie naciskało mi na żołądek.

– Czy rozumiesz, o co mi chodzi? – zapytał don Juan i spuścił wzrok.

Powiedziałem, że poczułem mdłości, a on odparł, że wie o tym, ponieważ spróbował dać mi odczuć linie świata swoimi oczami. Nie mogłem tego zaakceptować, tego że przypisuje sobie wywołanie we mnie tego uczucia. Wyraziłem swoje wątpliwości. Nie mieściło mi się w głowie, że to on wywoływał moje mdłości, gdyż w żaden fizyczny sposób na mnie nie oddziaływał.

– Nie-działanie jest bardzo proste i bardzo trudne – powiedział. – Nie chodzi tutaj o zrozumienie, ale o opanowanie go. Widzenie jest oczywiście ostatecznym osiągnięciem człowieka wiedzy. Uzyskuje się je tylko po zatrzymaniu świata, dzięki technice nie-działania.

Uśmiechnąłem się odruchowo. Nie zrozumiałem tego, co mówił.

– Kiedy pracuje się z ludźmi – powiedział – powinno się przedstawiać całą sprawę tylko ich ciałom. Dotąd postępowałem tak z tobą, pozwalając twojemu ciału wiedzieć. Kogo to obchodzi, czy coś rozumiesz, czy nie?

– Ale to nie w porządku, don Juanie. Chcę rozumieć wszystko, w przeciwnym przypadku przychodzenie tutaj byłoby tylko stratą mojego czasu.

– Stratą twojego czasu! – wykrzyknął, parodiując mój głos. – Ależ ty jesteś zarozumiały.

Wstał i powiedział, że wejdziemy na szczyt skały wulkanicznej znajdującej się z prawej strony.

Wejście tam stanowiło bolesne doświadczenie. W rzeczywistości była to wysokogórska wspinaczka, z tym wyjątkiem, że nie mieliśmy lin, które by nam pomagały i nas ubezpieczały. Don Juan ciągle powtarzał mi, abym nie patrzył w dół. Kilkakrotnie podciągał mnie do góry, gdy ześlizgiwałem się ze skały. Byłem okropnie zażenowany, kiedy don Juan, będący przecież starym człowiekiem, musiał mi pomagać. Powiedziałem mu, że mam marną kondycję, ponieważ jestem zbyt leniwy, ażeby ćwiczyć. Odparł, że kiedy uzyskuje się pewien poziom osobistej mocy, ćwiczenia czy inny trening nie są potrzebne, ponieważ aby znaleźć się w nieskazitelnej formie, wystarczy nie-działać.

Kędy dotarliśmy na szczyt, położyłem się. Chciało mi się wymiotować. Don Juan poturlał mnie stopą w prawo i w lewo, tak jak to już kiedyś zrobił. Powoli ten ruch przywrócił mi równowagę, ale byłem zdenerwowany. Odczuwałem to tak, jakbym oczekiwał na nagłe pojawienie się czegoś. Odruchowo, dwa czy trzy razy, rozglądnąłem się na boki. Don Juan nie powiedział ani słowa, ale również patrzył w tym samym kierunku co ja.

– Cienie są szczególne – powiedział niespodziewanie. – Z pewnością zauważyłeś, że jeden podąża za nami.

– Nic takiego nie zauważyłem – zaprotestowałem.

Don Juan odparł, że moje ciało zauważyło naszego prześladowcę, pomimo mojego upartego zaprzeczania. Przekonywał mnie godnym zaufania tonem, że nie ma w tym nic niezwykłego, że cień idzie za nami.

– To tylko moc – powiedział. – Te góry są jej pełne. Jest trochę podobny do tych istot, które przestraszyły cię tamtej nocy.

Chciałem dowiedzieć się, czy rzeczywiście sam mógłbym go zobaczyć. Zapewnił mnie, że w ciągu dnia mogę jedynie poczuć jego obecność.

Chciałem, aby mi wyjaśnił, dlaczego nazywa to coś cieniem, chociaż wcale nie było podobne do cienia. Odparł, że te istoty i cienie mają takie same linie i dlatego tak je nazywa.

Wskazał na długi głaz stojący bezpośrednio przed nami.

– Spójrz na cień tego kamienia – powiedział. – Cień jest kamieniem, a jednak nim nie jest. Obserwowanie kamienia w celu poznania tego, czym on jest, to działanie, ale obserwowanie jego cienia, to nie-działanie. Cienie są jak drzwi, drzwi nie-działania. Na przykład człowiek wiedzy może opowiedzieć o najskrytszych uczuciach ludzi, obserwując ich cienie.

– Czy jest w nich jakiś ruch? – zapytałem.

– Można powiedzieć, że jest w nich ruch, albo też że ukazują się w nich linie świata, albo że pochodzą z nich uczucia.

– Ale jak uczucia mogą pochodzić z cieni, don Juanie?

– Przekonanie, że cienie są tylko cieniami, jest działaniem – wyjaśnił. – Takie przekonanie jest cokolwiek głupie. Pomyśl w taki sposób: Świat jest o wiele bardziej skomplikowany niż się wydaje, a więc tak samo musi być z cieniami. A poza tym to, co sprawia, że są one cieniami, jest jedynie naszym działaniem.

Zapanowała długa cisza. Nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze powiedzieć.

– Zbliża się koniec dnia – stwierdził don Juan, patrząc na niebo. – Powinieneś wykorzystać to olśniewające światło do wykonania jeszcze jednego ćwiczenia.

Zaprowadził mnie w miejsce, gdzie dwie skały wielkości człowieka stały obok siebie w odległości czterech czy pięciu stóp. Don Juan zatrzymał się dziesięć metrów przed nimi i stanął twarzą w kierunku zachodnim. Zaznaczył miejsce, w którym ja miałem stać, i powiedział mi, abym patrzył na cienie skał. Powinienem obserwować je i zezować tak samo, jak zwykle zezuję, gdy omiatam wzrokiem ziemię, szukając miejsca na odpoczynek. Sprecyzował swoje wskazówki, mówiąc, że kiedy

poszukuje się miejsca na odpoczynek, nie powinno się koncentrować wzroku w danym punkcie, natomiast obserwując cienie, należy zrobić zeza i równocześnie utrzymywać ostry obraz. Efektem miało być nałożenie jednego cienia na drugi. Wyjaśnił, że dzięki temu można rozróżnić pewne emanujące z nich uczucia. Skrytykowałem mglistość jego określeń, ale utrzymywał, że naprawdę nie ma możliwości opisania tego, o co tu chodzi.

Moja próba wykonania tego ćwiczenia okazała się bezowocna. Walczyłem, dopóki nie dostałem bólu głowy. Don Juan wcale nie był zainteresowany moim niepowodzeniem. Wspiął się na podobny do kopuły wierzchołek i z góry krzyknął, abym rozejrzał się za dwoma małymi, długimi i wąskimi kawałkami skały. Pokazał mi rękami, jakiej wielkości kamieni potrzebował.

Znalazłem takie i podałem mu je. Umieścił je w odległości około jednej stopy od siebie w dwóch szczelinach. Kazał mi stanąć powyżej nich, twarzą na zachód i powiedział, abym zrobił to samo ćwiczenie z tymi cieniami.

Tym razem była to całkiem inna sprawa. Prawie natychmiast udało mi się zobaczyć, jak oddzielne cienie stapiają się w jeden. Zwróciłem uwagę na to, że ten sposób patrzenia, bez przetwarzania obrazów, nadaje pojedynczemu cieniowi, który stworzyłem, niewiarygodną głębię i pewien rodzaj przejrzystości. Wpatrywałem się w niego oszołomiony. Każdy otwór w skale na obszarze, który obejmowałem spojrzeniem, był wyraźnie widoczny, a nałożony na nie połączony cień, upodobnił się do cienkiej błonki o nie dającej się opisać przezroczystości.

Nie chciałem mrugać, aby nie stracić obrazu, który tak niepewnie utrzymywałem. W końcu pieczenie oczu zmusiło mnie do spuszczenia powiek, ale wcale nie utraciłem widoku szczegółów. Co więcej, dzięki nawilżeniu rogówki obraz stał się jeszcze wyraźniejszy. W tym momencie poczułem, jakbym z niezmierzonej wysokości patrzył na świat, którego nigdy przedtem nie widziałem. Zauważyłem również, że mogę przyglądać się otoczeniu cienia, nie tracąc ostrości widzenia. Potem, przez moment, straciłem świadomość, że patrzę na skałę. Poczułem, że jestem w świecie znajdującym się daleko poza wszystkim, co mogłem pojąć. To nadzwyczajne wrażenie trwało przez sekundę, a potem wszystko zniknęło. Automatycznie spojrzałem w górę i zobaczyłem don Juana stojącego bezpośrednio nade mną. Swoim ciałem zasłaniał mi słońce.

Opisałem niezwykłe wrażenie, jakiego doświadczyłem, a on wyjaśnił, że musiał je przerwać, ponieważ widział, że mogłem się w nim zatracić. Dodał, że naturalną tendencją nas wszystkich jest folgowanie sobie, kiedy pojawiają się tego rodzaju odczucia. A ja przez to prawie zamieniłem nie-działanie w stare, dobrze znane działanie. Powiedział, że to, co miałem zrobić, powinno polegać na utrzymaniu wizji, bez ulegania jej pokusie, ponieważ w pewien sposób działanie związane jest z uleganiem.

Narzekałem, że powinien mi wcześniej powiedzieć, czego mam się spodziewać i co robić. Wtedy zwrócił mi uwagę, że nie miał możliwości, aby się przekonać, czy uda mi się połączyć cienie.

Musiałem przyznać, że teraz nie-działanie stało się dla mnie jeszcze bardziej tajemnicze. Don Juan skomentował to, mówiąc, że powinienem być usatysfakcjonowany tym, co zrobiłem, ponieważ przynajmniej raz postępowałem właściwie. Zmniejszając świat, zwiększyłem go i chociaż daleko mi jeszcze do odczuwania jego linii, to jednak właściwie wykorzystałem cień skał jako drzwi do nie-działania.

Stwierdzenie, że powiększyłem świat, zmniejszając go, niezwykle mnie zaintrygowało. Fragment porowatej skały, na którym skupiłem wzrok, był tak wyraźny, że kopulasty wierzchołek stał się dla mnie niezmierzonym światem, a jednak, w rzeczywistości, był to tylko zmniejszony widok skały. Kiedy don Juan zasłonił światło, a ja zacząłem patrzeć, tak jak to zwykle robię, wyrazisty fragment stał się nieciekawy, małe dziurki w porowatej skale powiększyły się, brązowy kolor zastygłej lawy zmatowiał i wszystko straciło świetlistą przejrzystość, która przemieniała kamień w rzeczywisty świat.

Don Juan wziął te dwa odłamki skały, delikatnie położył je w głębokiej szczelinie i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, zwrócony na zachód, w tym miejscu, gdzie przedtem leżały. Poklepał miejsce po swojej lewej stronie i powiedział mi, abym też usiadł.

Długo nic nie mówiliśmy. Później zjedliśmy, również w ciszy. Kiedy tylko zaszło słońce, nagle odwrócił się do mnie i zapytał o postępy w śnieniu.

Powiedziałem mu, że było to łatwe na początku, ale teraz w ogóle przestałem odnajdywać swoje ręce we śnie.

– Kiedy na początku zaczynałeś śnienie, używałeś mojej osobistej mocy, dlatego było łatwiej – powiedział. – Teraz jesteś pusty. Ale nie wolno przestać ci próbować, dopóki nie będziesz miał

wystarczająco dużo własnej mocy. Widzisz, śnienie jest nie-działaniem snów i postęp w nie-działaniu spowoduje także postępy w śnieniu. Cała sztuczka polega na tym, aby nie zaprzestać poszukiwania własnych rąk, nawet jeśli nie wierzysz, że to, co robisz, ma jakieś znaczenie. Jak już ci powiedziałem, wojownik nie musi w nic wierzyć, ponieważ dopóki czymś się zajmuje, w nic nie wierząc, dopóty nie-działa.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

– Nie ma niczego więcej, co mógłbym powiedzieć ci o śnieniu – kontynuował. – Wszystko, co bym powiedział, byłoby tylko nie-działaniem. Lecz jeśli uchwyciłbyś nie-działanie bezpośrednio, sam wiedziałbyś, co robić ze śnieniem. Znalezienie własnych rąk na razie jest najważniejsze i jestem przekonany, że ci się to uda.

– Nie wiem, don Juanie. Nie mam zaufania do siebie.

– Nie chodzi tutaj o ufanie komukolwiek. Cała sprawa jest kwestią walki wojownika, a ty będziesz dalej walczył: jeśli nie pod ochroną swojej własnej mocy, to być może pod wpływem mocy godnego przeciwnika, albo z pomocą jakichś sprzymierzeńców, takich jak ten, który już za tobą podąża.

Zrobiłem gwałtowny, nieświadomy ruch prawą ręką. Don Juan powiedział, że moje ciało wie dużo więcej, niż się spodziewam, ponieważ siła, która postępuje w ślad za nami, znajduje się z mojej prawej strony. Przyznał się, mówiąc mi to po cichu, że dwa razy tego dnia sprzymierzeniec podszedł tak blisko, że musiał wkroczyć i zatrzymać go.

– W ciągu dnia cienie stanowią drzwi nie-działania – powiedział. – Ale w nocy, ponieważ bardzo mało działania pozostaje w ciemności, wszystko jest cieniem, łącznie ze sprzymierzeńcami. Mówiłem ci już o tym, kiedy uczyłem cię chodu mocy.

Zaśmiałem się głośno i mój własny śmiech przestraszył mnie.

– Wszystko, czego cię dotąd uczyłem, stanowi aspekt nie-działania – kontynuował. – Wojownik stosuje nie– -działanie do wszystkiego w świecie, a jednak nie mogę ci już nic więcej powiedzieć. Musisz pozwolić swojemu ciału odkryć moc i uczucie nie-działania.

Miałem następny atak nerwowego chichotu.

– To głupio z twojej strony pogardzać tajemnicami świata tylko z tego powodu, że znasz działanie pogardy – powiedział poważnie.

Zapewniłem go, że nie pogardzam nikim ani niczym, ale że jestem bardziej nerwowy i nieudolny, niż mu się wydaje.

– Zawsze taki byłem – powiedziałem. – A jednak chcę się zmienić, chociaż nie wiem jak. Nie nadaję się do niczego.

– Ja już wiem, że myślisz, że jesteś zgniłek – stwierdził. – To jest twoje działanie. Teraz, aby wpłynąć na to działanie, zamierzam polecić ci, ażebyś nauczył się innego działania. Od dzisiaj, przez osiem dni, chcę, abyś kłamał. Zamiast mówić sobie prawdę, że jesteś okropny, zepsuty i do niczego się nie nadajesz, będziesz sobie mówił coś całkiem przeciwnego, wiedząc, że kłamiesz i że jesteś absolutnie beznadziejny.

– Ale jaki jest cel takich kłamstw, don Juanie?

– Możesz dać się złapać na haczyk innego działania, a wtedy być może uświadomisz sobie, że obydwa są kłamstwem, nie są rzeczywiste i uzależnianie się od któregokolwiek jest tylko stratą czasu, ponieważ jedyną rzeczywistą rzeczą jest w tobie ta istota, która musi umrzeć. Dotarcie do tej istoty jest nie-działaniem “ja".

16. Pierścień mocy

Sobota, 14 kwietnia 1962

Don Juan zważył w rękach nasze tykwy i stwierdził, że skończyło się nam jedzenie i nadszedł czas powrotu do domu. Obojętnie zauważyłem, że powrót zabierze nam co najmniej kilka dni. Powiedział, że nie wraca do Sonory, tylko jedzie do miasta na granicy, gdzie ma pewien interes do załatwienia.

Myślałem, że zaczniemy schodzić kanionem rzeki, ale don Juan skierował się ku północnemu zachodowi, na wysoką równinę wulkanicznych gór. Po jakiejś godzinie drogi zaprowadził mnie do głębokiego wąwozu, który kończył się w miejscu, gdzie dwa stoki prawie się ze sobą stykały. Dziwne zbocza wyglądały jak zakończone ukośnym, wklęsłym mostem rozciągającym się pomiędzy dwoma wierzchołkami.

Don Juan wskazał na to miejsce.

– Skoncentruj tam wzrok – powiedział. – Słońce świeci prawie pionowo.

Wyjaśnił, że w południe światło słońca może mi pomóc w osiągnięciu nie-działania. Następnie udzielił mi serii wskazówek: mam rozluźnić obcisłe ubranie, usiąść ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywać się intensywnie w punkt, który mi wybrał.

Po niebie płynęło tylko kilka chmur, ale żadna nie pojawiła się na zachodzie. Był gorący dzień i słońce świeciło na zastygłą lawę. Bardzo uważnie obserwowałem wskazany obszar.

Po długim czuwaniu zapytałem, co szczególnego powinienem zobaczyć. Niecierpliwym gestem don Juan kazał mi być cicho.

Byłem zmęczony. Chciało mi się spać. Na wpół przymknąłem oczy. Ponieważ swędziały mnie, potarłem je, ale moje ręce były lepkie i oczy zaczęły mnie piec od potu. Spojrzałem na szczyty zastygłej lawy i nagle całe góry rozbłysły.

Powiedziałem don Juanowi, że kiedy zezuję, widzę cały łańcuch górski jako splątany szereg świetlistych włókien.

Powiedział mi, abym prawie nie oddychał, ażeby utrzymać widok świetlnych włókien: chciał też, abym nie wpatrywał się w nie, ale patrzył obojętnie na pewien punkt na horyzoncie, bezpośrednio nad zboczem. Postępowałem zgodnie z jego instrukcjami i byłem w stanie utrzymać ten widok niezmierzonego przestworu pokrytego siecią światła.

Don Juan powiedział bardzo łagodnie, że powinienem spróbować wyizolować obszary ciemności wewnątrz pola świetlnych włókien. Zaraz po znalezieniu ciemnego punktu mam otworzyć oczy i sprawdzić, gdzie jest umiejscowiony na przedniej ścianie zbocza.

Nie potrafiłem znaleźć żadnego ciemnego obszaru. Robiłem zeza i otwierałem oczy wiele razy. Don Juan zbliżył się do mnie i wskazał na punkt po prawej stronie, a później na inny, bezpośrednio przede mną. Próbowałem zmieniać pozycję. Myślałem, że wtedy będę w stanie dostrzec domniemany obszar ciemności, na który wskazywał don Juan, ale on potrząsnął moim ramieniem i surowym tonem kazał mi siedzieć spokojnie i być cierpliwym.

Znowu zrobiłem zeza i jeszcze raz zobaczyłem sieć świetlnych włókien. Patrzyłem na nią przez chwilę, a później szerzej otworzyłem oczy. W tym momencie posłyszałem słaby grzmot – można byłoby go wytłumaczyć jako odległy odgłos odrzutowca – a potem, mając otwarte oczy, zobaczyłem cały łańcuch górski przed sobą jako ogromne pole małych punktów światła. Wyglądało to tak, jakby przez krótki moment metaliczne cętki w zastygłej lawie, wszystkie razem, zgodnie zaczęły odbijać światło słońca. Potem to światło stało się przyćmione i nagle zgasło, a góry stały się masą matowych, brązowych skał. W tej samej chwili zaczął wiać wiatr i zrobiło się zimno.

Chciałem się odwrócić, aby się przekonać, czy słońce zaszło za chmury, ale don Juan złapał mnie za głowę i nie pozwolił mi się poruszyć. Powiedział, że jeśli się odwrócę, mogę uchwycić częściowy widok istoty z gór, sprzymierzeńca, który podąża naszym śladem. Zapewnił mnie, że nie mam wystarczającej siły, aby to znieść. Następnie dodał, że grzmot, który słyszałem, stanowił specyficzny sposób, w jaki sprzymierzeniec zamanifestował swoją obecność.

Potem wstał i zapowiedział, że będziemy się wspinać na zbocze.

– Dokąd idziemy? – zapytałem.

Wskazał na ten obszar, który wyznaczył jako punkt ciemności. Wytłumaczył mi, że dzięki niedziałaniu poznał ten punkt jako możliwe centrum mocy albo miejsce, gdzie można znaleźć przedmioty mocy.

Po trudnej wspinaczce osiągnęliśmy cel. Don Juan stał przez chwilę bez ruchu, o kilka stóp ode mnie. Próbowałem zbliżyć się do niego, ale dał mi znak ręką, abym się zatrzymał. Wydawało mi się, że stara się zorientować w terenie. Widziałem tył jego głowy poruszający się tak, jakby z góry na dół omiatał wzrokiem górę. Potem pewnym krokiem skierował się do występu skalnego. Usiadł i zaczął ręką zmiatać pył ze skały. Kopał palcami wokół wystającego małego kawałka kamienia, oczyszczając go w ten sposób. Następnie kazał mi go wyjąć.

Kiedy tylko to uczyniłem, kazał mi go natychmiast schować pod koszulę, ponieważ był przedmiotem mocy, który należał do mnie. Powiedział, że daje mi go, abym go zatrzymał. Powinienem go wypolerować i dbać o niego.

Zaraz potem zaczęliśmy schodzić do kanionu i kilka godzin później znaleźliśmy się na wysokiej pustyni u stóp wulkanicznych gór. Don Juan szedł jakieś dziesięć stóp przede mną i utrzymywał bardzo szybkie tempo. Kierowaliśmy się na południe. Ciężki wał chmur na zachodzie nie pozwolił nam zobaczyć zachodu słońca, ale zatrzymaliśmy się i poczekaliśmy do momentu kiedy prawdopodobnie zniknęło za horyzontem.

Wtedy don Juan zmienił kierunek i skierował się na południowy wschód. Weszliśmy na wzgórze i, kiedy znaleźliśmy się na wierzchołku, zauważyłem czterech mężczyzn zbliżających się do nas z południa.

Spojrzałem na don Juana. Nigdy dotąd podczas naszych wypraw nie spotkaliśmy ludzi i nie wiedziałem, jak mam się zachować w takiej sytuacji. Ale don Juan nie wydawał się nimi zainteresowany. Szedł, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Mężczyźni poruszali się bez pośpiechu. Klucząc, leniwie zbliżali się do nas. Kiedy byli już blisko, zauważyłem, że to czterej młodzi Indianie. Wyglądało na to, że rozpoznali don Juana. Odezwał się do nich po hiszpańsku. Oni mówili bardzo cicho i traktowali go z wielkim szacunkiem. Tylko jeden z nich odezwał się do mnie. Szeptem zapytałem don Juana, czy również mogę z nimi porozmawiać, a on skinął głową.

Kiedy rozpocząłem z nimi pogawędkę, okazali się bardzo przyjacielscy i komunikatywni, szczególnie ten, który sam się do mnie zwrócił. Powiedzieli mi, że znaleźli się tutaj, poszukując kwarcowych kryształów mocy. Przez kilka dni chodzili wokół wulkanicznych gór, ale im się nie poszczęściło.

Don Juan rozejrzał się wkoło i wskazał skalisty teren, jakieś dwieście metrów stąd.

– To dobre miejsce na krótkotrwały obóz – powiedział.

Zaczął iść w jego kierunku, a my wszyscy udaliśmy się za nim.

Nasze obozowisko było bardzo nierówne, pozbawione krzewów. Siedliśmy na kamieniach. Don Juan ogłosił, że idzie z powrotem do chaparralu, aby nazbierać suchych gałęzi na ogień. Chciałem mu pomóc, ale szepnął mi, że będzie to specjalny ogień dla tych młodych, odważnych ludzi i nie potrzebuje mojej pomocy.

Ci zaś siedli w ciasnej gromadce wokół mnie. Jeden z nich oparł się nawet plecami o moje. Byłem trochę zakłopotany.

Kiedy don Juan wrócił z wiązką chrustu, pochwalił ich za rozwagę i powiedział mi, że młodzi ludzie byli uczniami czarownika i że podczas myśliwskich wypraw po obiekty mocy regułą jest, aby robić krąg, w którego centrum dwóch ludzi siedzi plecami do siebie.

Jeden z przybyszy zapytał mnie, czy kiedykolwiek sam znalazłem kryształ. Odpowiedziałem mu, że don Juan nigdy nie zabrał mnie na ich poszukiwanie.

Don Juan wybrał miejsce w pobliżu wielkiego głazu i zaczął przygotowywać ognisko. Żaden z młodych ludzi nie ruszył się, aby mu pomóc, ale każdy z nich uważnie go obserwował. Kiedy wszystkie gałęzie płonęły, don Juan siadł, opierając się o głaz. Ogień znajdował się po jego prawej stronie.

Młodzi ludzie wyraźnie wiedzieli, co się dzieje, natomiast ja nie miałem zielonego pojęcia, jak zachowywać się w towarzystwie uczniów czarownika.

Obserwowałem ich. Usiedli twarzą do don Juana, tworząc regularne półkole. Zauważyłem, że jego miejsce znajduje się bezpośrednio przede mną, dwóch młodzieńców miałem po mojej lewej, a innych dwóch po prawej stronie.

Don Juan zaczął opowiadać im, że jestem w wulkanicznych górach, aby uczyć się nie-działania, i że podąża za nami sprzymierzeniec. Pomyślałem, że to dramatyczny początek i miałem rację. Młodzi ludzie zmienili pozycję i usiedli z lewą nogą podwiniętą pod siedzenie. Nie zwróciłem uwagi, jak siedzieli poprzednio. Przyjąłem, że tak samo jak ja, po turecku. Krótkie spojrzenie na don Juana ujawniło mi, że on także siedział z lewą nogą podwiniętą. Ledwie dostrzegalnym gestem brody wskazał na moją pozycję. Jak gdyby nigdy nic, podwinąłem lewą nogę.

Don Juan powiedział mi kiedyś, że taką postawą przyjmuje czarownik, kiedy sytuacja jest niepewna. Zawsze jednak okazywało się, że jest to dla mnie bardzo męcząca pozycja. Wiedziałem, że takie siedzenie przez cały jego wykład będzie dla mnie okropną męczarnią. Don Juan był w pełni tego świadomy, więc w zwięzły sposób zaczął wyjaśniać młodym ludziom, że kryształy kwarcu można znaleźć w określonych miejscach na tym obszarze. Gdy tylko się je wyszuka, należy je nakłonić do opuszczenia swego miejsca, stosując specjalne techniki. Wtedy kryształy stają się samym człowiekiem, a ich moc sięga daleko poza nasze rozumienie.

Powiedział, że zwykle występują w skupiskach i do tego, kto je znajdzie, należy wybór pięciu najdłuższych i najlepiej wyglądających słupków kwarcu i oddzielenie ich od macierzystej skały. Znalazca jest odpowiedzialny za ich pocięcie i wypolerowanie mające na celu ich zaostrzenie i dopasowanie wielkością i kształtem do palców prawej ręki.

Powiedział nam, że kryształy kwarcu są bronią używaną podczas czarów. Zwykle rzuca się je, aby zabić: przebijają one ciało wroga, a później wracają do ręki właściciela, jakby nigdy jej nie opuszczały.

Następnie opowiedział o poszukiwaniu ducha, który zamienia zwykłe kryształy w broń. Pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, jest znalezienie odpowiedniego miejsca służącego do wywabienia ducha. Musi ono znajdować się na szczycie wzgórza, a odkrywa sieje, przesuwając dłoń zwróconą w kierunku ziemi, dopóki nie wyczuje się ciepła. Wtedy należy na tym miejscu rozpalić ogień. Don Juan wyjaśnił, że sprzymierzeńca przyciągają płomienie, a swoją obecność zdradza on, wydając serię powtarzających się dźwięków. Osoba poszukująca sprzymierzeńca musi podążać w kierunku, skąd dochodzą, dopóki sprzymierzeniec sam się nie objawi. Potem trzeba go powalić na ziemię i przytrzymać, aby przełamać jego opór. Wtedy właśnie można go zmusić do dotknięcia kryształów, aby napełnić je mocą.

Ostrzegł nas, że w tych górach znajdują się też inne siły, które nie przypominają sprzymierzeńców. Nie czynią żadnych hałasów, pojawiają się jako migające cienie i w ogóle nie posiadają mocy.

Don Juan dodał, że jaskrawo zabarwione pióro albo wypolerowane kryształy kwarcu przyciągają uwagę sprzymierzeńca, ale właściwie każdy inny przedmiot jest tak samo dobry, ponieważ najważniejsze nie jest znalezienie przedmiotu, ale siły, która napełniłaby go mocą.

– Co za pożytek z posiadania pięknie wypolerowanych kryształów, jeśli nigdy nie znajdziecie ducha dającego moc? – powiedział. – Natomiast jeśli nie macie kryształów ale znaleźliście ducha, możecie dać mu do dotknięcia właściwie wszystko. Jeśli nie znajdziecie nic innego, możecie wystawić swoje kutasy.

Młodzi ludzie zachichotali. Najodważniejszy z nich, ten, który pierwszy ze mną rozmawiał, zaśmiał się głośno. Zauważyłem, że don Juan skrzyżował nogi i był rozluźniony. Wszyscy młodzi ludzie również skrzyżowali nogi. Usiłowałem w niewymuszony sposób przejść do tej bardziej wygodnej pozy, ale moje lewe kolano chyba miało uszkodzony nerw, ponieważ musiałem stanąć i biec w miejscu przez kilka minut.

Don Juan skomentował to żartem. Powiedział, że wyszedłem z wprawy w klęczeniu, ponieważ od lat nie byłem u spowiedzi, przynajmniej od czasu kiedy włóczę się razem z nim.

Wywołało to wielkie poruszenie wśród młodych ludzi. Wstrząsały nimi wybuchy śmiechu. Niektórzy zakryli twarz i chichotali nerwowo.

– Mam zamiar coś wam pokazać, chłopcy – powiedział obojętnie don Juan, kiedy przestali się śmiać.

Zgadywałem, że chce pokazać nam jakiś przedmiot mocy, który trzyma w swoim worku. Przez moment myślałem, że młodzi ludzie zgromadzą się wokół niego, bo wszyscy równocześnie wykonali gwałtowny ruch. Lekko pochylili się do przodu, jak gdyby mieli wstać, ale tylko podwinęli lewą nogę i znowu siedli w tej tajemniczej postawie, która była dla mnie bardzo niewygodna.

Możliwie swobodnym ruchem podwinąłem lewą nogę. Zauważyłem, że kiedy nie siedzę na stopie i utrzymuję półklęczącą pozycję, kolana nie bolą mnie tak bardzo.

Don Juan wstał i obchodząc łukiem wielki głaz, zniknął nam z oczu.

Musiał podsycić ogień, zanim wstał, kiedy ja zajmowałem się swoją nogą, bo teraz zaczęły trzaskać nowe gałęzie i płomienie strzeliły wysoko w górę. Efekt był wyjątkowo dramatyczny. Płomienie sięgnęły dwa razy wyżej. Don Juan nagle wyszedł zza głazu i stanął tam, gdzie siedział. Przeżyłem moment oszołomienia. Włożył śmieszny czarny kapelusz. Miał daszki po bokach, przy uszach, i był okrągły na górze. Wydawało mi się, że to prawdziwy piracki kapelusz. Miał czarny płaszcz z długimi połami, zapięty na jeden błyszczący metalowy guzik, i drewnianą nogę.

Zaśmiałem się do siebie. Don Juan wyglądał naprawdę głupio w tym pirackim kostiumie. Zastanawiałem się, skąd mógł go zdobyć na tym pustkowiu. Założyłem, że musiał być ukryty za skałą. Pomyślałem sobie, że don Juanowi brakuje tylko przepaski na oku i papugi na ramieniu, aby jego przebranie było doskonałe.

Popatrzył na każdego z nas, omiatając nasze postacie wzrokiem z prawa na lewo. Potem spojrzał ponad nami w ciemność z tyłu. Pozostawał w tej pozycji przez chwilę, a potem zniknął za głazem.

Nie zauważyłem, jak szedł. Oczywiście musiał zgiąć nogę w kolanie, aby udawać człowieka z drewnianą protezą. Kiedy odwrócił się i wchodził za głaz, powinienem ją zobaczyć, ale byłem tak otumaniony jego pojawieniem się, że nie zwróciłem uwagi na szczegóły.

Płomienie straciły swoją moc w tym samym momencie, kiedy don Juan wszedł za głaz. Pomyślałem sobie, że jego wyczucie czasu było doskonałe. Musiał sobie wyliczyć, jak długo będą się palić gałęzie, które dołożył do ognia i dostosować do tego moment swojego wejścia i wyjścia.

Zmiana intensywności ognia wywołała duże wrażenie na grupie. Młodzi ludzie stali się nerwowi. Kiedy płomienie się zmniejszyły, wszyscy razem, jak na komendę, wrócili do pozycji ze skrzyżowanymi nogami.

Spodziewałem się, że don Juan zaraz wyjdzie zza głazu i znowu usiądzie, ale tak się nie stało. Czekałem niecierpliwie. Młodzi ludzie siedzieli z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Nie mogłem zrozumieć, co don Juan chciał osiągnąć poprzez tę komedię. Po długim oczekiwaniu zwróciłem się do młodego człowieka po prawej i po cichu zapytałem go, czy rzeczy, które don Juan włożył – śmieszny kapelusz i płaszcz z długimi połami – oraz to, że stał na drewnianej nodze, ma dla niego jakieś znaczenie.

Młody człowiek spojrzał na mnie ze śmiesznie zmieszaną miną. Wydawał się zakłopotany. Powtórzyłem pytanie i inny młody człowiek, siedzący obok niego, popatrzył na mnie uważnie. Potem spojrzeli na siebie, zdezorientowani. Powiedziałem, że według mnie, kapelusz, drewniana noga i płaszcz czyniły z niego prawdziwego pirata.

Wszyscy czterej mężczyźni zbliżyli się do mnie. Cicho chichotali i byli zdenerwowani. Wydawało się, że brakuje im słów. W końcu odezwał się najodważniejszy z nich. Powiedział, że don Juan nie miał żadnego kapelusza ani nie nosił długiego płaszcza i z pewnością nie stał na drewnianej nodze. Na głowie miał kaptur czy też szal i nosił kruczoczarną tunikę do samej ziemi, jak zakonnik.

– Nie! – cicho krzyknął inny młody człowiek. – Nie miał kaptura.

– To prawda – potwierdzili pozostali.

Mężczyzna, który przemówił pierwszy, spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

Powiedziałem im, że musimy bardzo dokładnie i spokojnie przeanalizować to, co się wydarzyło. Don Juan z pewnością chciał, abyśmy to zrobili, i dlatego zostawił nas samych.

Jeden z młodzieńców, ten najdalej ode mnie z prawej, powiedział, że don Juan był w łachmanach. Miał podarte poncho czy też pewien rodzaj indiańskiego płaszcza i znoszone sombrero. Trzymał koszyk z jakimiś rzeczami, ale nie jest pewny, co to było. Dodał, że don Juan właściwie nie był ubrany jak żebrak, ale bardziej wyglądał na człowieka, który powraca z niezwykle długiej podróży.

Młody człowiek, który widział don Juana w czarnym kapturze, stwierdził, że nie miał nic w rękach, ale za to włosy miał długie i dziko zmierzwione, jakby był człowiekiem, który właśnie zabił mnicha i założył jego szaty, ale nie może ukryć swojej dzikości.

Młody człowiek z lewej zaśmiał się i powiedział, że wszystko to jest bardzo dziwne. Według niego, don Juan był ubrany jak jakiś ważny człowiek, który właśnie zsiadł z konia. Miał skórzane nogawice do

konnej jazdy, wielkie ostrogi, bicz, którym uderzał w lewą dłoń, stożkowaty kapelusz oraz dwa automatyczne pistolety kaliber czterdzieści pięć. Miał wygląd zamożnego właściciela rancza.

Mężczyzna stojący najdalej z lewej śmiał się zawstydzony i nie odważył się opowiedzieć o tym, co zobaczył. Usiłowałem go do tego nakłonić, ale inni nie byli nim zainteresowani. Chyba był zbyt nieśmiały, aby rozmawiać.

Ogień już dogasał, kiedy don Juan wyszedł zza skały.

– Lepiej zostawmy tych młodych ludzi, niech się zajmą swoimi sprawami – powiedział do mnie. – Pożegnaj się z nimi.

Nie patrzył na nich. Zaczął powoli odchodzić, aby dać mi czas na pożegnanie. Mężczyźni obejmowali mnie po kolei.

Nie było już żadnych płomieni na ognisku, ale żarzące się węgle dawały wystarczający blask. Don Juan wyglądał jak ciemny cień, a mężczyźni stali się wyraźnie zarysowanymi, nieruchomymi postaciami. Byli jak szereg kruczoczarnych posągów ustawionych na tle ciemności.

W tym właśnie momencie odczułem, jakie wrażenie wywarło na mnie to wydarzenie. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Zrównałem się z don Juanem. Rozkazująco powiedział mi, abym nie odwracał się, ponieważ w tej chwili ci młodzieńcy są kręgiem cieni.

Mój żołądek poczuł siłę pochodzącą z zewnątrz, jakby uchwyciła mnie jakaś ręka. Odruchowo krzyknąłem. Don Juan szepnął mi, że w tej okolicy jest tyle mocy, że będzie mi bardzo łatwo skorzystać z chodu mocy.

Biegliśmy kilka godzin. Upadłem pięć razy. Don Juan głośno liczył za każdym razem, kiedy traciłem równowagę. W końcu zatrzymał się.

– Usiądź, skul się pod skałą i zakryj brzuch rękami – szepnął mi do ucha.

Niedziela, 15 kwietnia 1962

Kiedy rano zrobiło się wystarczająco jasno, zaczęliśmy iść. Don Juan zaprowadził mnie do miejsca, gdzie zostawiłem samochód. Byłem głodny, ale poza tym czułem się ożywiony i wypoczęty.

Zjedliśmy trochę krakersów i popiliśmy wodą mineralną z butelki, którą miałem w samochodzie. Chciałem zadać don Juanowi kilka pytań, które nie dawały mi spokoju, ale on przyłożył palec do ust.

Po południu byliśmy już w granicznym mieście, w którym miałem go zostawić. Poszliśmy do restauracji zjeść lunch. Było w niej pusto. Usiedliśmy przy stoliku przy oknie wychodzącym na ruchliwą główną ulicę i zamówiliśmy jedzenie.

Don Juan był rozluźniony, w jego oczach czaił się figlarny błysk. Zdobyłem się na odwagę i zacząłem zasypywać go pytaniami. Przede wszystkim chciałem się czegoś dowiedzieć o jego przebraniu.

– Pokazałem ci odrobinę swego nie-działania – stwierdził, a jego oczy zdawały się rzucać blask.

– Ale nikt z nas nie widział tego samego przebrania – powiedziałem. – Jak to zrobiłeś?

– To bardzo proste – odparł. – Istnieją tylko przebrania, ponieważ wszystko, co robimy, jest w pewnym sensie jedynie przebraniem. Wszystko, co robimy, jak już ci powiedziałem, jest kwestią działania. Człowiek wiedzy potrafi zahaczyć się o czyjeś działanie i wywołać dziwne rzeczy. Ale one naprawdę nie są dziwne. Są dziwne tylko dla tych, którzy są schwytani w pułapkę działania.

Tych czterech młodych ludzi i ty sam nie jesteście jeszcze świadomi nie-działania, dlatego łatwo było was wszystkich ogłupić.

– Ale jak to zrobiłeś?

– To nie będzie miało dla ciebie żadnego sensu. Nie ma możliwości, żebyś to zrozumiał.

– Jednak spróbuj, proszę cię, don Juanie.

– Powiedzmy, że kiedy każdy z nas się rodzi, przynosi ze sobą mały pierścień mocy. Niemal od razu zaczynamy z niego korzystać. Zatem każdy z nas już od urodzenia jest zahaczony. Nasze pierścienie mocy są połączone z pierścieniami wszystkich pozostałych ludzi. Innymi słowy, są one zahaczone o działanie świata, aby stworzyć ten świat.

– Podaj mi przykład, abym mógł to zrozumieć – powiedziałem.

– Na przykład nasze pierścienie mocy, twój i mój, są teraz zahaczone o działanie w tym pokoju. Stwarzamy ten pokój. Nasze pierścienie mocy właśnie w tej chwili snują istnienie tego pokoju.

– Zaraz, zaraz – powiedziałem. – Ten pokój jest tutaj sam z siebie. Ja go nie stwarzam. Nie mam z tym nic wspólnego.

Don Juan nie zwracał uwagi na mój protest. Bardzo spokojnie utrzymywał, że pokój, w którym jesteśmy, został powołany do istnienia i jest utrzymywany dzięki sile pierścieni mocy każdego człowieka.

– Widzisz – kontynuował – każdy z nas zna działanie pokoi, ponieważ w ten czy inny sposób spędzamy w nich większą część swojego życia. Natomiast człowiek wiedzy rozwija inny pierścień mocy. Nazwałbym go pierścieniem nie-działania, ponieważ jest zahaczony o nie-działanie. Dzięki niemu może snuć inny świat.

Młoda kelnerka przyniosła nam jedzenie. Chyba uważała, że jesteśmy podejrzani, bo don Juan szepnął mi, że powinienem zapłacić, aby pokazać jej, że mamy pieniądze.

– Nie mam do niej pretensji, że nie ma do ciebie zaufania – powiedział i wybuchnął śmiechem. – Wyglądasz jak wszyscy diabli razem wzięci.

Zapłaciłem kobiecie i dałem jej napiwek, a kiedy zostawiła nas samych, zacząłem się wpatrywać w don Juana, usiłując znaleźć sposób powrotu do naszej rozmowy. Przybył mi z pomocą.

– Twoje trudności polegają na tym, że jeszcze nie rozwinąłeś swojego dodatkowego pierścienia mocy i twoje ciało nie zna nie-działania – powiedział.

Nie rozumiałem tego, co mówił. Moja ciekawość była ograniczona tylko do jednej, prozaicznej kwestii: chciałem wiedzieć, czy włożył ten kostium pirata, czy też nie.

Don Juan nie odpowiedział, tylko głośno się zaśmiał. Poprosiłem go o wyjaśnienie.

– Właśnie ci wszystko wyjaśniłem – odparł.

– To znaczy, że nie wkładałeś przebrania? – zapytałem.

– Zahaczyłem jedynie mój pierścień mocy o twoje działanie, to wszystko – powiedział. – Ty sam zrobiłeś resztę, podobnie jak i pozostali.

– To nieprawdopodobne! – wykrzyknąłem.

– Wszyscy zostaliśmy nauczeni tego, aby zgadzać się co do działania – powiedział łagodnie. – Nie masz żadnego pojęcia o mocy, jaką daje ta zgoda. Na szczęście, nie-działanie jest równie wspaniałe i potężne.

Poczułem niekontrolowany skurcz w żołądku. Pomiędzy tym, czego doświadczyłem na własnej skórze a jego wyjaśnieniem istniała przepaść nie do przebycia. Zakończyłem ostateczną obroną, którą jak zwykle było zwątpienie i brak zaufania oraz pytanie, czy don Juan nie mógł być w zmowie z młodymi ludźmi i wszystkiego tego zaaranżować?

Zmieniłem temat i zapytałem o czterech uczniów.

– Czy nie powiedziałeś mi, że są cieniami? – zapytałem.

– To prawda.

– Czy są sprzymierzeńcami?

– Nie. Są uczniami człowieka, którego znam.

– Dlaczego nazwałeś ich cieniami?

– Dlatego że w tamtym momencie zostali dotknięci mocą nie-działania, a ponieważ nie są tacy głupi jak ty, przemienili się w coś całkiem różnego od tego, co znasz. Z tego powodu nie chciałem, abyś na nich patrzył. Mogło by ci to tylko zaszkodzić.

Nie miałem już więcej pytań, nie byłem też już głodny.

Don Juan jadł ze smakiem i był w doskonałym nastroju. Ale ja czułem się przygnębiony. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Uświadomiłem sobie, że ścieżka don Juana jest dla mnie zbyt stroma. Wyraziłem te myśli, mówiąc, że nie mam zdolności, aby zostać czarownikiem.

– Może następne spotkanie z Mescalito ci pomoże? – zapytał.

Zapewniłem go, że to ostatnia rzecz, o jakiej chciałbym usłyszeć, i że nawet nie brałem pod uwagę takiej możliwości.

– Muszą ci się przytrafić bardzo drastyczne przeżycia, abyś mógł pozwolić swojemu ciału odnieść korzyści z tego, czego się nauczyłeś – powiedział.

Wyraziłem opinię, że ponieważ nie jestem Indianinem, nie mam naprawdę zdolności do tego, żeby prowadzić niezwykłe życie czarownika.

– Może gdybym potrafił wyplątać się ze wszystkich moich zobowiązań, mogłoby mi się trochę lepiej powodzić w twoim świecie – powiedziałem. – Albo gdybym udał się z tobą na pustkowie. A teraz, kiedy faktycznie jedną nogą jestem w tym świecie, a drugą w tamtym, nigdzie nie ma ze mnie pożytku.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

– To jest twój świat – powiedział, pokazując na ruchliwą ulicę za oknem. – Jesteś człowiekiem z tego świata i tu są twoje tereny łowieckie. Nie ma sposobu, aby uciec od działania naszego świata, dlatego też wojownik przemienia go w swój teren łowiecki. Będąc myśliwym, wojownik wie, że świat jest po to, aby go używać. Dlatego wykorzystuje każdą jego cząstkę. Wojownik jest jak pirat, który nie ma skrupułów, używając wszystkiego, czego chce. Ale w przeciwieństwie do pirata, nie czuje się obrażony, kiedy sam jest wykorzystywany.

17. Godny przeciwnik

Wtorek, 11 grudnia 1962

Moje pułapki były doskonałe, ich rozstawienie właściwe. Widziałem wiewiórki, króliki i inne gryzonie, a także przepiórki, ale przez cały dzień nie mogłem nic złowić.

Kiedy wczesnym rankiem opuszczaliśmy dom, don Juan powiedział mi, że tego dnia muszę czekać na dar mocy, wyjątkowe zwierzę, które złapie się w moje pułapki, a jego mięso będę mógł wysuszyć na pożywienie mocy.

Don Juan wydawał się zatopiony w myślach. Z jego ust nie padła ani jedna sugestia czy komentarz. W końcu, u schyłku dnia stwierdził:

– Ktoś przeszkadza ci w polowaniu.

– Kto? – zapytałem, szczerze zdziwiony. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i pokręcił niedowierzająco głową.

– Zachowujesz się, jakbyś nie wiedział kto – stwierdził. – A przecież od początku wiesz.

Chciałem zaprotestować, ale uznałem, że nie ma sensu. Wiedziałem, że powie “la Catalina", i jeśli o ten rodzaj wiedzy mu chodziło, to miał rację.

– Albo pójdziemy teraz do domu – kontynuował – albo poczekamy aż do zmierzchu, aby ją pochwycić.

Wydawało się, że czeka na moją decyzję.

Miałem ochotę wrócić. Zaczynałem zwijać cienką linkę, której wcześniej używałem i zanim zdążyłem się wypowiedzieć, powstrzymał mnie poleceniem:

– Siadaj. Byłoby prościej i rozsądniej po prostu odejść, ale w tym szczególnym przypadku, wydaje mi się, że musimy zostać. To przedstawienie jest przecież dla ciebie.

– Co masz na myśli?

– To tobie ktoś wchodzi w drogę i dlatego jest to twoje przedstawienie. Ja wiem, kto to jest, ty też.

– Przerażasz mnie – powiedziałem.

– Nie ja – odparł, śmiejąc się. – Ta kobieta, która tutaj grasuje. Ona cię przeraża.

Zrobił pauzę, oczekując, jaki efekt wywrą na mnie jego słowa. Musiałem przyznać, że byłem przerażony.

Ponad miesiąc wcześniej doszło do straszliwej konfrontacji z czarownicą zwaną la Catalina. Stanąłem z nią twarzą w twarz, ryzykując życie, ponieważ don Juan przekonał mnie, że ona dybie na niego, a on nie jest w stanie się obronić przed jej gwałtownymi atakami. Kiedy już spotkałem się z nią, don Juan wyznał, że ona nigdy nie stanowiła dla niego żadnego niebezpieczeństwa, a cała ta sprawa to podstęp, co prawda, nie będący złośliwym kawałem, ale za to mający na celu złapanie mnie w pułapkę.

Jego metoda wydała mi się tak nieetyczna, że wpadłem we wściekłość.

Słysząc moje wybuchy gniewu, don Juan zaczął śpiewać meksykańskie piosenki. Naśladował popularnych piosenkarzy, a jego interpretacja była tak komiczna, że w końcu śmiałem się jak dziecko. Zabawiał mnie w ten sposób godzinami. Nigdy nie przypuszczałem, że posiada taki bogaty repertuar idiotycznych piosenek.

– Pozwól mi coś ci powiedzieć w związku z tą sprawą – odezwał się w końcu. – Gdybyśmy nie byli oszukiwani, nigdy niczego byśmy się nie nauczyli. To samo wydarzało się mnie i będzie się wydarzać każdemu. Metoda dobroczyńcy polega na tym, aby doprowadzać nas do ostateczności. Może on jedynie wskazywać nam drogę i używać podstępu. Kiedyś też wziąłem cię podstępem.

Pamiętasz przecież, jak ponownie rozbudziłem w tobie ducha myśliwego. Sam mi powiedziałeś, że polowanie sprawiło, że zapomniałeś o roślinach. Byłeś w stanie dokonać wielu rzeczy, aby zostać myśliwym, takich, których nie zrobiłbyś po to, ażeby uczyć się o roślinach. Teraz musisz zrobić jeszcze więcej, aby przeżyć. Wpatrywał się we mnie i wybuchnął śmiechem.

– To wszystko jest zwariowane – powiedziałem. – Jesteśmy racjonalnymi istotami.

– Ty jesteś racjonalny – odparł. – Ja nie.

– Oczywiście, że jesteś – upierałem się. – Jesteś jednym z najbardziej rozumnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

– W porządku! – wykrzyknął. – Nie będę się z tobą kłócił. Jestem, i co z tego?

Wciągnąłem go w dyskusję na temat tego, dlaczego dwie rozumne istoty muszą postępować w taki zwariowany sposób i jak my, zajmować się panią czarownicą.

– Jesteś istotą rozumną, w porządku – powiedział dziko. – To znaczy, że wydaje ci się, że wiesz dużo o świecie, ale czy tak jest? Co naprawdę wiesz? Widzisz tylko działania ludzi. Twoje doświadczenia są ograniczone tylko do tego, co ludzie robią tobie i innym. Nie wiesz nic o tajemnicach świata.

Dał znak, aby iść za nim do samochodu. Pojechaliśmy do pobliskiego meksykańskiego miasteczka.

Nie pytałem, co będziemy tam robić. Don Juan kazał mi zaparkować koło restauracji, a później obeszliśmy wkoło dworzec autobusowy i miejscowy sklep. Don Juan szedł po mojej prawej stronie i prowadził mnie. Nagle uświadomiłem sobie, że ktoś idzie obok mnie z lewej, lecz zanim zdążyłem się obrócić, aby popatrzeć, don Juan zrobił szybki, gwałtowny ruch. Pochylił się, jakby coś podnosił z ziemi, a później chwycił mnie pod pachę, kiedy już na niego wpadałem. Zaciągnął mnie do samochodu i nie puścił mojej ręki, nawet aby pozwolić mi otworzyć drzwi. Grzebałem się z kluczykami przez chwilę. Łagodnie wpakował mnie do samochodu, a potem sam wsiadł.

– Jedź powoli i zatrzymaj się przed sklepem – powiedział.

Kiedy byliśmy na miejscu, don Juan ruchem głowy dał mi znak, abym popatrzył. La Catalina stała w tym właśnie miejscu, gdzie don Juan mnie przewrócił. Wzdrygnąłem się odruchowo. Kobieta zrobiła kilka kroków w kierunku samochodu i stanęła wyzywająco. Obejrzałem ją sobie dokładnie i doszedłem do wniosku, że jest piękna. Była bardzo ciemna i miała pulchne ciało, ale wyglądała na silną i muskularną. Miała pełną, okrągłą twarz o wystających kościach policzkowych i dwa długie warkocze kruczoczarnych włosów. Najbardziej zaskoczył mnie jej wiek. Mogła być najwyżej po trzydziestce.

– Niech podejdzie bliżej, jeśli zechce – szepnął don Juan.

Zrobiła trzy albo cztery kroki w naszym kierunku i zatrzymała się może dziesięć stóp od nas. Spojrzeliśmy na siebie. W tym momencie poczułem, że nie ma w niej nic, co mogłoby mi zagrażać. Uśmiechnąłem się i pomachałem do niej. Zachichotała, jakby była zawstydzoną, małą dziewczynką i zasłoniła sobie usta. W jakimś sensie byłem zachwycony. Odwróciłem się do don Juana, aby skomentować jej wygląd i zachowanie, ale prawie na śmierć przestraszył mnie swoim krzykiem.

– Nie odwracaj się do tej kobiety plecami, do cholery!

Szybko odwróciłem się, aby na nią spojrzeć. Znów zrobiła kilka kroków w stronę samochodu i teraz stała zaledwie pięć stóp od jego drzwi. Uśmiechała się. Miała duże, białe i bardzo czyste zęby. Jednak w jej uśmiechu było coś niesamowitego. Nie był wcale przyjacielski, przypominał raczej grymas, gdyż uśmiechały się tylko jej usta. Czarne i zimne oczy czarownicy wpatrywały się we mnie uporczywie.

Dreszcz wstrząsnął całym moim ciałem. Don Juan zaniósł się swym gdaczącym rechotem. Po chwili kobieta powoli postąpiła kilka kroków do tyłu i zniknęła w tłumie.

Odjechaliśmy i don Juan stwierdził, że jeśli nie uporządkuję swojego życia i nie nauczę się tego, co trzeba, ona rozdepcze mnie jak bezbronnego robaka.

– Ona jest właśnie tym godnym ciebie przeciwnikiem, którego obiecałem ci znaleźć – podsumował.

Don Juan uznał, że musimy zaczekać na omen, zanim podejmiemy decyzję, co mamy robić z kobietą przeszkadzającą mi w polowaniu.

– Jeśli zobaczymy albo posłyszymy wronę, będziemy pewni, że mamy czekać, dowiemy się też gdzie – dodał.

Don Juan powoli obrócił się dokoła, omiatając wzrokiem otoczenie.

– To nie jest miejsce odpowiednie do czekania – powiedział szeptem.

Zaczęliśmy iść na wschód. Było już zupełnie ciemno. Nagle dwie wrony wyleciały zza wysokich krzewów i zniknęły za wzgórzem. Don Juan powiedział, że jest ono naszym celem.

Kiedy dotarliśmy tam, okrążył je i wybrał miejsce u jego podnóża, zwrócone na południowy wschód. Oczyścił z zeschłych gałęzi, liści i drobnych kamieni kolisty obszar o średnicy pięciu czy sześciu stóp. Chciałem mu pomóc, ale odmówił stanowczym ruchem ręki. Położył palec na ustach na znak, bym zachował ciszę. Kiedy skończył, wciągnął mnie do środka kręgu, kazał zwrócić się na południe, tyłem do wzgórza i szepnął mi do ucha, że muszę naśladować jego ruchy. Zaczął jakby taniec, wybijając prawą nogą rytm, na który składały się serie siedmiu takich samych uderzeń, po których następowały trzy szybkie tupnięcia.

Próbowałem się dostosować do jego rytmu i po kilku nieudanych próbach, mniej więcej robiłem to tak jak on.

– Po co to? – szepnąłem mu do ucha.

Odpowiedział również szeptem, że tupię jak królik i prędzej czy później ten, kto poszukuje zdobyczy, przyciągnięty hałasem, pokaże się, aby zobaczyć, co się dzieje.

Kiedy nauczyłem się rytmu, don Juan sam przestał tupać, ale kazał mi robić to dalej, odmierzając rytm ruchem dłoni.

Od czasu do czasu uważnie nasłuchiwał, z głową lekko przekrzywioną na prawo, jakby chciał pochwycić odgłosy dobiegające z chaparralu. W pewnym momencie dał mi znak, abym przestał, a sam przyjął niezwykle czujną postawę. Wyglądał, jakby był gotowy do skoku na jakiegoś niewidzialnego wroga.

Następnie dał mi znak, bym znów tupał, po czym ponownie mnie zatrzymał. Za każdym razem kiedy przestawałem uderzać nogą, słuchał z taką uwagą, że każde włókno jego ciała wydawało się napięte do granic możliwości.

Nagle przyskoczył do mnie i szepnął mi do ucha, że zmierzch osiągnął teraz swoją pełną moc. Rozejrzałem się wkoło. Chaparral stał się ciemną masą, tak samo jak wzgórza i skały. Niebo miało ciemnoniebieską barwę i nie było już widać chmur. Cały świat zdawał się jednolitą masą cieni pozbawionych dostrzegalnych granic.

Posłyszałem niesamowity, odległy krzyk zwierzęcia, kojota, a może jakiegoś nocnego ptaka. Wybuchnął tak nagle, że nie zdążyłem zwrócić na niego uwagi, a ciało don Juana już na niego zareagowało. Poczułem, że drży, ponieważ stał obok mnie.

– Zaczynamy – szepnął. – Uderzaj znowu i bądź przygotowany. Ona tu jest.

Zacząłem tupać zapamiętale, ale don Juan postawił swoją stopę na mojej i dał mi znak, abym się rozluźnił i utrzymywał równy rytm.

– Nie odstrasz jej – szepnął mi do ucha. – Uspokój się i nie trać głowy.

Znowu zaczął odmierzać rytm dłonią i gdy za drugim razem kazał mi się uciszyć, ponownie usłyszałem ten sam krzyk. Tym razem wydawał się należeć do ptaka przelatującego nad wzgórzem.

Don Juan kazał mi dalej uderzać nogą, a kiedy przestałem, dotarł do mnie specyficzny szelest z lewej strony. Był to dźwięk, jaki wydaje duże zwierzę poruszające się po suchych gałęziach. Przyszła mi do głowy myśl o niedźwiedziu, ale po chwili uświadomiłem sobie, że na pustyni nie ma niedźwiedzi. Chwyciłem don Juana za rękę, a on uśmiechnął się i położył palec na ustach, nakazując ciszę. Wpatrywałem się w ciemność po lewej, ale dał mi znak, abym tego nie robił. Kilkakrotnie wskazywał głową na przestrzeń nade mną, a potem odwrócił mnie powoli i cicho, aż stanąłem twarzą w kierunku ciemnej masy wzgórza. Don Juan pokazał palcem pewien punkt na jego zboczu. Przykułem wzrok do tego punktu, a tu nagle, jak w nocnym koszmarze, skoczył na mnie ciemny cień. Wrzasnąłem i upadłem na ziemię. Przez chwilę ciemna postać nakładała się na ciemnoniebieskie niebo, a później odpłynęła w powietrzu i wylądowała w krzakach za nami. Posłyszałem odgłos ciężkiego ciała spadającego na krzewy, a potem niesamowity okrzyk.

Don Juan pomógł mi się podnieść i w ciemności poprowadził mnie do miejsca, gdzie zastawiłem pułapki. Kazał mi je pozbierać i rozebrać, po czym porozrzucał kawałki na wszystkie strony. Zrobił to wszystko, nie mówiąc ani słowa. Nic też nie powiedział przez całą drogę powrotną do domu.

– Co chcesz, abym ci powiedział? – zapytał mnie don Juan, kiedy ciągle namawiałem go do wytłumaczenia mi wydarzeń, których świadkiem byłem kilka godzin temu.

– Co to było? – zapytałem:

– Cholernie dobrze wiesz, kto to był – powiedział. – Nie ma co owijać w bawełnę pytaniami: “Co to było?" Ważne jest, kto to był.

Wymyśliłem sobie wyjaśnienie, które bardzo dobrze pasowało. Kształt, który widziałem, był podobny do latawca. Ktoś go wypuścił ze wzgórza, podczas gdy ktoś inny, znajdujący się za nami, ściągnął go na ziemię. Stąd wziął się efekt płynącej w powietrzu ciemnej sylwetki, która przebyła jakieś piętnaście czy dwadzieścia metrów.

Don Juan wysłuchał mojego wytłumaczenia, a potem zaczął się tak śmiać, że aż łzy popłynęły mu po policzkach.

– Przestań się wykręcać – powiedział. – Przejdźmy do sedna sprawy. Czy była to kobieta?

Musiałem przyznać, że kiedy upadłem i spojrzałem w górę, zobaczyłem ciemną sylwetkę kobiety w długiej spódnicy. Skoczyła na mnie z wysoka, ale opadała bardzo wolno. Później wydawało mi się, że coś ściągnęło ją z jej toru i przeleciała nade mną z wielką szybkością, a potem rozbiła się w krzakach. To właśnie ten ruch naprowadził mnie na pomysł z latawcem.

Don Juan odmówił dalszego omawiania tego incydentu.

Następnego dnia wyjechał, aby załatwić jakąś tajemniczą sprawę, a ja pojechałem odwiedzić kilku przyjaciół Indian Yaqui z innej osady.

Środa, 12 grudnia 1962

Gdy tylko przyjechałem do osady Indian Yaqui, meksykański sklepikarz powiedział mi, że wypożyczył gramofon i dwadzieścia płyt ze sklepu w Ciudad Obregon na zabawę, którą zaplanował na dzisiejszy wieczór, aby uczcić Dziewicę z Gwadelupy. Rozpowiedział już wszystkim, że w przygotowaniach pomagał mu Julio, komiwojażer, który przyjeżdżał do osady dwa razy w miesiącu, aby zbierać zaliczki na przyszłą sprzedaż taniej odzieży, na którą udało mu się już znaleźć kilku nabywców.

Julio przywiózł gramofon wczesnym popołudniem i podłączył go do dynama dostarczającego prąd do sklepu. Sprawdził, czy działa, później ustawił głos na maksimum, przypominając sklepikarzowi, aby nie dotykał żadnych przełączników, i zaczai wybierać dwadzieścia płyt.

– Wiem, ile każda z nich ma rys – powiedział Julio.

– Powiedz to mojej córce – odparł tamten.

– Ty ponosisz za nie odpowiedzialność, nie twoja córka.

– To wszystko jedno, przecież ona będzie zmieniać płyty. Julio upierał się, że dla niego nie ma żadnej różnicy, czy ona, czy ktoś inny będzie obsługiwał gramofon, dopóki sklepikarz będzie płacił za każdą zniszczoną płytę. Sklepikarz zaczął się kłócić z Julio, który był już czerwony na twarzy. Od czasu do czasu zwracał się do dużej grupy Indian, która zgromadziła się przed sklepem. Czynił gesty rozpaczy, załamywał ręce i robił różne miny. W końcu zażądał gotówki pod zastaw. To z kolei wywołało długą dyskusję na temat tego, kiedy płytę można uznać za zniszczoną. Julio kategorycznie stwierdził, że za każdą uszkodzoną płytę należy się jej pełna cena, tak jak za nową. To jeszcze

bardziej rozzłościło sklepikarza, który zaczął odłączać gramofon. Był gotów odwołać zabawę. Wyjaśnił swoim klientom zgromadzonym przed sklepem, że robił wszystko, co mógł, aby się dogadać z Julio. Przez chwilę wydawało się, że zabawa się skończyła, zanim jeszcze się rozpoczęła.

Blas, stary Indianin, u którego mieszkałem, zaczął głośno robić uwagi na temat smutnej sytuacji Yaqui, którzy nawet nie mogą pozwolić sobie na świętowanie swojego najbardziej szanowanego święta, dnia Dziewicy z Gwadelupy.

Chciałem interweniować i zaoferować swoją pomoc, ale Blas powstrzymał mnie. Powiedział, że jeśli dałbym gotówkę pod zastaw, sklepikarz sam potłukłby płyty.

– On jest najgorszy ze wszystkich – dodał. – Niech sam da zastaw. Ciągnie od nas pieniądze, więc dlaczego nie miałby zapłacić?

Po długiej dyskusji, w której wszyscy stanęli po stronie Julia, co wydało mi się bardzo dziwne, sklepikarz przedstawił warunki możliwe do zaakceptowania przez obydwie strony. Miał nie dawać gotówki pod zastaw, ale przejąć odpowiedzialność za płyty i gramofon.

Motocykl Julia pozostawił za sobą chmurę kurzu, gdy odjechał do bardziej odległych domów osady. Blas powiedział, że usiłuje dostać się do klientów, zanim ci przyjdą do sklepu i wydadzą wszystkie pieniądze na alkohol. Gdy to mówił, grupa Indian wyszła zza składziku. Blas spojrzał na nich i zaczął się śmiać, w jego ślady poszli wszyscy pozostali.

Powiedział mi, że ci Indianie byli klientami Julia i ukryli się za sklepem, czekając, aż odjedzie.

Zabawa zaczęła się wcześnie. Córka sklepikarza wybrała płytę i opuściła ramię gramofonu, czemu towarzyszył głośny zgrzyt i wysokie buczenie. Potem ryknęła trąbka i dołączyły do niej gitary.

Zabawa polegała głównie na odtwarzaniu płyt. Było tam czterech młodych Meksykanów, którzy tańczyli z dwoma córkami sklepikarza, oraz trzy młode Meksykanki. Yaqui nie tańczyli. Z wyraźnym zachwytem obserwowali każdy ruch tancerzy, popijając tanią tequilę.

Postawiłem kolejkę dla wszystkich, których znałem. Chciałem zlikwidować wszelki dystans. Krążyłem pośród Indian, rozmawiając z nimi i częstując ich alkoholem. Mój sposób sprawdzał się, do momentu, kiedy zauważyli, że ja nie piję. Wyraźnie dotknęło to wszystkich. Wyglądało to tak, jakby nagle odkryli, że nie pasuję do ich towarzystwa. Indianie stali się gburowaci i zaczęli mnie obrzucać groźnymi spojrzeniami.

Meksykanie, również pijani, w tym samym momencie uzmysłowili sobie, że nie tańczę i to obraziło ich jeszcze bardziej niż Indian moja abstynencja. Stali się bardzo agresywni. Jeden z nich chwycił mnie silnie za ramię i zaciągnął do gramofonu. Drugi wręczył mi pełną czarkę teąuili i zażądał, abym wypił ją jednym haustem, udowadniając w ten sposób, że jestem macho.

Chciałem zagrać na zwłokę i roześmiałem się idiotycznie, jakby rzeczywiście bawiła mnie ta sytuacja. Powiedziałem, że najpierw zatańczę, a później będę pił. Jeden z młodych ludzi wymienił tytuł piosenki. Dziewczyna obsługująca gramofon zaczęła szukać w stosie płyt. Chociaż żadna z kobiet nie piła jawnie, ta miała trudności w nastawieniu aparatu. Inny młody mężczyzna powiedział, że płyta, którą wybrała to nie twist. Znowu zaczęła grzebać w stosie płyt, poszukując właściwej. Wszyscy ją otoczyli, zostawiając mnie w spokoju. To dało mi czas, aby pobiec za sklep, daleko od światła i zejść im wreszcie z oczu.

Stałem w cieniu krzaków, usiłując zdecydować się, co mam robić. Byłem zmęczony. Czułem, że czas iść do samochodu i wracać do domu. Zacząłem się przemykać w stronę domu Blasa, gdzie zaparkowałem. Doszedłem do wniosku, że jeśli będę jechał powoli, nikt nie zauważy, iż wyjeżdżam.

Ludzie obsługujący gramofon widocznie dalej szukali płyty, ponieważ było słychać jedynie wysokie buczenie głośnika. Po chwili jednak wybuchnęły dźwięki twista. Zaśmiałem się głośno, myśląc, że właśnie teraz popatrzyli tam, gdzie stałem i odkryli moje zniknięcie.

Zauważyłem kilka ciemnych sylwetek, idących w przeciwnym kierunku, w stronę sklepu. Mijając mnie, ludzie mamrotali: Buenas noches. Rozpoznałem ich i powiedziałem, że zabawa jest wspaniała.

Zanim doszedłem do ostrego zakrętu drogi, spotkałem dwie osoby, których nie znałem, ale jednak je pozdrowiłem. Powalający ryk gramofonu wydawał się na drodze prawie tak samo głośny jak przed sklepem. Była ciemna, bezgwiezdna noc, ale łuna bijąca od składziku powodowała, że całkiem nieźle widziałem. Znajdowałem się już bardzo blisko domu Blasa, więc przyspieszyłem kroku. Wtedy zauważyłem, że ktoś siedzi albo kuca z lewej strony drogi. Przez chwilę myślałem, że to któryś z uczestników zabawy, który wyszedł wcześniej niż ja. Wyglądało, jakby osoba ta załatwiała swe

potrzeby fizjologiczne. Było to dziwne, ponieważ ludzie z osady zawsze chodzili w gęste krzaki. Pomyślałem sobie, że ktokolwiek to jest, musi być pijany.

Podszedłem do zakrętu i powiedziałem: Buenas noches. W odpowiedzi usłyszałem niesamowite, niskie, nieludzkie wycie. Włosy na całym ciele dosłownie stanęły mi dęba. Przez sekundę byłem sparaliżowany. Potem zacząłem szybko iść. Kiedy spojrzałem, tajemnicza istota podniosła się. Była to kobieta. Była pochylona mocno do przodu; przeszła tak kilka metrów, po czym podskoczyła. Zacząłem biec, a kobieta skakała jak ptak obok mnie, dotrzymując mi kroku. Zanim dotarliśmy do domu Blasa, przecięła mi drogę, tak że prawie się dotknęliśmy.

Przeskoczyłem przez wąski, suchy kanał przed domem i z hukiem wpadłem do środka przez cienkie drzwi. Blas był już w domu i nie wydawał się przejęty moją opowieścią.

– Nieźle cię nabrali – powiedział uspokajająco. – Indianie uwielbiają dokuczać obcym.

To, co mi się przytrafiło, było tak przerażające, że następnego dnia pojechałem do domu don Juana zamiast do siebie, tak jak planowałem.

Don Juan wrócił późnym popołudniem. Nie dałem mu czasu na powiedzenie czegokolwiek, ale od razu wyrzuciłem z siebie całą historię, łącznie z komentarzem Blasa. Twarz don Juana posmutniała. Może to była tylko moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że się zmartwił.

– Nie traktuj zbyt poważnie tego, co mówił Blas – powiedział poważnie. – On nie wie nic o walkach czarowników. Kiedy zauważyłeś, że cień znajduje się po lewej stronie, powinieneś zdać sobie sprawę, że chodzi tu o coś poważnego. Ale nie powinieneś też uciekać.

– Co miałem robić? Zostać tam?

– Właśnie. Kiedy wojownik spotyka swojego przeciwnika, który nie jest ludzką istotą, musi stawić mu czoło. Tylko dzięki temu staje się niewrażliwy na ciosy.

– Co ty mówisz, don Juanie?

– Mówię, że miałeś trzecie spotkanie z godnym ciebie przeciwnikiem. Ona wszędzie podąża za tobą, czekając na moment twojej słabości. Już prawie położyła na tobie łapę.

Ogarnął mnie niepokój i oskarżyłem go o narażanie mnie na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Żaliłem się, że gra, którą ze mną prowadzi, jest okrutna.

– Byłaby okrutna, jeśli dotyczyłaby zwykłego człowieka – powiedział. – Ale w momencie, kiedy zaczyna się żyć jak wojownik, nie jest się już zwykłym człowiekiem. Poza tym, nie dlatego znalazłem ci godnego przeciwnika, żeby zabawiać się tobą czy drażnić cię albo niepokoić. Godny przeciwnik może posłużyć jako bodziec. Dzięki la Catalinie możesz zrobić użytek ze wszystkiego, czego cię nauczyłem. Nie masz innego wyjścia.

Byliśmy cicho przez chwilę. Jego słowa wywołały we mnie okropny lęk.

Następnie don Juan zażyczył sobie, abym spróbował naśladować, najlepiej jak tylko jak umiem, krzyk, który posłyszałem, kiedy powiedziałem: Buenas noches.

Próbowałem odtworzyć ten dźwięk i wyszło mi dziwne wycie, którego sam się przestraszyłem. Don Juanowi musiał się on wydać śmieszny, ponieważ nie mógł opanować chichotu.

Potem kazał mi zrekonstruować przebieg wypadków. Odległość, jaką przebiegłem, odległość, w jakiej znajdowała się ode mnie kobieta, kiedy ją spotkałem, odległość, która dzieliła nas w momencie, kiedy dotarłem do domu, i miejsce, w którym zaczęła skakać.

– Żadna gruba Indianka nie potrafi skakać w ten sposób – powiedział po przeanalizowaniu wszystkich danych. – Nie potrafi nawet biec tak daleko.

Kazał mi skakać. Za każdym razem nie mogłem wykonać dłuższego skoku niż na cztery stopy, a jeśli mnie wzrok nie mylił, każdy skok kobiety wynosił co najmniej dziesięć stóp.

– Oczywiście wiesz, że już od teraz musisz mieć się na baczności – powiedział don Juan. – Ona będzie próbowała klepnąć cię w lewe ramię, kiedy będziesz miał chwilę słabości lub gdy nie będziesz czujny.

– Co powinienem robić? – zapytałem.

– Nie ma sensu narzekać – odparł. – To, co jest teraz ważne, to strategia twojego życia.

W ogóle nie mogłem się skoncentrować na tym, co mówił. Robiłem notatki automatycznie. Po długo trwającej ciszy zapytał mnie, czy nie mam bólów za uszami lub bólów karku. Odpowiedziałem,

że nie, a wtedy on stwierdził, że jeśli doświadczałbym nieprzyjemnych sensacji, w którymś z tych miejsc, znaczyłoby to, że la Catalinie udało się mi zaszkodzić.

– Wszystko, co zrobiłeś tamtej nocy, było niezręczne – powiedział. – Po pierwsze, poszedłeś na zabawę dla zabicia czasu, jak gdyby istniał jakiś czas do zabicia. To cię osłabiło.

– Czy uważasz, że nie powinienem chodzić na zabawy?

– Nie, nie uważam tak. Możesz chodzić, gdzie tylko ci się żywnie podoba, ale wtedy musisz przyjmować za to pełną odpowiedzialność. Wojownik żyje strategicznie. Poszedłby on na taką zabawę tylko wtedy, jeśli wymagałaby tego jego strategia. Oznacza to oczywiście, że posiadałby pełną kontrolę i robiłby tylko to, co uważa za konieczne.

Popatrzył na mnie w skupieniu i uśmiechnął się, a potem zakrył twarz i zachichotał.

– Jesteś teraz w pułapce – powiedział. – Twój przeciwnik depcze ci po piętach i po raz pierwszy w życiu nie możesz pozwolić sobie na działanie na łapu-capu. Teraz będziesz musiał nauczyć się całkiem innego działania, działania strategii. Pomyśl o tym w ten sposób: jeśli przeżyjesz ataki la Cataliny, pewnego dnia podziękujesz jej za zmuszenie cię do zmiany swojego działania.

– Co za okropny sposób przedstawiania sytuacji! – wykrzyknąłem. – A co, jeśli nie przeżyję?

– Wojownik nigdy nie folguje sobie w takich myślach – powiedział. – Kiedy musi obcować z innymi, podąża za działaniem strategii, a w takim działaniu nie ma zwycięstw czy porażek. Są tylko czyny.

Zapytałem go, na czym polega działanie strategii.

– Polega na tym, że nie jesteś zdany na łaskę innych ludzi – odparł. – Na tej zabawie, na przykład, zostałeś błaznem, nie dlatego że twoim celem było nim zostać, ale dlatego że zdałeś się na innych. Nie miałeś żadnej kontroli i musiałeś od nich uciekać.

– Co powinienem zrobić?

– Nie iść tam w ogóle albo pójść, aby dokonać jakiegoś specjalnego czynu. Po tym przekomarzaniu się z Meksykanami stałeś się słaby i la Catalina wykorzystała tę sytuację. Dlatego przykucnęła przy drodze i czekała na ciebie. Twoje ciało wiedziało, że coś jest nie w porządku, a jednak odezwałeś się do niej. To było okropne. Podczas takich spotkań nie wolno ci powiedzieć ani jednego słowa do swojego przeciwnika. Potem odwróciłeś się do niej plecami. To było nawet jeszcze gorsze. A później uciekłeś, i to chyba jest najgorsze z tego wszystkiego. Widocznie trafiłeś na zupełną niezdarę. Czarownik, godny tego imienia, natychmiast powaliłby cię w momencie, w którym odwróciłeś się, aby uciec. Na razie twoją jedyną obroną będzie stanie w miejscu i wykonywanie tańca.

– O jakim tańcu mówisz? – zapytałem.

Powiedział mi, że tupanie królika, którego mnie nauczył, jest pierwszym krokiem tańca, jaki wojownik rozwija przez całe życie, a w końcu odtwarza podczas swojej ostatniej próby na ziemi.

Przeżyłem moment dziwnej trzeźwości, podczas którego stało się dla mnie jasne, że to, co zdarzyło się pomiędzy mną a la Cataliną za pierwszym razem, kiedy stanąłem z nią twarzą w twarz, było rzeczywiste. La Cataliną była rzeczywista i nie mogłem odrzucić możliwości, że faktycznie szła moim śladem. Nie potrafiłem jednak nadal zrozumieć, w jaki sposób to robi. Zaczęło mi świtać podejrzenie, że może don Juan mnie nabiera i to właśnie on w jakiś sposób wywołuje te dziwne efekty, których byłem świadkiem.

Don Juan nagle spojrzał w niebo i powiedział, że jeszcze jest czas, aby pojechać i sprawdzić czarownicę. Przekonał mnie, że nie grozi nam niebezpieczeństwo, ponieważ tylko podjedziemy pod jej dom.

– Musisz sprawdzić jej wygląd – powiedział. – Chodzi o to, abyś nie miał najmniejszych nawet wątpliwości.

Ręce bardzo mi się pociły, tak że musiałem je ciągle wycierać ręcznikiem. Wsiedliśmy do samochodu i don Juan poprowadził mnie na główną autostradę, a później na szeroką, nie brukowaną drogę. Jechałem środkiem. Wielkie ciężarówki i traktory wyżłobiły głębokie koleiny, a mój samochód miał za niskie zawieszenie, ażeby jechać lewą lub prawą stroną drogi. Poruszaliśmy się powoli z powodu chmury kurzu. Żwir użyty do wyrównania drogi w czasie deszczu związał się z ziemią i teraz grudy wyschniętego błota i kamieni z hukiem uderzały o metalowe podwozie samochodu.

Don Juan kazał zwolnić, kiedy zbliżyliśmy się do małego mostu. Siedziało tam czterech Indian, którzy nam pomachali. Nie byłem pewny, czy ich znam, czy nie. Przejechaliśmy przez mostek i droga łagodnie skręciła.

– To dom tej kobiety – szepnął don Juan, wskazując oczami białą chatę, otoczoną wysokim bambusowym płotem.

Kazał mi zawrócić i stanąć na środku drogi, aby przekonać się, czy kobieta będzie na tyle podejrzliwa, aby się pokazać.

Staliśmy tak może z dziesięć minut. Mnie się zdawało, że to oczekiwanie nigdy się nie skończy. Don Juan nie powiedział ani słowa. Siedział bez ruchu, wpatrując się w dom.

– Oto ona – powiedział, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Zobaczyłem ciemną, złowróżbną sylwetkę kobiety wyglądającej przez otwarte drzwi. Wewnątrz było ciemno i to jeszcze bardziej podkreślało mroczność sylwetki kobiety.

Po kilku minutach kobieta wyszła przed dom i obserwowała nas. Patrzyliśmy na nią przez chwilę, a potem don Juan kazał mi jechać. Brakowało mi słów. Mógłbym przysiąc, że to ona była tą kobietą, która skakała przy drodze w ciemności.

Pół godziny później, kiedy wjechaliśmy na autostradę, don Juan odezwał się wreszcie do mnie.

– Co na to powiesz? – zapytał. – Czy poznajesz tę sylwetkę?

Długo wahałem się, zanim odpowiedziałem. Obawiałem się konsekwencji mojego potwierdzenia. Ostrożnie sformułowałem odpowiedź, mówiąc, że było zbyt ciemno, abym mógł być całkiem pewny.

Don Juan zaśmiał się i lekko poklepał mnie po głowie.

– To była ona, prawda? – zapytał.

Nie dał mi czasu na odpowiedź. Położył palec na ustach i szepnął mi do ucha, że nie ma sensu mówić czegokolwiek. Abym mógł przeżyć ataki la Cataliny, muszę wykorzystać wszystko, czego mnie do tej pory nauczył.

18. Pierścień mocy czarownika

W maju 1971 roku odwiedziłem don Juana po raz ostatni. Poszedłem zobaczyć się z nim w takim samym nastroju, w jakim zawsze go odwiedzałem podczas naszej dziesięcioletniej znajomości, to znaczy znowu potrzebowałem uroku jego towarzystwa.

Był z nim jego przyjaciel, don Genaro, indiański czarownik z plemienia Mazateków. Widziałem ich obu podczas mojej poprzedniej wizyty, sześć miesięcy temu. Zastanawiałem się, czy ich spytać, czy spędzili razem cały ten czas, kiedy don Genaro wyjaśnił, że tak bardzo lubi północną pustynię, że wrócił dokładnie na czas, żeby się ze mną zobaczyć. Obaj wybuchnęli śmiechem, jakby mieli jakiś wspólny sekret.

– Wróciłem tylko ze względu na ciebie – powiedział don Genaro.

– To prawda – zgodził się don Juan.

Przypomniałem don Genaro, że podczas naszego ostatniego spotkania jego wysiłki mające na celu pomóc mi zatrzymać świat okazały się dla mnie fatalne w skutkach. Z mojej strony był to grzeczny sposób poinformowania go, że się go boję. Wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Trząsł się i kopał nogami jak dziecko. Don Juan starał się na mnie nie patrzeć i również się śmiał.

– Chyba nie masz zamiaru próbować pomagać mi znowu, don Genaro? – spytałem.

Moje pytanie wywołało ich spazmatyczny śmiech. Don Genaro tarzał się po ziemi, potem położył się na brzuchu i zaczął pływać po podłodze. Kiedy zobaczyłem, co robi, wiedziałem, że już po mnie. W tym momencie moje ciało w jakiś sposób uświadomiło sobie, że dotarłem do końca. Nie wiedziałem jednak, co miało być tym końcem. Moje osobiste skłonności do dramatyzowania oraz poprzednie doświadczenia z don Genaro kazały mi przypuszczać, że mógł to być koniec mojego życia.

Podczas ostatniej wizyty don Genaro próbował przepchnąć mnie przez próg zatrzymania świata. Jego wysiłki stały się na tyle dziwne i groźne, że sam don Juan kazał mi wyjechać. Demonstracje mocy don Genaro były tak niesamowite i tak zbijające z tropu, że zmusiły mnie do całkowitej zmiany opinii o sobie. Wróciłem do domu, przejrzałem notatki, które sporządziłem na samym początku mojej

praktyki i w tajemniczy sposób opanowało mnie zupełnie nowe uczucie. Nie byłem go świadomy aż do momentu, w którym zobaczyłem pływającego po podłodze don Genaro.

Pływanie po podłodze, pasujące do innych dziwnych i dezorientujących poczynań, które don Genaro wykonywał na moich oczach, rozpoczęło się, gdy leżał na brzuchu. Najpierw zaśmiał się tak bardzo, że aż zadrżał konwulsyjnie, potem zaczął kopać nogami, a w końcu zharmonizował ich ruch z wiosłowatymi pociągnięciami ramion i don Genaro zaczął się ślizgać po ziemi, jakby leżał na desce na kółkach. Wiele razy zmieniał kierunek, przemierzając całą przestrzeń przed domem, manewrując pomiędzy mną a don Juanem.

Don Genaro błaznował przede mną już nie raz, a zawsze, kiedy to robił, don Juan twierdził, że byłem na progu widzenia. Niemożność widzenia wynikała stąd, że upierałem się przy racjonalnych próbach wytłumaczenia wszystkich czynności don Genaro. Tym razem pilnowałem się i kiedy zaczął pływać, nie usiłowałem tego zrozumieć ani wyjaśnić, po prostu obserwowałem go. Jednakże nie mogłem pozbyć się uczucia osłupienia. On faktycznie ślizgał się na brzuchu i piersiach. Kiedy go obserwowałem, moje oczy zaczęły zezować. Ogarnęła mnie fala strachu. Byłem przekonany, że jeśli zaniecham wyjaśniania tego, co się działo, będę widział, i myśl ta napełniała mnie wyjątkowym niepokojem. Moje napięcie wzrosło do tego stopnia, że w jakiś sposób znowu znalazłem się w punkcie wyjścia. Jeszcze raz zostałem uwięziony w wysiłkach racjonalizowania.

Don Juan musiał mnie obserwować. Nagle poklepał mnie po ramieniu, a ja automatycznie odwróciłem się do niego i na chwilę spuściłem don Genaro z oczu. Kiedy znów spojrzałem na niego, stał przy mnie z lekko przechyloną głową. Jego podbródek opierał się prawie o moje prawe ramię. Moja reakcja była opóźniona. Przez sekundę patrzyłem na niego, a potem odskoczyłem ze strachem.

Jego udawane zdziwienie wyglądało tak komiczne, że zacząłem się histerycznie śmiać. Jednakże uświadamiałem sobie niezwykłość tego śmiechu. Moim ciałem wstrząsały nerwowe drgawki rozchodzące się od pępka. Don Genaro położył mi rękę na brzuchu i konwulsyjne fale ustały.

– Ten mały Carlos zawsze tak przesadza! – wybrzydzał.

Potem, naśladując głos i mimikę don Juana, dodał:

– Nie wiesz, że wojownik nigdy nie śmieje się w ten sposób?

Jego karykatura don Juana była tak dobra, że zacząłem się śmiać jeszcze bardziej.

Później obydwaj po prostu poszli sobie.

Wrócili po dwóch godzinach, około południa. Usiedli przed domem don Juana. Nie powiedzieli ani słowa. Wydawało mi się, że są śpiący i zmęczeni, prawie nieobecni. Trwali tak bez ruchu przez długi czas, sprawiając wrażenie, że jest im wygodnie i że są odprężeni. Don Juan miał uchylone usta, jakby naprawdę spał, jednak kciuki jego rąk spoczywających na podołku poruszały się rytmicznie.

Zaniepokoiłem się i zmieniłem na chwilę pozycję. Potem poczułem kojący spokój. Musiałem zasnąć. Obudził mnie rechot don Juana. Otworzyłem oczy. Obaj mi się przyglądali.

– Kiedy nie mówisz, zasypiasz – powiedział, śmiejąc się, don Juan.

– Obawiam się, że tak – odpowiedziałem.

Don Genaro położył się na plecach i zaczął wierzgać nogami w powietrzu. Przez chwilę myślałem, że ma zamiar znowu zacząć swoje niepokojące popisy, ale on zaraz usiadł, krzyżując nogi.

– Jest coś, czego powinieneś już być świadomy – powiedział don Juan. – Nazywam to centymetrem sześciennym okazji. Nam wszystkim, niezależnie od tego, czy jesteśmy wojownikami, czy też nie, wyskakuje od czasu do czasu przed nosem taki centymetr sześcienny okazji. Różnica pomiędzy zwykłym człowiekiem a wojownikiem polega na tym, że wojownik jest tego świadomy. Jednym z jego zadań jest bycie świadomym i rozmyślne oczekiwanie, tak że kiedy pojawia się ten centymetr okazji, wojownik wykazuje się niezbędną szybkością i wprawnie go chwyta.

Okazja, szczęśliwy traf, osobista moc, jakkolwiek by to nazwać, jest szczególnym stanem rzeczy. Wygląda to tak, jakby bardzo mała różdżka pojawiła się przed nami, zapraszając, aby ją złapać. Zazwyczaj jesteśmy zbyt zajęci, albo po prostu zbyt głupi i leniwi, żeby uświadomić sobie, że to jest właśnie nasz centymetr sześcienny okazji. Wojownik zaś pozostaje zawsze czujny i uporządkowany i posiada energię i spryt konieczne do jego pochwycenia.

– Czy twoje życie jest uporządkowane? – spytał mnie nagle don Genaro.

– Myślę, że jest – odpowiedziałem z przekonaniem.

– Uważasz, że potrafisz złapać swój centymetr sześcienny okazji? – spytał don Juan z niedowierzaniem.

– Myślę, że robię to cały czas – odparłem.

– Sądzę, że jesteś czujny tylko w stosunku do rzeczy, które znasz – powiedział don Juan.

– Możliwe, że się oszukuję, ale wierzę, że teraz jestem bardziej świadomy niż kiedykolwiek – powiedziałem i naprawdę tak uważałem.

Don Genaro pokiwał głową z aprobatą.

– Tak – powiedział łagodnie, jakby mówił do siebie. – Mały Carlos jest naprawdę uporządkowany i absolutnie uważny.

Wydawało mi się, że nabijają się ze mnie. Pomyślałem, że moje zapewnienie o rzekomym uporządkowaniu mogło ich zirytować.

– Nie chciałem się przechwalać – powiedziałem. Don Genaro uniósł brwi i rozszerzył nozdrza. Spojrzał na mój notatnik i udawał, że pisze.

– Myślę, że Carlos jest bardziej uporządkowany niż kiedykolwiek – powiedział don Juan do don Genaro. – Może jest zbyt uporządkowany – burknął don Genaro.

– Bardzo możliwe, że tak – przyznał don Juan. Nie wiedziałem, co mógłbym w tym momencie powiedzieć, więc siedziałem cicho.

– Pamiętasz, jak zablokowałem twój samochód? – od niechcenia spytał don Juan.

Jego pytanie pojawiło się nagle i nie miało związku z tematem naszej rozmowy. Chodziło mu o wydarzenie, kiedy to nie mogłem uruchomić silnika, dopóki on nie powiedział, że go odblokował.

Stwierdziłem, że nikt nie mógłby zapomnieć czegoś takiego.

– To było nic – orzekł don Juan rzeczowo. – Zupełnie nic. Prawda, Genaro?

– Prawda – odpowiedział obojętnie czarownik.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zaprotestowałem. – To, co wtedy zrobiłeś, don Juanie, całkowicie przekracza moje możliwości pojmowania.

– Też wybrałeś kryterium! – odparował don Genaro.

Obaj wybuchnęli śmiechem, po czym don Juan poklepał mnie po plecach.

– Genaro potrafi zrobić coś znacznie lepszego niż zablokowanie twojego samochodu. Prawda, Genaro?

– Prawda – odpowiedział Genaro, wydymając wargi jak dziecko.

– Co on potrafi zrobić? – zapytałem, usiłując sprawiać wrażenie, jakby mnie to wcale nie poruszyło.

– Genaro może zabrać stąd twój samochód! – wykrzyknął gromko don Juan, po czym dodał takim samym tonem: – Prawda, Genaro?

– Prawda! – potwierdził don Genaro najgłośniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Odruchowo podskoczyłem. Moim ciałem wstrząsnęły trzy czy cztery nerwowe skurcze.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że on może zabrać stąd mój samochód? – zapytałem.

– Co ja miałem na myśli, Genaro? – zapytał don Juan.

– Chciałeś powiedzieć, że mogę wsiąść do jego samochodu, włączyć silnik i odjechać – odpowiedział don Genaro z niewzruszoną powagą.

– Dalej, zabieraj stąd ten samochód, Genaro – ponaglał go don Juan żartobliwie.

– Robi się! – powiedział don Genaro, marszcząc brwi i krzywo na mnie patrząc.

Zauważyłem, że jego brwi falowały, nadając jego spojrzeniu wyraz łobuzerskiej przenikliwości.

– W porządku! – powiedział spokojnie don Juan. – Chodźmy sprawdzić, co z samochodem.

– Tak! – zawtórował mu don Genaro. – Chodźmy sprawdzić, co z samochodem.

Wstali powoli. Przez chwilę nie wiedziałem, co mam robić, ale don Juan dał mi znak, żebym poszedł z nimi.

Zaczęliśmy wchodzić na małe wzgórze przed domem don Juana. Otoczyli mnie z dwóch stron, don Juan z prawej, a don Genaro z lewej. Szli może sześć albo siedem stóp przede mną, cały czas w polu mojego widzenia.

– Sprawdźmy, co z samochodem – powiedział znowu don Genaro.

Don Juan poruszał rękami, jakby prządł niewidzialną nitkę. Don Genaro robił to samo. Powtórzył:

– Sprawdźmy, co z samochodem.

Szli w podskokach. Ich kroki były dłuższe niż zwykle i poruszali rękami, jakby chłostali albo trzepali jakieś niewidzialne przedmioty przed sobą. Nie pamiętałem don Juana wygłupiającego się w taki sposób. Patrząc na niego, czułem się nieco zakłopotany.

Doszliśmy do szczytu i spojrzałem w dół, na plac u podnóża wzniesienia, gdzie zaparkowałem samochód. Moim żołądkiem wstrząsnął skurcz. Samochodu nie było! Zbiegłem ze wzgórza. Samochodu nie było nigdzie w zasięgu wzroku. W głowie miałem kompletny chaos. Byłem zdezorientowany.

Samochód stał tam od mojego przyjazdu wczesnym rankiem. Może pół godziny wcześniej poszedłem do niego po nowy plik papieru do pisania. Pomyślałem wtedy o zostawieniu otwartych okien, ponieważ było bardzo gorąco, ale wielka ilość komarów i innych latających owadów skłoniła mnie do zaniechania tego zamiaru, więc zostawiłem samochód, jak zwykle, zamknięty.

Jeszcze raz rozejrzałem się dookoła. Nie mogłem uwierzyć, że zniknął. Podszedłem do skraju placu. Don Juan i don Genaro dołączyli do mnie i stali przy mnie, robiąc dokładnie to co ja. Wpatrywali się w dal, aby przekonać się, czy gdzieś tam nie stoi. Przeżyłem moment euforii, po którym nastąpiło męczące uczucie rozdrażnienia. Musieli to zauważyć, bo zaczęli chodzić dookoła mnie, poruszając rękami tak, jakby rolowali w nich ciasto.

– Genaro, jak myślisz, co stało się z samochodem? – spytał don Juan potulnie.

– Odjechałem nim – powiedział don Genaro i wykonał zadziwiający ruch przełączania biegów i poruszania kierownicą.

Zgiął nogi, tak jakby siedział i przez chwilę trwał w tej pozycji, najwyraźniej utrzymywany jedynie dzięki mięśniom nóg. Potem przeniósł ciężar ciała na prawą nogę, a lewą wyciągnął, imitując przyciskanie sprzęgła. Zaczął imitować odgłos silnika i do tego wszystkiego, udawał, że wpadł na wyboje na drodze. Kołysał się i podskakiwał, bezbłędnie naśladując niedoświadczonego kierowcę, który obija się w szoferce, a nie wypuszcza z dłoni kierownicy.

Pantomima don Genara była zdumiewająca. Don Juan śmiał się do utraty tchu. Chciałem przyłączyć się do nich, ale nie byłem w stanie się odprężyć. Czułem się zagrożony i skrępowany. Ogarnęło mnie rozdrażnienie, jakiego nie doświadczyłem nigdy wcześniej. Czułem, jak wypalam się od środka, i zacząłem kopać małe kamienie, leżące na ziemi, aż w końcu rzucałem nimi w nieświadomej i niepohamowanej furii. Było to zupełnie tak, jakby ten wielki gniew był w rzeczywistości poza mną i nagle na mnie spadł. Potem, zupełnie nagle, uczucie złości odeszło, równie tajemniczo, jak się pojawiło. Wziąłem głęboki oddech i poczułem się lepiej.

Nie miałem śmiałości spojrzeć na don Juana. Mój wybuch gniewu zawstydził mnie, ale równocześnie chciało mi się śmiać. Don Juan podszedł do mnie i poklepał mnie po plecach. Don Genaro objął mnie ramieniem.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Folguj sobie dalej. Walnij się w nos, żeby poszła krew. Potem możesz wziąć kamień i wybić sobie zęby. O, jakie to będzie cudowne uczucie! A jeśli nawet to ci nie pomoże, z pomocą tego samego kamienia możesz rozbić sobie jaja na tamtej skale.

Don Juan chichotał. Powiedziałem im, że wstydzę się swojego żałosnego zachowania. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Don Juan stwierdził, że jest pewien, że doskonale wiem, co się dzieje; że udawałem iż nie wiem, i że właśnie to udawanie mnie rozzłości.

Don Genaro był nadzwyczaj wyrozumiały. Kilka razy poklepał mnie po plecach.

– To zdarza się nam wszystkim – powiedział don Juan.

– Co chcesz przez to powiedzieć, don Juanie? – zapytał don Genaro, naśladując mój głos i parodiując mój zwyczaj zadawania pytań don Juanowi.

Don Juan powiedział coś absurdalnego, w stylu:

– Kiedy świat jest do góry nogami, wtedy my jesteśmy we właściwej pozycji, ale kiedy świat jest we właściwej pozycji, wtedy my jesteśmy do góry nogami. Teraz, kiedy i my, i świat jesteśmy we właściwej pozycji, myślimy, że jesteśmy do góry nogami...

Don Juan kontynuował ten bełkot, podczas gdy don Genaro parodiował mnie, jak robię notatki. Pisał w niewidzialnym notesie, rozszerzając nozdrza i mając oczy szeroko otwarte, utkwione w don Juanie. Podpatrzył nawet moje próby pisania bez spoglądania do notesu, aby nie przerywać naturalnej płynności rozmowy. Jego przedstawienie było doprawdy zabawne.

Nagle poczułem się spokojny i szczęśliwy. Ich śmiech działał kojąco. Przez chwilę zapomniałem o wszystkim i śmiałem się do rozpuku. Znów ogarnął mnie lęk, niepewność i rozdrażnienie. Pomyślałem, że cokolwiek się działo, było to niemożliwe, niepojęte, według logicznego porządku, zgodnie z którym byłem przyzwyczajony oceniać świat. Jednakże, widziałem, że mojego samochodu nie było. Przyszło mi do głowy, jak zwykle w takich sytuacjach, kiedy don Juan konfrontował mnie z niewytłumaczalnymi zjawiskami, że zostałem oszukany za pomocą zwykłych środków. Mój umysł zawsze pod wpływem stresu, bezwolnie i konsekwentnie, powtarzał ten sam schemat. Zacząłem się zastanawiać, ilu pomocników potrzebowaliby don Juan i don Genaro, żeby podnieść mój samochód i zabrać go z miejsca, w którym go zaparkowałem. Byłem całkowicie pewien, że zamknąłem drzwi, zaciągnąłem ręczny hamulec, wrzuciłem bieg i zablokowałem kierownicę. Żeby go ruszyć, musieliby go po prostu przenieść. Wymagałoby to pracy, której żaden z nich nie mógł wykonać. Istniała także inna możliwość, że ktoś, będący z nimi w zmowie, włamał się do mojego samochodu, uruchomił silnik i odjechał. Aby to jednak zrobić, musiałby posiadać specjalistyczną wiedzę, która była poza ich zasięgiem. Jedynym prawdopodobnym wytłumaczeniem było to, że zahipnotyzowali mnie. Ich ruchy wydawały się mi tak osobliwe i tak podejrzane. Wpadłem w wir racjonalizowania. Pomyślałem, że gdyby mnie zahipnotyzowali, osiągnąłbym odmienny stan świadomości. Podczas moich doświadczeń z don Juanem zauważyłem, że w takich stanach nie da się kontrolować upływu czasu. Wszystkie stany niezwykłej rzeczywistości, których doświadczałem, pozbawione były jakiegoś stałego porządku, odnoszącego się do upływu czasu. Doszedłem więc do wniosku, że jeśli postaram się być uważny, przyjdzie taki moment, w którym stracę świadomość ciągłości zdarzeń i płynięcia czasu. To tak, jakbym, na przykład, w pewnej chwili patrzył na góry, a potem, w następnym momencie świadomości, odkrył, że przyglądam się dolinie znajdującej się za mną, przy czym nie mógłbym sobie przypomnieć, żebym się odwracał. Poczułem, że gdyby teraz przydarzyło mi się coś takiego, mógłbym wytłumaczyć to, co stało się z moim samochodem, jako przypadek hipnozy. Stwierdziłem, że mogę jedynie obserwować każdy szczegół z wyjątkową dokładnością.

– Gdzie jest mój samochód? – zapytałem, zwracając się do nich obu.

– Gdzie jest samochód, Genaro? – spytał don Juan z wyrazem najwyższej powagi.

Don Genaro zaczął odwracać małe kamienie i zaglądać pod nie. Gorączkowo przeczesał plac, na którym zaparkowałem samochód. Obrócił każdy kamień. Od czasu do czasu udawał, że się złości, i ciskał kamień w krzaki.

Don Juanowi scena ta niesamowicie się podobała. Chichotał, jakby zupełnie zapomniał o mojej obecności.

Don Genaro właśnie cisnął kolejnym kamieniem, dając upust swej udawanej frustracji, gdy natknął się na głaz sporych rozmiarów, jedyny duży kamień na tym terenie. Spróbował go odwrócić, ale kamień był za ciężki i zbyt głęboko osadzony w ziemi. Walczył z nim, aż się spocił. Potem usiadł na tym głazie i zawołał na pomoc don Juana.

Don Juan odwrócił się do mnie z promiennym uśmiechem i powiedział:

– Chodź, pomóżmy Genarowi.

– Co on robi? – zapytałem.

– Szuka twojego samochodu – powiedział don Juan niedbałym, ale i poważnym tonem.

– Na Boga! Jakże może go znaleźć pod kamieniem? – zaprotestowałem.

– Na Boga, a dlaczego nie? – odparował don Genaro i obaj wybuchnęli śmiechem.

Nie mogliśmy ruszyć kamienia. Don Juan zasugerował, żebyśmy poszli do domu, poszukali grubego kija i użyli go jako dźwigni.

Po drodze powiedziałem im, że zachowują się absurdalnie i chociaż nie mam pojęcia, co mi robią, to jest to niepotrzebne.

Don Genaro przyjrzał mi się.

– Genaro jest bardzo dokładnym człowiekiem – powiedział don Juan poważnie. – On jest tak samo dokładny i drobiazgowy jak ty. Sam powiedziałeś, że jak czegoś potrzebujesz, to wytrzaśniesz to choćby spod ziemi. On robi to samo.

Don Genaro poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że don Juan ma całkowitą rację, bo w rzeczywistości on chce być taki sam jak ja. Popatrzył na mnie z błyskiem szaleństwa w oku i rozszerzył nozdrza.

Don Juan klasnął w ręce i rzucił kapelusz na ziemię.

Po mozolnych poszukiwaniach don Genaro znalazł długą i dość grubą belkę. Przełożył ją sobie przez ramię i zaczęliśmy powrotną wędrówkę do miejsca, w którym stał mój samochód.

Kiedy wchodziliśmy na wzgórze i dochodziliśmy do zakrętu na ścieżce, skąd widać było płaskie miejsce parkingowe, doznałem nagłego olśnienia. Pomyślałem, że znajdę samochód przed nimi, ale kiedy spojrzałem w dół, u stóp wzgórza go nie było.

Don Juan i don Genaro musieli zrozumieć, co mi przyszło do głowy, bo pobiegli za mną, rycząc ze śmiechu. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, natychmiast zabrali się do pracy. Obserwowałem ich przez chwilę. Ich poczynania były zupełnie niezrozumiałe. Nie udawali, że pracują. Rzeczywiście byli pochłonięci zadaniem odwrócenia głazu, żeby zobaczyć, czy nie ma pod nim mojego samochodu. Nie mogłem już tego znieść, więc dołączyłem się do nich. Posapywali i pokrzykiwali, a don Genaro wył jak kojot. Byli mokrzy od potu. Zauważyłem, jak niewiarygodnie silne były ich ciała, szczególnie don Juana. Przy nich byłem zwiotczałym młokosem.

Bardzo szybko również i ja obficie oblałem się potem. W końcu udało nam się przesunąć głaz, a don Genaro z cierpliwością i dokładnością, która doprowadzała mnie do szału, przebadał znajdującą się pod nim ziemię.

– Nie. Tu go nie ma – ogłosił.

To stwierdzenie powaliło ich na ziemię. Zaśmiałem się nerwowo. Wydawało się, że don Juan wije się z bólu, zakrył twarz i położył się na ziemi i trząsł się ze śmiechu.

– W którą stronę teraz pójdziemy? – spytał po długiej przerwie don Genaro.

Don Juan wskazał ruchem głowy.

– Dokąd idziemy? – spytałem

– Szukać twojego samochodu! – powiedział don Juan bez cienia uśmiechu.

Kiedy weszliśmy w krzewy, znowu mnie otoczyli. Przeszliśmy tylko kilka metrów, kiedy don Genaro dał znak, abyśmy stanęli. Na palcach podszedł do okrągłego krzaka, który rósł kilka kroków dalej, przez pewien czas zaglądał do środka i powiedział, że samochodu tam nie ma.

Poszliśmy dalej. Don Genaro dał ręką znak, żebyśmy byli cicho. Zgiął plecy w łuk, stanął na palcach i wyciągnął ręce nad głową. Jego palce były zagięte jak szpony. Z miejsca, gdzie stałem, ciało don Genara przypomniało kształt litery “S". Utrzymywał tę pozycję przez chwilę, po czym zanurkował po długą gałąź z suchymi liśćmi. Ostrożnie podniósł ją, zbadał i zauważył, że tam też nie ma samochodu.

Kiedy weszliśmy w chaparral, zaglądał za krzaki i wspinał się na małe drzewka paloverde, przeszukując ich listowie, tylko po to, żeby na koniec stwierdzić, że samochodu tam nie ma.

Przez cały czas drobiazgowo rejestrowałem wszystko, co widziałem lub czego dotykałem. Moje konsekwentne i uporządkowane widzenie świata, posiadało taką samą ciągłość jak zwykle. Dotykałem skał, krzewów i drzew. Przenosiłem spojrzenie z bliższego planu na dalszy, patrząc najpierw jednym okiem, a potem drugim. Według wszystkich możliwych kalkulacji, szedłem chaparralem, tak samo jak robiłem to setki razy podczas mojego życia.

Następnie don Genaro położył się na ziemi na brzuchu i poprosił nas, abyśmy zrobili to samo. Oparł brodę na złożonych dłoniach. Don Juan zrobił to samo. Obaj wpatrywali się w malutkie nierówności w ziemi, które wyglądały jak niewielkie wzgórza. Nagle don Genaro wykonał prawą ręką szybki ruch i coś złapał. Szybko wstał, don Juan zrobił to samo. Don Genaro trzymał zamkniętą dłoń przed nami i dał znak, abyśmy podeszli bliżej. Potem zaczął powoli ją otwierać. Kiedy rozwarł ją do połowy, wyleciało z niej coś dużego i czarnego. Ruch był tak nagły, a latający obiekt tak duży, że odskoczyłem do tyłu, prawie tracąc równowagę. Don Juan podtrzymał mnie.

– To nie był samochód – pożalił się don Genaro. – To była pieprzona mucha. Wybaczcie!

Obaj przyjrzeli mi się badawczo. Stali naprzeciwko mnie i nie patrzyli ma mnie bezpośrednio, ale kącikami oczu. Było to długie spojrzenie.

– To była mucha, no nie? – spytał mnie don Genaro.

– Myślę, że tak – odpowiedziałem.

– Nie myśl – rozkazał don Juan. – Co widziałeś?

– Widziałem coś tak dużego jak wrona, co wyleciało z jego ręki – powiedziałem.

Moje słowa były zgodne z tym, co widziałem. Nie zamierzałem żartować, ale oni potraktowali je chyba jak najzabawniejsze zdanie wypowiedziane tego dnia. Obaj skakali i śmiali się, aż zabrakło im tchu.

– Myślę, że Carlos ma dość – powiedział don Juan. Jego głos był zachrypnięty od śmiechu.

Don Genaro stwierdził, że jest już bliski odnalezienia mojego samochodu, a atmosfera robi się coraz bardziej gorąca. Natomiast don Juan uznał, że znajdujemy się na zbyt wyboistym terenie i że znalezienie tutaj samochodu nie byłoby pożądane.

Don Genaro zdjął kapelusz i jego pasek powiązał z kawałkiem sznurka ze swojej torby, potem do żółtej kitki zamocowanej u ronda przyczepił swój wełniany pasek.

– Robię latawiec z mojego kapelusza – powiedział do mnie.

Przyjrzałem mu się i wiedziałem, że żartuje. Zawsze uważałem się za eksperta od latawców. Kiedy byłem dzieckiem, robiłem niezwykle skomplikowane i wiedziałem, że rondo słomianego kapelusza jest zbyt kruche, żeby stawić opór wiatrowi. Z drugiej strony sam kapelusz jest za głęboki, co spowoduje zawirowania wiatru wewnątrz niego i uniemożliwi poderwanie kapelusza z ziemi.

– Nie sądzisz, że to poleci, prawda? – zapytał mnie don Juan.

– Wiem, że nie poleci – powiedziałem.

Don Genaro nie przejmował się tym i zakończył swoje dzieło przyczepieniem długiego sznurka do całej konstrukcji.

Był wietrzny dzień. Don Genaro zbiegł ze wzgórza, a don Juan trzymał jego kapelusz, potem ten pierwszy pociągnął za sznurek i ten pieprzony latawiec rzeczywiście poleciał.

– Patrz, patrz na latawiec! – krzyknął don Genaro. Kapelusz podskoczył kilka razy, ale utrzymywał się w powietrzu.

– Nie spuszczaj oczu z latawca – powiedział don Juan stanowczo.

Przez chwilę czułem zawrót głowy. Patrzenie na latawiec wywołało me wspomnienia z dawnych czasów. Było tak, jakbym sam puszczał latawiec, tak jak to robiłem w wietrzne dni na wzgórzach mojego rodzinnego miasta.

Na chwilę pochłonęły mnie wspomnienia i straciłem świadomość upływającego czasu. Usłyszałem, że don Genaro coś krzyczy i zobaczyłem znów latawiec, najpierw podskakujący, a potem opadający na ziemię w miejscu, gdzie stał mój samochód. Wydarzyło się to z taką prędkością, że nie byłem w stanie wyraźnie zauważyć tego, co się działo. Poczułem zawrót głowy. Mój umysł rejestrował bardzo chaotyczny obraz. Widziałem albo kapelusz don Genaro zmieniający się w mój samochód, albo kapelusz opadający na dach samochodu. Chciałem uwierzyć w to drugie, że don Genaro użył swojego kapelusza, żeby wskazać mój samochód. Ale nie miało to naprawdę znaczenia, jedno rozwiązanie było równie niesamowite jak drugie. Mój umysł uczepił się po prostu tego arbitralnie wybranego szczegółu, żeby utrzymać normalną równowagę.

Usłyszałem, jak don Juan mówi:

– Nie walcz z tym.

Czułem, że coś we mnie było bliskie wydostania się na powierzchnię. Myśli i obrazy nachodziły mnie niekontrolowanymi falami, jak przed zaśnięciem. Oniemiały, wpatrywałem się w samochód. Znajdował się na płaskim, kamienistym placu, jakieś sto stóp ode mnie.

Wyglądał, jakby ktoś właśnie go tam postawił. Podbiegłem i zacząłem go oglądać.

– Cholera! – krzyknął don Juan. – Nie gap się na samochód. Zatrzymaj świat!

Potem, jakby we śnie, usłyszałem, jak wrzeszczy:

– Kapelusz Genaro! Kapelusz Genaro!

Spojrzałem na nich. Wpatrywali się we mnie przenikliwym wzrokiem. Poczułem ból w żołądku. Zaraz zabolała mnie też głowa i zrobiło mi się niedobrze.

Don Juan i don Genaro przyglądali mi się z zaciekawieniem. Przez chwilę siedziałem przy samochodzie, po czym prawie automatycznie otworzyłem drzwi i wpuściłem don Genara na tylne siedzenie. Don Juan usiadł przy nim. Pomyślałem, że to dziwne, bo zwykle siadał na przednim siedzeniu.

Prowadziłem samochód do domu don Juana jakby we mgle. Zupełnie nie byłem sobą. Bolał mnie żołądek, a uczucie nudności zupełnie odebrało mi trzeźwość umysłu. Prowadziłem mechanicznie.

Słyszałem, że don Juan i don Genaro na tylnym siedzeniu śmieją się i chichoczą jak dzieci. Don Juan spytał mnie:

– Czy już dojeżdżamy?

W tym momencie przyjrzałem się uważniej drodze. Rzeczywiście byliśmy bardzo blisko domu.

– Zaraz będziemy na miejscu – wymamrotałem. Ryknęli śmiechem. Klaskali i bili się po udach. Kiedy dojechaliśmy do domu, automatycznie wyskoczyłem z samochodu i otworzyłem im drzwi. Don Genaro wyszedł pierwszy i pogratulował mi, jak to nazwał, najładniejszej i najbardziej gładkiej przejażdżki, jaką kiedykolwiek odbył. Don Juan zrobił to samo. Nie zwracałem na nich zbytnio uwagi.

Zamknąłem samochód i z trudem doszedłem do domu. Zanim zasnąłem, słyszałem, jak don Juan i don Genaro ryczą ze śmiechu.

19. Zatrzymanie świata

Następnego dnia, gdy tylko się przebudziłem, zacząłem zadawać pytania don Juanowi. Rąbał drewno na opał z tyłu domu, ale don Genara nie było nigdzie widać. Don Juan stwierdził, że nie mamy o czym rozmawiać. Zwróciłem mu uwagę, że udało mi się powściągliwie obserwować pływanie po podłodze don Genara, bez pragnienia czy żądania jakichkolwiek wyjaśnień, ale moja powściągliwość nie pozwoliła mi na zrozumienie tego, co się działo. Później, po zniknięciu samochodu, automatycznie nastawiłem się na szukanie jakiegoś logicznego wyjaśnienia zajścia, lecz to także mi nie pomogło. Powiedziałem don Juanowi, że mój upór w wynajdywaniu wyjaśnień nie jest czymś, co sam wynalazłem, ale co jest tak głęboko we mnie zakorzenione, że nie pozwala mi na inne podejście do świata.

– To jest jak choroba – powiedziałem.

– Nie ma żadnych chorób – odparł don Juan spokojnie. – Jest tylko folgowanie sobie. A ty folgujesz sobie w usiłowaniach wyjaśnienia wszystkiego. W twoim przypadku wyjaśnienia nie są już potrzebne.

Upierałem się, że mogę funkcjonować tylko pod warunkiem, że wszystko jest uporządkowane i zrozumiałe. Przypomniałem mu, że w drastyczny sposób zmieniłem swoją osobowość pod wpływem naszej znajomości i zrobiłem to tylko dzięki temu, że byłem w stanie wytłumaczyć sobie konieczność jej dokonania.

Don Juan zaśmiał się cicho. Nic nie mówił przez długi czas.

– Jesteś bardzo sprytny – powiedział w końcu. – Wracasz tam, gdzie zawsze byłeś. Tym razem jesteś jednak całkiem skończony. Nie masz dokąd wracać. Już niczego więcej ci nie wyjaśnię. To, co Genaro zrobił ci wczoraj, zrobił twojemu ciału, tak więc niech ono zadecyduje, co jest co.

Ton głosu don Juana był przyjacielski, ale niezwykle bezosobowy, i z tego powodu poczułem przytłaczającą samotność. Opowiedziałem mu o swoim smutku. Don Juan uśmiechnął się. Czubkami palców delikatnie ścisnął moją dłoń.

– Obaj jesteśmy istotami, które umrą – powiedział łagodnie. – Nie mamy już więcej czasu, aby robić to, co przedtem. Teraz musisz wykorzystać całe nie-działanie, którego cię nauczyłem, i zatrzymać świat.

Znowu ścisnął moją dłoń. Jego dotyk był mocny i przyjacielski, jakby chciał mnie przekonać, że zależy mu na mnie i obdarza mnie uczuciem. Równocześnie dawał mi przeświadczenie niezachwianego celu.

– Taki jest mój gest w stosunku do ciebie – powiedział, przez chwilę jeszcze trzymając moją dłoń. – Teraz musisz sam udać się w te przyjazne góry. – Wskazał brodą na odległy łańcuch górski na południowym wschodzie.

Powiedział, że muszę tam pozostać dopóty, dopóki moje ciało nie powie mi, że już wystarczy, a wtedy mam wrócić do jego domu. Łagodnie wskazał w kierunku samochodu, dając mi poznać, że nie chce, abym mówił cokolwiek albo dłużej zwlekał.

– Co mam tam robić? – zapytałem. Nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie i pokręcił głową.

– Dość tego – powiedział w końcu.

Później palcem wskazał na południowy wschód.

– Idź tam – rzekł stanowczo.

Pojechałem na południe, a później na wschód, tymi drogami, którymi zawsze jeździłem z don Juanem. Zaparkowałem w miejscu, gdzie kończyła się bita droga, i poszedłem znaną ścieżką, aż znalazłem się na wysokiej równinie. Nie miałem zielonego pojęcia, co mam tam robić. Zacząłem się wałęsać, szukając miejsca na odpoczynek. Nagle zwróciłem uwagę na mały plac po lewej stronie. Wyglądało na to, że skład chemiczny gruntu był inny w tym miejscu. Jednak kiedy skoncentrowałem na nim wzrok, nie zauważyłem nic, co mogłoby świadczyć o tej różnicy. Stanąłem kilka stóp od tego miejsca, usiłując “odczuwać", tak jak zawsze radził mi don Juan.

Stałem bez ruchu może przez godzinę. Stopniowo pozbywałem się myśli, aż wreszcie przestałem mówić do siebie. Wtedy poczułem rozdrażnienie. Wydawało się ograniczać do mojego żołądka i wzmagało się, kiedy zwracałem się w stronę tego miejsca. Napawało mnie odrazą i poczułem, że muszę stamtąd odejść. Zacząłem badać okolicę, robiąc zeza, i wkrótce doszedłem do wielkiej płaskiej skały. Zatrzymałem się przed nią. Nie było w niej nic szczególnego, ale przyciągała mnie. Nie odkryłem ani żadnego szczególnego koloru ani połysku, a jednak mi się podobała. Moje ciało poczuło się dobrze. Doświadczałem fizycznej przyjemności i usiadłem na chwilę.

Błądziłem po wysokiej równinie i okolicznych górach przez cały dzień, nie wiedząc, co robić ani czego się spodziewać. O zmierzchu wróciłem do płaskiej skały. Wiedziałem, że jeśli spędzę tu noc, będę bezpieczny.

Następnego dnia zapuściłem się dalej na wschód, w wysokie góry. Późnym popołudniem znalazłem się na jeszcze wyżej położonej równinie. Wydawało mi się, że byłem tam już wcześniej. Rozejrzałem się wokoło, aby się zorientować w terenie, ale nie rozpoznałem żadnego z otaczających mnie szczytów. Po dokładnym wybraniu odpowiedniego miejsca na odpoczynek siadłem na skraju jałowego, skalistego placu. Było mi ciepło i odczuwałem spokój. Chciałem wytrząsnąć trochę jedzenia z tykwy, ale okazała się pusta. Napiłem się wody. Była ciepła i nieświeża. Pomyślałem, że nie zostaje mi nic innego, jak tylko wrócić do domu don Juana. Zacząłem się zastanawiać, czy mam już teraz się zbierać. Położyłem się na brzuchu i oparłem głowę na ręce. Było mi niewygodnie i kilkakrotnie zmieniałem pozycję, aż zwróciłem się na zachód. Słońce było już nisko. Miałem zmęczone oczy. Spojrzałem na ziemię i zobaczyłem wielkiego, czarnego żuka. Wyszedł zza małego kamienia, pchając kulę nawozu dwa razy większą od siebie. Przez dłuższy czas śledziłem jego ruchy. Owad nie wydawał się zainteresowany moją obecnością i nie przestawał pchać swojego ciężaru przez kamienie, korzenie, obniżenia i wybrzuszenia terenu. Wszystko wskazywało na to, że żuk nie był świadomy mojej obecności. Wpadła mi do głowy myśl, że nie mogę być jednak całkiem tego pewny. Myśl ta wywołała całą serię racjonalnych ocen dotyczących natury owadziego świata jako przeciwstawnego mojemu. Żuk i ja znajdowaliśmy się w tym samym świecie, ale niewątpliwie świat nie był taki sam dla nas. Pochłonęła mnie obserwacja owada i zachwyciła olbrzymia siła, z jaką przenosił swój ciężar ponad kamieniami i szczelinami.

Długo patrzyłem na tego żuka i nagle stałem się świadomy panującej ciszy. Tylko wiatr szumiał pomiędzy gałęziami i liśćmi krzewów. Spojrzałem w górę i szybko, odruchowo zwróciłem się w lewo. Ujrzałem niewyraźny cień albo jakieś migotanie kilka stóp ode mnie. Na początku nie zwróciłem na to uwagi, ale później uświadomiłem sobie, że migotanie pojawiło się po mojej lewej stronie. Znowu odwróciłem się gwałtownie i wyraźnie dostrzegłem cień na skale. Miałem dziwne wrażenie, że natychmiast spłynął na ziemię, która wchłonęła go tak, jak bibuła wchłania plamę z atramentu. Dreszcz przebiegł mi po plecach. W głowie pojawiła mi się myśl, że śmierć obserwuje mnie i żuka.

Znów poszukałem wzrokiem owada, ale nie znalazłem go. Pomyślałem sobie, że musiał dojść do celu i wrzucił swój ciężar do otworu w ziemi. Przyłożyłem twarz do gładkiego kamienia.

Żuk wyłonił się z głębokiej dziury i zatrzymał się może dziesięć centymetrów przed moimi oczyma. Wydawało mi się, że patrzy na mnie i przez moment czułem, że stał się świadomy mojej obecności, może tak samo, jak ja byłem świadomy obecności mojej śmierci. Poczułem dreszcz. Żuk i ja wcale nie różniliśmy się od siebie. Śmierć jak cień śledziła nas zza skały. Przeżyłem wyjątkowy moment uniesienia. Żuk i ja znajdowaliśmy się na tym samym poziomie. Żaden z nas nie był lepszy od drugiego. Nasza śmierć zrównała nas.

Moje uniesienie i radość były tak ogromne, że zacząłem płakać. Don Juan miał rację. On zawsze miał rację. Żyłem w niezwykle tajemniczym świecie i tak jak wszyscy, byłem niezwykle tajemniczą istotą, a jednak wcale nie ważniejszą od żuka. Otarłem łzy i kiedy pocierałem oczy wierzchem dłoni, zobaczyłem człowieka, albo coś, co miało kształt człowieka. Znajdowało się po mojej prawej stronie, jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie. Usiadłem prosto i zacząłem wypatrywać. Słońce było prawie na linii horyzontu i jego żółtawy blask nie pozwalał mi na uzyskanie wyraźnego obrazu. W tym momencie posłyszałem specyficzny grzmot. Podobny był do dźwięku przelatującego w oddali odrzutowca. Skupiłem na nim uwagę. Grzmot przerodził się w długi, ostry, metaliczny gwizd, później złagodniał, aż przeszedł w hipnotyzujący, melodyjny dźwięk. Melodia podobna była do wibracji prądu elektrycznego. Przyszedł mi na myśl obraz dwóch naelektryzowanych kuł zbliżających się do siebie lub dwóch kwadratowych bloków naelektryzowanego metalu ocierających się o siebie, a potem z hukiem się zatrzymujących. Znowu usiłowałem wypatrzeć osobę, która wydawała się ukrywać przede mną, ale zauważyłem tylko ciemny kształt na tle krzewów. Przysłoniłem oczy dłońmi. Intensywność światła słonecznego zmieniła się w tym momencie i wtedy uświadomiłem sobie, że to, co widziałem, było tylko złudzeniem optycznym, grą cieni i liści.

Przesunąłem wzrok i zobaczyłem spokojnie biegnącego kojota. Znajdował się w pobliżu miejsca, w którym wydawało mi się, że widziałem człowieka. Przebiegł jakieś pięćdziesiąt metrów na południe, potem zatrzymał się, obrócił się i powoli ruszył w moim kierunku. Krzyknąłem kilka razy, aby go odstraszyć, ale on nic sobie z tego nie robił. Ogarnął mnie niepokój. Pomyślałem, że może być wściekły i nawet rozważyłem możliwość zebrania kamieni, którymi mógłbym się posłużyć do obrony w razie ataku. Kiedy zwierzę znalazło się dziesięć do piętnastu stóp ode mnie, zauważyłem, że wcale nie jest podniecone, wręcz przeciwnie, wydawało się bardzo spokojne. Zwolniło i stanęło zaledwie cztery czy pięć stóp ode mnie. Spojrzeliśmy na siebie i kojot podszedł jeszcze bliżej. Jego brązowe oczy były przyjacielskie i czyste. Siadłem na kamieniach, a kojot stał, prawie mnie dotykając. Oniemiałem z wrażenia. Nigdy nie widziałem dzikiego kojota z tak bliskiej odległości i jedyną rzeczą, na jaką mogłem się zdobyć w tym momencie, było odezwanie się do niego. Zacząłem tak, jak mówi się do zaprzyjaźnionego psa.

A potem wydało mi się, że kojot mi odpowiedział. Byłem absolutnie pewny, że coś powiedział. Czułem zamęt, ale nie starczyło mi czasu, aby zastanawiać się nad swoimi uczuciami, ponieważ kojot znowu przemówił. Nie w ten sposób, że wypowiadał słowa tak, jak wypowiadają je ludzie. Było to raczej odczucie, że mówi. Ale też nie takie, kiedy wydaje się, że zwierzę domowe porozumiewa się ze swoim panem. Kojot rzeczywiście coś powiedział. Przekazywał myśl i ta komunikacja dawała w efekcie coś podobnego do rozmowy. Powiedziałem:

– Jak się masz, mały kojocie? – i wydawało mi się, że słyszę jego odpowiedź:

– W porządku, a ty?

Wtedy kój ot powtórzył zdanie, a ja skoczyłem na równe nogi. On natomiast nie zrobił żadnego ruchu. Nie był nawet zaskoczony moją nagłą reakcją. Jego oczy były nadal przyjacielskie i czyste. Położył się na brzuchu, przekrzywił głowę i zapytał:

– Czego się boisz?

Usiadłem więc i prowadziłem dalej najdziwniejszą konwersację w swoim życiu. W końcu zapytał mnie, co tu robię, a ja odpowiedziałem, że przyszedłem tutaj, aby zatrzymać świat. Kojot stwierdził:

– Que buenol – i wtedy uświadomiłem sobie, że to dwujęzyczny kojot.

Używał angielskich rzeczowników i czasowników, ale hiszpańskich spójników i wykrzykników. Przez głowę przebiegła mi myśl, że znajduję się w obecności kojota Chicano [Chicano – Meksykanin zamieszkały w USA].

Zacząłem się śmiać z absurdalności tego wszystkiego, aż mój śmiech stał się prawie histeryczny. Wtedy uderzyła mnie cała prawda o niemożliwości tego, co się właśnie wydarza. Kojot wstał i nasze

spojrzenia się spotkały. W skupieniu wpatrywałem się w jego oczy. Poczułem, że przyciągają mnie i nagle zwierzę zaczęło opalizować; otoczyła je poświata. Było tak, jakby mój umysł odtwarzał wspomnienia innego wydarzenia, które miało miejsce dziesięć lat temu, kiedy pod wpływem pejotlu byłem świadkiem przemiany zwykłego psa w niezapomnianą, opalizującą istotę. Chyba kojot wywołał to wspomnienie i nałożyło się ono na jego kształt. Stał się płynną, świetlistą istotą. Jej świetlistość była oślepiająca. Chciałem zakryć oczy rękami, ale nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu. Świetlista istota dotknęła jakiejś nieokreślonej cząstki mnie samego. Moje ciało doświadczyło tak rozkosznego i nie dającego się opisać uczucia ciepła, jakby ten dotyk spowodował we mnie eksplozję. Byłem sparaliżowany. Nie czułem stóp ani nóg, ani żadnej części mego ciała, a jednak coś utrzymywało mnie w pozycji pionowej.

Nie mam pojęcia, jak długo w niej trwałem. Świetlisty kojot i wierzchołek, na którym stałem, rozpłynęły się. O niczym nie myślałem ani niczego nie czułem. Mój organizm się wyłączył, a ja swobodnie unosiłem się w przestrzeni.

Nagle poczułem uderzenie i ciało ogarnęło coś, co mnie rozpaliło. Uświadomiłem sobie, że to słońce świeci na mnie. Ledwie mogłem rozróżnić odległy łańcuch górski na zachodzie. Słońce znajdowało się prawie na linii horyzontu. Spojrzałem bezpośrednio na nie i zobaczyłem "linie świata". Widziałem wprost nieprawdopodobne bogactwo połączeń fluoryzujących, białych linii, które przecinały wszystko wokół mnie. Przez chwilę myślałem, że może widzę światło słońca rozszczepione przez rzęsy. Zamrugałem i popatrzyłem znowu. Linie nie zmieniły się i dalej przenikały przez wszystko, co znajdowało się wkoło. Rozglądnąłem się po tym nadzwyczajnym, nowym świecie. Linie nadal były widoczne i stabilne, nawet wtedy, kiedy odwróciłem wzrok od słońca.

Trwałem na szczycie wzgórza w stanie ekstazy, jak mi się wydawało, nieskończenie długo. Całe to zdarzenie mogło jednak trwać tylko kilka minut, może tylko tak długo, jak świeciło słońce, zanim zaszło za horyzont. Lecz mnie wydawało się, że trwa wiecznie. Poczułem coś ciepłego i uspokajającego, emanującego ze świata i z mojego własnego ciała. Wiedziałem, że odkryłem sekret. Był taki prosty. Doświadczałem nieznanego przypływu uczuć. Nigdy w swoim życiu nie przeżywałem takiej boskiej euforii, takiego spokoju i wszechobejmującego zrozumienia, a jednak nie potrafiłem poznanego sekretu oddać słowami ani nawet myślą, ale moje ciało znało go.

Później albo zasnąłem, albo zemdlałem. Kiedy wróciłem do przytomności, leżałem na kamieniach. Wstałem. Świat był taki, jakim zawsze go widziałem. Robiło się ciemno i automatycznie wyruszyłem w drogę powrotną.

Don Juan był sam w domu, kiedy przyjechałem następnego ranka. Zapytałem o don Genara i dowiedziałem się, że jest gdzieś w okolicy i załatwia swoje sprawy. Natychmiast zacząłem opowiadać o nadzwyczajnych doświadczeniach, jakie przeżyłem. Słuchał z wyraźnym zainteresowaniem.

– Po prostu zatrzymałeś świat – skomentował, po wysłuchaniu mojej relacji.

Siedzieliśmy w ciszy przez chwilę, a później don Juan powiedział, że powinienem podziękować don Genaro za pomoc. Wydawał się ze mnie niezwykle zadowolony. Klepał mnie wciąż po plecach i chichotał.

– Ale to niepojęte, żeby kojot mógł mówić – powiedziałem.

– On nie mówił – odparł don Juan.

– A więc co to było?

– Twoje ciało po raz pierwszy zaczęło rozumieć. Ale nie udało ci się dostrzec, że to wcale nie był kojot i że z pewnością nie mówił w taki sam sposób, jak ty i ja.

– Ale kojot naprawdę rozmawiał, don Juanie!

– Zastanów się, kto mówi jak idiota. Po wszystkich tych latach nauki powinieneś mieć lepsze rozeznanie. Wczoraj zatrzymałeś świat i być może nawet widziałeś. Magiczna istota powiedziała ci coś, a twoje ciało było w stanie to zrozumieć, ponieważ świat się rozpadł.

– Świat był taki jak dzisiaj, don Juanie.

– Nie, nie był. Dzisiaj kojoty nic ci nie powiedzą i nie widzisz linii świata. Wczoraj dokonałeś tego wszystkiego, ponieważ coś się w tobie zatrzymało.

– Co zatrzymało się we mnie?

– To, co ludzie mówili ci o świecie. Widzisz, od momentu narodzin ludzie mówią nam, że świat jest taki a taki i naturalnie nie mamy żadnego innego wyboru i musimy widzieć go takim, jakim go nam opisują. Spojrzeliśmy na siebie.

– Wczoraj świat stał się taki, jak go opisują czarownicy – kontynuował. – W tym świecie kojoty mówią, tak samo jak i jelenie, o czym kiedyś ci opowiadałem, podobnie zresztą jak i grzechotniki, drzewa i inne żywe istoty. Ale ja chciałem, abyś ty nauczył się widzenia. Może wiesz już teraz, że widzenie wydarza się tylko wtedy, kiedy przemykasz się pomiędzy światami, światem zwykłych ludzi i światem czarowników. Teraz jesteś dokładnie pośrodku. Wczoraj wierzyłeś, że kojot mówi do ciebie. Każdy czarownik, który nie widzi, tak samo by wierzył. Ale ten, kto widzi, wie, że wiara w to oznacza utknięcie w rzeczywistości czarowników. W ten sam sposób niewierzenie w to, że kojoty mówią, to utknięcie w rzeczywistości zwykłych ludzi.

– Czy uważasz, don Juanie, że ani świat zwykłych ludzi, ani świat czarowników nie są rzeczywiste?

– To są rzeczywiste światy. Mogą wpływać na ciebie. Na przykład, mogłeś zapytać tego kojota o cokolwiek, co chciałbyś wiedzieć, a on byłby zmuszony dać ci odpowiedź. Jedyną smutną rzeczą w tym jest to, że na kojotach nie można polegać. Są oszustami. Taki już twój los, że nie masz godnego zaufania zwierzęcia-towarzysza.

Don Juan wyjaśnił mi, że kojot będzie moim towarzyszem w życiu, a w świecie czarowników posiadanie takiego przyjaciela nie jest zbyt pożądane. Powiedział, że idealnie by było, gdybym rozmawiał z grzechotnikiem, ponieważ są one niesamowitymi towarzyszami.

– Gdybym był tobą – dodał – nigdy nie ufałbym kojotowi. Ale ty jesteś inny i możesz nawet zostać czarownikiem kojotów.

– Kim jest czarownik kojotów?

– To ktoś, kto uzyskuje wiele rzeczy od swoich braci kojotów.

Chciałem dalej zadawać pytania, ale powstrzymał mnie gestem.

– Widziałeś linie świata – powiedział. – Widziałeś świetlistą istotę. Teraz jesteś już prawie gotów na spotkanie ze sprzymierzeńcem. Wiesz oczywiście, że człowiek, którego widziałeś pośród krzewów, jest twoim sprzymierzeńcem. Słyszałeś jego ryk podobny do odgłosu odrzutowca. Będzie czekał na skraju równiny, na którą cię zabiorę.

Byliśmy cicho przez długi czas. Don Juan trzymał ręce złożone na brzuchu. Jego kciuki poruszały się prawie niezauważalnie.

– Genaro także musi pójść z nami do doliny – powiedział nagle. – To on pomógł ci zatrzymać świat. Don Juan popatrzył na mnie przenikliwie.

– Powiem ci jeszcze jedną rzecz – zaczął, śmiejąc się. – Teraz ma to ogromne znaczenie. Tamtego dnia Genaro nie ruszył twojego samochodu ze świata zwykłych ludzi. Po prostu zmusił cię do patrzenia na świat tak, jak to robią czarownicy, a twojego samochodu nie było w tamtym świecie. Genaro chciał rozmiękczyć twoją pewność. Jego wygłupy powiedziały twojemu ciału o absurdalności usiłowania zrozumienia wszystkiego. Kiedy puścił latawiec, prawie widziałeś. Znalazłeś samochód i byłeś w dwóch światach. Zrywaliśmy sobie boki ze śmiechu, ponieważ rzeczywiście myślałeś, że wieziesz nas z powrotem z miejsca, gdzie wydawało ci się, że znalazłeś samochód.

– Ale jak zmusił mnie do widzenia świata tak jak czarownicy?

– Ja byłem z nim. Obydwaj znamy tamten świat.

Kiedy już się go zna, aby go sprowadzić, wystarczy tylko użyć tego dodatkowego pierścienia mocy, o którym ci mówiłem, że mają go czarownicy. Genaro potrafi zrobić to tak łatwo, jak strzelić palcami. Zajmował twoją uwagę przewracaniem kamieni, po to aby rozproszyć twoje myśli i pozwolić twojemu ciału widzieć.

Powiedziałem mu, że wydarzenia ostatnich trzech dni dokonały w mojej idei świata nie dających się naprawić zniszczeń. Podczas dziesięciu lat naszej znajomości nigdy nie zostałem tak poruszony, nawet wtedy, gdy przyjmowałem rośliny psychotropowe.

– Rośliny mocy są tylko pomocą – powiedział don Juan. – Naprawdę liczy się tylko to, kiedy ciało uświadamia sobie, że potrafi widzieć. Tylko wtedy jesteś w stanie poznać, że świat, na który codziennie patrzymy, jest jedynie opisem. Moją intencją było pokazanie ci tego. Niestety, zostało ci już bardzo mało czasu, zanim sprzymierzeniec zmierzy się z tobą.

– Czy sprzymierzeniec musi się ze mną zmierzyć?

– Nie ma możliwości, aby tego uniknąć. Po to, aby móc widzieć musisz nauczyć się sposobu, w jaki czarownicy patrzą na świat, a do tego trzeba zawezwać sprzymierzeńca. Kiedy to się zrobi, on przychodzi.

– Czy nie możesz nauczyć mnie widzenia bez wzywania sprzymierzeńca?

– Nie. Aby widzieć, musisz patrzeć na świat w jakiś inny sposób, a jedyny inny sposób, jaki znam, to sposób czarownika.

20. Podróż do Ixtlan

Don Genaro powrócił około południa i zgodnie z sugestią don Juana, we trzech pojechaliśmy do miejsca, gdzie byłem poprzedniego dnia. Poszliśmy tą samą trasą, co ja, ale zamiast zatrzymywać się na wysokiej równinie, tak jak ja to zrobiłem, zaczęliśmy się wspinać, aż osiągnęliśmy szczyt niższego łańcucha gór, a potem zeszliśmy do płaskiej doliny.

Zatrzymaliśmy się na odpoczynek na szczycie wysokiego wzgórza. Don Genaro wybrał to miejsce. Automatycznie usiadłem tak, jak zawsze to robiłem w ich towarzystwie, z don Juanem po prawej i don Genarem po lewej stronie, w ten sposób tworząc trójkąt.

Pustynny chaparral uzyskał wspaniały wilgotny połysk. Po krótkiej wiosennej ulewie stał się lśniąco zielony.

– Genaro ma zamiar coś ci opowiedzieć – powiedział nagle don Juan. – Ma zamiar opowiedzieć ci historię swojego pierwszego spotkania ze sprzymierzeńcem. Prawda, Genaro?

W głosie don Juana dawało się wyczuć przypochlebny ton. Don Genaro spojrzał na mnie i złożył tak wargi, że utworzyły okrągły otwór. Zagiął język na podniebieniu i otwierał i zamykał usta, jakby miał skurcze.

Don Juan spojrzał na niego i zaśmiał się głośno. Nie wiedziałem, co o tym sądzić.

– Co on robi? – zapytałem don Juana.

– Jest kurą – odparł.

– Kurą?

– Spójrz na jego usta. To tyłek kury, która zaraz zniesie jajko.

Skurcze ust don Genara zdawały się nasilać. Jego oczy miały dziwny, obłąkany wyraz. Usta don Genara otwierały się tak, jakby skurcze miały rozewrzeć zrobiony z nich otwór. Czarownik wydał chrapliwy odgłos, ramionami objął klatkę piersiową i bezceremonialnie charknął flegmą.

– Niech to diabli! To nie jest jajko – powiedział z niepokojem malującym się na twarzy.

Był tak śmieszny, że nie mogłem się powstrzymać od chichotu.

– Teraz, kiedy Genaro prawie zniósł jajko, może opowie ci o pierwszym spotkaniu ze swoim sprzymierzeńcem – nalegał don Juan.

– Może – powiedział don Genaro, nie wykazując zainteresowania.

Ja również poprosiłem go, aby opowiedział.

Don Genaro wstał, przeciągnął się aż strzeliły mu kości, i usiadł znowu.

– Byłem młody, kiedy pierwszy raz zwarłem się ze swoim sprzymierzeńcem – powiedział w końcu. – Pamiętam, że było wczesne popołudnie. Od świtu przebywałem w polu i właśnie wracałem do domu. Nagle sprzymierzeniec wyszedł zza krzewów i stanął mi na drodze. Czekał na mnie i zapraszał mnie do zapasów. Zacząłem się odwracać, aby go zostawić samego, ale wtedy pomyślałem sobie, że jestem wystarczająco silny, aby zabrać się do niego. Jednak trochę się bałem. Dreszcz przebiegł mi po plecach i szyja zesztywniała mi jak deska. Tak przy okazji... to zawsze jest oznaką, że jesteś gotowy, to znaczy kiedy szyja ci twardnieje.

Odsłonił koszulę i pokazał mi plecy. Napiął szyję, plecy i ramiona. Zwróciłem uwagę na jego wspaniałe umięśnienie. Wydało mi się, jakby wspomnienie tamtego spotkania ożywiało każdy mięsień jego tułowia.

– W takiej sytuacji – kontynuował – musisz zawsze zamknąć usta. Zwrócił się do don Juana i zapytał:

– Prawda?

– Tak – powiedział don Juan spokojnie. – Wstrząs wywołany uchwyceniem sprzymierzeńca jest tak wielki, że można sobie odgryźć język albo wybić zęby. Ciało musi być wyprostowane, a stopy muszą pewnie i mocno wspierać się na ziemi.

Don Genaro wstał i pokazał mi właściwą postawę – nogi lekko ugięte w kolanach, ramiona luźno zwisające po bokach, a palce dłoni lekko zaokrąglone. Trwał w tej pozycji przez moment i wtedy, kiedy myślałem, że usiądzie, rzucił się do przodu w jednym niesamowitym skoku, tak jakby miał sprężyny przypięte do stóp. Jego ruch był tak gwałtowny, że upadłem na plecy, ale kiedy upadałem, miałem wrażenie, że don Genaro pochwycił człowieka albo coś, co miało jego kształt. Znów usiadłem prosto. Don Genaro ciągle był nieprawdopodobnie napięty i po chwili nagle rozluźnił mięśnie, powrócił na miejsce i usiadł.

– Carlos teraz widział twojego sprzymierzeńca – obojętnie zauważył don Juan – ale dalej jest słaby i dlatego upadł.

– Widziałeś? – zapytał don Genaro naiwnie zachwycony i rozdął nozdrza.

Don Juan zapewnił go, że rzeczywiście widziałem.

Don Genaro skoczył znowu z taką siłą, że upadłem na bok. Zrobił to tak nagle, że nie mogłem zrozumieć, jak mógł z pozycji siedzącej skoczyć na równe nogi i rzucić się do przodu.

Obydwaj zaśmiali się głośno, a później don Genaro zmienił swój śmiech na wycie imitujące wycie kojota.

– Nie myśl, że musisz skoczyć tak dobrze, jak don Genaro, aby pochwycić swojego sprzymierzeńca – powiedział don Juan ostrzegawczo. – Genaro tak skacze, ponieważ pomaga mu jego sprzymierzeniec. Musisz jedynie wesprzeć się mocno o ziemię, aby wytrzymać uderzenie. Powinieneś stać tak, jak stał wcześniej don Genaro, później musisz skoczyć do przodu i pochwycić sprzymierzeńca.

– Najpierw powinien pocałować swój medalion – wtrącił don Genaro.

Don Juan z udawaną powagą powiedział, że nie mam żadnych medalionów.

– A co z jego notesami? – upierał się don Genaro. – Powinien coś z nimi zrobić, odłożyć je gdzieś, zanim skoczy, albo niech je wykorzysta, by walnąć sprzymierzeńca.

– Niech mnie diabli! – powiedział don Juan z pozornie autentycznym zdziwieniem. – Nawet nie przyszło mi to do głowy. Założę się, że będzie to pierwszy raz, kiedy sprzymierzeniec zostanie znokautowany notesami.

Kiedy śmiech don Juana i wycie kojota don Genara ucichły, wszyscy byliśmy w bardzo dobrym nastroju.

– Co się wydarzyło, kiedy pochwyciłeś swojego sprzymierzeńca, don Genaro? – zapytałem.

– Mocno mną wstrząsnęło – powiedział po chwili wahania. Zdawało się, że zbiera myśli. – Nigdy nie wyobrażałem sobie, że tak to będzie – kontynuował. – To było coś, coś... coś, o czym nie da się powiedzieć. Kiedy go pochwyciłem, zaczęliśmy wirować. Sprzymierzeniec zaczął mną kręcić, ale ja nie popuszczałem. Wirowaliśmy w powietrzu z taką prędkością i mocą, że nic już nie widziałem. Wszystko było zamglone. To trwało i trwało. Nagle poczułem, że znowu stoję na ziemi. Sprzymierzeniec nie zabił mnie. Byłem cały i zdrowy. Byłem sobą! Wiedziałem, że mi się udało. W końcu miałem sprzymierzeńca. Skakałem z radości. Co za uczucie! Co to było za uczucie!

Później rozejrzałem się wkoło, aby przekonać się, gdzie jestem. Okolica nie była mi znana. Pomyślałem sobie, że sprzymierzeniec musiał mnie ponieść w powietrzu i porzucić gdzieś bardzo daleko od miejsca, w którym się starliśmy. Próbowałem zorientować się w terenie. Wydawało mi się, że mój dom musi być na wschodzie, więc zacząłem iść w tamtym kierunku. Wciąż było jeszcze wcześnie. Spotkanie ze sprzymierzeńcem nie trwało zbyt długo. Wkrótce znalazłem drogę i zauważyłem grupkę mężczyzn i kobiet zbliżających się do mnie. Byli Indianami. Wydawało mi się, że to Mazatecy. Otoczyli mnie i pytali, dokąd idę.

– Idę do domu, do Ixtlan – powiedziałem im.

– Zgubiłeś się? – zapytał ktoś.

– Tak – odparłem. – Dlaczego pytasz?

– Ponieważ Ixtlan znajduje się w przeciwnym kierunku. Sami tam idziemy – powiedział ktoś inny.

– Przyłącz się do nas – namawiali mnie wszyscy. – Mamy jedzenie.

Don Genaro przestał mówić i spojrzał na mnie, jakby czekał, aż zadam mu jakieś pytanie.

– No więc, co zrobiłeś? – zapytałem. – Czy przyłączyłeś się do nich?

– Nie, nie zrobiłem tego – powiedział. – Oni nie byli prawdziwi. Wiedziałem to od razu, w chwili kiedy do mnie podeszli. Było coś w ich głosach, w ich przyjaznym nastawieniu, co ich zdradziło, szczególnie wtedy, kiedy powiedzieli mi, abym poszedł z nimi. A więc uciekłem. Wołali mnie i błagali, żebym wrócił. Ich prośby stawały się coraz bardziej natarczywe, ale ja dalej uciekałem od nich.

– Kim byli? – zapytałem.

– Ludźmi – odparł szorstko don Genaro. – Poza tym, że nie byli prawdziwi.

– Byli jak zjawy – wyjaśnił don Juan. – Jak duchy.

– Po przejściu kawałka drogi – podjął wątek don Genaro – nabrałem trochę więcej pewności. Wiedziałem, że Ixtlan znajduje się w tym kierunku, w którym właśnie szedłem. A później zauważyłem dwóch ludzi idących drogą w moją stronę. Również wyglądali na Mazateków. Prowadzili osła wyładowanego drewnem na opał. Przechodząc koło mnie, wymamrotali: "Dzień dobry". "Dzień dobry", powiedziałem i szedłem dalej. Nie zwrócili na mnie żadnej uwagi i poszli swoją drogą. Powoli zwolniłem kroku i ostrożnie odwróciłem się, aby spojrzeć na nich. Odchodzili, zupełnie mną nie zainteresowani. Wyglądali na rzeczywistych. Pobiegłem za nimi, krzycząc: "Czekajcie, czekajcie!"

Zatrzymali osła i stanęli po obydwu jego stronach, jakby osłaniali ładunek. "Zgubiłem się w tych górach", powiedziałem do nich. "Którędy do Ixtlan?"

Wskazali kierunek, w którym sami szli. "To bardzo daleko", powiedział jeden z nich. " Jest po drugiej stronie tych gór. Zabierze ci to cztery albo i pięć dni, aby się tam dostać".

Potem odwrócili się i zaczęli odchodzić. Poczułem, że to prawdziwi Indianie i poprosiłem ich, aby pozwolili mi przyłączyć się do nich.

Przez pewien czas szliśmy razem, a później jeden z nich zdjął tobół z jedzeniem i poczęstował mnie. Zamarłem. Było coś straszliwie obcego w sposobie, w jaki chciał mnie obdarzyć jedzeniem. Moje ciało przeraziło się, więc odskoczyłem i zacząłem uciekać. Obydwaj powiedzieli, że umrę w tych górach, jeśli nie pójdę z nimi, i próbowali namówić mnie, abym przyłączył się do nich. Ich prośby również stały się natarczywe, ale ja uciekałem od nich, co sił w nogach.

Szedłem dalej, wiedziałem, że jestem na właściwej drodze i że te zjawy próbowały zwieść mnie z niej.

Napotkałem teraz osiem z nich. Musiały wiedzieć, że moje postanowienie jest niezachwiane. Stały przy drodze, patrząc błagalnie. Większość z nich nie powiedziała ani słowa, natomiast te, które były kobietami, wykazywały większą śmiałość. Niektóre z nich, jak niewinne handlarki przy drodze, wystawiły nawet jedzenie i inne dobra, udając, że są na sprzedaż. Nie zatrzymałem się ani nie popatrzyłem na nie.

Późnym popołudniem doszedłem do doliny, którą chyba rozpoznawałem. Było w niej coś znajomego. Wydawało mi się, że już tu byłem, ale w takim przypadku musiałem teraz znajdować się na południe od Ixtlan. Zacząłem szukać cech charakterystycznych, aby móc się zorientować i skorygować swoją trasę, kiedy zauważyłem małego indiańskiego chłopca pilnującego kóz. Miał może z siedem lat i był ubrany tak, jak ja w jego wieku. Prawdę powiedziawszy, przypominał mi mnie samego, pasącego dwie kozy mojego ojca.

Obserwowałem go przez pewien czas. Chłopiec mówił do siebie, tak samo jak ja to robiłem, a później zaczai mówić do kóz. Z tego, co wiedziałem na temat doglądania kóz, wyglądało, że jest w tym naprawdę dobry. Był dokładny i ostrożny. Nie rozpieszczał swoich kóz, ale także nie był dla nich okrutny.

Postanowiłem go zawołać. Kiedy odezwałem się dość głośno, podskoczył i uciekł za skałę i stamtąd mi się przyglądał. Wyglądał, jakby był gotów rwać, gdzie pieprz rośnie. Podobał mi się. Wyglądał na przestraszonego, a jednak znalazł czas, aby przepędzić kozy z pola mojego widzenia.

Długo mówiłem do niego. Powiedziałem, że zgubiłem się i nie mogę znaleźć drogi do Ixtlan. Zapytałem o nazwę miejsca, w którym byliśmy, i z jego odpowiedzi wywnioskowałem, że to właśnie to, o którym myślałem. Dzięki temu poczułem się bardzo szczęśliwy. Uświadomiłem sobie, że już nie czuję się zagubiony i zastanawiałem się nad mocą mojego sprzymierzeńca, pozwalającą mu w czasie krótszym od mrugnięcia okiem na przeniesienie mnie na taką odległość.

Podziękowałem chłopcu i zacząłem odchodzić. Pastuszek, jak gdyby nigdy nic, wyszedł ze swojej kryjówki i zapędził kozy na prawie niewidoczną ścieżkę. Wydawało się, że prowadzi ona do doliny. Zawołałem chłopca, a on nie uciekł. Podszedłem do niego i kiedy za bardzo się zbliżyłem, uskoczył w krzaki. Stwierdziłem, że jest zbyt ostrożny i zacząłem zadawać mu pytania. “Dokąd prowadzi ta ścieżka?" – zapytałem. “Na dół", odpowiedział. “Gdzie mieszkasz?" “Tam, na dole". “Czy jest tam dużo domów?" “Nie, tylko jeden". “A gdzie są inne?" Chłopiec wskazał na drugą stronę doliny z obojętnością właściwą dla jego wieku. Potem wraz z kozami zaczął schodzić swoją ścieżką na dół.

“Poczekaj", powiedziałem do niego. “Jestem bardzo zmęczony i głodny. Zaprowadź mnie do swoich".

“Nie mam żadnych swoich", stwierdził chłopiec i to mną wstrząsnęło.

Nie wiem dlaczego, ale jego głos sprawił, że zawahałem się. Chłopiec, widząc to, zatrzymał się i zwrócił się do mnie: “Nie ma nikogo w domu", powiedział. Mój wuj odszedł, a jego żona wyszła w pole. W domu jest mnóstwo jedzenia. Całe mnóstwo. Chodź ze mną".

To mnie nieco zasmuciło. Chłopiec również był zjawą. Ton jego głosu i gorliwość zdradziły go. Zjawy przyszły, aby mnie dostać, ale ja nie bałem się. Wciąż byłem odrętwiały po spotkaniu ze sprzymierzeńcem. Chciałem wściec się na sprzymierzeńca albo na zjawy, ale jakoś nie byłem w stanie rozzłościć się tak jak przedtem, więc dałem sobie spokój. Później chciałem się zasmucić, ponieważ podobał mi się ten chłopiec, ale także nie potrafiłem, więc i z tym dałem sobie spokój.

Nagle uświadomiłem sobie, że mam sprzymierzeńca i zjawy nie mogą mi nic zrobić. Poszedłem za chłopcem ścieżką w dół. Inne zjawy szybko wyszły z ukrycia i usiłowały poplątać mi nogi, abym wpadł w przepaść, ale moja wola była silniejsza od nich. Musiały to wyczuć, ponieważ przestały mnie prześladować. Po chwili tylko stały przy ścieżce, którą szedłem. Od czasu do czasu któraś usiłowała na mnie skoczyć, ale zatrzymywałem ją siłą swojej woli. W końcu całkowicie przestały mnie niepokoić.

Don Genaro siedział cicho przez dłuższy czas. Don Juan spojrzał na mnie.

– Co się stało później, don Genaro? – zapytałem.

– Szedłem dalej – powiedział rzeczowo.

Wydawało się, że skończył już swoją opowieść i nie ma nic do dodania.

Zapytałem go, dlaczego to, że częstowały go jedzeniem, było oznaką że są zjawami. Nie odpowiedział. Spytałem więc dalej, czy Indianie z plemienia Mazateków zwyczajowo nie przyznają się do posiadania jedzenia, albo może przykładają oni wielką wagę do kwestii pożywienia. Odpowiedział, że ton ich głosu, gorliwość wabienia go i sposób, w jaki zjawy mówiły o jedzeniu, były takimi oznakami. Wiedział o tym dzięki pomocy sprzymierzeńca. Przyznał, że sam nigdy nie zauważyłby tych osobliwości.

– Czy te zjawy to byli sprzymierzeńcy, don Genaro? – zapytałem.

– Nie, to byli ludzie.

– Ludzie? Przecież powiedziałeś, że to zjawy.

– Powiedziałem, że nie byli już więcej czymś rzeczywistym. Po moim spotkaniu ze sprzymierzeńcem nic już więcej nie było rzeczywiste.

Byliśmy cicho przez długi czas.

– Jaki był koniec tej historii, don Genaro? – zapytałem.

– Koniec?

– To znaczy, kiedy i jak dotarłeś w końcu do Ixtlan? Obydwaj równocześnie wybuchnęli śmiechem.

– A więc o to ci chodziło z tym końcem – stwierdził don Juan. – Powiedzmy to inaczej. Podróż Genara nie miała końca. Nigdy nie będzie końca. Genaro wciąż jest w drodze do Ixtlan!

Don Genaro popatrzył na mnie przenikliwie, a później spojrzał w dal, na południe.

– Nigdy nie dotrę do Ixtlan – powiedział.

Jego głos był stanowczy, ale cichy, prawie jak pomruk.

– Jednak czuję... czasami wydaje mi się, że dzieli mnie od niego tylko jeden krok. Ale nigdy tam nie dotrę. W mojej podróży nie odnajduję nawet niegdyś znajomych mi miejsc. Nic nie jest już takie samo.

Don Juan i Genaro spojrzeli na siebie. Było coś niewymownie smutnego w ich wzroku.

– W swojej podróży do Ixtlan spotykam tylko widmowych podróżnych – powiedział cicho.

Spojrzałem na don Juana. Nie rozumiałem, co miał na myśli don Genaro.

– Każdy, kogo Genaro napotyka na swojej drodze, jest tylko przemijającą istotą – wyjaśnił don Juan. – Weźmy ciebie, na przykład. Jesteś zjawą. Twoje uczucia i gorliwość są takie jak u ludzi. Dlatego mówi, że spotyka tylko widmowych podróżników w drodze do Ixtlan.

Nagle uświadomiłem sobie, że podróż don Genara jest metaforą.

– Wobec tego twoja podróż do Ixtlan nie jest realna – powiedziałem.

– Jest realna! – wykrzyknął don Genaro. – Podróżnicy nie są realni.

Wskazał na don Juana ruchem głowy i powiedział z naciskiem:

– To jedyny, który jest rzeczywisty. Świat jest rzeczywisty tylko wtedy, kiedy jestem z nim. Don Juan uśmiechnął się.

– Genaro opowiedział ci swoją historię – powiedział don Juan – ponieważ wczoraj zatrzymałeś świat i on myśli, że także widziałeś, ale ty jesteś takim głupcem, że sam tego nie wiesz. Wciąż mówię mu, że jesteś dziwny, ale że prędzej czy później będziesz widział. Niezależnie od wszystkiego, w swoim następnym spotkaniu ze sprzymierzeńcem, jeśli będzie dla ciebie następny raz, będziesz musiał walczyć z nim i go oswoić. Jeśli przeżyjesz wstrząs, a sądzę, że tak, ponieważ jesteś silny i żyjesz jak wojownik, znajdziesz się w nieznanym kraju. Wtedy, w całkiem naturalny dla nas wszystkich sposób, przede wszystkim będziesz chciał wrócić do Los Angeles. Ale nie będzie już powrotu do Los Angeles. To, co tam zostawiłeś, na zawsze przepadnie. Od tej pory będziesz już czarownikiem, ale to nic nie pomoże.

Ważny dla nas wszystkich jest fakt, że wszystko, co kochaliśmy czy nienawidziliśmy, a także wszystkie pragnienia pozostawiamy za sobą. Jednak uczucia w człowieku nie umierają ani się nie zmieniają i czarownik wyrusza w drogę powrotną do domu, wiedząc, że nigdy do niego nie dotrze; wiedząc, że żadna siła na ziemi, ani nawet śmierć, nie doprowadzi go do miejsca, do rzeczy i ludzi, których kochał. To właśnie powiedział ci Genaro.

Wyjaśnienie don Juana podziałało jak katalizator. Pełne znaczenie opowieści don Genara uderzyło nagle we mnie, kiedy zacząłem łączyć ją z moim własnym życiem.

– Co z ludźmi, których kocham? – zapytałem don Juana. – Co się z nimi stanie?

– Zostaną tam – powiedział.

Czy nie ma żadnego sposobu, aby ich odzyskać? Czy nie mogę uratować ich i wziąć ze sobą?

– Nie. Twój sprzymierzeniec tylko z tobą samym puści się w wir i przejdzie do nieznanych światów.

– Ale będę mógł wrócić do Los Angeles, prawda? Pojechać autobusem albo polecieć samolotem. Los Angeles wciąż będzie na swoim miejscu, nieprawdaż?

– Oczywiście – powiedział don Juan, śmiejąc się. – A także Manteca i Temecula, i Tucson.

– I Tecate – dodał Genaro z wielką powagą.

– I Piedras Negras, i Tranquitas – powiedział don Juan z uśmiechem.

Don Genaro dodał jeszcze inne nazwy i tak samo zrobił don Juan. Pochłonęło ich wymienianie niezliczonej ilości najśmieszniejszych i niewiarygodnych nazw miast i miasteczek.

– Wirowanie ze sprzymierzeńcem zmieni twoją ideę świata – powiedział don Juan. – Idea jest wszystkim; kiedy ona ulega zmianie, zmienia się też sam świat.

Przypomniał mi, że kiedyś czytałem mu pewien wiersz i teraz chciał, abym go wyrecytował. Zacytował mi kilka słów z niego i przypomniałem sobie, że czytałem mu poezje Juana Ramona Jimeneza. Ten, o którym mówił, nosił tytuł El Yiaje Defmitivo (Ostateczna Podróż). Wyrecytowałem go:

...i odejdę. Ale ptaki pozostaną, śpiewając:
i mój ogród pozostanie,
z zielonym drzewem, i studnią.
Przez wiele popołudni niebo będzie niebieskie
i pogodne,
i dzwony na dzwonnicy wybiją godziny,
jak robią to tego popołudnia.
Ludzie, którzy mnie kochali, odejdą,
a miasto będzie rozkwitać każdego roku.
Ale mój duch zawsze z nostalgią będzie błądzić
po tym samym, zapomnianym zakątku mojego
kwietnego ogrodu.

– Właśnie o takim uczuciu mówi Genaro – powiedział don Juan. – Aby zostać czarownikiem, człowiek musi odczuwać namiętności. Taki człowiek ma jakiś dobytek i drogie mu rzeczy; w ostateczności ma zawsze swoją ścieżkę, którą kroczy.

Dokładnie jest tak, jak Genaro opowiedział ci w swojej historii. On pozostawił swoje namiętności w Ixtlan – swój dom, ludzi, wszystko to, o co się troszczył. Teraz błąka się pośród swoich uczuć i jak mówi, prawie dociera do Ixtlan. Jest tak z nami wszystkimi. Dla Genara to Ixtlan, dla ciebie będzie Los Angeles, dla mnie...

Nie chciałem, aby don Juan powiedział mi o sobie. Przerwał, jakby czytając w moich myślach. Genaro westchnął i sparafrazował pierwszą linijkę wiersza:

– Odszedłem. I ptaki pozostały, śpiewając.

Przez moment odczułem falę potwornego bólu i nie dającej się opisać samotności, ogarniającą nas trzech. Spojrzałem na don Genara i wiedziałem, że będąc człowiekiem pełnym namiętności, musiał mieć tyle serdecznych związków, tyle rzeczy, o które się troszczył, i wszystko to pozostawił. Wyraźnie poczułem, że w tym momencie moc jego wspomnień grozi katastrofą i że don Genaro jest bliski płaczu.

Szybko odwróciłem wzrok. Namiętności don Genara, jego wielka samotność sprawiły, że zapłakałem.

Spojrzałem na don Juana. Wpatrywał się we mnie.

– Tylko wojownik jest w stanie przeżyć na ścieżce wiedzy – powiedział. – Dlatego że sztuka wojownika polega na zrównoważeniu strachu bycia człowiekiem i cudu bycia człowiekiem.

Kolejno wpatrywałem się w nich obu. Ich oczy były czyste i spokojne. Zawezwali falę przytłaczającej nostalgii, a kiedy wydawało się już, że są na granicy gorzkiego płaczu, powstrzymali tę falę. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę. Widziałem samotność człowieka jako gigantyczną falę, która zatrzymała się przede mną powstrzymana przez niewidzialną ścianę metafory.

Mój smutek stał się tak przytłaczający, że poczułem uniesienie. Objąłem ich.

Don Genaro uśmiechnął się i wstał. Don Juan również wstał i delikatnie położył rękę na moim ramieniu.

– Zostawimy cię tutaj – powiedział. – Rób to, co uznasz za stosowne. Sprzymierzeniec będzie czekał na ciebie na skraju tej równiny. – Wskazał na ciemną dolinę w oddali. – Jeśli czujesz, że jeszcze nie nadszedł twój czas, zrezygnuj z tego spotkania. Niczego nie zyskasz, zmuszając się. Jeśli chcesz przeżyć, musisz być krystalicznie czysty i śmiertelnie pewny samego siebie.

Don Juan odszedł, nie patrząc na mnie, ale don Genaro odwracał się kilkakrotnie. Robiąc oko i przywołując ruchem głowy, zmusił mnie, abym poszedł kawałek za nimi. Patrzyłem na ich oddalające się sylwetki, aż zniknęli w oddali, a wtedy poszedłem do samochodu i odjechałem. Wiedziałem, że mój czas jeszcze nie nadszedł.